

Dagome Iudex cz.1

Zbigniew Nienacki



calibre 0.9.27

ZBIGNIEW NIENACKI

„DAGOME IUDEX” 1

Ja, Dago

Nie istnieje człowiek, sprawa, zjawisko, a nawet żadna rzecz, dopóty, dopóki w sposób swoisty nie zostały nazwane. Władzą jest, więc moc swoistego nazywania ludzi, spraw, zjawisk i rzeczy Lak, aby te określenia przyjęły się powszechnie. Władza nazywa, co jest dobre, a co złe, co jest białe, a co czarne, co jest ładne, a co brzydkie, bohaterskie lub zdradzieckie; co służy ludowi i państwu, a co lud i państwo rujnuje; co jest po lewej ręce, a co po prawej, co jest z przodu, a co z tyłu. Władza określa nawet, który bóg jest silny, a który słaby, co należy wywyższać, a co poniżać.

Księga Grzmotów i Błyskawic rozdział: "O sztuce rządzenia ludźmi"

ROZDZIAŁ PIERWSZY - VINDOS

Czwartego dnia nieśpiesznej jazdy, prowadząc ze sobą konia obładowanego jukami i białego ogiera zdobytego na Sasach, w samo południe, dotarł wreszcie Dago do brzegu wielkiej rzeki, która na jednej z trzech srebrnych tablic, należących kiedyś do potężnego cesarza Karola, nosiła nazwę Swebskiej albo Viaduy. Potocznie jednak mówiono o niej Rzeka Zapomnienia, ponieważ ludy, jakie za nią żyły, dotąd jeszcze nie weszły do historii. A kogo nie odnotuje historia, ten jak gdyby trwał w pomroce dziejów, był w zapomnieniu. Nie istnieje bowiem coś, co nie zostało nazwane. To zaś, co zostało nazwane może

*być bliskie a nawet przyjazne, zostać oswojone, opanowane albo
zawładnięte. Tak więc nikt nie znał nazw ziem rozciągających się na
wschód od Viaduy, nie wiedział ile tam mieszkało ludów, jakie miały
obyczaje, w jakich bogów wierzyły; czy posiadały władców, czy też
rządziły się każdy po swojemu. Nawet kupcy, przeważnie z państwa
Abbasydów, którzy przez owe ziemie jeździli po glesum zwane też
gintaras, zresztą rzadko i ostrożnie, wybierając raczej drogę morską
przez ocean zwany ongiś Wschodnim, potem Sarmackim, a wreszcie
Swebskim (dopóki ich piracy Ascomannowie nie wystraszyli) -
przemykali chyłkiem przez ogromne puszcze i skraje rozległych
mocarów, unikając spotkania z ludźmi, bo ani ich mowy, ani
zwyczajów nie znali i dlatego na ogół wieści przywozili bałamutne
Opowiadano Dagonowi, że cesarz Karol często myślał z niepokojem o
owych zapomnianych ludach, obawiając się, że kiedyś dla swej liczby
urosną w potęgę i zagrożą państwu Franków. Dlatego zakazał
sprzedaży wszelkiej broni na wschód: żelaznych hełmów, kolczug, a
przede wszystkim słynnych frankońskich mieczy, wykonywanych nad
środkowym Renem. I słał szpiegów. Ale oni albo nigdy nie wracali,
albo przynosili sprzeczne informacje.*

*Mistrz z Akwizgranu, Alkuin, wygrzebał ze starych ksiąg wiadomości,
że za Viadua żyją Neurowie, lud potężny i wilczy, gdyż raz do roku
każdy z Neurów miał się zamieniać w wilka, a potem ludzką postać
odzyskiwał. Obok Neurów istniał ponoć Kraj Kwen, czyli Kraj Kobiet,
dalej mieszkali Androfagowie pożerający ludzkie mięso,*

Malenchlajnowie, ubierający się zawsze na czarno, łysogłowi Agripajowie i Lssedonowie oraz zamieszkujące w odległych górach kozionogie i jednookie plemiona, które wraz z gryfami strzegły złota. Późniejsze jednak zapiski powiadały, że Neurów można zwać także Sklavinami i dzielą się oni na wiele potężnych ludów. Tedy Karol bez rezultatu walcząc z Omajadami, gdy ujarzmił Sasów, Bawarów i rozbił Longobardów oraz podjął wyprawy przeciw Awarom, niszcząc ich potężne państwo - napotkał wreszcie plemiona Sklavinów, którzy razem z nim przeciw Awarom stanęli do walki. Plemion tych naliczono aż piętnaście: Luczianów, Lemuzów, Liutomirców, Dieczan, Pszowan, Charwatów, Zliczan Dudlebów, Netoliców, Sedliczan i innych, a wśród nich najpotężniejszych - Bohemów i Morawian. Od nich wziął Karol daninę i utworzył na dawnych ziemiach awarskich swoją Marchię Wschodnią, co im się nie spodobało. Zbuntowali się przeciw Frankom i aż dwie wyprawy musiał podjąć cesarz, aby ich uspokoić, co się jednak nie całkiem udało. Kronikarze - pochlebcy zapisali w żywocie Karola, że trybut płaciły i zwierzchnictwo Franków uznały także trzy inne ludy na wschód od rzeki zwanej ongiś Albis, co się wydawało nieprawdopodobnym, ponieważ owe ludy silne związki plemienne tworzyły, jako Sorbowie, Obodryci i Lutycze, zwani także Wioletami lub Wilkami, i faktycznie granica państwa Franków kończyła się na rzece Albis. Tak więc o Sorbach, Obodrytach i Lutyczach coś niecoś już wiadano, szczególnie w czasach Ludwika Pobożnego, kiedy to przybyli na zjazd do Frankfurtu, aby formalnie uznać władzę

*Franków. Lecz ziemie tych plemion leżały między rzeką Albis i Viadua.
Co znajdowało się dalej - wciąż nikt nie miał pojęcia, a po śmierci
Ludwika Pobożnego, który miał dość trosk od Omajadów i
Ascomannów, znikła wszelka zależność także Lutyczów, Obodrytów i
Sorbów. Na Morawach zaś zaczął rządzić książę Mojmir, samodzielny
władca. Tymczasem Viadua wciąż pozostawała Rzeką Zapomnienia,
kryła się za nią tajemnica, a ona zawsze budzi niepokój, a nawet
grozę.*

*Dago ujrzał więc wreszcie Viadua i stojąc na wysokiej skarpie mógł
spojrzeć na rozciągającą się u jego stóp ogromną pradolinę, która ryla
ziemię przez setki lat., czyniąc z niej nie kończącą się podłużną nieckę.
Wiosenny przybór wód już dawno opadł, główny nurt niebieszczył się
gdzieś daleko, osłonięty wierzbami i olchami. Między skarpą a rzeką
pozostały duże rozlewiska wody i małe oczka pokryte rzęsą oraz
zielona puszysta jak kobierzec płaszczyna porośnięta sitowiem,
trawą i turzycą. Wydawało się czymś niezwykle łatwym zjechać po
łagodnej pochyłości skarpy i pognać przez ową zieleń aż do brzegu
rzeki, tam napić konie, dać się im popaść wśród wierzb i olch. Ale
Dago pochodził z kraju Spalów, którzy przez wieki żyli wśród bagien i
mokradel, stawiali domy na palach i pływali po rozlewiskach w
lekkich łódkach ze skóry żubrów. Wiedział więc, że ta dolina wabiąca
zielenią kryła otchłanie; wystarczyło stanąć gdziekolwiek, a koń i
podróżnik otwierali pod sobą wciągającą ich na zawsze zdradliwą
głębię błota. Tylko człowiek dobrze obeznany z okolicą, jak on był*

kiedys w kraju Spalów, mógł bezpiecznie poprowadzić trzy konie niewidocznymi ścieżkami przez mokradła aż do brzegu rzeki, do wierzb i olch, a tam wskazać płytki bród. Lecz jeśli znajdował się gdzieś w pobliżu ów bród, zapewne strzegło go obronne grodzisko Lutyczów. Spotkanie z Lutyczami wymagało zaś ostrożności, okazania pokojowych zamiarów, dogadania się co do opłaty za przejście przez płyciznę. A on był sam z dwoma końmi, jukami pełnymi bogactwa i białym ogierem. Czy nie mogło im przyjść do głowy, że zamiast wziąć myto, lepiej zabić go podstępnie i zabrać dobytek? Lecz Dago nie musiał działać pośpiesznie i mógł dokładnie rozejrzeć się po okolicy. Kraj Spalów leżał po drugiej stronie rzeki, kto wie jak daleko; może o kilkanaście, a może nawet o kilkadziesiąt dni konnej jazdy. Dago nie był pewien, czy w ogóle zdoła tam trafić, skoro pięć lat temu opuścił ów kraj zupełnie innym szlakiem. Nikt tam na niego nie czekał, niczyja twarz nie miała się na jego widok rozjaśnić ze szczęścia radością. W zdradzieckim napadzie Estów zginęli wszyscy jego najbliżsi i tylko on ocalał, ponieważ już wówczas posiadał miecz zwany Tyrfingiem. Nigdy nie zwątpił, że zechce powrócić w rodzinne strony, gdyż wciąż z nową siłą odzywała się w nim pewna straszna choroba zwana Żądzą Czynów, zapadali na nią ci, którzy nosili w sobie krew olbrzymów. Lecz jeśli pięć lat go nie było w tamtych stronach, jeśli nie miał spotkać nikogo bliskiego, co znaczył dzień, tydzień, a nawet miesiąc zwłoki, skoro dopiero spłynęły wiosenne wody i nastala pora zbierania poczwerek czerwia do barwienia

tkanin.

Nie spodziewał się pogoni z powodu białego ogiera. Sas, który uciekł ratując własne życie, nie tak łatwo zdoła trafić na ludzi gotowych do pościgu. Przez cztery dni przebył Dago wiele strumieni i za każdym razem długo jechał wzdłuż koryta, aby woda rozmyła ślady kopyt jego koni. Jeśli czegoś się wówczas obawiał, to jedynie strzały wypuszczonej z gęstej puszczy albo oszczepu rzuconego silną ręką, gdyż Lutycze, podobnie jak wszyscy Sklavinowie, nigdy nie stawali do otwartej walki, a napadali z ukrycia. Białe ogier zwracał uwagę w zieleni krzewów i drzew, a samotny wojownik mógł się wydawać łatwą ofiarą. Dlatego starał się omijać gęstwiny leśne i samotne siola, a także grody i osady obronne, szukając drogi przez łąki i polany, przez skrawki stepów, gdzie z rzadka tylko rosły potężne buki lub dęby. Ale trzeciego dnia musiał jednak zagłębić się w puszcze, która mimo wielu kryjących się w niej niebezpieczeństw, właśnie jemu mogła dać teraz ochronę. Wychował się na mokradłach i w wielkim lesie, jak mało kto znał jego tajemnice. Otaczający go ludzie na ogół bali się tego, co nazywali "szmerem lasu", czyli dziwnych, a niekiedy niesamowitych odgłosów dolatujących z puszczy; nieliczni mieli odwagę samotnie przemierzać las, a tym bardziej nocować w jego gęstwinie. W lesie mieszkaly duchy zmarłych, złośliwe trolle, straszliwi Waldleuten, czyli Leśni Ludzie, a także dzikie zwierzęta, przede wszystkim krwiożercze i nieustraszone wilki. Czy nie zdarzyło się, o czym opowiadano szeroko, że pewnej zimy wygłodzony wilk

wpadł nawet do kościoła w Senonais i rzucił się na rozmodlonych ludzi? Dago jednak jeszcze jako dziecko spędził surową zimę zupełnie samotnie w leśnym wykrocie.

Na jego widok, ponieważ był synem Bożym, uciekła groźna wilczyca.

U progu młodości zabił Leśnego Człowieka. Puszcza nie przerażała go więc tak, jak innych, "szmer lasu" był dla niego zrozumiały jak ludzka mowa.

Przez puszcę prowadziło kilka dróg porytych kołami wozów

kupieckich karawan, ciągnących od czasu do czasu z Zachodu na

Wschód, przeważnie do kraju Estów. Wybrał najmniej wyraźną, czyli

rzadko uczęszczaną, gdyż nie wiodła chyba do żadnego grodu lub

osiedla. Ludzi należało bać się bardziej niż wilków, o czym przekonał

się wkrótce. Po kilku godzinach jazdy przed jakimś zakrętem nagle

parsknął ostrzegawczo biały ogier i Dago pojął, że wyczuł on albo

drapieżne zwierzę, albo też człowieka. Natychmiast zeskoczył z siodła,

pozwalając, aby konie szły dalej same, on zaś uzbrojony tylko w

okrągłą tarczę i krótki miecz, uskoczył w bok, w krzaki leszczyny.

Potem ostrożnie i bezszelestnie dostał się od tyłu poza ów zakręt,

właśnie w chwili gdy dwóch ubranych w wilcze skóry wojowników

chwyciło jego konie za uzdy i z niepokojem rozglądało się za jeźdźcem.

Uderzył na nich z zaskoczenia. Dwa razy machnął swoim Tyrfingiem

odcinając im głowy. Tak znowu spełniła się klątwa Odyna, na drodze

pozostały dwa drgające konwulsyjnie ciała ludzkie. Dago zabrał jedną

wilczą skórę, wskoczył na siodło i trzy konie poprowadził dalej przez

samo serce puszczy, przez największą gęstwinię, mimo że posuwał się przez to bardzo wolno i przez cały dzień atakowały ich ogromne gzy.

"Vind, Vindos" - szeptał wtedy czule do białego ogiera, co w języku Celtów znaczyło "biały", gdyż jak mówili Sasi, ogier był kupiony od Celtów, tedy celtycka mowa była mu najbliższa.

Jednak biały ogier pozostawał wciąż wrogi. Gdy Dago zbliżał się do niego, ten aż dygotał z gniewu, wyszczerzał zęby i starał się go ukąsić jak wilk albo też podnosił się na tylnych nogach, aby przednimi zmiażdżyć człowieka. Gryzł też pozostałe dwa konie i opornie szedł jako ostatni, uwiązany na długiej lince uczeptionej do konia z jukami.

Od olbrzymki Zely nauczył się Dago mowy ciała, która była najstarszym z języków i podobno porozumiewali się nią kiedyś ludzie nie tylko między sobą, ale i ze zwierzętami. Przemawiał więc Dago do ogiera łagodnym ruchem dłoni, lekkim pochyleniem i kołysaniem się tułowia, stosował grę spojrzeń i uśmiechów, choć to nie na wiele się zdało. Łamał też dumę białego ogiera wykorzystując jego głód i na każdym postoju karmił go z ręki garściami owsa, który trzymał w jednej ze skórzanych sakw. Czasami wpadał w gniew i wówczas długo obsypywał Vindosa najgorszymi przekleństwami w języku

Rhomajów, Franków, Sklavinów i Ascomannów, groził, że poderżnie mu gardło, połamie gołenie, w pierś wbije straszliwego Tyrfinga. Czy od tego wszystkiego zmiękło choć na chwilę serce białego ogiera, czy w jego duszy zatliła się odrobina miłości? Tego Dago nie wiedział, a bał się sprawdzić, ponieważ to mogło oznaczać walkę na śmierć i

życie. Pokochał Vindosa od pierwszego wejrzenia i pragnął go jak najpiękniejszej kobiety, a kiedy biały ogier ostrzegł go przed niebezpieczeństwem, miłość ta stała się jeszcze silniejsza. A wszystko to być może dlatego, że i jego przez wiele lat, za przyczyną bardzo jasnych włosów i jasnej skóry, nazywano niekiedy Białym. Dopiero potem, z powodu pragnienia władzy, dał się ochrzcić i przyjął imię Dagobert. Ale ponieważ nie ufał Bogu, który pozwolił, aby go zamęczono na krzyżu, kazał nazywać się Dago, co się przyjęła. U Rhomajów, a także wśród Franków wielu było takich, którzy podobnie jak on, znakiem krzyża się żegnali, lecz w głębi duszy wierzyli w swoich domowych bogów.

Vindosa przywiązał na brzegu polany do grubego buka rzucającego głęboki cień. Zdjął juki i siodło z dwóch koni i po łagodnej pochyłości skarpy poprowadził je na dół, do dużego oczka, które miało czystą wodę, bo chyba biło tam źródło. Konie piły chciwie, gdyż dzień był upalny i zmęczyła je droga. Vindos też pewnie czuł pragnienie. Lecz Dago nie zamierzał dodawać mu sił przed czekającą ich walką. Jeśli nie zdoła ujarzmić Vindosa, był zdecydowany go zabić. I tak zbyt długo narażał się na niebezpieczeństwo prowadząc ze sobą białego ogiera, który każdemu musiał wydawać się świętym.

Napojone konie spętał i puścił luzem na trawę wśród młodych brzózek na polanie. Potem jeszcze raz zszedł na dół i zaczerpnął wody do blaszanego kubka. Wyjął z juków kawał jęczmiennego placka, suchego już jak kora drzewna, rozmoczył go w wodzie i zjadł,

pamiętając, aby kilka kropel wody i kilkanaście okruchów placka rozrzucić wokół siebie. Ta wypalona polana, ta skarpa wznosząca się nad pradoliną rzeki posiadały zapewne jakiegoś swojego ducha czy bożka i Dago nie chciał mieć w nim wroga.

Nasyciwszy głód zrzucił z siebie skórzany kaftan, odłożył krótki miecz i nagi do pasa, niby to bez żadnego zainteresowania, zbliżył się do Vindosa, który aż zadygotał z nienawiści, czy też trwogi. Najpierw zawiązał mu pętlę na przednie, a potem na tylne nogi. Następnie zarzucił mu na grzbiet siodło, mimo że koń rwał się na lince uwiązanej do buka i chciał go stratować kopytami. Był jednak bezradny w pętach krepujących nogi.

Teraz Dago chwycił krótkie lejce i odwiązał linkę od drzewa. Jednym rzutem ciała, nie dotykając strzemion, znalazł się w siodle. Biały ogier znowu zadygotał, a potem wygiąwszy grzbiet w pałąk, zaczął skakać w miejscu, aby zrzucić z siebie jeźdźca. Biec nie mógł, gdyż nogi miał spętane, więc tylko skakał w górę, coraz bardziej czując uścisk wędzidła. W innej sytuacji Dago rozciąłby więzy na nogach konia i pozwolił mu biec w szalonym pędzie. Ale polana była za mała, a w puszczy, między drzewami, groziło zrzucenie z grzbietu przez jakąś nisko rosnącą gałąź. Zresztą, kto wie dokąd by go poniósł oszalały z wściekłości ogier, nie znajdowali się w przyjacielskim kraju, ale wśród wrogów. Podskakiwał więc Dago na wygiętym pałąkowato grzbiecie ogiera i boleśnie czuł swoje wnętrzości; wydawało mu się, że jeszcze chwila a ustami wyrzuci z siebie dopiero co przełknięte

jedzenie.

Było upalne popołudnie, pot pokrył opalone na złocisty kolor plecy Dagona, biała sierść ogiera też pokryła się pianą. Nie napojony - czuł pragnienie i zaczynał słabnąć, ciągle jednak w gwałtownych podskokach rozwiewała się jego gęsta biała grzywa i jasne długie włosy jeźdźca. Ale podskoki stawały się coraz rzadsze i nie tak wysokie. Minęła jednak chyba wieczność, zanim biały ogier wreszcie znieruchomiał, oddychając gwałtownie swoją szeroką klatką piersiową. "Vind, Vindos" - uspokajał go Dago i głaskał po spoconym karku. A potem przemawiał cicho w mowie Spalów:

- Kocham cię jak kobietę. Kocham ciebie jak siebie samego. Będziesz miał brązowe napierśniki, aby nie przebiła cię czyjaś włócznia. Na grzbiet narzucę ci skórzany czaprak, aby cię nie dosięgnął grot strzały. Vind, Vindos...

Dago wierzył, że biały ogier rozumie jego słowa i jego obietnice. Nie chciał łamać jego dumy, pragnął tylko posłuszeństwa i cudownego przeżycia dla mężczyzny, że ma się między udami tak wspaniałe i piękne zwierzę. "Vind, Vindos, kochany" - nie przestawał powtarzać słów jak zaklęcia.

Znieruchomiały ogier wreszcie nisko zwiesił głowę. Czy został pokonany, czy też zdradziecko udawał spokój? Dago zeskoczył z siodła i ostrożnie dotknął różowych chrapów, a potem spróbował zajrzeć w jego niebieskie oczy. Jakże rzadko trafia się ogier albinos. Dla niego Dago zabił już dwóch ludzi. Ilu jeszcze zabije? A może ten ogier

wiedział, że mógł być wolny w jakimś chramie i tylko z rzadka zaprzęgany do świętego wozu, aby z ruchu jego nóg, ciała i parskania wróżowie mogli przepowiadać losy ludzi? Może naprawdę nie chciał połączyć swojej doli z pełnym niebezpieczeństw i walki życiem

Dagona?

Ogier zaczął oddychać głośno i chrapliwie. Dago wytarł jego spienione boki swoją lnianą koszulką. Dopiero po dłuższym czasie, wciąż spętanego, sprowadził na dół do wody i pozwoli się napić. Gdy wracali pod górę, ogier mógł ugryźć Dagona w ramię, ale tego nie uczynił, Dago odpowiedział mu uśmiechem i pogłaskał po szyi. Na polanie wyjął mu uzdę z pyska i podał z ręki ostatni kawałek jęczmiennego placka, skazując siebie na noc bez posiłku. Potem puścił go, aby mógł skubać trawę między brzoškami na polanie. Ogier pozostawał spętany i nie był w stanie uciec daleko. Zresztą w każdej chwili mógł Dago zrobić arkan i schwytać go, albowiem i ta sztuka nie była mu obcą. Usiadł na brzegu polany w cieniu grubego buka i przyglądał się trzem pasącym się spokojnie koniom. Uważnie też nasłuchiwał szelestów puszczy; takiemu jak on niebezpieczeństwo groziło zawsze i wszędzie. To stare wypalenisko świadczyło, że kiedyś żyli tutaj ludzie, a gdy ziemia przestała rodzić, przenieśli się gdzieś dalej, ale może niezbyt daleko. Brzegi rzek zawsze przyciągały, a to był kraj wrogich Frankom Wilków.

To z ich powodu, gdy przebył bród na rzeczce Albis, natychmiast zdjął z głowy swój hełm, który w mowie Spalów nazywano szlomem,

czterema złotymi blachami pokryty i ujęty dołem obręczą z otworami na siatkę z kólek, osłaniającą szyję. Schował hełm do juków, podobnie uczynił z pozłaczanym pancerzem Rhomajów i włożył prosty kaftan skórzany. Ukrył w jukach również czaprak i napierśniki konia. Ale nie mógł pozbyć się pozłaczanych ostróg i długiego frankońskiego miecza z rękojeścią inkrustowaną srebrem, miedzią i złotem, z pochwą wprawdzie drewnianą, ale z trzewikiem z brązu, misternie zdobionym. Ów długi miecz, dobry do walki z konia, nie bardzo dał się schować między jukami, mimo tego - jak sądził - na pierwszy rzut oka nikt Dagona nie powinien brać za Franka, a co najwyżej za zamożnego Wilka. Tym bardziej że pozostawił sobie tylko krótkiego Tyrfinga w pochwie z lichych lipowych deszczulek okrytych skórą i okrągłą tarczę zwaną szczytem, ponieważ miała ostry brązowy dziób. Tarcza wyglądała skromnie, ale jej drewniane wnętrze wypełniały trzy warstwy cienkiej blachy i guzy z brązu. Tylko ten, kto by tę tarczę wziął do ręki, po jej ciężarze, mógłby podejrzewać, że nie ma miecza ani włóczni zdolnych ją przebić czy rozkruszyć.

Wilki, podobnie jak wszystkie plemiona zamieszkujące na wschód od rzeki Albis, nienawidzili Franków i ich potęgi. Dago nie był Frankiem i nie pragnął ich nienawiści. Dlatego przez cały czas jechał na wschód ostrożnie, unikając spotkania z ludźmi. Nagle zauważył na drodze ślady jeźdźców, trzech jechało na koniach, a jeden koń biegł luzem, gdyż ślad był płytszy. Znajdowali się około pół dnia drogi przed Dagonem; nie chciał ich dopędzić. Ale natknął się niespodziewanie na

ich obozowisko wieczorne na małej polanie pod starym dębem. Trzech uzbrojonych mężczyzn siedziało przy ognisku, a obok nich pasły się trzy konie i spętany biały ogier, który wywołał u Dagona kurcz w krtani. Cudowny albinos o wspaniałej białej grzywie, szerokich piersiach, długich wysmukłych nogach stworzonych do szybkiego biegu, ogromnej sile, której można było się spodziewać po mocno rozwiniętych mięśniach pod białą sierścią.

Trzej mężczyźni zerwali się ze swych miejsc i chwycili za miecze, ale Dago zdjął z prawej dłoni skórzaną rękawicę i podniósł rękę na znak, że pragnie pokoju. Usiedli przy ognisku. Dago też usiadł, tylko że po drugiej stronie ognia.

- Dokąd jedziesz, panie? - zapytał go grzecznie wojownik w żelaznym szłomie i z długą rudą brodą. Mówił w języku Sklavinów, jak Wilk, ale akcent miał twardy, teutoński.

Dago poznał go od razu, choć tylko przelotnie i z okna zamkowej komnaty widział go w Ratyzbonie. To był szpieg teutoński. Może król Ludwik Teutoński szykował w tajemnicy jakąś nową wyprawę wojenną, tym razem przeciw Wilkom? Dwaj pozostali milczeli, ale Dago podejrzewał, że też są Sasami, choć nosili tylko skórzane kaftany, a na głowach krowie czerepy z rogami.

- Jadę przed siebie, na wschód - odparł krótko.

- To nie po drodze nam będzie - stwierdził rudobrody. - Kupcami jesteśmy i jedziemy na północ, do Rujanów. Białego celtyckiego ogiera chcemy im sprzedać do świętego chramu.

Kłamali. Nosili miecze i tarcze, byli wojownikami jak Dago. Być może rzeczywiście zamierzali sprzedać białego ogiera do świętego chramu Rujanów, ale przede wszystkim kazano im się rozejrzeć po kraju Lutyczów zwanych Wilkami i przynieść wiadomości o grodach obronnych i drużynach bojowych, o brodach przez rzeki, o szlakach przez puszcze i bagna.

- Jestem wolnym człowiekiem i służby szukam - oświadczył Dago.

Czy mu uwierzyli? Jeśli wysłano ich jako szpiegów, musieli być bystrymi obserwatorami. Zauważyli od razu biedny skórzany kaftan Dagona i to, że nawet hełmu nie miał, tylko gołą głowę z długimi włosami. Jego tarcza wyglądała nędznie, tak samo krótki miecz, który zwyczajem Ascomannów nosił nie u pasa, ale na rzemieniu zwisającym z ramienia. Między jukami na koniu natychmiast chyba dostrzegli długi miecz Franków. I zaraz rudobrody wskazał na niego palcem.

- Sprzedaj go. Widać od razu, że jest roboty Ulfbertha z nad

środkowego Renu. Piękny frankoński miecz. Zdobyłeś go w walce?

- Tak - skinął głową Dago. - Dam go wam za tego białego ogiera. - On nie jest na sprzedaż.

- Przecież mówiliście, że go prowadzicie do Rujanów, aby go sprzedać.

- To prawda. Ale w chramie więcej za niego dadzą niż wart jest miecz frankoński.

- To ogier celtycki? - zapytał.

- Tak. Kupiony od Celtów i po celtycku go zwą Vindos. Jest ujeżdżony,

ale jeźdźca niechętnie nosi. Zrzuca i gryzie.

Dago poczuł, że pożąda tego konia całą duszą i całym ciałem, i że musi go mieć, choćby miał stracić swoje bogactwo.

Wstał od ogniska, podszedł do swojego konia i z sakwy przy siodle wyciągnął złoty łańcuch z krzyżem, który wraz z tytułem hrabiego darował mu król Ludwik Teutoński, gdy pokonał jego niepokornego wasalę z rodu Nibelungów. Rzucił łańcuch w pobliże ogniska, pod nogi rudobrodemu.

- Aż tyle za ogiera? - wyrwało się jednemu z milczących dotąd wojowników. Jego mowa też była twarda, teutońska.

Rudobrody posłał mu karcące spojrzenie, a potem powiedział do

Dagona: - Bogaty jesteś, panie. Czy to złoto?

- Tak.

- Rękojeść miecza też zdobiona złotem. Dużo dobra musisz mieć w swoich jukach. Obrabowałeś jakiegoś możnego Franka? A może sam jesteś jakimś władcą?

- Może - skinął głową Dago. - Pochodzę z Kraju Spalów. - Wiele podróżuję, ale nie słyszałem o Kraju Spalów.

- Bo to bardzo daleko stąd. - W którą stronę?

- Na wschód, panie.

- Tam jest kraj Wendów i Estów. O Estach słyszałem, bo jantarem handlują i niewolnikami. O Wendach zaś, że żelaznej broni nie znają.

A może, panie, należysz do jakiegoś plemienia Sklavinów, którzy od "Slova", to jest błota, imię swoje wzięli? Najbardziej jednak wyglądasz

mi na Ascomanna, który lubi grabić.

I zaczął mówić w języku Teutonów, mową starych Sasów, ale Dago udawał, że nie rozumie, choć teutońskiego języka dobrze się nauczył. Chłonął natomiast mowę ciała rudobrodego, spojrzenia jakie rzucił dwóm swoim towarzyszom. Pojmował, że nie myślą mu sprzedać białego ogiera, opanowała ich chciwość. Trzem uzbrojonym wojownikom wydał się łatwym przeciwnikiem. Skąd mogli wiedzieć, że Kraj Spalów należał ongiś do olbrzymów, których stary Hlodr nazywał Gigantami, a to znaczyło, że w Dagonie płynęła ich krew. To olbrzymka Zely nauczyła go walki na krótkie i długie miecze oraz posługiwania się wszelką bronią. Potem miał i innych nauczycieli w mieście Byzisa i na dworze króla Ludwika. Nie zląkł się więc i siedząc po drugiej stronie ogniska tylko nieznacznie przysunął do siebie okrągłą tarczę i położył na rękojeści Tyrfinga. Słuchał jak rudobrody podnieca się dówalki obrzucając Dagona po sasku obelżywymi wyzwiskami i nie drgnął nawet, gdy tamten raptem zerwał się ze swego miejsca i wyciągnąwszy miecz z pochwy postąpił w jego kierunku. Zamachnął się, a wówczas z dołu, z siedzącej pozycji, zadał mu Dago cios Tyrfingiem prosto w brzuch, jednocześnie osłaniając się tarczą. Rudobrody zwałił się na ziemię obok ogniska i wtedy Dago skoczył na nogi i rzucił się na dwóch wojowników, którzy dopiero teraz wstawali z ziemi, ponieważ nie sądzili, że ich udział w walce będzie, potrzebny. Zamachnął się Tyrfingiem i okrytą czerepem krowim głowę odciął od tułowia, krew bluznęła na ognisko. Trzeci

zaczął wycofywać się na czworakach, potem podniósł się i popędził w głąb puszczy. Dago go nie gonił. Rudobrody żył jeszcze i leżał skurczony, trzymając się rękami za brzuch. Myślał, że Dago zechce go dobić i coś wybelkotał po sasku, ale zabójca tylko wytarł o jego kaftan swój zakrwawiony miecz. Następnie podszedł do złożonych pod dębem tobołów i rozciął je kilkoma ruchami miecza.

Nie wieźli żadnego dostatku oprócz owsa dla koni i żywności. Białe ogier stanowił całe ich bogactwo. Dago zabrał więc trochę ich żywności do swoich juków, następnie trzem spętanym koniom przeciął sznury na nogach, aby mogły rozbiec się po puszczy i chwycił za kantar białego ogiera. Vindos odniósł się do niego wrogo, starał się wspiąć na tylnych nogach i zmiażdżyć go przednimi. Lecz Dago nauczył się od Rhomajów właściwego obchodzenia z końmi, uczepił się kantara i zdołał nałożyć Vindosowi uzdę. Potem uwiązał go na lince do jucznego konia. Z miejsca walki zabrał tylko dwa frankońskie miecze, należące do rudobrodego i jego towarzysza z uciętą głową.

Kiedy zbliżał się po miecz do Teutończyka, ten go prosił:

- Dobij mnie, panie.

Dago przecząco pokręcił głową.

- Nie dobijam rannych. Mój miecz już otrzymał jedną ofiarę. Może przeżyjesz? A jeśli tak będzie, to powiedz margrabiemu Radborowi, hrabiemu Teodorychowi i komornikowi Meginfrydowi, a przede wszystkim Ludwikowi Teutońskiemu, że to ja zabiłem hrabiego Fredegara, a to dlatego, że z powodu mojej przyjaźni z Karlomanem

rozkazał, aby mnie otruto. Ja, hrabia Dago, gnany Żądzą Czynów odchodzę w świat, aby stać się władcą ludów, które kryją się w mroku dziejów.

Gdy skończył mówić, przekonał się, że Teutończyk skonał. Zawstydził się swojej chępliwości. Wskoczył na konia, chwycił lejce luzaka i prowadząc za nim białego ogiera znowu zanurzył się w puszcze...

A teraz, po czterech dniach od tamtego wydarzenia, siedział oto w cieniu starego buka i odpoczywając po walce z Vindosem patrzył na drugi brzeg Rzeki Zapomnienia, gdzie żyły liczne ludy pogrążone w mroku dziejów. Może rację miała Zely, że w każdym człowieku, w którym płynie krew Spalów tkwi ciągle tęsknota do wielkich czynów?

Nie chciał ich śmierci, pragnął tylko kupić białego ogiera. Zgubiła tamtych chciwość i żądza mordy. Ilu wojowników pozostających w służbie wielkich panów i nieustannie toczących z kimś walkę budziło się pewnego dnia z ową żądzą mordy? Od kilku lat drogę, którą kroczył Dago pokrywały trupy zabitych przeciwników. Zabijał, ponieważ musiał to zrobić. Zabijał, gdyż w przeciwnym razie to on straciłby życie. Ale przecież zawsze uważał czy nie budzi się w nim owo straszliwe uczucie przyjemności z samego zabijania, dlatego często przeciwnikom okazywał łaskę. Coś silniejszego bowiem już dawno opanowało Dagona. Dziwne, słodkie doznanie, powodujące wrażenie nieustannego nienasycenia - żądza władzy. Ono było silniejsze niż więzy krwi, niż miłość rodzicielska, niż najszczęśliwsze przyrzeczenia i poczucie wdzięczności.

Czy pod Fontenoy-en-Pulsaye nie starli się ze sobą trzech rodzeni bracia: Ludwik, Lotar i Karol tylko dlatego, że pożądali cesarskiej korony? Żądza władzy kazała walczyć i zabijać bez litości, nawet żonę, matkę, ojca lub syna, ale uczyła także chować miecz do pochwy i okazywać łaskawość. Pierwszym gestem władcy powinna być pokojowo uniesiona dłoń, gdy druga sięgała po nóż. Tak czynił cesarz Karol. A potem wnukowie rozdarli na części jego ogromną posiadłość, gdyż każdy był chciwy władzy. On, Dago, też zapragnął osiąść białego ogiera, potem rzucił złoty łańcuch. A dopiero później - zabił. Dlatego nie trapiła go śmierć tych Sasów. Człowiek, który chce być władcą musi się nauczyć zapominać o trupach na swej drodze. Władca powinien mieć setki oczu i setki uszu, nawet kamienne mury potrafią mówić o czyjejs zdradzie i czyjejs przyjaźni.

Ktoś doniósł Ludwikowi Teutońskiemu, że Dago umiłował jego krnąbrnego syna, Karlomana, i w największej tajemnicy zawarł z nim braterstwo. Powiedzieli sobie wtedy, że jeśli Karloman zostanie cesarzem, on, Dago, podporządkuje sobie ludy za rzeką Albis i będzie ich królem. Czyjeś usta przemówiły jednak do Ludwika. Dlatego hrabia Fredegar przez piękną mniszkę Rychildę zalecił podać mu truciznę do wypicia. Szkoda więc, że ów Sas umarł z rozprutym brzuchem. Zaniósłby Ludwikowi i Karlomanowi wieść, że Dago, żywy i zdrowy, wyruszył samotnie na Wschód, aby obudzić uśpione ludy i zostać ich władcą, podobnie jak przed laty uczynił to Mojmir. Czy nie do tego przygotowywał go Wielki Koniuszy, Bazyli? Czym były gorsze

ludy za rzeką Viadua od tych, co żyły bardziej na południu i dały się zjednoczyć w Wielką Morawę? Za Viadua aż po rzekę Visulę drzemało wielu olbrzymów. Któż inny mógł ich obudzić do życia i wprowadzić do historii, jeśli nie on, Dago, syn olbrzyma Bozy z rodu Spalów.

ROZDZIAŁ DRUGI - ZELY

Długo nie nosił żadnego imienia, aż wreszcie babka powiedziała, że minęło mu siedem lat i nadeszła pora, aby wszedł do świata mężczyzn i otrzymał imię. Być może nawet takie, jakie nosił Dziad, gospodarz całego rodu Zemlinów. Bardzo chciał, żeby mu podcięto jego niemal białe włosy tak długie jak u dziewcząt. Umiał przecież już tak wiele; łowił ryby na kościane haczyki, celnie strzelał z małego łuku i ćwiczył się w trafianiu kamieniem z procy. Babka zaczęła przygotowywać postrzyżynową ucztę, syciła miód, piekła placki z żyta i tuczyła kapłony.

I właśnie wówczas zdarzyło się coś, co odmieniło całe jego życie. Przed ich domem pokrytym strzechą z trzciny, na podwórku ograniczonym palisadą, tam gdzie grzebały w gnoju kury i kapłony, na oczach wielu mężczyzn z jego rodu - starszy od niego o pięć lat syn brata jego ojca chciał mu odebrać kościany haczyk do połowu ryb. Siedmioletnie dziecko chwyciło starszego o pięć lat chłopaka, podniosło go i rzuciło na ziemię jakby to była drewniana kłoda. Nikt, kto widział nie wydał z siebie okrzyku radości czy zdumienia, twarze mężczyzn i kobiet spochmurniały, a w oczach własnego ojca ujrzał nienawiść. Babka powiedziała, że postrzyżyn nie będzie.

Tego wieczoru słyszał, jak jego ojciec klóci się z dziadkiem. Ojciec chciał syna zabić, ale zdecydowała wola gospodarza. "Zimą sprzedamy go kupcom za żelazne radło - zdecydował Dziad. - A teraz niech pasie krowy na łące między Czarnym Borem a bagnem, gdzie utopił się Boza." I chłopiec aż zatrząsł się ze strachu, gdyż - choć w owym miejscu trawa była najbujniejsza - od dawna nikt tam nie pasał, ponieważ w Czarnym Borze zagnieżdżyła się wilczyca. A poza tym Czarny Bór też był strasznym miejscem. Mówiono, że od wieków żaden zwykły człowiek nie ośmielił się wejść w jego gęstwinę. Leżały tam poprzewracane ogromne drzewa, a te, które rosły miały pnie i konary skręcone niczym w wielkiej męce. W środku Czarnego Boru podobno rosło drzewo pałkowato zgięte ku dołowi, jak łuk napięty, oraz gruby dąb u ziemi rozszczepiony przez piorun. Jeśli ktoś z roku Zemlinów zachorował, jedynie Dziad prowadził go do Czarnego Boru i trzy razy przeprowadzał. pod konarami owego drzewa, przepychał przez rozdarty piorunem pień grubego dębu.

Nazajutrz z dużego stada krów oddzielono trzy najbardziej chude jałówki i kazano chłopcu pognać je na łąkę między Czarnym Borem a bagnem. "Do pierwszych przymrozków mają być tłuste, bo inaczej cię zabiję - oświadczył ojciec. - W domu nie wolno ci się pojawiać. O jedzenie też się musisz sam postarać, jak również o cieplejsze okrycie na nocne chłody. Dlatego daję ci nóż i krzesiwo oraz hubkę."

Nie pytał za co go spotkała aż tak surowa kara. Dziecko nie miało prawa mówić, jeśli nie zostało zapytane. Dziecko było jak rzecz, jak

gliniany garnek, który można rozbić jednym kopnięciem nogi. Może zresztą gliniany garnek był czymś cenniejszym w rodzinie Zemlinów. Dlatego bez słowa wziął swój łuk i kilka strzał z kościanymi grotami zatrutymi jadem z ciemierzycy. Tak jak spał i chodził, w przykrótkiej lnianej koszuli przepasanej sznurem z łyka, pognął jałówki daleko od domu, bo nie miał innego wyboru. Gdyby nie Dziad, ojciec by go zabił, należało zejść mu z oczu.

Pięknie wyglądała łąka o tej porze roku, choć zarazem było na niej strasznie. Trawa rosła aż po pas, pełna żółtego groszku łąkowego i liliowej wyki pnącej się po źdźbłach. Na pagórkach rzucały się w oczy purpurowe koszyczki chabrów, żółte koszyczki pępawy, białe baldachy biedrzeńców. Jałówki żarły trawę, ale w południe, gdy gzy zaczynały im dokuczać, uciekały w cień Czarnego Boru, a tam wejść nie miał prawa zwyczajny człowiek. Wywoływał je stamtąd mały chłopiec słabym cienkim głosem, błagał o powrót, gdyż w gęstwinie drzew mieszkała wilczyca i mogła pożreć którąś z jałówek. Zwierzęta wracały na łąkę dopiero pod wieczór, gnane pragnieniem. Wtedy należało uważać, aby nie utonęły w bagnie, które rozciągało się szeroko aż do płynącej leniwie rzeczki. Do wody było tylko jedno suche zejście, rosły tam łoży i tutaj chłopiec łowił ryby. Z uciętych łoż zbudował też szałas i w nim kulił się podczas chłodnych nocy. Zrobił także kilka oszczepów na swoją miarę, o tak ostro zakończonych końcach, że nawet futro wilka mogły przebić. W szałasie, w zagłębieniu wylepionym zeschniętym błotem trzymał ogień, a raczej

żar okryty popiołem. Na skraju Czarnego Boru zbierał suche gałązki i nimi rozpalał wieczorem małe ognisko, piekł ryby i zjadał je niemal półsurowe. Raz udało mu się ustrzelić z łuku młodego zająca, ale prawie połowę mięsa zaniósł na skraj Czarnego Boru, aby zapewnić sobie życzliwość bogów. Odtąd czuł się pewniej i nawet dwa razy ośmielił się zagłębić w bór po swoje jałówki. Boginiom zamieszkującym rzekę dawał codziennie oblatę - puszczał wolno pierwszą złowioną rybę. I przez te kilka dni na owej łące nie zastanawiał się ani nad sobą, ani nad karą jaka go spotkała. Myślał tylko, jak uchronić od złego trzy jałówki ojca. Ale gdy nie trapił go strach o siebie lub o zwierzęta, kładł się na trawie, śledził na niebie krążące myszołowy i słuchał jak krzyczą czajki. Nauczył się też robić sznury z łyka i na noc wiązał jałówkom przednie nogi, trzymając je w pobliżu szalasu. Było mu raźniej, gdy słyszał westchnienia krów, noc wtedy nie wydawała się taka groźna, mimo że w Czarnym Borze naszczekiwały kozły, a ich głos wydawał się nieść jakieś ostrzeżenie czy przestrożę. Nocą rzeka również stawała się bardziej hałaśliwa; wciąż coś w niej pluskało; to najpewniej kapały się władczyni rzeczne. Nie wychylał się wówczas z szalasu, bo nie chciał zobaczyć nagiej boginki, gdyż to mogło rzucić na niego urok.

Któregoś dnia przyszła na łąkę Miłka urodzona z siostry jego ojca i w koszyku z wikliny przyniosła duży kawał placka z żyta, darowany mu przez litościwą babkę. Miłka była tylko trzy lata starsza od chłopca, ale pod taką samą koszulą rysowały się wypukłe piersi, a kiedy

siedziała z rozchyłonymi udami, widział, że jej szparkę porastał jasny włos. Dlatego zapewne uważała się już za dorosłą i o wiele mądrzejszą od takiego jak on chłopca.

- Co ze mną będzie? - zapytał.

- Pokazałeś, że jesteś Spalem - oświadczyła. - Przez ciebie umarła twoja matka i odtąd kobieta twojego ojca rządzi w waszym domu.

Zresztą twój ojciec nie jest twoim ojcem. Twoim ojcem był Boza.

- Skąd o tym wiesz?

- Urodziłeś się taki duży, że twojej matce pękło krocze i umarła przez ciebie. Teraz wszyscy przypominają sobie, że na długo przed twoim urodzeniem ona wróciła z pola cała podrapana. Mówiła, że uciekła w ciernie przed żubrem. Ale tak naprawdę posiadał ją Boza i napelnił swoim nasieniem.

- Pod Bozą załamał się lód i utonął.

- To się stało już później. Ty pokazałeś swoją siłę, a to znaczy, że w tobie płynie krew Spalów. Takich jak ty albo się zabija w dzieciństwie, gdyż potem z powodu ich siły są ogromne kłopoty, albo sprzedaje się kupcom. Za takiego jak ty można otrzymać dużo cennych rzeczy. Zimą zostaniesz sprzedany.

Któż z nich od wczesnego dzieciństwa nie słyszał przerażających historii o Spalach? Byli to olbrzymi i zamieszkiwali duży ostrów w rozwidleniu bagnistej rzeki. Powoli wymierali - pozostał tylko Boza i jego siostra Zely. Boza nie miał olbrzymki, aby się z nią połączyć, więc włóczył się po bagnach i lasach, zaczął na kobiety zwykłych ludzi, a

potem one rodziły ogromne niemowlęta i umierały podczas porodu.

Zrodzeni zaś ze Spalów ludzie nie stawali się olbrzymami, po ojcach dziedziczyli jednak ogromną siłę. Boża utonął zimą na bagnach, gdyż załamał się pod nim słaby lód i pozostała jedynie jego siostra Zely, która też męża sobie znaleźć nie mogła. Ludzie cieszyli się, że Spalowie w końcu wymrą, ponieważ zwykli ludzie coraz liczniej zajmowali kraj olbrzymów.

- Jesteś z krwi Spalów - powtórzyła z przekonaniem Milka. - Bo czy siedmioletni chłopiec może podnieść dwunastoletniego chłopca i rzucić nim o ziemię jak kłodą drewna? Spójrz zresztą na siebie.

Zadarła mu koszulę i z zachłanną ciekawością popatrzyła na jego przyrodzenie.

- Masz tak dużego jak o wiele starszy chłopak. Chcesz mnie dotknąć tam, gdzie się dotyka dziewczęta? - zapytała.

Nie chciał. Babka ostrzegała go przed młodymi dziewczętami, w których budziła się kobiecość. Nieustannie kłamały, coś wymyślały i podobno nawet mogły rzucić zły urok. Dlatego, kiedy w niektórych rodach panował głód, najpierw zabijano dziewczęta. .

- Jeśli nie zostaniesz sprzedany albo jeszcze kiedyś cię spotkam - powiedziała - będę miała od ciebie dziecko. Duże i silne, choć nie tak duże, żebym rodząc umarła. Chcę, żeby krążyła w nim krew olbrzymów. Zgadzasz się?

- Tak.

- To przysięgnij.

- Nie wiem jak to się robi.

- Złóż przysięgę na tego, który rzuca gromy.

Chłopiec bał się burzy, lękał gromów i przecinających niebo

błyskawic. Widział kiedyś jak piorun roztrzaskał wielkie drzewo w

lesie, jak zapalił stóg siana na łące. Okoliczne rody, a także

Zemlinowie wierzyli, że najpotężniejszym bogiem jest Swaróg - Pan

ognia. Dziad modlił się również do Swarogowego syna zwanego

Dadźbogiem - Pana słońca. Gdy Swaróg się gniewał, to znaczy

"swarzył", niebo pokrywały ciemne chmury i waliły pioruny. W

uroczyste dni i gdy ktoś był chory, Dziad wyciągał z ukrycia podłużny

gładki kamień, skamieniały piorun, który nazywano swarogowym

prątkiem. Miał on właściwości leczenia bólu głowy i innych chorób.

Swarogowego prętka kładziono także w pochwę bezpłodnej kobiety,

aby nie spalała w sobie męskiego nasienia i mogła począć dziecko.

- A może chcesz spróbować już teraz? - zapytała cicho, gdy przysięgał

na tego, co rzuca gromy i znowu podniosła mu koszulę delikatnie

dotykając członka. - Dziad nauczył mnie przyjemnej zabawy. On od

dawna zaprasza mnie do swojego łóżka.

Chłopiec poczuł wstręt na myśl o starym. Jego też zapraszał do

swojego łóżka i obmacywał mu pośladki, sapiąc i śliniąc się. W takich

razach ogarniało chłopca obrzydzenie. Ale Miłka chyba chętnie

właziła do łóżka starego Dziada. U Zemlinów zresztą było przyjęte, że

ojcowie zabawiali się z własnymi córkami, bracia z siostrami, dlatego,

jak pomstowała głośno babka, rodziły im się niekiedy dzieci cherlawe,

ślepe, karłowate. To pewnie z tego powodu tak przerazili się jego siły i krwi Spalów, która w nim płynęła. Gdyby mu pozwolili dorosnąć, mógłby rządzić rodem nie wedle wieku i starszeństwa, ale wedle swojej siły.

- Pamiętaj, że złożyłeś przysięgę - powiedziała Miłka odchodząc, gdyż nie wyraził ochoty, aby się z nią zabawiać.

Odtąd wiedział już o sobie wszystko. I natychmiast zaczął wypróbowywać drzemiacą w nim siłę. Najpierw z największą łatwością połamał jak patyczki zrobione przez siebie oszczepy. Musiał sporządzić sulicę z grubego i twardego drzewa, jak dla dorosłego mężczyzny. Potem przekonał się, że potrafi nawet duży kamień rzucić na bardzo daleką odległość. Jeszcze później zdarzyło się znowu coś zadziwiającego: oto z Czarnego Boru wybiegł młody koziołek, a za nim wyskoczyła wilczyca. Natknęła się na chłopca, który był wtedy akurat bez sulicy i nawet bez noża. Chłopiec nie uląkł się wilczycy i zaczął ku niej wołać:

- Jestem synem Boży. Mam w sobie krew Spalów. Przed Spalami zawsze umykały wszystkie wilki!

Chwycił kamień i rzucił nim w wilczycę. Obnażyła kły i wolno wycofała się w gęstwinę drzew. Chłopiec pojął, że pochodzi naprawdę z rodu Spalów i odtąd już nie bywał głodny. Skoro pochodził z rodu Spalów, nie musiał się bać bogów w Czarnym Borze i tam zaczął polować. Spalowie - jak opowiadano - lekceważyli bogów leśnych. Szanowali jedynie bogów ukrytych w ogromnych głazach. kamień lub

głaz, którego nie potrafili ruszyć z miejsca budził w nich szacunek i uznawali w nim istnienie bóstwa.

Mimo że czuł się Spalem, strasznym przeżyciem było dla niego pierwsze wejście: do Czarnego Boru, a potem robienie tam rzeczy surowo zakazanej ludziom: polowania. Czarny Bór był mroczny i już po kilku krokach doznawało się uczucia, że zewsząd czyha w nim na człowieka jakieś nieznane i nieokreślone niebezpieczeństwo.

Przerażały dęby, graby, sosny i świerki splątane ze sobą i dziwnie poskręcane. Co krok leżały zmurszałe pnie przewróconych drzew; wystarczyło stąpnąć na któryś z nich, a natychmiast rozsypywał się i aż po pas, . a niekiedy i po szyję, chłopiec zagłębiał się w próchno. Tu i ówdzie zagradzała drogę gęstwina leszczyn i jarzębin, tu i ówdzie otwierały się nieco prześwietlone słońcem polany porośnięte wysokimi paprociami, zasiedlonymi przez żywiące się krwią kleszcze. Zobaczył chłopiec święty dąb rozerwany przez uderzenie pioruna, ujrzał drzewo z obnażonymi korzeniami, które leżało na ziemi podobne do ogromnego pająka. Przedziwne kształty miały stare graby o koronach splecionych jak palce ludzkich dłoni. Czasami Czarny Bór rozbrzmiewał setkami ptasich głosów, czasami raptownie zapadała w nim wielka i przygniatająca cisza. Dzikie zwierzęta - sarny i jelenie, a nawet lisy nie uciekały na widok człowieka, gdyż człowiek od wieków nie wchodził do Czarnego Boru. Zobaczywszy chłopca patrzyły na niego ciekawie i wolno oddalały się w gęstwinę. Niekiedy z wielkim tupotem przedzierało się przez Czarny Bór stado żubrów, a kiedyś

chłopiec usłyszał wstrząsający ryk - to chyba wołał tur. W głębokich wykrotach powstałych po wyrwanych przez wichury drzewach gnieździły się setki królików, na nie to głównie zaczął polować i nimi się żywił, aż stał się jeszcze silniejszy, nigdy bowiem już nie cierpiał głodu. Czarny Bór darzył go wszelkim dostatkiem; króliczym mięsem, czarnymi jagodami, malinami, a potem orzechami. Bogowie Czarnego Boru uznali w nim Spala i okazywali łaskawość- Zawsze zresztą dzielił się z nimi wszystkim, co uzyskał - każdą cząstką jedzenia. Czarny Bór pozwolił mu przetrwać aż. do pierwszych przymrozków.

Milka już więcej nie przyszła do niego na łąkę i do szałas. Jesienią, gdy utuczone jałówki przygnał do domu, dowiedział się, że darowano ją wojownikowi władcy Lendiców, który rządził za rzeką i bagnami.

Ów wojownik -jak mu powiedziano - przybył od władcy Goluba Popiołowłosego i zażądał od Zemlinów, aby ich ród oddał się pod jego panowanie. A to znaczyło co jakiś czas wysyłanie trzech młodych mężczyzn do wojennej drużyny księcia albo do pracy przy budowie grodu dla władcy. Dziad nie chciał się na to zgodzić, powiedział, że urodził się wolnym i dlatego innego gospodarza poza sobą nigdy nie uzna. Wojownik zaproponował mu okup; teraz młodą kobietę, jesienią zaś pięć worków owsa i tyle skór bydlęcych, ile koń uniesie. Zabrał Milkę, a zimą po -namarzniętych bagnach przyjechało na koniach aż pięciu wojowników z trzema luźnymi końmi. Zemlinowie koni nigdy nie hodowali, tylko krowy i woły potrzebne do orki. Z podziwem i lękiem przyglądał się Biały - bo tak go teraz nazwano - owym

mężczyznom. Byli wyżsi i silniejsi od Zemlinów. Nosili żelazne szlomy na głowie, tarcze i miecze u pasa, Zemlinowie posługiwali się tylko nasiekańcami. Załadowali na luźne konie worki z owsem, dwa worki prosa i tyle skór bydlęcych, ile koń zdołał unieść. O Miłce nic nie powiedzieli, zresztą ta sprawa nikogo nie interesowała. Dziad był szczęśliwy, gdyż pozostał wolny i on, i jego ród. Ale chłopiec pomyślał, iż postąpił głupio, bo przecież słyszał kiedyś, że aż dwa razy napadali na nich zimą od północy uzbrojeni we włócznie Estowie. Ród Zemlinów musiał się przed nimi samotnie bronić przy pomocy swoich nasiekańców, dlatego wielu zginęło. Estowie mieli tylko łuki i włócznie, władca Golub Popiołowłosy mógł dać Zemlinom żelazne miecze i tych pięciu wojowników dla ochrony przed Estami. Albo nawet wspólnie z Zemlinami uczynić wyprawę na północ, na Estów, pomścić ich zdradzieckie napady, przyprowadzić ich bydło. Czy wolność, o której wspominał Dziad warta była ciągłego strachu przed Estami?

Tej zimy kupcy nie przybyli i chłopiec nie został sprzedany. Nauczył się ostrożności, unikał spotkania z ojcem, nie okazywał nikomu swojej mocy, oszukiwał, udając, że nawet wiadro z wodą jest ponad jego siły. Łudził się, że może wiosną zrobią mu postrzyżyny, przestaną wierzyć w płynącą w jego żyłach krew Spalów. Niestety, nikt mu nie uwierzył i zimą, zamiast w domu koło ognia, kazano mu sypiać w szopie z krowami. Nie dawało się bowiem ukryć, że jest wyższy niż inni chłopcy w jego wieku i ma bielsze od innych włosy. Spalowie zaś byli

bardzo jaśni.

Wielkie zaspę śniegu otoczyły palisadę i zamknęły w niej trzy duże domy mieszkalne i dwie długie szopy na bydło. Zamarzły bagna i rzeki. Zima była długa i ciężka. W lnianej koszuli można jakoś przeżyć w mrocznej komorze domu, gdzie okna zakryto skórami, a na polepie, ogrodzony kamieniami, dzień i noc płonął ogień. Dym snuł się wolno po całym wnętrzu, szukając otworu w szczycie. Na wysokości głowy dorosłego mężczyzny stawał się tak gęsty, że gryzł w oczy i łzy wyciskał. Ale bliżej ognia i niżej łatwiej dawało się oddychać, zaś przy ognisku - było ciepło. A jeszcze cieplej na drewnianych narach pod skórami owiec. Kobiety przędły len albo owczą wełnę, stukając krosno oświetlone specjalną żagwią umieszczoną w uchwycie daleko od drewnianej ściany. Na ognisku przez cały dzień stały gliniane garnki, a w nich gotowano strawę, przeważnie kaszę z prosa, do której dodawano kawałki wędzonej albo suszonej świniny. Raz na tydzień pieczono placki z żyta umielonego przez żarna. Tylko że w domu nie było miejsca dla syna Spala, dla obcego. Tak zarządził gospodarz rodu, Dziad, który już ledwo chodził, ale przecież do niedawna jeszcze z dziesięcioletnią Miłką jakoś się po swojemu zabawiał.

Chłopak zaszył się w ogromną kopę siana zgromadzonego pod dachem, na drewnianych drągach nad krowami. Nie było mu zimno, często jednak odczuwał głód, ponieważ bywały dni, że o nim zapomiano i nikt nie przynosił mu żadnej stawy. A przecież w koszuli i boso nie mógł pójść nawet na połów ryb w przerębli, skoro

wszędzie śnieg pokrywał ziemię, mróz już po chwili czynił bose stopy jak z drewna. Całe dnie i noce słuchał więc jak memlą pokarm pyski krów i z pluskiem spadają na gnój ich odchody. Od ciał zwierzęcych i odchodów ciepło szło ku górze i mógł jakoś przetrwać skulony w sianie. Gdy bywał głodny, nasłuchiwał każdego dźwięku, to od domu, czy nie niosą mu jedzenia, to od rzeki, czy nie jadą kupcy. Chciał, aby się zjawili i go zabrali. Może dostałby od nich jedzenie i cieplejsze ubranie? Może i buty z plecionego łyka albo uszyte ze skóry. Wiedział, że bez żalu opuści tę wioskę między bagnami, bo czuł się tu obcy. Dziad nie był jego dziadem, ojciec ojcem, nie miał prawdziwych sióstr i braci.

Któregoś dnia zaczął pleść z żytniej słomy długi warkocz. Najpierw owiązał sobie nim stopy i nogi. I było mu cieplej. Potem upłócił jeszcze jeden warkocz, owinął nim plecy i piersi, i robiło mu się jeszcze cieplej. Ale nieustannego głodu tym nie zaspokoił.

Nie pokazywał się na oczy, więc ludzie z rodu Zemlinów jakby zapomnieli o jego obecności. Niemal każdego dnia jakaś para włąziła na siano i parzyła się z sobą. Ich stękania, sapania, pojękiwania i dziwaczne ruchy, które wykonywali, nie budziły w chłopcu ani ciekawości, ani wstrętu czy obrzydzenia. Od małości widywał jak byk pokrywa jałowicę, a knur maciorę; podobnie mężczyzna musiał napętnić nasieniem kobietę, aby urodziły się dzieci. Wszystkie istoty żywe musiały się łączyć w celu rozmnożenia, była to więc czynność oczywista i naturalna. Niejednokrotnie, w izbie słabo rozświetlonej

blaskiem księżycy przenikającego przez rybie pęcherze w oknach, obserwował, jak jego ojciec wpycha nabrzmiały członek w wypięty, obnażony zad macochy. Nie zastanawiał się chłopiec czy to sprawia im przyjemność, czy też robią to z konieczności posiadania potomstwa. Dopiero tutaj, w sianie nad oborą, owej surowej zimy, gdy został wypędzony z domu, po raz pierwszy odniósł wrażenie, że ta dotąd tak zdawałoby się naturalna czynność kryje w sobie jakąś tajemnicę. Mężczyźni i kobiety, którzy włązili na siano, czynili to skrycie; twarze kobiet były rozpalone mimo mrozu na zewnątrz i chłodu w oborze, a mężczyźni aż dygotali i dzwoniли zębami od przenikającego ich dziwnego uczucia. Niektórzy wyglądali jak półprzytomni i oczadziali albo pijani. Dłonie mężczyzn wślizgiwały się pod suknie kobiet, zadzierały je do góry, a one od owych dotknięć aż pojękiwały rozkosznie rozchylając uda lub powoli poruszając tyłkami. Niejednej po udach ciekł śluz i wtedy zamiast woni siana czuł nieprzyjemny mdlący i przenikliwy zapach. Kładły się na sianie, a mężczyźni wyciągali ze spodni twarde prącie z czerwoną główką, kładli się na kobiety i wpychali członek w ich pokryte futrem krocza. Kobiety stękały z rozkoszy, mężczyźni coraz szybciej wyjmowali i wpychali członek w krocze; ich sapanie stawało się coraz głośniejsze aż wreszcie niemal z jękiem opadali na obnażone ciała kobiet i na jakiś czas nieruchomieli. Potem chłopiec wyczuwał nozdrzami zapach ich nasienia podobny do woni zerwanego świeżo młodego sitowia. Pewnego razu, gdy od dwóch dni nic nie jadł, na strych zakradła się

jego macocha i jej rodzony brat: Chichocąc wdrapała się na siano, zadarła spódnicę i wciąż chichocąc rozłożyła swoje białe uda. Jej brat zaraz ją pokrył, a jego goły zad bardzo długo poruszał się rytmicznie. Potem on zszedł na dół, podciągając portki, a ona mimo zimna zasnęła na sianie z rozłożonymi szeroko białymi udami. Za cudzołóstwo kobietę karano u Zemlinów śmiercią. Za parzenie się z własnym bratem - tym bardziej powinna była umrzeć. Ale gdzie kobiety Zemlinów mogły smakować obcych mężczyzn, jeśli od innych wiosek odgradzały ich bagna i rzeki? Czy nie mówiła Miłka, że nawet stary Dziad z własną wnuczką się zabawiał? A babka twierdziła, że z takich związków rodzą się słabowite karty. Może to więc nie on był aż tak silny i duży, ale oni słabi i cherlawi?

Wziął do ręki nóż i usiadł między rozrzuconymi udami żony ojca. Mdlilo go od zapachu jej pochwy, cierpliwie jednak czekał aż się obudzi. A gdy otworzyła oczy i spojrzała na niego, pojęła, że ten mały chłopiec o niepospolitej sile gotów jest ją zabić za cudzołóstwo.

- Dam ci swoją wełnianą chustę - wyszeptała przerażona.

Z innym chłopcem w jego wieku poradziłaby sobie mimo noża, który miał w ręku. Ale o nieludzkiej sile tego chłopaka słyszała przez całe lato i całą jesień. - Dasz mi chustę i przyniesiesz gorącej stawy - zażądał.

- Nie powiesz nic swojemu ojcu? - upewniała się.

- Moim ojcem był olbrzym Boza - odparł dumnie.

Zaszył się w swojej norze w sianie, owinął głowę i ramiona ciepłym

szalem. Nazajutrz rano przyniosła do szopy parującą glinianą miseczkę z ugotowanym prosem. W milczeniu wstawiła ją do koryta i uciekła z szopy. Chłopiec zaraz zaczął złazić na dół, ale nim tego dokonał, czerwony byk swoim grubym ozorem już wylizał z miski całą kaszę. Chłopiec wdrapał się na górę i zapłakał z głodu i żalu, z poczucia obcości i niesprawiedliwości losu. Płakał długo, bo w płaczu nie znajdował żadnej ulgi. Przestał płakać, gdyż zaciekawiło go głośne stękanie byka. Zwierzę jęczało jak umierający człowiek, potem padło na kolana i wieczorem skonało. Ta kasza była zatruta jadem do smarowania beltów strzał. I tego wieczoru mały syn olbrzymia Boży pojął, że kobiety noszą w swoim sercu zdradę, nie wolno od nich przyjmować darów, nawet wody, zanim jej same nie pokosztują. W wiele lat później ta wiedza uratowała mu życie, wtedy to zabił hrabiego Fredegara i uszedł na Wschód.

Nadeszła mroźna noc. Chłopiec wiedział, że nikt nie uwierzy jego słowom o tym, że to żona ojca otruła ich byka. Dziad każe chłopca zabić dla prześlągania bogów, którzy strzegli stada. Wydobył więc z nory w sianie wszystkie swoje skarby: żelazne krzesiwo, krzemień, łuk i strzały, sulicę ciężką jak dla dorosłego mężczyzny. Owinął głowę i ramiona wełnianą chustą macochy i w swych butach ze słomianych warkoczy wyszedł z szopy na mróz.

Nikt nie pilnował bramy w ostrokole ogradzającym wioskę. Odemknął ją i po skrzypiącym pod nogami śniegu ruszył w stronę Czarnego Boru. Szedł i szedł, gnany głodem i obawą przed Zemlinami.

*Postanowił, że jeśli w Czarnym Borze przeżyje zimę, wiosną odnajdzie
dwór Spalów i olbrzymce Zely powie: jestem synem Boży. Tylko czy
mu uwierzy? Zresztą nic nie wiedział o obyczajach Spalów. O
olbrzymce Zely opowiadano, że po wioskach porywała młodych
chłopców i pożerała ich żywcem, najpierw odgryzając im członek.
Śnieg był głęboki. Nad głową miał rozgwieżdżone niebo, ale nieco
odmienne od widywanego do tej pory. Tej nocy dziwnie jasno świeciła
gwiazda, którą nazywano Zwierzęcą, gdyż nocami dawała blask
zwierzętom leśnym: "To dla mnie zabłysła tak bardzo mocno, abym
nie zgubił drogi do Czarnego Boru- pomyślał. I od tej chwili pokochał
tę gwiazdę, uznał ją za swoją własność i zawsze jej szukał na nocnym
niebie.*

*Z trudem dotarł wreszcie do skraju lasu i wszedł w głąb, kierując się
do ogromnego drzewa, które na podobieństwo wielkiego pająka
grubymi korzeniami trzymało swój pień nieco ponad ziemią. Pod jego
korzeniami, w głębokiej jamie siedziała latem wilczyca z małymi. Czy
mieszkała tam jeszcze, skoro już wychowała małe? Zimą wilki zbierały
się w stada i goniły po polach i lasach. wilczyca zapewne przyłączyła
się do nich.*

*Norę zasypał śnieg i nigdzie nie dostrzegł śladów wilczych łap i śladu
ich uctowania. Wygarnął śnieg z nory, wlaż tam i poczuł się
bezpieczny. O brzasku usłyszał w pobliżu krakanie wron. Napiął
ciężką łuk i za pierwszym strzałem ubił czarnego ptaka.*

Spróbował rozpalić ogień, ale iskra krzemienia nie potrafiła rozżarzyć

wysuszonego grzyba, huby. Rozplątał trochę warkocza, którym osłaniał piersi, rozkruszył słomę i dopiero koło południa udało mu się wzbudzić płomień. Wtedy nazbierał suchych patyków i pod grubymi konarami rozpalił ognisko. Pożarł na wpół zwęgloną wronę, choć jej mięso było wstrętne, suche i gorzkie. Poczul sytość i senność, ale nie poddał się słabości. Najpierw naciął gałęzi do ognia, potem kolczastej tarniny. Zasłonił nią wejście do wilczej nory i to spał, to czuwał pilnując ogniska.

Tego dnia i w dni następne, kiedy zdołał nawet upolować sarnę i tak naprawdę nigdy już nie był głodny, pojął, że ogień jest święty, daje ciepło i daje strawę, a tym samym życie. Co rano, rozdmuchując żar ukryty w popiele, kłaniał się pierwszemu płomykowi, który zaczynał pożerać suchy badył. Kochał swego obrońcę i żywiciela - Swaroga. A gdy którejs nocy podeszło pod jego drzewo stado wilków i usłyszał ich charkot i wycie, wziął do ręki płonącą gałąź i wyszedł z nią na śnieg. Zamachnął się płomieniem i wilki uciekły, a on śmiał się głośno gdyż znowu czuł się Spalem, którego broni bóg Swaróg.

W kilka dni później śnieg zaczął topnieć, słońce pokazywało się coraz częściej i mocno grzało. Chłopiec zauważył, że od ciągłej sytości jego ramiona i uda zgrubiały od tłuszczu. Dokuczały mu tylko wszy i pchły, które w norze pozostały po wilczycy, a może też mieszkały w wełnianej chuście macochy. Chłopiec czochrał się bez przerwy, od drapania miał rany, które zaczynały ropieć. Dlatego pewnego ciepłego dnia rozebrał się do naga i całą odzież zaniósł do rzeki,

nakrył ją kamieniem, aby utopić robactwo. Biegiem wrócił do swojej nory, bo choć już nadeszła wiosna, nocami jeszcze powracały mrozy. Rozpalił duży ogień i nagi grzał się przy nim, szczęśliwy, że nic go nie gryzie. W słoneczne południe wyskoczył nago po chrust. Przyniósł kilka gałęzi, połamał je i grzejąc plecy w blasku słońca kawałki drewna wrzucał w ogień przy wejściu do swojej nory.

I wtedy jak gdyby ogromna chmura zasłoniła słońce. Obejrzał się przekonany, że nadchodzi pierwsza wiosenna burza. Lecz zamiast chmury ujrzał postać olbrzymiej kobiety w krótkiej spódnicy i o gołych długich nogach obutych w sandały. Była tak wielka, że jej głowa porośnięta jasnymi włosami zdawała się sięgać korony drzew w lesie. I była tak piękna, że krtań chłopca ścisnęła nieznana dotąd tęsknota oraz poczuł w sobie cudowne ciepło, które potem nauczył się nazywać miłością.

- Jestem Zely - powiedziała, a głos jej zabrzmiał tak potężnie, że aż zerwały się ptaki z pobliskich drzew.

- Nie mam imienia. Jestem synem Boży - odrzekł śmiało chłopiec, nie bał się bowiem tej ogromnej kobiety.

Pochyliła się ku niemu patrząc ciekawie. Nagle chwyciła go w swoje potężne dłonie, ale tak delikatnie, jak chwyta się rannego ptaka.

Podniosła go wysoko aż do swoich oczu, przyjrzała się jego długim włosom, rysom twarzy. Później jeszcze wyżej go uniosła i obejrzała jego przyrodzenie, do którego na chwilę przyłgnęła swoimi wargami.

Chciał krzyknąć z przerażenia, bo przecież znał opowieści o olbrzymce

Zely, że żywi się małymi chłopcami. Lecz ona go tylko pocałowała w członek i postawiła na ziemi.

- To pewne, że jesteś synem mojego brata, Bozy - stwierdziła. - Masz bardzo jasne włosy, jego oczy i jego rysy twarzy. I to na dole też masz większe niż inni chłopcy twojego wzrostu. Dlaczego jednak jesteś nagi, brudny i podrapany? Co robisz w Czarnym Borze?

Nawet gdy usiadła obok niego na ziemi, jej twarz górowała nad nim bardzo wysoko. Dopiero teraz zauważył, że miała z sobą maczugę trzy razy większą od niego. Drewno maczugi zawierało krzemienie i ostre kawałki żelaza. Chyba bardzo długo robiono tę broń, najpierw wybrano odpowiednio młodego buka, nabito w niego ostre krzemienie i kawałki żelaza, a następnie co najmniej dziesięć lat czekano aż mięsz drzewa obrośnie obce ciała i wtedy drzewo ścięto, obrobiono go tak, by dobrze tkwiło w dłoni. Maczugi Zemlinów były bardzo małe w porównaniu z maczugą Zely.

Ile masz lat? - zapytała.

- Teraz minęła moja ósma zima. - To dlaczego nie masz imienia?

Opowiedział, co go spotkało, kiedy pokazał swoją siłę. A także o tym, że nie pozwolono mu mieszkać w domu z innymi, lecz żył w sianie. I o tym jak go chciała otruć macocha, a on uciekł zimą, gdyż bał się, że go zabiją z powodu śmierci byka.

- Boza zginął sześć lat temu, ty zaś masz osiem. Wiele zwykłych kobiet zapłodnił w tej okolicy mój brat i dość często jego dzieci zabieram na swój dwór. Ciebie też wezmę do siebie, a gdy urośniesz, pójdziesz w

świat, aby poszukać dla mnie jakiegoś olbrzyma na męża. Wiem, że nie znajdziesz - westchnęła, owiewając mu twarz gorącym oddechem, który pachniał syconym miodem. - Obecnie na świecie trudno o olbrzyma. Rodzą się same karty.

- Skąd wiedziałaś, że tu jestem? - odważył się zapytać.

- Spalowie są myśliwymi i rybakami. Zima to dobra pora do polowań, bo z futra nie wyłażą potem włosy. Zimą i wczesną wiosną przemierzam te okolice. Zauważyłam, że nad Czarnym Borem unosi się smuga dymu. Zdumiało mnie to. Nikt poza Spalami nie ośmiela się tu wchodzić z lęku przed leśnymi bogami.

- To dobrze, że przyszłaś. To dobrze, że mnie weźmiesz do siebie - wyszeptał i sam nie wiedząc dlaczego, nagle bardzo mocno przytulił się do olbrzymki.

Miała na sobie kaftan ze skóry łosia. Rozpięła go, pod nim nosiła lnianą koszulę, i też ją rozpięła, obnażając bardzo białe ciało i piersi tak ogromne, jak bochny żytniego chleba. Chłopcu wydało się, że płoną żarem, ogarnął go zapach jej skóry, jak mu się zdawało, przesyconej wonią dzikich zwierząt. Wcisnął się między te ogromne piersi i aż zalkał ze szczęścia, bo od dawna do nikogo się nie tulił ani nikt go nie ogrzewał własnym ciałem.

- No, cicho, cicho - szeptała Zely. - Nie płacz, synu Boży. Czuję, że jesteś spragniony miłości.

Zdjęła z siebie krótką pelerynkę uszytą z wielu skór lisich, owinęła nią nagiego chłopca, posadziła go sobie na lewym ramieniu, prawą ręką

chwyciła maczugę i pomaszzerowała do wioski Zemlinów.

- Nie mogę cię zabrać bez zgody twojego rodu, synu Boży - tłumaczyła.

- Jeszcze może spotkasz się z Zemlinami. Nie wolno im będzie traktować cię jako swoją własność, próbować zabić lub sprzedać.

Muszą wiedzieć, że stałeś się Spalem.

Ze strachu przed Dziadem chłopiec wlaźł niemal na kark Zely i schował się pod strzechą jej rozwianych na wietrze jasnych włosów.

Miał wrażenie, że ukrył się w sitowiu, gdyż tak pachniały.

Jednym kopnięciem rozwalila bramę w palisadzie ogradzającej wioskę i znalazła się na podwórku. Cały ród ukrył się po domach i szopach. Tylko stary Dziad ośmielił się wyjść na przyzbę. Zely go знаła, a i on chyba niejednokrotnie zetknął się z olbrzymką.

Zdjęła z ramienia chłopca, odwinęła go z lisiej peleryny.

- Czy to jest syn Boży, którego wyrzekł się twój ród? - zapytała.

- Jego matka zmarła, ponieważ pękło jej krocze. Przed postrzyżynami pokazał swoją ogromną siłę. Ma jaśniejszą skórę i bielsze włosy niż inni z mojego rodu.

- Dlaczego nie przyprowadziłeś go do mnie jak nakazuje prawo? - rzekła surowo. - Chciałeś go sprzedać.

- Nigdy nie płacisz za przyprowadzone ci dziecko - burknął Dziad. - A przecież poniosłem stratę z powodu śmierci jego matki.

Zely powiedziała:

- Zająłeś kawał ziemi należącej kiedyś do Spalów i nie spotkało cię nic złego. Nie masz zdeptanych pól przez nasze wielkie stopy, szanujemy

wasze Święte Gaje.

- Jesteś ostatnią z rodu Spalów. Gdy umrzesz, ten kraj będzie należał do Zemlinów - odrzekł hardo Dziad.

- Do Zemlinów? - zaśmiała się Zely. - Wasze kobiety rodzą karłów, a ja sama wystarczę, aby was przegnać z Krainy Spalów. Gdy nas zabraknie, nie stanie też Zemlinów. To nasza krew jeszcze ożywia waszą karłowatą rasę. Skąd wiesz, czy nie powrócą inni Spalowie, którzy poszli aż pod Wielkie Mury, aby wojować i brać łupy od Rhomajów? - Masz trzydzieści pięć lat. I nie znalazłaś męża. Tylko Boza powrócił spod Wielkich Murów, ale i on zginął.

- Chcesz ze mną wojny czy pragniesz pokoju? - rzuciła mu wyzwanie . -

Weź chłopca i odejdz w pokoju powiedział Dziad i coś jakby złe przeczucie podyktowało mu następujące słowa: - A kiedy chłopiec dorośnie, niech przyjdzie do nas i zapłodni którąś z naszych kobiet. Bo mówisz prawdę, że stajemy się rasą karłów. Przed laty ożywiła nasz ród krew spalowych bękartów. Potem jednak zlekliśmy się ich siły.

Weź go i odejdz u' pokoju.

To mówiąc Dziad pokłonił się nisko Zely, która posadziła sobie chłopca na ramieniu.

I tak oto znalazł się na dworze Spalów, gdzie władczynią była olbrzymka. Najpierw pokazała mu okrągły kamień, leżący na środku podwórca.

Jest duży i ciężki. Ja go bez trudu podnoszę. Ty będziesz codziennie próbował go przetoczyć pod bramę, a potem pud mój dom. Gdy tego

dokonasz, otrzymasz ode mnie miecz i tarczę. Staniesz się wojownikiem.

Wykąpała go i umyła w wielkiej drewnianej kadzi z ciepłą wodą, do której nasypała mnóstwo pachnących ziół. Po kąpieli zaniosiła chłopca do swojego domu i położyła na ogromnym łożu pokrytym skórami niedźwiedzi i owiec. Tej nocy dowiedział się, dlaczego mówiono, że pożera małych chłopców i najlepszym kąskiem jest dla niej chłopięcy członek. Zdejmując z siebie odzież i rozbierając się do naga, wyznała mu:

Uprawiam miłość tylko z małymi chłopcami. Nie ma bowiem dla mnie olbrzyma. Zwykły ludzki mężczyzna nie może mi dać zadowolenia.

Owszem, był taki jeden, który próbował mi dać rozkosz. Ale kiedy to uczynił, tak bardzo się: zapomniałam, że w uścisku miłosnym zgmiotłam mu klatkę piersiową i umarł na moim łonie, plując krwią z ust. Wiem, że mogłabym go pokochać, lecz zabiłam go swoją miłością. Dlatego odtąd tylko mali chłopcy sprawiają mi przyjemność.

Położyła syna Boży obok swojej twarzy i długo ssła jego przyrodzenie. Wargi Zely były wilgotne i ciepłe, to sanie sprawiało synowi Boży lekką przyjemność. Dlatego zasnął szybko i szczęśliwie, z poczuciem bezpieczeństwa i wielkiej miłości do tej ogromnej kobiety. i chociaż potem miał wiele kobiet. to przecież tylko Zely kochał tak naprawdę i przez całe życie myślał o niej z największą czułością.

ROZDZIAŁ TRZECI - HERIM

O zmroku woda przyniosła do uszu Dagona szczekanie psów i ludzkie

odgłosy z południa, a nawet wydało mu się, że nad samym brzegiem głównego nurtu rzeki dostrzega blask ognia. Tak więc, jak się tego spodziewał, w pobliżu musiała być przeprawa przez Viaduję, a obok niej jakiś gród albo wioska obronna. Spętał mocniej swoje trzy konie, juki ukrył w krzakach koło polany i wyruszył pieszo, aby dokonać rozpoznania okolicy. Nie uszedł daleko, gdy w świetle księżyca ujrzał niewysokie obwałowania obronne i kilka domów skupionych w pobliżu grodziska. Wyglądały nędznie i przeznaczone były najwyżej dla stu ludzi. Koronę wału rozmyły deszcze, co świadczyło, że tutejsi mieszkańcy od dawna nie prowadzili żadnych walk. Żyli chyba z myta, które pobierali przeprawiając kupców i wędrowców na drugą stronę rzeki, o czym świadczyły wyciągnięte na brzeg duże łodzie dłubanki i tratwy z bali przywiązane do wierzb nad rzeką. Gdyby okazali wojowniczość, kupcy poszukaliby innej drogi i tutejsi ludzie straciliby dochody. Dago sądził, że jutro rano bezpiecznie zbliży się do osiedla i zaproponuje, aby go przewieziono tratwą na drugi brzeg rzeki. Albowiem hrabia Dago znał dobrze obyczaje ludów nad rzeką Albis nie tylko dlatego, że on sam także pochodził ze Wschodu, zza rzeki Viaduy, lecz wiele także o nich czytał i z licznymi szpiegami wysyłanymi w tamte strony rozmawiał na dworze Ludwika Teutońskiego. Potężnym był wtedy znowu król Ludwik, choć po nieudanej wyprawie na Zachód przeciw Karolowi Łyseму szacunek dla niego wśród wojowników trochę podupadł. Odzyskał jednak władzę nad Marchią Wschodnią i ziemiami aż po rzekę Inne, którą mu

wydarł (buntowany przeciw ojcu pierworodny syn, margrabia

Karloman sprzymierzony z księciem Wielkiej Morawy, Rostislavem.

Jak w więzieniu zamknął król Karlomana w zamku w Ratzbonie. Za przyjaciela i powiernika miał tylko młodego hrabiego Dagona, co to przybył do Franków w orszaku poselskim od Cesarza Rhomajów.

Dagonowi się zwierzał z płonącego w nim jak żar pragnienia zemsty

na ojcu i odzyskania władzy, a nawet otrzymania po nim korony

królewskiej, zaś później cesarskiej. Dago szeptał o tym posłowi

Rhomajów, Meleinosowi, ten zaś na lewo i prawo w tajny sposób

sypał złotymi solidami baronom i hrabiom teutońskim, aby

stronników dla Karlomana zdobyć i nowy bunt mu umożliwić. Tak

jednak się stało, że Ludwik Teutoński okazał się zręczniejszy w

intrygach, Bułgarów sobie zjednał i wspólnie z nimi uderzył na Wielką

Morawę, Rostislava pokonał i upokorzył, biorąc jego władztwo pod

swoje panowanie. Znikąd więc Karloman nie mógł oczekiwać

poparcia dla buntu, ale jego zarzewie wciąż się tliło i Meleinos złotem

podsycał, ponieważ Rhomajowie nie bez przyczyny swoich mnichów

na Wielką Morawę wysłali, aby wpływy Romy osłabić, pochod

Franków na Wschód powstrzymać. Do wielkich spraw zdawał się być

stworzony Wielki Koniuszy cesarza Rhomajów, Bazyli z Macedonii.

On uwierzył, że Dago na wschód od Viaduy stworzy to, co zapowiadał,

obudzi uszpiętego olbrzyma, zjednoczy różne ludy, własne królestwo

stworzy, a potem być może zagrozi Frankom. Tylko że między

ziemiami, gdzie chciał panować Dago a Frankami, to jest między

rzeką Albis i Viadua - mnóstwo rozmaitych sklavińskich ludów żyło, na które Frankowie mieli pilne baczenie. Przeor klasztoru w Fuldzie, Raban Maurus, przeczytał Dagonowi o wielu zdarzeniach opisanych w Rocznikach Fuldajskich. Wynikało z nich, że za rzeką Albis mieszkali: Wągrowie, Chyżanie, Linianie, Czrezipienianie, Rarogowie, Sprevianie, Bytnicy, Ukrzanie, Doszanie, Rzeczenie, Brzeżanie, Stodorowie, zwani też Hobolanami, Dołężanie, Redarowie, Morzeczanie, Ranowie zwani Rujanami. Najpotężniejszymi wśród nich byli jednak zamieszkujący na północy, nad morzem Swebskim, Obodrycy, poniżej nich, ku południowi żyli Lutycze, zwani też Wioletami, czyli Wilkami, oraz zupełnie na południu - Sorbowie. Z tych wszystkich ludów najwcześniej związek plemienny stworzyli Obodrycy i wybrali spośród możliwych naczelnego wodza, jak gdyby wielkiego księcia. Ich państwo plemienne miało charakter wojskowy, ponieważ lud ten żył głównie z wojaczki, na łupach wojennych bogacili się ich wielmoże, nieustannie zachęceni do wojen grabieżczych przez sąsiadujących z nimi Jutów.

Jak można było wyczytać w Annales regni frankorum, gdy majordomus na dworze Merowingów, Pepin, zwany Krótkim, pozbawił władzy ostatniego Merowinga, Childeryka III i papież Stefan II - a właściwie Stefan III, ponieważ prawdziwy Stefan II rządził tylko cztery dni, zanim go otruto - dał sakrę królewską dla niego i jego rodziny, Frankowie nawiązali przyjazne stosunki z Obodrytami, którzy pomogli w walce Pepinowi z krwiożerczymi Sasami. Podobnie

stało się i za czasów potężnego Karola, syna Pepina. Jednocząc państwo Franków pobił on zachodnich Sasów zwanych Westfalami, choć ich potęgi nie zdruzgotał. Powstali przeciw niemu dopiero przy pomocy zdrajcy Widukinda oraz Obodrytów krwawo stłumił powstanie Sasów, przesiedlił ich na lewy brzeg Renu, na prawym osadzając Franków. Za syna Karola, Ludwika Pobożnego, Obodryci odmówili pomocy Frankom i za namową Horicha, króla Jutów, zaczęli wspólnie z Ascomannami napadać na kraje frankońskie, aby zdobywać łupy. Wyprawy wojenne Ludwika Pobożnego przeciw krnąbrnym Obodrytom nie przyniosły mu zdecydowanego zwycięstwa, raz po raz bowiem, jak powiadały Roczniki Fuldajskie, napadali oni z Ascomannami na nadmorskie ziemie Franków. Podobnie jak Obodryci swój związek plemienny, coś w rodzaju plemiennego państwa, stworzyli później i Lutycze zwani Wioletami, czyli Wilkami, a także Sorbowie, choć na krótko. Kroniki wymieniały księcia Sorbów, niejakiego Milducha, a także księcia Glomaczów, imieniem Semil, który musiał ukorzyć się przed Frankami i dać im w zastaw swoich dwóch synów. Wspominały również roczniki o księciu Kolediczenów; został on pokonany i zabity przez Sasów. Jedynie Mojmir potrafił stworzyć własne państwo złożone z ludów sklavińskich zamieszkałych u źródeł rzeki Albis i Ister, ale i on żył w zależności od Franków. Na podobieństwo też Franków Obodryci spróbowali mieć jednego boga o czterech postaciach jednoczącego bogów czterech najpotężniejszych plemion. Lecz to im na niewiele się

zdało, gdyż kult owego boga o czterech twarzach nie wszędzie się przyjął, a ponadto sami sobie wybierali władcę i ograniczali jego rządy poprzez ogólne wiece wojowników. Gdy im się władca nie podobał albo rządził nie po ich myśli, odwoływali się do wyroków cesarzy frankońskich, aby spory między wojownikami, wielmożami i władcą rozstrzygał. Chętnie to Frankowie czynili, gdyż przez to mieli wgląd w sprawy owych Sklavinów, a także pewien wpływ na ich postępowanie. W istocie więc nie posiadali Obodryci, a także Lutycze zwani Wioletami, Wilkami, a także Hawelanami, świadomości nowej epoki. Dlatego nie wykorzystali zamętu, jaki za czasów Ludwika Pobożnego zapanował w państwie wschodnio-frankońskim i nie zbudowali swojego, zupełnie niezależnego, państwa. Zadowalali się chwilową niezależnością - nie patrzyli w przyszłość - i w gruncie rzeczy, gdyby nie sąsiadujący z nimi Ascomannowie, którzy ich do wojny naciskali, nigdy by nie podejmowali działań zaczepnych.

O ludach, które mieszkały jeszcze dalej na wschód, aż za rzeką Viadua, niewiele w Fuldzie wiedziano. Z tamtych to ludów pochodził Dago, ale swoich wiadomości nie zamierzał Frankom zdradzać. Zresztą, czy człowiek, który jakiś czas był w grodzie Byzisa, z koniuszym cesarza Rhomajów do stołu siadał, uczył się wielkich gier politycznych mógł w głębi duszy nie odczuwać odrobiny wyższości wobec Franków, którzy wiele ze swych bogactw zawdzięczali skarbowi Awarów, nie mieli pojęcia co to jest wykwinność i najbardziej wyszukana rozkosz?

Nawet ich Roma i papież na złoconym tronie był zbyt mało

majestatyczny wobec pałaców i cesarskiego tronu Rhomajów.

To prawda jednak, że każda wielka władza potrafi kazać przemówić o zdradzie nawet kamiennym murom zamków i klasztorów. Dlatego zaproszony na polowanie przez margrabiego Radbora, hrabiego Teodorycha i komornika Meginfryda, niby to przypadkiem, od zatrutej strzały zginął Melainos, ponieważ kupował stronników dla Karlomana. Dagona też piękna mniszka próbowała otruć z rozkazu hrabiego Fredegara. Zabił go potem Dago i umknął, nie żegnając się nawet z Karlomanem. A teraz oto miał przebyć rzekę Viadnę i wejść w kraj, gdzie znajdował się Spalski Ostrów i obok żyli Zemlinowie. Było tam księstwo Popiołowłosego, Gedana II. W wielkim grodzie zwanym Karradonon mieszkali Visulanie, a wokół cała mnogość ludów, co to jeszcze nie pojawiły się w historii. Wierzył, że gdzieś tam drzemią olbrzymi Spalowie i czekają na swoje przebudzenie. Nosił nadzieję, iż z nimi dokona rzeczy wspaniałych.

Wyjął tedy z juków przetykaną srebrem czarną kapę i narzucił ją na Vindosa. Założył mu też napierśnik z brązu i przybrał zielonymi gałązkami, ze wstrętem -ponieważ roił się od robactwa - narzucił na siebie skórę wilczą, którą zabrał lutyckiemu wojownikowi. Pragnął bowiem, aby go wzięto za Wioleta albo Wilka. Jego krótki miecz Tyrfing nie rzucał się w oczy, podobnie jak okrągła tarcza. Tak ubrany ruszył z końmi w stronę osady nadrzecznej i dotarł tam rankiem.

Na jego widok zaczęły ujadać chude psy, dzieciaki i kobiety ukryły się w chatach. Naprzeciw wyszło mu kilku mężczyzn uzbrojonych we

włócznie i drewniane tarcze. Każdy z nich miał po kilka włócznie przeznaczonych do rzucania na odległość, groty ich były żelazne, z zadziorami, w kształcie listków. Podobnie jak Dago nosili skóry wilcze. Z ich grona wystąpił ogromny brodaty mężczyzna z bielmem na prawym oku.

Dago przemówił mową ciała, podniósł dłoń na znak pokoju, uśmiechnął się przyjaźnie. Wskazał rzekę, tratwy, potem pokazał palcem na siebie i swoje konie oraz wyjął z sakwy przy siodle jednego denara. Pojęli go natychmiast, ale nie odpowiedzieli na propozycję. Całą ich uwagę skupiał Vindos, ogromny biały ogier w czarnej kapie i z brązowym napierśnikiem.

- Jestem tu Żupanem, a to moja żupa - mężczyzna z bielmem na oku odezwał się w języku Sklavinów, ukazując zniszczone wały gródka, domy, łodzie i tratwy.

- Świętego konia zwanego Vindos wiodę do wróżów w świętym grodzie Arvaba - powiedział Dago. - To dar wróżów z kraju Ranów. Będzie przepowiadał ludzkie losy. A kto go dotknie zostanie porażony chorobą.

Jak gdyby potwierdzając te słowa, Vindos podniósł do góry swoją ogromną głowę, potrząsnął białą grzywą i głośno zarżał. Zaleciał go chyba wstrętny odór owych ludzi.

Przestraszyli się trochę i cofnęli kilka kroków. - Jestem też głodny - oświadczył Dago.

Dotknął brzucha i wyszczerzył swoje białe zęby. Był zresztą naprawdę

bardzo żłakniony. Od wczorajszego popołudnia oprócz wody nie miał niczego w ustach. Żupan zamrugał swoim białym okiem.

- Trzy konie, w tym jeden święty. I ty, panie. Duża tratwa będzie potrzebna i dużo ludzi do żerdzi. Jedzenia też chcesz, a my sami bywamy głodni. Dasz dwa denary.

- Nie - potrząsnął Dago białymi włosami. - To święty koń.

Przekleństwo na siebie sprowadzasz i na swoją żupę. Ja mogę innej drogi szukać przez rzekę. Żupan dał znak ręką i wszyscy jego ludzie zniknęli wraz z nim w jednym

z domów, aby się naradzić. Z chat wyglądały zaciekawione dzieciaki i brudne kobiety. Dago .poprowadził konie w stronę brzegu rzeki, aby tam oczekiwać na koniec narady. I właśnie wtedy, tuż obok obwałowań osady zobaczył klatkę z mocnych prętów wierzbowych.

Siedział w niej człowiek w łachmanach, z zarośniętą twarzą, straszliwie brudny i wychudzony. Jego ciało, ukazujące się przez dziury w odzieniu nosiło ślady zadrapań i wielu blizn. Tylko oczy patrzyły na Dagona z dziwną obezwładniającą mocą.

- Panie jasny - jękliwie zawył człowiek w klatce. - Wykup mnie z niewoli barbarzyńców. Mówił po sorbsku, dlatego do Dagona trafiwały tylko niektóre słowa, treści zaś innych musiał się domyślać.

- Jestem mnichem z Fuldy. Uwięzili mnie i głodem morzą od pół roku. Na sprzedaż mnie trzymają, ale żaden kupiec; mnie nie chce zabrać ze sobą. Dzieciaki kijami mnie drażnią, jak wściekłego psa, jeść i pić nie dają. A ja znam mowę łatyńską, czytać i pisać umiem.

Dago odgarnął włosy z czoła, aby lepiej się przyjrzeć człowiekowi w klatce. Nikogo przy nich nie było, mogli więc rozmawiać swobodnie.

- Skoro znasz mowę łatyńską, to znaczy, że jesteś wyznawcą krzyża.

Na co mi taki jak ty? Świętego konia prowadzę do chramu Arvaba.

Tam nienawidzą wyznawców krzyża.

Doleciał go szept w języku teutońskim:

- Widziałem cię, panie, w Fuldzie. Nie wiem jak cię zowią. Ale i ty

nosiłeś na piersiach złoty łańcuch z krzyżem. Wykup mnie, jasny

panie, a będę ci służył wiernie. Wykup mnie na rany Chrystusa.

Umiem modlić się po łacinie, potrafię uzdrawiać ludzi.

- Milcz - syknął Dago.

Udając obojętność minął klatkę i usiadł nad brzegiem rzeki. Nie czekał

tu długo. Dziesięciu wojowników na czele z żupanem wyszło z domu i

skierowało się ku niemu. Dago położył dłoń na rękojeści Tyrfinga, ale

żupan zrobił pokojowy gest dłonią. Tuż za nim dwie kobiety ubrane w

brudne lniane koszule niosły wędzone ryby, a za nimi biegły

wychudzone psy.

- Dasz, panie, dwa denary i zaraz przepłyniesz na drugi brzeg -

odezwał się żupan. - Prowadzisz świętego konia. Nie chcemy

przekleństwa na swoją głowę. Dlatego dasz dwa denary.

- Co to za zwierzę trzymacie w tamtej klatce? - Dago wskazał klatkę z

wiklinowych prętów.

- To nie zwierzę. To człowiek - wyjaśnił żupan. - Ale masz rację, że

przypomina zwierzę. Nauczyliśmy go nawet wyć. Kup go od nas,

panie. Umie czytać i pisać, jak powiada. Nam taki niepotrzebny, ale dla kupca może być przydatny.

- Nie jestem kupcem - pogardliwie odrzekł Dago. - Skąd go macie? -

Żył w gromadzie rozbójników. Z grabieży. Niewiasty gwałcił.

Teutonowie wypędzili go ze swojego kraju za jego nieprawości. A

może z Sorbów się wywodzi, w te strony uciekł i do rozbójników

przystał. Wybiliśmy ich wielu, a ten się poddał i przyrzekł, że kupcy za

niego dużo zapłacą. Od tej pory nie było tu jednak żadnego kupca.

- I nie będzie kupców, bo za wielkie myto bierzecie. Gadają też, że szlak

wasz jest niebezpieczny.

Spojrzeli po sobie z niepokojem. Od Zely nauczył się Dago mowy ciała,

mowy spojrzeń i ust. Tym ludziom nie można było ufać, jego słowa

dotknęły jakiejś ich tajemnicy.

- Dam dwa denary. Za przewóz, jedzenie i tego zwierzaka z klatki

oświadczył Dago. - Każemy mu napisać do króla Franków, że za

Viadug czekamy na niego z bronią w ręku i przeklinamy krzyż.

- Trzy denary - rzucił żupan.

Jednego. I nie chcę waszego jedzenia ani waszego zwierzęcia.

- Dwa, panie. I człowieka z klatki dostaniesz - zgodził się żupan. -

Przytroczone go do jucznego konia - zarządził Dago.

A potem obojętnie, nie okazując dla wojowników i żupana żadnego

zainteresowania, wziął od kobiet z ich brudnych rąk cuchnące ryby i

zaczął jeść łapczywie, udając, że przygląda się wojownikom i

żupanowi przygotowującemu tratwę do przeprawy. Ale przecież

zauważył hen daleko na rzece trzy łodzie z ludźmi, przepływające na drugi brzeg. Domyślał się, że na drugim brzegu, w jakimś wąwozie czy leśnej drodze przygotowują na niego zasadzkę. Tylko że on nie bał się tego. ponieważ przez całe życie ktoś zawsze pragnął go zabić.

Sprawnie i szybko wprowadzili na tratwę konie, przywiązali je do drewnianych pacholek. Przywlekli też człowieka z klatki ze spętanymi rękami. Był tak słaby, że się przewracał i dwóch ludzi musiało go podtrzymywać. Dago dał mu wędzoną rybę, najhardziej cuchnącą. Ten człowiek też straszliwie cuchnął. Ile mógł mieć lat Wyglądał na pięćdziesiąt albo i więcej. Któż jednak wiedział, ile lat miał naprawdę.

Dago uderzył go pięścią w kark. - Zawyj - rozkazał.

I człowiek z klatki zawył jak wilk, a potem zawył jak pies. Żupan zaśmiał się głośno.

- Powinieneś, panie, coś nam za niego dorzucić - rzekł. - On pięknie wyje.

Dago wyjął z kieszeni brązowy kolczyk.

- Daj go swojej kobiecie - ofiarował kolczyk żupanowi.

Zanim odpłynęli od brzegu, żupan i jego ludzie pokłonili się rzece.

Dago uczynił to samo, choć pochwycił pogardliwe spojrzenie mnicha.

Ale chrześcijaństwo leżało na Dagonie jak ciasna odzież. Żaloszny mu się wydawał Bóg, którego ludzie zdolali zamęczyć i ukrzyżować. Czy kto potrafi ukrzyżować rzekę? Czy jest ktoś taki, kto umiałby powstrzymać jej nurt, szczególnie wiosną i jesienią, gdy wzbierały jej

wody i niosły przewrócone drzewa, ludzkie domy, utopione zwierzęta.

Dago pokłoniłby się istocie zdolnej wstrzymać bieg rzeki, zamrozić błyskawice i pioruny. Ta rzeka miała potężnego boga albo sama była bogiem. Chrześcijanie wierzyli w niebo i piekło, ciągle bali się grzechu i mieli poczucie winy. Dla Dagona nie istniał grzech ani niebo czy piekło. Po śmierci człowiek przechodził do innego świata, lecz żył w nim tak samo. Jeśli umarł władcą - pozostał władcą, jeśli umarł jako niewolnik, był niewolnikiem.

Trafiali się bogowie silni i słabi. Ta rzeka miała potężne bóstwo. Małe rzeczki, nad którymi się urodził, ludzie ujarzmiali budując jazy i dzięki nim łowiąc ryby. Po prostu władali tam słabi bogowie. Ale nawet tych słabych nie należało tak zupełnie lekceważyć. Mała rzeczka mogła wiosną nagle stać się potężną.

Wreszcie odbili od brzegu. Ludzie żupana zręcznie posługiwali się żerdziami,

Masz więc tylko jedno zadanie. Pilnować białego ogiera i nie pozwolić, aby gdzieś uciekł w zamieszaniu bitewnym. Resztę pozostaw mnie.

Nie dasz rady, jasny panie, pokonać wojowników w zasadzce. Oni celnie rzucają włóczniami. ich jest wielu, a ty jeden.

Nie wpadniemy w zasadzkę. Ominiemy drogę od przeprawy.

Poprowadzę konie przez wikliny i na wzgórza wejdziemy gdzieś daleko stąd.

- Ale pozostawimy ślady kopyt. Żupan pójdzie za nami.

Zaczekamy na nich w wysokich łożach. Gdy się z nimi rozprawię,

tamci nie będą jeszcze o tym wiedzieli. Potem zaś przerażą się tego co ujrzą.

Herim potrząsnął głową, nie bardzo wierząc potędze Dagona.

- Zanim zginiemy, jasny panie, powiedz mi chociaż twoje imię.

Nazywam się Dago, książę- usłyszał odpowiedź od wojownika, który to mówiąc wyprostował się w siodle, a głos jego nabrał władczonego tonu. - Jeśli zwyciężymy, wezmę cię do swego księstwa.

Wikliny i wysokie trzciny wypełniały niemal całą nieckę pradoliny, były coraz wyższe w miarę jak oddalali się od koryta rzeki. W pewnej chwili Dago kazał Hermowi zatrzymać się z Vindosem i jucznym koniem na małej polance zasłoniętej ścianą młodych olch i łóz. Sam zaś na swoim koniu zniknął w łożach, aby od tyłu zaskoczyć idących ich śladem wojowników.

Nie czekał długo. Wkrótce usłyszał szmer kroków, ludzkie sapania.

Ponad czubkami trzciny zobaczył ostrza włóczni. Wojownicy szli jeden za drugim ścieżką wydeptaną przez konie Dagona. Cierpliwie czekał aż go minęli, a potem uderzywszy konia ostrogą, napadł na nich od tyłu i zanim się spostrzegli, spadły na nich uderzenia jego długiego frankońskiego miecza. Nie mieli tarcz, nie zdążyli skierować na niego włóczni. Wyprzedzał ich, kolejno każdemu rozwalając czaszkę lub uderzając po karku. Umierając krzyczeli okropnie. Tylko żupan i dwóch jego ludzi usiłowało umknąć w trzciny, ale żupana Dago dopędził, przyjął na swoją tarczę uderzenie jego włóczni, a potem rozwalil mu głowę. Zdyszany powrócił na polankę, gdzie pozostawił

Herima i konie.

- Widziałem u nich torby. Sprawdź, czy nie mieli ze sobą jakiegoś jedzenia rozkazał Herimowi. - Czeka nas jeszcze długa droga, nie wiem czy zdołamy coś upolować.

Herim poszedł po śladach koni i wrócił z torbą wypchaną rybą i chlebem. - Niektórzy jeszcze żyją - powiedział, patrząc na Dagona z odrobiną przerażenia.

- Mogłeś ich dobić - odparł Dago. - A zresztą, niech powiedzą tym z zasadzki, że nie należy iść za nami.

Uderzył ostrogami boki swego konia i ciągnąc jucznego i Vindosa, pokłusował przez trzciny w stronę wysokiego brzegu pradoliny.

Herim musiał biec, jeśli nie miał pozostać sam.

Wreszcie wspięli się na skarpę i zniknęli w puszczy. - Zaczekaj, książę - dyszał Herim.

Był osłabiony, brakowało mu sił. Minęło południe, ale upał doskwierał. W puszczy Dago zwolnił, w jej mroku i gęstwinie, przez którą się przedzierali, mógł nie zauważyć wroga. Dlatego, gdy ukazało się ich oczom małe leśne jeziorko, zeskoczył z siodła. Najpierw napoił konie, patrząc jak głodny Herim znowu pożera rybę i chleb.

- Mam ochotę uciąć ci głowę, bo swoim smrodem przypominasz mi dzikie zwierzę - powiedział.

Co mogę uczynić, książę? Kilka miesięcy trzymano mnie w klatce. Czy myślisz, że czuję się człowiekiem''

Dago obszedł brzeg jeziorka, potem zdjął juki -r. konia, spętał

zwierzętom nogi, napoił je i dał owsa. Z juków wyjął dużą kulę mydła i podał Herimowi. - Umyj się. Swoje szaty wyrzuć i załóż czystą odzież. Musisz też przyszczyć włosy i ogolić brodę. Tu brodatych nie lubią. Sam także umył się w jeziorze, namydlił brodę i ogolił się ostrym nożem, nawet nie pozostawiając wąsów. W jukach miał czyste lniane gacie, koszulę bez rękawów. Przebrał się i dopiero wtedy nie bez wstrętu, zabrał się do jedzenia śmierdzących ryb.

- Masz, książę, dobre mydło - stwierdził Herim, wychodząc nagi z jeziora.

- Czy nie uczono cię w Fuldzie z czego robi się dobre mydło? - zakpił Dago.

- W moim królestwie czynią je z tłuszczu, popiołu i mydlicy.

- Mówiłeś, panie, o księstwie i kazałeś nazywać się księciem. Czy mam cię nazywać królem?

- A cóż to dla ciebie za różnica, jeśli twoje życie zależy od drgnięcia mojej ręki i mojego miecza? - znowu drwiąco zapytał Dago.

Odebrał kawałek mydła od Herima i starannie schował go do swoich rzeczy. Począł aż Herim ostrzygł nożycami długie, skoltunione włosy i wtedy podał mu czyste giezło i lniane gacie. Z zadowoleniem stwierdził, że ostrzyżony i umyty Herim ukazał mu twarz trzydziestolatka.

Tymczasem zapadł wieczór i wszystko wskazywało, że Dago nie zamierza ruszać w dalszą drogę. Nie pozwolił jednak rozpaść ogniska.

To bowiem wiedział Dago - więcej niż Ludwik Teutoński i mnisi z Fuldy

-że za Viadug nie jest kraj pustynny, ale wiele ludów i plemion

mieszka, a każde ma swojego władcę i nie lubi obcych.

W końcu przywdział skórzany kaftan i położył się na ziemi. Herim zaś okrył się kapą, którą nosił Vindos. Z powodu ciepłej nocy szalały nad nimi komary, ale przynajmniej uspokoiły się gzy. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, mrok więc był tak gęsty, że nie widzieli swoich twarzy.

- Co ze mną poczujesz, panie - zaczął Herim w języku Teutonów, ale Dago kazał mu mówić po sklavińsku. Nie wszystkie słowa Sorbów, którymi posługiwał się Herim dokładnie rozumiał, brzmiały one jednak podobnie do języka Spalów, który kochał. - Powiedziałeś, że weźmiesz mnie do swego księstwa czy królestwa? Gdzie ono leży? W Fuldzie wiele wiedzą, nigdy jednak nie słyszałem o państwie rządzonym przez króla Dago.

Długo czekał na odpowiedź. Nie była ona przyjemna dla Herima.

Dwa razy byłem w Fuldzie i to za pierwszą tam bytnością musiałeś mnie

widzieć. Za drugim razem opat z Fuldy, Raban Maurus, opowiadał mi o mnichu-skrybie, który zgwałciwszy niewiastę, w obawie przed karą wymknął się z klasztoru. Potem podobno otrzymał list od Chrystusa i odtąd sprzedawał ludziom swoje paznokcie jako święte przedmioty.

Nałożono nań klątwę i wygnano za Albis. Być może tam przystał do rozbójników, gwałcił kobiety i pokutował za innych. Wreszcie znalazł się w klatce i stał się z niego człowiek, który wyje jak wilk.

- To prawda, książę lub królu. Przed tobą nic się nie ukryje. Widziałem

pomordowanych przez ciebie ludzi. Masz nie tylko siłę, przebiegłość, lecz i mądrość. Dużo wiesz o świecie i o różnych ludziach. Powiedz mi, panie, gdzie jest twoje królestwo, a pójdę z tobą, ponieważ znowu uczyniłeś mnie człowiekiem.

- Uważasz się za mądrego, skrybo. Tedy powiedz mi, co jest najśłodsze na świecie?

- Miód - odparł bez namysłu Herim.

- Głupiś. Najśłodsza na świecie jest władza nad innymi ludźmi. Władca może jeść tyle miodu, ile zechce, i ile razy zechce.

- Masz rację, panie.

- A powiedz mi, Hermie, co jest najmilsze na świecie? - Niewiasta, panie.

- Głupiś, Herimie. Najmilsza na świecie jest władza. Dzięki niej możesz mieć każdą niewiastę. I tyle ich, ile zechcesz.

- Masz rację, panie. Nie pomyślałem o tym.

- A powiedz mi, Herimie, co jest najpotężniejsze na świecie. - Bóg, panie. A może bogactwo? Wiedza też jest potęgą.

- Głupiś, Herimie. To przecież jasne, że najpotężniejsza jest władza. Cesarz Karol naznaczał papieży, a więc rządził Bogiem chrześcijan.

Trzy razy się rozwodził, choć to zakazane, i otrzymywał zgodę, a może nawet nikogo o zgodę nie pytał. Nie miał żadnej wiedzy, nie umiał

czytać i pisać, a przecież władał potężnym państwem i mędracy go

śluchali. Bogactwo powiadasz? Jeśli ktoś ma władzę, zdobywa

bogactwo. Po prostu zabiera je innym.

- Znowu masz rację, jasny panie. Słucham ciebie z uwagą, ale tak naprawdę wszystko miesza mi się w głowie i nawet nie wiem czym jest owa władza, o której mówisz z takim zachwytem.

Odpowiedział mu Dago:

- W Księdze grzmotów i błyskawic, w rozdziale "O sztuce rządzenia ludźmi", napisano: "Nie istnieje człowiek, sprawa, zjawisko, a nawet żadna rzecz, dopóty, dopóki w sposób swoisty nie zostały nazwane.

Władzą jest więc moc swoistego nazywania ludzi, spraw zjawisk i rzeczy tak, aby te określenia przyjęły się powszechnie. Władza nazywa co jest dobre, a co złe, co jest białe, a co czarne, co jest ładne, a co brzydkie, bohaterskie lub zdradzieckie; co służy ludowi i państwu, a co lud i państwo rujnuje; co jest po lewej ręce, a co po prawej, co jest z przodu, a co z tyłu. Władza określa nawet, który bóg jest silny, a który słaby, co należy wywyższać, a co poniżać".

- To trudne do pojęcia, panie...

Żal mi ciebie, ciemny mnichu. Czy nie znajdowałeś się we władzy ludzi w wiosce nad Viadug? Czy mocą swej władzy nie zamknęli cię w klatce, nie nazwali człowiekiem. ale psem? I ty wyleś jak pies. Kupiłem cię od nich nie jako człowieka, ale jako psa, ponieważ psem cię nazwali.

- Tak było, panie.

- Król Ludwik Teutoński dał mi złoty łańcuch, tytuł hrabiego i nazwał swoim przyjacielem. "Oto przyjaciel króla" - wołali o mnie jego żołnierze. Teraz jednak zapewne dał mi nazwę: zdrajca. I tysiące jego

żołnierzy nazywa mnie zdrajcą, dla nich bowiem jestem zdrajcą. Ale gdy ja stanę się władcą, swoją potężną mocą władcy być może nazwę robakiem Ludwika Teutońskiego i dla tych, co będą podlegać mej władzy, on będzie robakiem, czerwem, ścierwem, wszystkim czym zechcę go nazwać, bo tylko nazwa się liczy.

- Skąd weźmiesz władzę? Gdzie jest twoje państwo? I znowu trwała długa chwila milczenia.

-Udowodniłem ci, Herimie, że jesteś głupcem. Jakże więc z głupim człowiekiem mam mówić o tym, co widziałem na świecie, co przeżyłem, zwierzać się ze swoich dążeń i marzeń? Przestałeś wierzyć w Boga i sprzedawałeś ludziom swoje paznokcie jako święte relikwie. Czy mogę być pewien, że uwierzysz w moje słowa'? Co ty zrozumiesz z tego, że płynie we mnie krew olbrzymów i gnębi mnie choroba zwaną żądzą czynów'? Daleko na wschodzie jest Kraj Spalów, gdzie się urodziłem i którego mowa jest mi najmiłsza. Co powiesz, jeśli ci wyznam, że pragnę zbudować tam swoje państwo i wprowadzić je do historii. Król Ludwik Teutoński dał mi tytuł hrabiego i złoty łańcuch. Gardzę jego tytułem i ów łańcuch chciałem oddać za białego ogiera. Dlatego nie ma znaczenia, jak mnie będziesz nazywał: hrabią, księciem czy królem, bo mnie wystarczy: Dago Pan. Gdy stworzę swoje państwo, pomyślę też o tytułach. Być może i dla ciebie znajdę odpowiedni.

Tym razem to Herim milczał długo, zupełnie zaskoczony.

-'Chcesz, panie, stworzyć własne państwo? Sam jeden? A może gdzieś

tam czeka na ciebie wojsko, twoja drużyna, twoi żołnierze?

- Nikt na mnie nie czeka. I nawet nie wiem, czy trafię do kraju Spalów.

Ale to pewne, że nieznane światu ludy wprowadzę do historii.

Widziałem bowiem, jak jeden, dwóch lub trzech ludzi budowało i rozwalowało całe państwa. Świat wydaje mi się jak mokra glina, z której wszystko można ulepić, jeśli ma się w sobie krew władców.

- Widziałem, jak walczysz mieczem, panie. Ale to za mało, aby zbudować państwo.

- Bo państwa nie tworzy się tylko mieczem, Herimie. Potrzebna jest do tego także trucizna. zbrodnia, oszustwo i niedotrzymywanie obietnic.

Ale także potężna wola. Pragnę, abys we mnie uwierzył i poszedł za mną.

- Do czego, panie, przyda ci się skryba, mnich, którego wyrzucono z klasztoru i obłożono klątwą? Po co ci mnich, który zwątpił w Boga?

- Opowiadałeś mi, że banda rozbójników wiele czyniła zła, rabowała i gwałciła niewiasty, a ty czyniłeś z nich pokutę, ponieważ, jak mówi Pismo Święte: "jeden powinien nieść brzemień drugiego". Ilu ludzi padnie z mojej ręki, Herimie? Ile zbrodni popełnię, zanim stworzę swoje państwo? Chcę, abys to ty dźwigał moje zło, jako że "jeden powinien nieść brzemień drugiego".

A jeśli tego nie uczynię, panie? - zapytał Herim.

Dago już zasypiał, a przynajmniej tak się wydawało Herimowi.

- Jesteś słaby i nie umiesz trzymać miecza. Dookoła są puszcze i mokradła oraz ludzie, którzy gotowi takiego jak ty zamknąć w klatce i

uczynić zwierzęciem. Czy będę człowiekiem litościwym, jeśli ci utnę głowę, ponieważ przez twoją słabość opóźniasz moją drogę do Kraju Spalów?

Jeszcze raz Herim ośmielił się zapytać Dagona:

- Co rozumiesz, panie, przez słowa, że "jeden powinien nieść brzemię drugiego"?" Jak mam wykonywać to zadanie?

- Będziesz spisywał moje czyny i usprawiedliwiał każdą moją zbrodnię i każdy mój występki w taki sposób, aby miały połysk szlachetnego kamienia. Nawet kiedy po szyję będziemy tkwić w gnoju i błocie, ty napiszesz, że przechodziliśmy strumień o najczystszej wodzie.

- Potrzebna ci jest więc moja umiejętność czytania i pisania - uradował się Herim.

- Ona się przyda, gdy zechcę wysłać wiadomość do Karlomana albo Ludwika Teutońskiego. Mylisz się jednak sądząc, że olbrzym, którego będę budził, jest niemy i głuchy. Nauczę cię starodawnej magicznej sztuki sklavińskiej utrwalania myśli i słów, poznasz nasze runy. Od jutra rozpoczniesz naukę poznawania i posługiwania się naszymi runami. Uczono mnie bowiem, że prawdziwe państwo to daniny i podatki dla władcy. Trzeba będzie, aby wielu ludzi posiadało sztukę kreślenia runów, -zapisując kto i ile oddał dla władcy, kto to czynił w polowie, a kto tego wcale nie zrobił. Nie może bowiem istnieć władza bez właściwego jej porządku spraw i rzeczy, a to jest tylko ważne, co zostało nazwane oraz utrwalone na piśmie. Sztuką naszych runów spiszesz także moją historię, gdyż nie istnieje ktoś, kto nie wszedł do

historii.

- Cóż mam, panie, zapisać pod datą dzisiejszego dnia? - zapytał Herim.

- Napisz tak:

"W porze zbierania czerwia Dago Pan przekroczył Rzekę Zapomnienia, aby obudzić śpiącego na Wschodzie olbrzyma, gdyż sam pochodził z rodu olbrzymów. Pradziadem Dagona był Wielki Samo, który pokonał Hunów zwanych Awarami oraz Króla Franków, Dagoberta. Ojciec zaś Dagona miał na imię Boza i również pochodził z rodu olbrzymich Spalów. Dago Pan posiadał zaczarowany miecz o nazwie Tyrfing, a także na dworze cesarza Rhomajów i króla Franków, Ludwika Teutońskiego, posiadał sztukę rządzenia ludźmi, która dawała mu prawo, aby stał się władcą. Tak więc przekroczywszy Rzekę Zapomnienia Dago Pan znalazł się w Kraju Pyryksjan, którzy mieli aż siedemdziesiąt grodów i aż trzech władców plemiennych i rodowych. Będąc samotny postanowił ostrożnie minąć ich siedziby i znaleźć się na Ziemi Ludzi Wolnych, czyli Luboszan, między plemionami Pyryksjan i krajem rządzonym przez władcę Lendiców, księcia Goluba Popiołowłosego. Kierował się bowiem Dago Pan do Kraju Spalów, gdyż płynęła w nim krew olbrzymów, którzy stamtąd się wywodzili. Jechał on na białym koniu zwanym Vindos i towarzyszył mu człowiek o imieniu Herim, aby opisywać jego wielkie czyny dla przyszłych pokoleń..."

Głos Dagona umilkł. A potem usłyszał Herim równy i spokojny oddech śpiącego.

Tej nocy Herim nie mógł zasnąć. Nad puszcza pokazał się księżyc i jasną poświatą pokrył powierzchnię leśnego jeziora. Tylko przez krótką chwilę Herim zastanawiał się czy człowiek, który drzemał w pobliżu lub udawał, że drzemie - nie jest zwykłym szaleńcem. Lecz jak do tej pory żaden postępek i żadne słowo tego człowieka nie były szalone. Stworzyć państwo? Stworzyć coś tak wielkiego jak państwo? Pamiętał lata spędzone na przepisywaniu starej kroniki i mozolne malowanie pierwszej litery "A". Tekst utrwalił mu się w pamięci: "Anno U regni Chlothariahomo nomen Samon natione Francos"... O tym, jak pewien kupiec frankoński Samon w 40 roku panowania króla Franków Chlotera przybył do ludu Sklavinów zwanych Winedami, którzy bardzo cierpieli od Awarów i podniósł ich do walki z nimi, a w bitwie tak się okazał uzdolnionym, że wybrano go królem. Panował 35 lat, miał 12 żon z rodu Winidów i 22 synów oraz 15 córek. Jeśli więc zwykły kupiec frankoński mógł stworzyć państwo. które weszło do historii czemu nie mógłby tego uczynić jakiś Dago - nie wiadomo także czy Frank, czy też Sklavin - bo prawdy o sobie jeszcze nie wyznał do tej pory? Wczytując się w roczniki królestwa Franków odkrył Herim przewijający się przez stronice ich historii głęboki, choć niekiedy starannie ukryty lęk przed ogromnymi i licznymi ludami na Wschodzie. Poczucie grożącego z ich strony niebezpieczeństwa miał Karol Wielki, zakazując sprzedaży broni na Wschód, ale przecież o wiele lat wcześniej przejawiał go też ostatni z wielkich władców merowińskich król Dagobert I. Odebrał utracone ziemie Baskom,

brata swego Chariberta pozbawił Neustrji i przyłączył się do swego państwa, walczył w wielu krajach na Zachodzie i nawet potężny cesarz siedzący nad Bosforem zawarł z nim wieczysty pokój. Ten król nie lękał się wielkiego państwa Awarów, a przecież na wieść, że Sklavinowie powstali przeciw Awarom i pod wodzą Samona stworzyli swoje państwo, zadrżał z trwogi, ponieważ wówczas stali się już jego bezpośrednimi sąsiadami. Nie pomogli Longobardowie i Bawarczycy. Sklavinowie rozbili Franków i zagrozili najazdem na Turynię. Pragnąc uratować się przed nimi musiał Dagobert zrezygnować z daniny jaką dotąd płacili mu Sasi i poprosił ich, aby chronili przed Sklavinami jego granice. Tylko że wkrótce umarł król Dagobert i nastąpiła epoka królów "gnuśnych", którzy w młodym wieku umierali z rozpusty, dlatego państwo Franków straciło na znaczeniu. Ale rozpadło się również państwo Sklavinów, rządzone przez Samona. Czy było możliwe, że po wiekach znowu jeden człowiek, podobnie jak Samon potrafi obudzić śpiących na Wschodzie olbrzymów?

ROZDZIAŁ CZWARTY - TYRFING

Dwór Zely znajdował się na Ostrowiu Spalskim między widłami rozlewiska małej rzeki, która spływała ku Noteczy. Otaczały wyspę torfowiska i bagna zamarzające jedynie w bardzo surowe zimy. Wiosną i jesienią ostrów zalewały wezbrane wody rzeczki, potężnej wówczas, rwącej i szeroko rozlanej. Dlatego domy na ostrowiu zbudowano na palach i z grubych bali, ogromne podwórze zostało wyłożone dranicami. Boki i dachy domów, pokryte trzcina i porośle

grubą warstwą mchu stykały się z sobą i tworzyły kolisko z jedną bramą, prowadzącą na cały półwysep, gdzie cumowano łodzie dłubanki i lekkie łódeczki ze skóry żubrów. Tyły domów stanowiły jak gdyby palisadę lub ścianę obronną, nie miały okien, a rzucona przez wrota żagiew nie mogła zapalić strzech z powodu wilgotnego mchu. Okna od strony podwórza zakrywały cieniutko wyprawione skóry lub rybie pęcherze, w mieszkaniach było więc widno. Wnętrza i zewnętrzne ściany domów bielono raz do roku wapnem nabywanym od kupców z południa. W izbach znajdowały się piece, dym nie gryzł nikogo w oczy; dobrze się w nich spało na wielkich łózkach pokrytych futrami dzikich zwierząt. Spalowie trudnili się przede wszystkim rybactwem i łowiectwem, gardzili rolnikami, za futra kupowali żyto, proso i jęczmień. Stąd wiele domów przeznaczonych zostało na wyprawianie i suszenie skór, dzień i noc dymiły wędzarnie ryb i upolowanej zwierzyny. Na półwyspie suszyły się sieci, więcierze i żaki.

Zely była jedyną olbrzymką odkąd jej brat, Boza, utonął, gdyż zaufał zimą kruchej skorupie lodu na bagnach. Mały chłopiec dostrzegł w obrębie dworu zaledwie trzydziestu bardzo młodych mężczyzn i mnóstwo kobiet z brodami i bez bród. Nie znalazł żadnego rówieśnika, wszyscy chłopcy byli od niego starsi, to samo dziewczynki. Odkąd utonął Boza - jak mu to wyjaśniła Zely - nikt już nie zapładniał zwykłych kobiet i nikt nowy, poza nim, nie przybył ostatnio do dworu Spalów.

O kobietach z brodami Zely niewiele chciała powiedzieć. Podobnie o innych sprawach.

- Wszystko wytłumaczę ci, jak staniesz się dojrzały i przetoczysz kamień na podwórzu. A teraz tyle tylko wiedz, że na Spalów spadło przekleństwo. Olbrzymki stały się bezpłodne, podobnie bezpłodne są dziewczęta zrodzone z olbrzymów i zwykłych kobiet. Ze swych wypraw wojennych Spalowie przywlekli -że sobą dwie straszne choroby: scytyjską, która w osiemnastym roku życia każe mężczyźnie żyć i zachowywać się jak kobieta oraz dziwną chorobę zwaną Żądzą Czynów. Gdy skończysz osiemnaście lat i ty także, ponieważ masz w sobie krew Spalów, zapadniesz albo na chorobę scytyjską albo na tę drugą. Ogarnie cię tęsknota za wielkimi czynami i wyruszysz w świat, aby walczyć i rządzić.

- Nigdy cię nie opuszczę - przyrzekł chłopiec. W odpowiedzi Zely tylko uśmiechnęła się smutnie.

- Nie wiesz, co to jest choroba scytyjska. I nie wiesz, co to jest tęsknota za wielkimi czynami. Jeśli ktoś ma w sobie krew olbrzymów, nie potrafi usiedzieć w domu, łowić ryb albo polować. Musi ruszać w świat, aby walczyć.

Odtąd życie chłopca zaczęło upływać na dworze Zely tak szybko i pięknie, jak przemija lato. Wszyscy, którzy go otaczali, zdawali sobie sprawę, że jest ostatnim ze skazanego na zagładę ludu Spalów i być może z jego osobą łączyli nadzieję na swoje odrodzenie i przetrwanie. Zniewieściali mężczyźni z brodami uszyli dla niego sukienne spodnie i

miękkie wysokie obuwie z jeleniej skóry; lubili zresztą tkać na krosnach, prząść kupowaną od innych ludów wełnę i robili z niej sukmany. Dostał od nich na lato kapelusz z sitowia, na jesień kapelusz z zajęczej pilśni, a na zimę szpiczastą czapkę z jeleniej miękkiej skóry. Oni też nauczyli go rybołówstwa, albowiem na dworze Spalów rybołówstwem zajmowali się zniewieściali mężczyźni. Dorastającym chłopcom powierzano myślistwo i obronę dworu Zely, choć ona sama była najlepszą obroną. Zely pilnie obserwowała jak do chłopca odnoszą się zniewieściali mężczyźni, nie pozwalała im brać go na kolana i całować, gdyż - jak się później domyślił - podejrzewała, że żyją ze sobą. U nielicznych kobiet i dziewcząt nie budził jeszcze zainteresowania, ponieważ był dzieckiem. Wśród kobiet i dziewcząt panowały swobodne obyczaje. każdy dorastający chłopak mógł mieć każdą dziewczynę czy kobietę, nie istniało prawo własności w tych sprawach, gdyż kobiety z krwią Spalów pozostawały bezpłodne, a chłopcy w osiemnastym roku życia albo niewieściali albo odchodzili w daleki świat, gnani tęsknotą za wielkimi czynami.

Zrobiono dla chłopca leciutką łódeczkę ze skóry żubra. Przez pierwszy rok nauczył się budować jazy na rzece, to jest płoty z małym przejściem, gdzie zastawiano upleciony z wikliny kosz na ryby. Potem zakładał trzcinowe wężerze i żaki, łowił ryby sieciami uplecionymi z lnu i konopi, stawiał niewody z dwoma skrzydłami i matnią oraz trygubice z trzema rodzajami siatki o różnej wielkości oczek. Nigdy odtąd chłopiec nie zaznał głodu, nigdy bowiem nie brakowało ryb na

dworze Zely; nawet zimą pod lodem umiano ciągnąć niewód i zaopatrywać się w świeżą rybę.

Po roku oddała go Zely pod opiekę dorastających chłopców, a było ich na dworze aż sześciu w różnym wieku, nie przekraczającym wszakże osiemnastu lat. Jak wszyscy z krwi Spalów, odznaczyli się ogromną siłą i byli świetnymi myśliwymi. Najpierw otrzymał łuk i strzały z zatrutymi grotami. Nauczył się przebiegać bezszelestnie lasy wokół bagien, podchodzić zwierzynę, aby nie poczuła zapachu człowieka i celnie ją trafić. Brał udział w kopaniu dołów łowieckich na wilki i niedźwiedzie, zastawiał samolówki na ścieżkach wydeptanych przez dzikie zwierzęta, robił sidła i lepy na ptaki. Po dwóch latach umiał też budować słopy, czyli samobitnie, ogromne kłody tak ustawione, że przy najmniejszym zbliżeniu się zwierzyny, spadały na nią i zabijały. Przez wiele tygodni wprawiał się w rzucaniu oszczepem, potem otrzymał włócznię z dwoma zadziarami wreszcie topór, którym musiał się nauczyć bardzo celnie rzucać na odległość. Potrafił też z dużą siłą ciskać maczugą. W trzynastym roku życia żelaznym toporem zabił niedźwiedzia, który wpadł do łowieckiego dołu z zaostrzonymi palami na dnie. W czternastym roku życia poszedł z innymi, aby polować na żubra i wtedy o mało nie zginął, ponieważ jego włócznia złamała się w boku ogromnego zwierzęcia. Rannego już żubra dobiła Zely, obcinając mu łeb toporem. Nikt nie był od niej silniejszy, nikt lepiej od niej nie polował ani nie potrafił walczyć. Od Zely nauczył się chłopiec walki na specjalnie dla niego zrobione drewniane miecze, na

pałki, na kije, na topory. Od niej nauczył się sztuki czarów. Umiała złożyć złamaną rękę, pokazała mu, które zioła obniżają gorączkę, jakie zatrzymują płynącą krew z rany, jakie odurzają, które są trucizną, które dodają siły. Jakie i z czego należy robić amulety i talizmany. Jej dom zawsze pełen był suszących ziół i zapach ich towarzyszył mu, gdy z nią zasypiał na ogromnym łóżku. Nauczyła go rysować kręgi magiczne, rzucania białych i czarnych patyczków i z ich układu wróżenia przyszłości. Z każdej wróżby wynikało, że syn Boży będzie kiedyś wielkim władcą. Na razie pozostawał ciągle tylko małym chłopcem, który nie potrafił przetoczyć na podwórzu ogromnego głazu.

O Zemlinach niemal zapomniał. Nigdy ich zresztą nie spotkał. W pamięci pozostał mu jedynie widok wojowników na koniach, kiedy przybyli do wioski Zemlinów, aby wziąć daninę dla księcia Popiołowłosego. O wojownikach na koniach opowiadał niekiedy Zely. Ona nie bała się księcia Lendiców; wiedział on o istnieniu olbrzymów i wolał omijać ich dwór. Zresztą nie interesowali go łowcy, ale jedynie rolnicy, gdyż od nich najłatwiej było mu brać daninę, konie i niewolników. Koni Zely nie lubiła i mimo że między rozlewiskami rzeki istniało wiele soczystych łąk, gdzie można by je wypasać, Spalowie nie mieli koni i nie posługiwali się nimi. "Należy polegać tylko na własnych nogach i na własnych mięśniach" - tłumaczyła chłopcu. Dlatego chłopcy z rodu Spalów przede wszystkim wspaniale biegali. Niekiedy przez całe dni, polując na zwierzynę, drobnym

truchtem i prawie bezszelestnie przebywali lasy i łąki. Syn Boży też się nauczył biec przez cały dzień, nie tracąc sił i nie gubiąc oddechu.

Spalowie byli czcicielami ognia, podobnie jak stał się nim syn Boży, gdy zamieszkał w Czarnym Borze. Każdego wieczoru Zely zgarniała żar na palenisku i pieczołowicie nakrywała go popiołem, a rano kłaniała mu się, kiedy po dorzuceniu kilku suchych gałązek, odzyskiwał swoją moc. Paląc się przez cały rok ogień stawał się brudny. Raz do roku wiosną, wygaszano zabrudzony ogień i pod wieczór rozpalano nowy, pijąc przy tym piwo i miód, tańcząc i śpiewając. Nowy ogień był już czysty.

Powiedziała też Zely chłopcu, skąd może im zagrażać niebezpieczeństwo. Zemlinowie nie byli groźni, gdyż karłowacieli, a poza tym, jak wielu rolników, nie odznaczali się wojowniczością.

Podobnie było i z księciem Lendiców. Golubem Popiołowłosym, który - jak opowiadali handlarze solą - z powodu swej dobroci popadł w kłopoty i odebrano mu żupy solne, gdy sól stanowiła złoto tej ziemi.

Niebezpieczeństwo przyjść mogło jedynie z rzeki Visuli, od Estów.

Byli waleczni, nie uznawali jednak żadnego porządku i nigdy nie wybierali swoich władców, najwyżej przywódców na czas wyprawy wojennej. Bardzo często z powodu chaosu jaki u nich panował, zagrażał im głód, a wtedy, aby mieć mniej gęb do wyżywienia, zabijali małe dziewczynki. Gdy zaś chcieli się rozmnażać, porywali albo kupowali kobiety za skóry bobrowe, futra kun i wydr. W czas suszy karmiącym matkom przecinali piersi, aby ich mlekiem rosić więdnące

żdźbła prosa. Zdarzało się, że w czasach dawnych - choć to mogło się znowu powtórzyć - w surowe zimy przechodzili Visulę dla rabunku i chwytania niewolników, na zamarznionych bagnach zbliżali się nawet pod dwór Spalów. Ich to należało strzec się z powodu waleczności i okrucieństwa. Podobnie jak Leśnych Ludzi. Ci byli najdzikszy z dzikich, najwaleczniejsi z walecznych. Nie wiadomo skąd się brali, tak jak nie wiadomo, w jaki sposób rodziły się samotne odyńce. Leśni Ludzie też bowiem byli samotnikami. Być może z powodu umysłowych wad - już jako dzieci wyganiały ich od siebie rody i plemiona, aby zginęli w lesie. Jeśli jednak taki osobnik przetrwał, stawał się silny i niezwykle dziki. Być może i syn Boży, gdyby go nie spotkała Zely, też wyrósłby w przyszłości na Leśnego Człowieka, żył w samotności i nienawidził ludzi.

Od Zely nauczył się mowy ciała, która jest najstarszą i powoli zapominaną mową człowieka. Naukę zaczął od poznawania własnego i cudzego ciała. Zaczął od ciała kobiety. "Jestem olbrzymką, więc dokładnie poznasz każdy mój zakątek" - mówiła mu leżąc nago na łóżku. Wdrapał się więc na wzgórza jej ogromnych piersi, gryzł zębami sterczące stromo stożki sutek, ześlizgiwał się na brzuch, a z brzucha zjeżdżał między jej rozłożone nogi. Niekiedy okrakiem siadał na jej potężnych udach, a ona chichotała zadowolona i szczęśliwa, wskazując miejsca na ciele kobiety, których dotknięcie sprawia rozkosz. Oszalał na zapach jej podbrzusza, lubił gładzić jej gęste i trochę szorstkie włosy na łonie, zaglądać w różowe wnętrza między

udami. Gdy leżała na brzuchu, jak na końskim grzbiecie, skakał na jej pośladkach, rozległych i twardych, głaskał po szyi. Delikatnie wsuwał język w małżowinę ucha, gdyż to sprawiało jej rozkosz. Lubiła kiedy bawił się jej włosami i rozczesywał je tak, jak rozczesuje się końską grzywę. Pozwalała mu gładzić swój brzuch i zaglądać w jej pepek, gdzie znikał jego palec, a jeszcze nie dosięgał dna. Wzgórza i doliny ciała olbrzymki stały się dla małego chłopca niezwykle ciekawym światem, pełnym rozkoszy, którą na rozmaite sposoby mogła osiągać kobieta, jeśli mężczyzna potrafił do niej przemawiać mową ciała: Naukę mowy ciała ponowiła Zely, gdy miał już trzynaście lat. Odtąd często kąpała się w drewnianej kadzi z ciepłą wodą, do której sypała ususzone i pokruszone drobno zioła rumianku, kwiatu konwalii i dzikiej róży, owoce kruszyny i kurze ziele, a także pachnące malinami drobniutkie igielki jałowca. Po kąpieli starannie nacierała włosy pod pachami, łono i całe krocze olejkim wyciskanyim z pączków sosny. Tak wymyta i przepięknie woniejąca siadał nago na swoim wielkim łożu, a rozebrany również chłopiec czesał jej długie i gęste włosy, od czasu do czasu głaszcząc palcami obnażony z włosów kark. Wówczas ku swemu zdumieniu, przekonywał się, że każde dotknięcie jej skóry na karku wzbudza w niej rozkoszny dreszcz. Mówiła, że ogarnia ją uczucie przedziwnego słodkiego ciepła, kiedy dotykał jej uszu, to palcami, to znów językiem, wślizgując się w małżowinę. Z cichym westchnieniem kładła się wówczas na łóżku, a on sunął najpierw palcami i ustami po jej zamkniętych powiekach, chwytal zębami

rzęsy. Potem jego palce i usta zsuwały się na szyję Zely, na jej krągłe ramiona, dłonie zaczynały coraz silniej uciskać strome i sprężyste piersi, a zęby leciutko gryzły brodawki. Wtedy oddech Zely stawał się przyśpieszony, a uda powoli rozchylały się. Im niżej zsuwały się jego dłonie i usta na twarde i wypukły brzuch, język wsuwał się w jej pępek, tym uda Zely rozsuwały się coraz więcej. Aż krzyknęła z rozkoszy, kiedy raptem - zgodnie z jej naukami - porzucił jej łono i pocałował duży palec u prawej nogi. A wreszcie udając, że jest zmęczony i zasypia położył swoją głowę na jej gołym udzie. Czuł jak szybko oddycha, a pod skórą podbrzusza poruszają się mięśnie ukryte w jego wnętrzu. Po chwili udawał, że budzi się ze snu i zanurzał twarz w pachnącej olejkiem sosnowym mierzwie włosów na łonie, uciskał wzgórek łona dłońmi, z początku bardzo słabo, a później coraz mocniej; w końcu widząc, jak jej długa różowa szpara między udami wypełnia się śluzem, którego zapach zmieszany z wonią olejku sosnowego był tak oszalamiający, że budził w nim zawrót głowy, dostrzegał wysuwający się ze szparki malutki czerwono-czarny jęczyzek, o którym Zely mówiła, że jest najwrażliwszą częścią ciała kobiety i różni ją od zwierzęcych samic. Nie miały go ani krowy, ani klacze i dlatego to, co czynili ze sobą ludzie, choć podobne do krycia się dużych zwierząt ssących, było jednak odmienne. "Mężczyzna, który nie bawi się owym jęczyzkiem kobiety, nie ssie go lub nie gładzi - wyjaśniła mu Zely - niczym nie różni się od ogiera pokrywającego klacz. Jest zwierzęciem, a nie człowiekiem." Dlatego chłopiec chwycił

wargami ów języczek, ssał go, aż zapach pochwy powodował w nim omdłałość, a u niej sapanie chrapliwe i coraz głośniejszy jęk. Czując, że mdleje chwytala go i podnosiła do swej twarzy, aby spotkały się ich usta. Palcami odchyłał jej dolną wargę i całował jej wnętrze, chwytal ostrożnie zębami, wsuwał w jej usta swój język i bładził nim po chropawym podniebieniu, wdychając oddech Zely przesycony słodyczą syconego miodu. Niekiedy ich języki spotykały się i jak dwa węże usiłowaly spleść, złączyć się, zlepici. A w tym czasie dłoń Zely zsuwała się między uda i coraz szybciej gładziła wystajacy języczek aż w końcu słyszał narastajacy w jej gardle krzyk, wywracały się gałki jej oczu i odrywał swe usta od jej ust, lękajac się, że ona się udusi od owego krzyku i braku oddechu. Po chwili już leżala nagle znieruchomiála, cicha i niema, tylko od czasu do czasu wstrząsały nią drgawki.

Nie odpoczywała długo, bo oto ona rozpoczynała naukę poznawania ciała mężczyzny, wskazujac na wielką władzę, jaką będą w tej mowie miały dobrze rozwinięte mięśnie brzucha, lędźwi, a także ramiona, aby mogły ściskać kobietę. Opuszkami palców dotykała wnętrza jego dłoni, a wówczas podobnie jak ona, kiedy dotykał jej karku, doznawał dreszczy rozkoszy. Tak przekonywała go, że nawet z pozoru nieczuła dłoń męska, stworzona jak gdyby tylko po to, aby chwytac drzewce włóczni, naciągać cięciwę łuku, uderzac przeciwnika, nosić ciężary mogła być także naczyniem rozkoszy i powinna dawać rozkosz..

Wędrowala lepkimi wargami po jego twarzy, powiekach, szyi,

sutkach i brzuchu, omijając jednak powoli nabrzmiewające prącie, ponieważ twierdziła, że jest ono jeszcze dziecięce i niedojrzałe.

Palcami i językiem głaskała worek z jądrami, złączenia ud. a nawet kolana, każde zaś takie dotknięcie budziło w nim przyjemne mrowienie w całym ciele. Pieszcząc go znowu sarna purpurowiała na twarzy od podniecenia i głaszcząc coraz szybciej swój wystający ze szpary języczek, nakazywała mu dotykać palcami otworu między pośladkami. Następnie zmęczona miłością pozwalała mu zasypiać r. dłonią wsuniętą w jej gorącą, lepka pochwę, co miało być dla niej i dla niego, jak to wyjaśniła, oznaką całkowitego zespolenia i pojednania.

"To była miłosna mowa ciała - mówiła później Zely. - Lecz ciało przemawia także w chwili strachu, kłamstwa i wszelakiego uczucia, także i wrogości najskrytszej. Okazało się, wedle .jej nauk, że każdy ruch nogi, ręki, pochylenie tułowia, skręt głowy, spojrzenie takie albo inne spod przymrużonych powiek, proste lub ukośne - oznaczało co innego. - Ludzie już zapomnieli mowy ciała, ale ich ciało nie zapomniało swojej mowy - tłumaczyła Zely. - Nie wiedzą, że ciało zdradza najskrytsze myśli. Ich usta będą ci mówiły co innego, ale mowa ciała wyjawia ci prawdę. Zaufaj mowie ciała, a nie mowie ust."

Oto usta i wargi. Zapewniała go Zely, że człowiek, choćby tysiącem przysięg obiecywał miłość, przyjaźń i życzliwość, jeśli ma zaciśnięte mocno wargi - kryje w sobie głęboko utajoną złość, nienawiść lub wrogość. Kobieta może mówić "nienawidzę", lecz jeśli wargi jej rozchylają się lekko ukazując zęby - tak naprawdę czuje co innego,

pożąda i pragnie. U mężczyzny również lekko rozchylone wargi mogą świadczyć o pożądaniu albo o pożądlivości, chciwości, chęci posiadania. I choćby po stokroć usta te mówiły o szczęściu i radości, śmiały się - opadające ku dołowi kąciki ust zdradzają smutek, rozpacz, nieszczęście.

Dłonie i ręce. One zawsze bezwiednie mówią prawdę, której zaprzeczają usta. Leżą spokojnie na kolanach lub jak w męce splatają się palce dłoni. Niekiedy dłonie rozchylają się, schodzą i znowu oddalają, świadczą o uczuciu niepewności, niezdecydowania. Ludzie zacierają ręce skrywając tym gestem swą radość, zazwyczaj z powodu jakiegoś zdradzieckiego podstępu. "Zaufaj ruchom dłoni - przestrzegala Zely. - Jeśli ktoś zapewnia cię o swojej życzliwości, ale jego dłonie zwierają się w pięści, bądź pewien, że za chwilę nagle wyciągnie miecz. To nic, że ktoś rozkłada szeroko ręce w radosnym powitaniu, zwracaj uwagę, co się z tymi rękami potem dzieje. Bacz na obydwie ręce razem i bacz na każdą z osobna, gdyż człowiek bywa leworęczny i praworęczny, a taki może pchnąć nożem z każdej strony. Niech cię niepokoją palce u dłoni, gdy kurczą się rozprostowują. ponieważ jest to oznaka, że ten człowiek zastanawia się czy nie chwycić za rękojeść swego miecza. Znaczenie ma także sposób podawania ci ręki, rodzaj uścisku dłoni -długi lub krótki, gwałtowny lub powolny, narzucony lub wypływający z otwartości i szczeroci. Tak samo jak powitanie ważna jest również czynność pożegnalnego uścisku rąk. Ona ci powie czy znalazłeś przyjaciela, czy wroga".

Nos. Rozchylone nozdrza świadczą o pożądlivości, lecz także o pragnieniu mordu. Należy się więc mieć na baczności, gdy nozdrza innego człowieka są mocno rozchylone i niekiedy aż dygocą ich płatki. Nos może poruszać się w lewo i w prawo. nawet skracać i wydłużać, umie się marszczyć, co wyraża zamyślenie lub niezadowolenie, a także skrywaną wzgardę. Kto nie patrzy na nos rozmówcy, nie widzi kierunku ruchu jego nosa - niechybnie szybko zginie.

Stopy i nogi. Jeśli ruchy nóg są powolne, niepewne, stopy źle przylegają do podłoża, wiedzieć należy, że ów człowiek jest słaby lub trawiony jakąś słabością, choć być może zapewnia wszystkich o swojej sile i swoim zdrowiu. "Ten jest silny - twierdziła Zely - kto kroki stawia mocno i twardo. Nie ufaj takiemu, kto staje przed tobą w lekkim rozkroku, ponieważ to znak gotowości do walki. Każ ludziom rozmawiać z sobą ze stopami ściągniętymi ku sobie, jedna obok drugiej. Z takiej pozycji nikt nie atakuje."

Oczy. Trzeba zwracać uwagę nie tylko na same oczy, ale i brwi. Ich marszczenie się, ściąganie - oznacza ukryte niezadowolenie lub gniew. Ważne jest też trzepotanie powiek, ruchliwość gałki ocznej lub jej zadziwiająca nieruchomość, albowiem każde z nich przekazuje odmienne uczucia. W rozmowie z innym oczy człowieka rzadko pozostają w bezruchu, a najczęściej kierują się na mówiącego, ku górze, ku dołowi, w bok - każdy taki ruch i kierunek tego ruchu mówią o innych uczuciach. "Bacz na spojrzenia skrywane, porozumiewawcze - uczyła Zely. - Bacz na przymrużenie oczu, opadanie powiek, ucieczkę

wzroku przed twoim spojrzeniem. Poznawaj i zapamiętaj wymowę spojrzeń. odnajdziesz w nich udany strach, skrytą nienawiść, rozkaz wydany komuś innemu, utajone pragnienie twojej śmierci, kłamliwe pochlebstwo, fałszywą radość lub udany zachwyt czy zdumienie, gdy raptem stają się niezwykle szeroko otwarte. Źrenice oczu zwężają się i rozszerzają nie tylko pod wpływem światła, ale i uczuć człowieka, i nikt nie potrafi zapanować nad mową źrenic. Jeśli zauważysz-, że źrenice twego rozmówcy odrobinę się zwężają, sięgaj po swój miecz."

Uczyła go także Zely mowy tułowia ludzkiego, znaczenia jego ruchów, pochyleń, krętów, kołysania się. Albowiem nawet okryte szatą, ludzkie ciało może przemawiać. Kto źle i niechlujnie nosi swą odzież - nie jest tak niebezpieczny jak osobnik o odzieży dobrze dopasowanej do kształtu swego ciała, szczególnie jeśli nie krępuje ona jego ruchów.

"Bacz jakimi ruchami ciała posługiwał się człowiek, gdy podchodził do ciebie uświadamiała go Zely. - I bacz, jakimi ruchami ciała posługuje się, gdy od ciebie odchodzi. Być może przekonasz się, że przybył do ciebie w strachu i pokorze. a odchodzi pełen radości, osiągnąwszy swój cel i oszukawszy cię. Ciesz się. jeśli odchodzący ma ruchy ciała niepewne i nieuważne, albowiem nie osiągnął swojego celu."

Głowa. Szczególnie przy powitaniu ważny jest każdy ruch głowy ludzkiej, jej pochYLENIE, jego głębokość, szybkość. Ruch powolny oznacza skrywaną wzdargę, podobnie, jak po powitaniu odrzucenie głowy do tyłu. "Pamiętaj - przestrzegala Zely - że ludzie walczą z sobą z lekko pochylonymi głowami. Uważaj na takie pochYLENIE głowy u

człowieka, którego jeszcze nie znasz i nie myl tego pochylenia z unізonością, bo może cię to kosztować życie."

Ogromnie skomplikowana i obszerna była nauka mowy ludzkiego ciała, lecz posiadał ją, ponieważ umysł miał chłonny a wzrok bystry. Zely umiała też pięknie śpiewać, każda jej pieśń zawierała historię o Spalach i o ich walkach. Najbardziej lubił pieśń o Tyrfingu i o tym, jak Spalowie podeszli pod Wielkie Mury. Prosił, aby mu te pieśni powtarzała wielokrotnie, szczególnie zimą, gdy w ich domu było ciepło od nagrzanego pieca, a na zamarznętej rzece szalały śnieżyce. W takie dni rozgrzewano kamienie w łaźni i oblewając je wodą wypełniano łaźnie parą. Kapali się wszyscy razem rozebrani do naga, a Zely chłostała ich ciała brzoзовymi witkami. Co chwilę ktoś wybiegał na śnieg, aby się ochłodzić i wracał w kłęby pary i upał. Potem ubrani w czystą bieliznę jedli wspólnie wieczerzę, solone mięso, świeżą rybę, chleb upieczony z pszenicy. Przy jedzeniu pito wiele piwa uwarzonego z kielkujących ziaren jęczmienia, startego dokładnie r dodatkiem chmielu. Czasami pito miód, do którego przedtem dolano wody, gotowano i odstawiano na jakiś czas, aby skwaśniał i nabrał mocy mieszania myśli i plątania języka. To właśnie po takiej wieczerzy i w śnieżną noc, kiedy Zely wypijała dużo piwa albo miodu, brała na kolana dużego już przecież chłopca i śpiewała:

Pieśń Zely o Tyrfingu

Dziesięć tysięcy lat walczyło plemię olbrzymów zamieszkujących skute lodem góry północy z plemieniem Asów, zasiedlających Drzewo

Życia. Asowie upodobali sobie kobiety olbrzymów. porywali je i zapładniali, budząc gniew ich ojców i mężów. Zwrócili się więc olbrzymi do złośliwych karłów, kryjących się w pieczarach górskich i trudniących się kowalstwem, aby wykuli im miecz zdolny pokonać Asów. I zrobili karty taki miecz - Tyrfingiem go nazwano. Nic go nie mogło złamać ani wyszczerbić, nawet uderzenie o skałę. Był tak ostry, że przecinał muchę w locie, a gdy na jego ostrze padł promień słońca, przeciwnik ślepl od blasku.

Poszli olbrzymi na bój z Asami i zaczęli ich zwyciężać dzięki sile Tyrfinga. Aż ulitował się bóg Odyn nad losem Asów, wyrwał Tyrfinga z rąk olbrzymów i rzucił go w najgłębsze wąwozy gór północy, obciążając go klątwą, że kto miecz odnajdzie i wyjmie z pochwy dla walki - paść musi trup. I tak wiele lat przeleżał w wąwozach górskich ów Tyrfing, aż znalazł go ubogi gocki pasterz kóz. Nie wiedział, jaki skarb wpadł mu w ręce, nie był bowiem wojownikiem, dlatego znowu przeleżał Tyrfing wiele lat w domu pasterza, a żaden człowiek nie padł martwy od jego ostrza.

Aż przyszły lata nieurodzaju i ludzie z dalekiej północy przepłynęli morze, aby przedostać się na południe, ku słońcu. Plemię pasterza wraz z Tyrfingiem wylądowało u ujścia rzeki Visuli i przyszło do kraju Spalów, prosząc o pozwolenie, aby iść dalej. Zgodzili się na to Spalowie, albowiem nie łaknęli nigdy krwi ludzkiej. Poprosili tylko o jedno: chcieli spróbować gockich niewiast, na co tamci się zgodzili i z krwi Spalów zrodziło się potem wielu potężnych władców Gotów i

Gepidów, którzy po długiej wędrówce osiedlili się w końcu aż nad wielkim i ciemnym morzem.

Tymczasem daleko na krańcach świata, tam, gdzie słońce wschodzi, wyroiły się liczne ludy. Małe, ze spiczastymi głowami, uzbrojone w łuki i jeżdżące na kosmatych koniach. Nazywano ich Hunami. Hordy ich ruszyły na Zachód, pod naporem Hunów zaczęły cofać się plemiona Gotów i Gepidów, aż przekroczyły rzekę Ister i poprosiły o łaskę wielkiego króla Romy, aby pozwolił im zamieszkać w bezpiecznych granicach swego państwa. Lecz wielki wódz Hunów imieniem Humla, podporządkowawszy sobie wiele różnych ludów i plemion, takich jak Alanowie, Wandalowie, Herulowie, Rugiowie rzucił się na potężne państwo Romy, podbił jego część i zagroził śmiercią samemu królowi Romy. Wówczas to rozegrała się mordercza bitwa między wojskami Romy, Gotami i Gepidami a Hunami. Trwała ta bitwa trzydzieści dni i trzydzieści nocy, aż cofnął się Humla.

Odczekał krótko i zebrawszy siły jeszcze raz uderzył na Romę, a tam - lękając się jego mocy - oddano mu wielkie skarby i wiele kobiet. Tak wzbogacony Humla ruszył w drogę powrotną poprzez kraj Spalów, o których wiedział, że byli olbrzymami.

Nad rzeką Visulą dopadły Hunów inne ludy, aby pomścić swoje krzywdy. Byli to Gepidzi, Goci oraz Spalowie i inne plemiona. Po stronie Hunów walczyli Alanowie i Herulowie, za co potem wszystkie inne ludy ich znienawidziły. Była to więc wielka wojna wielu ludów.

Zely zaśpiewała na inną melodię:

Opowiada się: Humla władał Hunami Gizur Gautami, Anganty

*Gotami Waldar Danami, a Walami Klar. Alrek, ten śmiałek,
angielskimi ludami.*

*Trzydzieści dni i trzydzieści nocy trwała mordercza walka. A gdy na
chwilę ustawała, zaraz pojawiał się jakiś wojownik i wzywał
przeciwników do bitwy:*

*"Oczywiście, że pojedę i tarczę poniosę by wezwać do walki z
wojskami Gautów."*

*Trzydzieści dni i trzydzieści nocy toczyły się zmagania, dając okropny
obraz. Oto: dzidami walczący Got, mieczem szalejący Gepida,
Rugijczyk łamiący oręż w jego ranie, Sweb chyżością nóg, Hun strzałą
celuje Alan w ciężkim, Herul staje do szyku w lekkim uzbrojeniu. A
Spal olbrzymi uderza jak tur.*

*I byliby zwyciężyli Hunowie, gdyby do walki nie wkroczył Anganty,
król Hreid-Gotów, który miał w sobie krew Spalów oraz miecz Tyrfing
noszony w jego rodzinie. Straszliwy Tyrfing siał spustoszenie,
tysiącami padali Hunowie, zginął ich wódz Humla, aż wreszcie
pokonani rozproszyli się po świecie i odtąd wszelki ślad po nich
zaginął. Herulowie w ostatniej chwili zdradzili Hunów i przeszli na
stronę Gotów i Gepidów. A wszystko to działo się nad rzeką Visulą, na
krańcach Kraju Spalów.*

*Anganty zasnął zmęczony zabijaniem. Wtedy Herul o imieniu
Odoaker, podkradł się do śpiącego, zabił go nożem i ukradł
straszliwego Tyrfinga. Dzięki temu mieczowi Odoaker stał się wodzem*

Herulów, pokonał Rugiów i Longobardów, a potem potężnego króla Romy. Jego królewską koronę odesłał do Rhomajów, mieszkających za Wielkim Murem, daleko na południowym wschodzie.

Tylko siedemnaście lat cieszył się władzą Odoaker, albowiem podstępnie zamordował go król Ostrogotów, Teodoryk. Wycofali się Herulowie z dawnego państwa Romy. Na osłabionych walką z Ostrogotami napadli Longobardowie i ostatecznie ich pokonali.

Wtedy to resztki Herulów postanowiły wrócić na północ, do swej dawnej ojczyzny na wyspie Thule. Bali się oni użyć do walki straszliwego Tyrfinga, ponieważ klątwa Odyna głosiła, że po wyciągnięciu miecza z pochwy musi paść trup, ale nie zawsze trupem jest przeciwnik. Tylko w dłoni człowieka obdarzonego tajemną siłą władzy sieje on spustoszenie. I tak oto Herulom wypadło iść przez kraj Spalów, aby dostać się do morza i leżącej na nim wyspy. Wynędziali i biedni byli Herulowie, Spalom zrobiło się ich żal. Zażądali od nich tylko Tyrfinga i otrzymali go. Wtedy Herulowie spokojnie przyszli nad brzeg morza i przepłynęli na wyspę Thule. Taka jest pieśń o mieczu zwanym Tyrfing, który wrócił do olbrzymów.

- A gdzie jest teraz Tyrfing? - dopytywał się chłopiec. - Musisz go mieć, Zely, skoro dostał się w ręce Spalów. Zely zasypiała zmęczona pieśnią i napełniona miodem. Chłopiec zaś sądził, że wszystko, co zawiera pieśń jest zapewne tylko piękną baśnią wymyśloną przez bogów, oni bowiem byli twórcami wszelkich pieśni. Lubił też słuchać o wyprawie aż pod Wielkie Mury, do kraju Rhomajów. Do owej wyprawy zachęcili

Spalów dzicy Awarowie, którzy stworzyli swoje państwo na południe od wielkich gór. Śpiewała Zely:

Stało się więc, że chagan Awarów przysłał poselstwo do Sklavinów, aby mu pomogli uderzyć na Rhomajów, którzy w licznych miastach mieszkają, w złotych szatach chodzą, we wszelkim dostatku toną. Ale przelękli się Sklavinowie, że daleka i niebezpieczna wyprawa ich czeka i tylko Spalowie odważyli się posłuchać wezwania chagana. Tedy wojsko Sklavinów prowadzone przez Spalów i przy wsparciu sklavińskich Antów, którymi dowodził wielki Spal imieniem Boza - tak jak twój ojciec - w sile trzech tysięcy ludzi przeszedłszy bez przeszkody rzekę Ister, a później równie łatwo rzekę Heuoros, podzielili się na dwie części. Jedna uderzyła na załogi grodów rhomajskich w Illyrii i w Tracji, a druga, pokonawszy wodza Asbadosa, wzięła szturmem miasto Toperos nad brzegiem morza odległego od Wielkich Murów o dwanaście dni drogi. Wysłano przeciw nim znaczne wojsko, na czele stanęli niezwykli wodzowie: Monstantiunus, Aratius, Nadzares oraz Jan z przydomkiem Fagas. Nastąpiła zażarta bitwa, w której klęskę ponieśli Rhomajowie, a Sklavinowie straciwszy wszelki respekt przed wojskami Rhomajów ruszyli naprzód, ziemię, zwaną astykijską, plądrowali do woli, a że od dawna nie była przez nikogo grabioną, znaleźli tam bogate łupy. I tak dotarli aż pod Wielkie Mury odległe od Miasta niewiele ponad dwa dni drogi.

Powrócili Spalowie z ogromnymi bogactwami do swoich dworów i domostw. Nie upłynęło jednak wiele czasu i znowu wspólnie z

Awarami ruszyli na Rhomajów, przeszli przez całą Helladę, przez ziemię Tessali i Tracji i rabowali aż po wielkie Mury. Zabijali zaś pokonanych nie mieczem, włócznią ani w żaden inny zwyczajny sposób, lecz wkopywali w ziemię cztery pale i przywiązywali do nich ręce i nogi pojmanych, potem zaś ich tłukli pałkami po ciemieniu jak psy albo źmije.

- Kim był ów Boza, wódz Antów? - pytał chłopiec.

To był prapradziad twojego ojca, Bozy - odpowiedziała Zely.

- Czemu wódz Boza i inni Spalowie zabijali pojmanych jak psy lub

źmije? - Nie wolno ci inaczej postępować, jeśli zechcesz zostać

prawdziwym wodzem - tłumaczyła Zely. - Najpierw musisz być

niezwykle okrutny, aby samo twoje imię budziło strach i paraliżowało

wolę walki. Dopiero później możesz okazywać litość i łaskawość. Kto

zacznie od litości, nie będzie ani wodzem, ani władcą.

Z wypraw przynieśli Spalowie nie tylko bogactwo. Przywlekli też

chorobę scytyjską, która powodowała, że mężczyźni przywdziewali

stroje kobiece i zajmowali się czynnościami przewidzianymi dotąd dla

kobiet. Tak niewieścieli wojownicy. Kobiety zaś Spalów stawały się

bezpłodne i nie mogły rodzić olbrzymów. Zwykle zaś kobiety

zapłodnione nasieniem Spalów, rodziły zwykłych ludzi, ale o sile

olbrzymów. Lecz i oni, gdy dorastali albo zapadali na chorobę

scytyjską, albo ruszali w świat opanowani żądzą wielkich czynów.

Pustoszał więc kraj Spalów i powoli zaczęli go zasiedlać zwykli ludzie.

Trudnili się rolnictwem, hodowali pszczoły i handlowali woskiem,

zamieniając go na żelazne radła i na sól. Po wielu latach ostał się tylko Boza i jego siostra Zely. Boza utonął na bagnach, a ostatnim z krwi Spalów pozostał jego syn o jasnych, prawie białych włosach, zrodzony ze zwykłej kobiety.

Smutno kończyła się pieśń Zely. Wkrótce przekonał się syn Bozy, że Zely śpiewała prawdę. Oto jeden z dorosłych chłopców, najlepszy wrzucaniu toporem, nagle przebrał się w strój kobiecy i zasiadł do krosna. Inny zaś, wprawiony niezwykle do walki na miecze, pokłonił się Zely oraz innym mieszkańcom dworu i ruszył przed siebie, w nieznaną, aby dokonywać wielkich czynów. Odtąd Zely nie pozwoliła mu zaprzyjaźnić się z żadnym dorastającym chłopcem. Pilnowała też, aby nie wchodził do zamieszkałych przez nich domów, zawsze nocował w jej łóżu, przy niej. Wierzyła, że w ten sposób uchroni go przed chorobą scytyjską i nigdy nie ogarnie go żądza wielkich czynów.

Zdarzyło się pewnej zimy, a miał już czternaście lat, że gdy spał obok Zely, a ona delikatnie ssła mu członek, nagle jakieś nie znane mu dotąd przejmujące uczucie ogarnęło chłopca. Niezwykła rozkosz przeniknęła go aż do bólu, doznał skurczu w swoich jądrach i wydając z ust krzyk rozpacz, nappełnił usta Zely czymś białym i lepkiem. A kiedy to się stało, ogarnęło go wrażenie smutnego spokoju, który pozwolił mu zasnąć niezwykle głębokim snem. Nazajutrz Zely całowała mocno całe jego ciało i zaparzyła dla niego mocnych ziół. Będę cię odtąd ssala tylko dwa razy w tygodniu, aby ci nie odebrać twojej siły i twojego nasienia - zapowiedziała. - Stałeś się mężczyzną,

synu Boży. W trzy dni później przetoczył głaz przez całe podwórze.

Nadeszła mroźna księżycowa noc. Przed północą Zely obudziła go i

kazała mu się ciepło ubrać. Sama też była ubrana w futro bobrowe.

Wzięła łuczywo i maczugę, ujęła chłopca za rękę i w blasku księżyca

wyszła z dworu Spalów. Szli po skutej lodem rzece i mimo że zewsząd

wyły wilki, Zely nie zwracała na nie uwagi.

Znaleźli się na ostrowiu porośniętym ogromnymi drzewami. Na

ostrowiu znajdowało się niewielkie wzgórze i kamień zasypany

śniegiem. Oczyszczyła Zely kamień ze śniegu i kazała go chłopcu

przesunąć. Dwa razy przymierzał się do głazu syn Boży, ale głaz nie

pozwolił się ruszyć z miejsca. Zely chciała wracać do dworu, gdy

chłopiec jeszcze raz wyężył wszystkie siły i zdołał kamień odwalić,

ujawniając głęboki tunel wyłożony drewnianymi kłodami. Wtedy to

Zely zapaliła łuczywo i poprowadziła chłopca do podziemnego

domostwa, gdzie w blasku ognia ujrzał nieprzebrane skarby zdobyte

przez Spalów na Rhomajach. Było to złoto i srebro w naszyjnikach i

diademach, były też suknie zbutwiałe przez wieki, oręż do walki, złote

końskie uprzęże. Otworzyła Zely wielką spróchniałą skrzynię pełną

szmat, odwinęła z nich krótki miecz:

Oto jest straszliwy Tyrfing. Niech będzie twój. Ale pamiętaj o

przekleństwie Odyna: jeśli go wyciągniesz do walki, musi paść trup.

Przeznaczono go tylko do ręki władcy. Nie wiesz jednak na pewno czy

zostaniesz władcą.

Syn Boży wziął do ręki Tyrfinga i poczuł się rozczarowany. Miecz był

lekki i z niezwyklego metalu zrobiony, nie błyszczał. Pokrywał go czarny nalot.

- Mówiłaś, że od jego blasku można oślepnąć... - Czy nie widzisz, że jest na nim zaschnięta krew?

Wybrała dla chłopca tarczę - lekką, ale bardzo mocną - szlom z żelaza pokryty miedzianą blachą. Misterną kolczugę zrobioną zapewne jeszcze przez Rhomajów dla jakiegoś wodza. I toporek z długim cienkim obuchem przedłużonym poza otwór dla toporzyska i zakończony półkolistym zgrubieniem. Wszystkie te przedmioty zawięła w rozkładające się ze starości szmaty i kazała nieść chłopcu, a sama zawałiła kamień i poprowadziła syna Bozy w świetle księżycowego blasku z powrotem do dworu Spalów.

Przez długie godziny czyścił syn Bozy wszystkie przedmioty ze skarbca aż stały się jak nowe. Od ostrza Tyrfinga, gdy padał na niego blask słońca, można było oślepnąć. Dlatego Zely kazała mu zrobić z deszczulek lipowych pokrytych skórą skromną pochwę.

- Staraj się walczyć toporkiem - radziła. - Pamiętaj o klątwie. Nie wiesz, czy będziesz władcą i czy to nie ty zginiesz, gdy do walki wyciągniesz Tyrfinga. Wojenny rynsztunek miał się stać jego nową skórą. Dlatego kazała mu Zely, aby w swej lekkiej łódeczce codziennie przepływał przez rzekę i godzinami biegał przez lasy i łąki, uzbrojony w toporek i miecz, w szlomie na głowie i w kolczudze. Tak też czynił, ćwicząc swoje mięśnie i swoją wolę.

Zdarzyło się, że któregoś popołudnia, z powodu upału, schronił się w cień gęstego lasu i pędząc jego skrajem nieco zwolnił swój bieg. Nagle kościany grot strzały uderzył go w pierś i ześliznął się po żelaznych kółkach kolczugi. Potem dosięgło go silne uderzenie grotu oszczepu z krowiego rogu, zwanego rogacicą, lecz i on odbił się od tarczy, którą syn Boży trzymał na plecach. Nie wiedział ilu jest wrogów i jak są uzbrojeni. Czy powinien przyśpieszyć biegu i oddalić się od lasu, czy też stanąć do walki. Zawahał się, czy może wyjąć z pochwy strasznego Tyrfinga, na którym spoczywała klątwa Odyna. Bo jeśli nieprawdziwa była przepowiednia Zely, że stanie się władcą, nie wróg, ale on sam padnie w tej walce.

Uskoczył na łąkę i oddalony od lasu o kilkanaście kroków stanął w postawie obronnej, tak jak go uczyła Zely. W prawej ręce miał toporek, który wyciągnął zza skórzanego pasa, a w lewej okrągłą tarczę. Usłyszał szelest gałęzi i z bocznego starego klonu zeskoczył Leśny Człowiek. Syn Boży rozpoznał go, gdyż Leśny Człowiek był prawie nagi, tylko w przepasce na biodrach zrobionej z kawałka wilczego futra. Jego długie włosy spadały na plecy, twarz miał zarośniętą. Wzrostem wydawał się nieco niższy od zwykłego człowieka, ale miał szerokie barki i niezwykle umięśnione uda oraz wydatne łydki.

Leśny Człowiek odrzucił od siebie łuk i tuł do przechowywania strzał. Zza pnia klonu wydobył kilka maczug bukowych, niezbyt długich, przeznaczonych do ciskania we wroga. Jak samiec żubra, zanim rzuci

się do walki, najpierw wydał ze swej piersi zwierzęcy ryk i nawet na podobieństwo żubra grzebał jedną nogą w ziemi. Widać było jak podnieca się do walki, pluje śliną, a oczy, słabo widoczne w gęstwinie włosów na twarzy, zaczynają błyszczeć i nabierać czerwonej barwy.

Na wargi powoli występowała mu piana.

Mógł przerazić każdego swoim wyglądem i przez strach odbierać wolę walki. Syn Boży rozumiał, że Leśny Człowiek oczekuje, że stanie się to, co zwykle: ofiara rzuci się do ucieczki. On umiał jednak biegać szybciej od zwykłych ludzi, szybciej od sarny czy jelenia, i w plecy uciekającego zazwyczaj trafiała silnie rzucona maczuga.

Ale syn Boży stał nieruchomo i czekał na atak. Strach w nim minął, przestały dygotać łydki i ramiona, natomiast ogarnęło go powoli przedziwne uczucie: pragnienie walki.

Drewniana maczuga poleciała w kierunku syna Boży, lecz ten odbił ją swoją tarczą. Teraz sam rzucił toporkiem, który zrobił w powietrzu kilka obrotów. Wróg uchylił się i toporek wbił się w pień klonu. Leśny Człowiek wydał z siebie wtedy przejmujący okrzyk i z maczugą rzucił się na syna Boży, myśląc, że tamten pozostał bezbronny. Wówczas to zabłysnęło w słońcu ostrze Tyrfinga i na moment oślepiło Leśnego Człowieka. Ta krótka chwila wystarczyła, by ostrze, które dzieliło na dwoje muchę w locie, odcięło mu głowę od karku. Odskoczył do tyłu syn Boży, krew zalała ramiona i pierś Leśnego Człowieka, głowa już leżała na ziemi, a bezgłowy tułów jeszcze zrobił krok naprzód. Potem nagle padł i tylko raz rzucił się w agonii. Teraz syn Boży krzyknął

głośno i był to okrzyk tryumfu. Tyrfing zabił Leśnego Człowieka. Czy nie był to znak, że syn Boży ma w sobie krew władców?

Pogardliwie splunął na martwe ciało, bez wstrętu chwycił długie włosy Leśnego Człowieka, wyrwał toporek z pnia klonu i z krwawiącą jeszcze głową lekkim truchtem pobiegł w kierunku rzeki i swojej łódki.

Zarośniętą głowę wbiła Zely na długą tykę i postawiła ją nad bramą dworu Spalów. Tkwiła tam aż z czasem kruki wydziobały wszystkie mięso, czyniąc czaszkę białą i nagą. Tylko długie rudawe włosy Leśnego Człowieka wciąż trzymały się czaszki i powiewały na wietrze. Tego wieczoru Zely kazała sobie pokazać ostrze Tyrfinga. Spojrzała na zaschnięte plamy krwi, wytarła je szmatą, a potem, jak gdyby sama przejęta lękiem, ostrożnie popatrzyła na syna Boży.

- Przeczuwałam, że staniesz się władcą - powiedziała cicho. - Ale nie wiedziałam, że będziesz aż tak wielkim. Jeśli piętnastoletniego młodzieńca posłuchał straszliwy Tyrfing, jakże ci będzie posłuszny, kiedy osiągniesz wiek męski? Teraz jestem pewna, że ogarnie choroba zwana Żądzą Czynów.

- Nie chcę zostać władcą, jeśli to znaczy, że zachoruję na Żądzę Czynów i będę chciał cię opuścić - nieoczekiwanie powiedział do Zely. -

Powiedz: po co mi władza nad innymi ludźmi?

Pierwszy raz zobaczył jej twarz zmienioną, wyrażającą nie znane mu dotąd uczucia. Patrząc gdzieś ponad jego głowę rzekła z ogromną powagą i odrobiną smutku:

- Zrodziła cię kobieta z karłowatego rodu. Podobno twoim ojcem był

mój brat, olbrzym Boza. Ale przecież nie masz co do tego żadnej pewności. I właśnie dlatego zapadniesz na chorobę zwaną Żądzą Czynów. Nie przyznasz się do tego nikomu, ale w najtajniejszej głębi swoich myśli będziesz wciąż się zastanawiał, czy płynie w tobie krew olbrzymów, czy też tylko karłów. Całe twoje życie to będzie udowadnianie sobie i innym, że jesteś jednak synem olbrzyma. Ażeby to sobie i innym udowodnić, będziesz musiał dokonywać czynów na jego miarę, co znaczy, że staniesz się kiedyś wielkim władcą. - I dodała jeszcze po chwili: - Ale to wcale nie znaczy, że musisz stąd odejść. Po co dokonywać wielkich czynów daleko, skoro można to czynić blisko? Poprowadziła go na brzeg rzeki i na piaszczystej łasze w złotawym piasku zaczęła kreślić rozmaite linie.

- Patrz i zapamiętaj, synu Bozy. Oto rzeka Notecz, nad którą mieszkamy, wpada do Warty, a potem do rzeki Viaduy. Oto rzeka Visula dążąca ku morzu, gdzie swój gród ma książę Gedan. Oto granice państwa Goluba Popiołowłosego, a dalej na południe państwo księcia Karaka i jego wielki gród Karradonon. Obok nich żyje wiele ludów i plemion posiadających tylko władców plemiennych albo zupełnie wolnych od wszelkiej władzy. Liczne to ludy, zamieszkujące wiele grodów. Zuireani mają trzysta dwadzieścia pięć grodów, Busani aż trzysta dwadzieścia jeden grodów i osad, ziemia Sitticów jest niezmiernie ludna z pięciuset szesnastoma grodami, Sebbiroci mają dziewięćdziesiąt grodów. Wielki i ludny jest kraj Unliców, Neriuanów, a także Attorocich ze stu czterdziestoma sześcioma grodami. Inne

pokrewne nam ludy to Villerroci, Zabroci, Znatelici, Zeruani, od których wywodzą się wszystkie ludy Sklavińskie. Są też i Pyrysjanie, Luboszanie, Wolinianie, Ślężanie, Lunsici, Opolini, a także Golensici. Zapamiętaj to, co ci pokazałam na piasku i wiedz, że z tych to plemion i ludów możesz stworzyć potężne państwo i zostać jego władcą, a będzie to kraj od morza Swebskiego aż po góry Karpatos. Niech padnie przed tobą na kolana książę Golub Popiołowłosy władający Lendicami i Gopelanami, niech się ukorzy przed tobą książę Karak. Zapamiętaj: zabijaj nawet własne dzieci, jeśli ci staną na drodze do władzy. Zapamiętaj: Tyrfing otworzy ci drogę do władzy, lecz utrzymać ją pomoże rozum i spryt. Zapamiętaj: bądź bezwzględny i okrutny dla swoich wrogów, okazuj jednak czasem łaskę i wielkoduszność, ale na krótko. Nigdy nie zapomnij wyrządzonej ci krzywdy lub przykrości. Najbardziej będą cię nienawidzić ludzie, którzy mając ci coś do zawdzięczenia. albowiem wdzięczność jest żmiją trawiącą trzewia człowieka. Najbardziej kochają ci, którzy dopiero zasługują na twoją wdzięczność. Strzeż się ludzi chudych, cierpiących na bezsenność, gdyż noc jest matką spisków. Niech cię otaczają osobnicy, którzy kochają rozkosze jadła i ciała; sytość i gnuśność rzadko prowadzą do spisków. Udawaj, że wielu traktujesz jako swoich przyjaciół: tak naprawdę nie miej żadnego. Nie mów tego, co uczynisz dziś, jutro, za rok. Zapamiętaj: musisz zdobyć opaskę ze skóry, jaką na swoich popielatych włosach nosi książę Golub. Jest na tej opasce kamień zaczarowany. Bóg Swaróg rzucił go ludziom na ziemię, jako okruch

słońca, podnieśli go kiedyś żyjący wśród nas Celtowie i nazwali Andala, ponieważ przynosi zawsze zwycięstwo. Jeśli kamień na głowie władcy mętnieje, to znaczy, że władca traci rozum i władzę. A jeśli nabiera słonecznego blasku, mądrością błyszczą także oczy władcy. Tę przepaskę załóż na swoje włosy, synu Boży, tak, aby kamień Swaroga połyskiwał na środku twego czoła. Zapamiętaj: nie można tej opaski zdobyć przelewając krew, ale ten, który ją posiada, powinien oddać ją dobrowolnie. Tyrfing i Andala to będzie twoja siła.

Zapamiętałeś?

- Tak - odparł syn Boży. Wówczas powiedziała mu Zely:

- Jeśli swoimi wielkimi czynami udowodnisz, że jesteś synem mego brata, olbrzyna Boży, tedy okaże się, że masz w sobie krew jego pradziada, Wielkiego Samo, który przed dwustu laty stworzył pierwsze państwo Sklavinów i pokonał nie tylko Hunów zwanych Awarami, lecz także króla Franków imieniem Dagobert. Po śmierci Wielkiego Samo rozpadało się jego państwo, lecz przecież przez lata na jego miejscu wciąż tworzą się nowe księstwa i królestwa. Ty zbudujesz największe, a po tysiącu lat twoje plemię pomoże zburzyć potęgę Teutonów i postawi nogę na gruzach największego ich grodu. Tysiące olbrzymów śpi bowiem na tej ziemi i ten będzie wielki, kto ich potrafi obudzić do życia i natchnąć wolą walki.

Następnie przez wiele dni uczyła go Zely znanej dobrze Spalom magicznej sztuki utrwalenia myśli i słów, to jest sztuki kreślenia sklavińskich runów. Nie może bowiem stać się olbrzymem ten, który

nie potrafi utrwałać swoich myśli i słów oraz przekazywać ich innym nawet na bardzo dalekie odległości. Kiedyś owa sztuka kreślenia runów była powszechna, jak powszechnie żyli olbrzymi. Zaginęła jednak wraz z nimi, nie jest bowiem w stanie objąć jej umysł karłów, a ludzie karłowacieli. Wszystkie wielkie ludy posiadają swoje runy, utrwalają myśli i słowa dla innych i potomnych. Dziś jednak nie zna już tej sztuki nawet Golub Popiołowłosy, a tylko co najwyżej pamiętają ją jeszcze najstarsi oraz ona, Zely. 'Teraz zaś posiadał ją syn Bozy:..

Odtąd, kiedy się tylko nadarzyła okazja, wabiły ku sobie młodzieńca kobiety i dziewczęta na dworze Spalów. Podnosiły suknie, aby mu okazać przyrodzenie i zachęcić ku sobie, rwały koszule i obnażały piersi. Ale Zely nie pozwoliła mu nigdy dotknąć żadnej dziewczyny czy kobiety. "Zarażę cię chorobą scytyjską. Ja zaś chcę, abyś stworzył nowe państwo Spalów" - mówiła. A kiedy nocą tężał mu członek, ssala go, dopóki nie poczuła w ustach smaku nasienia. On zaś nie myślał o innych kobietach, ponieważ ich ciała wydawały mu się brudne i wątle, ciało zaś Zely było piękne, czyste, ogromne. Nie wyobrażał sobie, aby istniała kobieta piękniejsza niż Zely: miała bardziej bujne włosy i bielsze zęby, delikatniejsze i cieplejsze wargi. Olbrzymki nie brudziły się raz w miesiącu, jak zwykle kobiety i nie starzały się tak szybko jak one. Dopiero po latach pojął, że miał z nią podwójną rozkosz, bowiem była dla niego matką i zarazem kochanką.

ROZDZIAŁ PIĄTY - SZCZEK

Herim obudził się o świcie i ze zdumieniem stwierdził, że Dago nie śpi już od dawna. Mimo chłodnego ranka pływał po jezioru i to chyba od dłuższego czasu. Herim widział wielu kąpiących się mężczyzn - zazwyczaj tej czynności towarzyszyło głośne pluskanie, radosne okrzyki i nawoływania. Ten zaś człowiek pływał po wodzie tak cicho, jak pływa wydra rzeczna lub bóbr; tylko delikatna smuga poruszonej wody na kształt strzały odchodziła od jego głowy wychylonej z toni. Potem Dago wyszedł nago na brzeg i zaczął wycierać się lnianym ręcznikiem. Dopiero teraz zobaczył Herim jak szerokie są barki tego mężczyzny, jak wypukłą ma klatkę piersiową, jak drgają pod złotawą skórą sznury jego mięśni. I poczuł Herim zazdrość, że jest chudy, słaby i cherlawy, ponieważ swoje dotychczasowe życie strawił na czytaniu i przepisywaniu uczonych ksiąg. Marzył, że zostanie przeorem lub nawet biskupem, ale zgubiła go namiętność do kobiet. I jak wszyscy ludzie słabi fizycznie, ale obdarzeni wiedzą, pomyślał, że jeśli Bóg stworzył tak silnego mężczyznę jak Dago, to zapewne poskąpił mu rozum i że on, Herim, chyba wczoraj oszalał ulegając urokowi tego osiłka, który ubzdurał sobie stworzyć własne państwo.

Po porannym posiłku Herim z lekką drwiną w głosie zwrócił się do Dagona: - Jak długo nam wędrować wypadnie, zanim dojdziemy do kraju, gdzie zechcesz zbudować swoje państwo? Czy to będzie dzień, tydzień, czy też lata?

- Nie wiem, Herimie. To zależy ode mnie i od ciebie. A także od tych, którzy zechcą żyć pod moją władzą. Może będzie na to potrzebna

chwila, a może i całe lata.

- Czy są ludzie, panie, którzy zechcą dobrowolnie oddać się pod twoją władzę? Ludzie rodzą się wolnymi, a władca czyni ich niewolnikami. Słyszałem wiele razy, że na Wschodzie żyją ludy wolne, nie wybierają władców, nie wiedzą, co to podatki.

- Nikt nie rodzi się wolnym. Najpierw jest niewolnikiem swoich rodziców, swego rodu, swojego języka, swojej wiary, a także swojej płci oraz rozumu i siły, którą go obdarzono. Rodzimy się też niewolnikami swoich słabości. Nie wiem, co to znaczy być człowiekiem wolnym, ponieważ nie wiem, co to jest wolność. Gdybyś żył tylko sam na świecie, być może mógłbyś myśleć o sobie, że jesteś wolnym. Ale jeśli spotkasz drugiego człowieka, to albo ty go weźmiesz pod swoją władzę, albo on ciebie sobie podporządkuje.

- Dziwne nauki pobierałeś, panie. Nigdy o takich nie słyszałem.

- To źle, Herimie. Dlatego odpowiedz mi na pytanie: Co ludzi jednoczy, co ich zbliża ku sobie?

- Ludzie jednoczą się, aby razem dokonać tego, co jeden człowiek samotnie zrobić nie potrafi. Ludzie też jednoczą się dla odbywania wspólnych modłów. - Nie, Herimie. Ludzi jednoczy strach lub nienawiść. Jednoczą się, gdy zagraża im niebezpieczeństwo albo gdy sami chcą na kogoś napaść, obrabować go, zabić. Najpierw jest ród, który wybiera swojego starostę czy żupana, by każdego członka rodu bronił przed innymi, przestrzegał praw rodowych, strzegł pól uprawnych i bydła. Tak więc

ród jednoczy strach, aby inny ród nie odebrał im życia i mienia.

- Tak, panie.

- Jeśli kilka rodów łączy jeden język lub jedna mowa, mówimy, że istnieje plemię. Plemię jednoczy się, gdy grozi mu niebezpieczeństwo lub samo zamierza napaść na inne. Wtedy naczelnicy rodów wybierają plemiennego władcę i tak powstaje państwo.

- Czy takie państwo chcesz stworzyć, panie?

- Nie, Herimie. Nie takie widziałem w świecie. Cóż bowiem jednoczy państwo Rhomajów? Czy wola ludu, naczelników rodowych lub przywódców plemiennych? Prawdziwe państwo może tylko jednoczyć wola jego władcy.

- Nic nie rozumiem, panie. W głowie mi się miesza - jęknął Herim.

Uśmiechnął się Dago i powiedział:

- To dobrze, Herimie. Władca powinien się otaczać ludźmi rozumnymi, ale przecież zapamiętaj sobie to, że nikt nie może być rozumniejszy od władcy. Gdybyś pojmował dokładnie moją myśl, musiałbym ci uciąć głowę, albowiem to ty, a nie ja, mógłbyś stać się władcą. - A potem znowu rzekł Dago: - Powiedziałeś mi, Herimie, że umiesz modlić się po łacinie i posiadasz sztukę uzdrawiania ludzi. Twoja modlitwa mi niepotrzebna. Powiedz mi jednak w jaki sposób trzeba uzdrawiać ludzi.

- Similia similibus curantur - odpowiedział Herim.

Dago skinął głową. Tego samego uczyła go Zely. Żółtaczkę kazała leczyć marchwią lub innym zieleń o żółtych kwiatach, różę -

czerwonymi jagodami poziomek lub czerwono kwitjącym

bodziszkciem krwistym. Ból głowy należało usuwać liśćmi grążeli, gdyż miała ona kuliste jak głowa owoce.

- A jak będziesz leczył zwierzę, które wejdzie w człowieka? Jaszczurkę lub węża albo raka?

- Wystraszyć go może tylko to, co ostre i nieprzyjemne: pokrzywa, napar z ostu albo gorzki piołun. Chorego można też okadzać nieprzyjemną wonią i straszyć chorobę imionami diabłów.

- Nie okłamałeś mnie - stwierdził Dago. - Pamiętaj jednak, że i dotknięcie szaty władcy ma także moc uzdrawiającą. Bo władca, Herimie, jest wszystkim.

Dago wreszcie zdołał ujarzmić Vindosa. Biały ogier chyba pojął, że nie będzie przedmiotem podziwu w świętym chramie Ranów, ale zacznie nosić na swoim grzbiecie człowieka. Ukorzył się przed siłą Dagona, pozwolił sobie zakładać uzdę, ściągać popręg i wskakiwać na siodło.

Lecz tylko jemu, ponieważ Dago nie złamał dumy białego ogiera, a tylko ją poskromił. Wystarczyło, że Herim zbliżył się do Vindosa, a biały ogier stawał na tylnych nogach i przednimi próbował go zmiażdżyć. I jak to zwykle bywa u dumnych zwierząt albo dumnych ludzi, natychmiast pokochał istotę, która okazała się silniejszą. Odtąd nawet pasąc się swobodnie wciąż oglądał się za Dagonem, podnosił łeb i szukał go wzrokiem, a zobaczywszy - rżał cichutko. A kiedy go Dago głaskał, ogier nieruchomiał lub lekko dygotał z rozkoszy.

Herim dosiadł dawnego konia Dagona i obydwaj już w siodłach,

jedynie z jucznym luzakiem, ruszyli przed siebie, kierując się na Wschód. Wciąż przedzierali się przez puszcze i nie zdarzyło się im spotkać człowieka. Lecz następnego dnia puszcza ustąpiła polom. Z daleka widzieli gródki i zbudowane wokół nich drewniane domostwo. Przebywali łąki, gdzie pracowali ludzie z krótkimi półkosami w rękach przygotowujący siano na zimę. Tak weszli w kraj rolniczy, pełen małych rzek i strumieni, niewielkich lasów i pól, z zagonami obsianymi żytem ozimym oraz prosem. Ziemia była wszędzie dobrze uprawiona, zapewne przy pomocy żelaznych radeł. Przy sianokosach pracowali ludzie wolni; tych można było poznać po długich włosach, i niewolnicy, zazwyczaj krótko ostrzyżeni. Zobaczywszy dwóch jeźdźców i konia z jukami, nie rzucili się do ucieczki. Ludzie wolnego stanu brali do rąk włócznie lub miecze i patrzyli w stronę obcych. Gdy znikali im z oczu, spokojnie wracali do przerwanej roboty, co świadczyło, że kraj ten od dawna nie zaznał wojny. Dago zresztą bardzo uważnie wybierał kierunek jazdy. Niekiedy musieli sporo nakładać drogi, gdy ujrzawszy przed sobą kępę drzew lub nawet las, obiecujący cień w skwarze dnia, Dago nagle zawracał Vindosa i ów las objeżdżał ogromnym łukiem. "To Święte Gaje - tłumaczył potem Herimowi. - Jeśli chcemy przeżyć, musimy szanować obyczaje. Nikt obcy nie ma prawa tam wstępować. Pyrysjanie są liczni i silni, bądźmy ostrożni. Kiedyś zresztą być może i oni będą moim ludem." Mówił to z taką pewnością w głosie, że Herim mu wierzył, choć nic - poza tymi słowami - nie zapewniało, że tak się stanie. Ale czy państwo

buduje się w ciągu jednego dnia' Dago miał jakiś cel przed sobą i dokądś zmierzał. Herim nie pytał, szczególnie od chwili, gdy zobaczył jak ugiął się przed nim biały i dziki ogier. Czuł się zresztą jeszcze osłabiony, a ponieważ nigdy dobrze nie władał mieczem, obawiał się nieopatrzonym pytaniem wywołać gniew Dagona. I jeśli nawet raz czy dwa przemknęła mu przez głowę myśl, aby nocą oddalić się od obozowiska, uświadomił sobie, że bez Dagona znowu byłby niczym zwierzę i dopełniłby życia w nowej klatce z leszczynowych prętów. Słaby i cherlawy nieświadomie pragnął znaleźć się pod skrzydłami cudzej mocy i cudzej siły. Posiadłszy wiedzę i rozum wciąż wątpił w wszystko, nawet w Boga. Zachwycaly go tedy proste i jasne odpowiedzi tego silnego człowieka, ponieważ pozbawiały go męki zwątpienia. Stąd tak wielu ludzi słabych gamie się do mocnego władcy, a wielu mędrców oddaje swój rozum na jego usługi. Tymczasem wędrowali wciąż dalej i dalej. Zdarzyło się, że widzieli przemykające na koniach gromadki uzbrojonych wojowników. Herim, który ciągle czuł się słaby, bał się spotkania z nimi i cieszył się, gdy w takich razach Dago krył się wraz z końmi w kępie drzew lub za jakimś wzgórzem.

- Boję się Pyrysjan, panie - wyznał w końcu Herim. - Kiedy wreszcie znajdziemy się na Ziemi Ludzi Wolnych, gdzie zechcesz stworzyć swoje państwo? Dago wzruszył ramionami:

- Sam poznasz Ziemię Ludzi Wolnych, czyli Luboszan, gdy zobaczysz zrujnowane grudki, słabo obsiane pola i ludzi kryjących się przed

nami. To będzie ta ziemia. Nikt bowiem na niej nie czuje się bezpieczny.

Wkrótce też sprawdziły się słowa Dagona. Tego dnia od południa minęli silnie obwarowany gród Pyrysjan i wieczorem stanęli nad brzegiem jakiejś rzeki. U brodu po jednej i po drugiej stronie, na dwóch pagórkach ze sztucznie wykopanymi fosami i drewnianymi palisadami znajdowały się dwa gródki i kilkanaście domów przytulonych w ich pobliżu. Właśnie zabrakło Dagonowi żywności i należało odnowić zapasy, musieli więc spotykać się z miejscowymi ludźmi i kupić potrzebne im rzeczy: Aby tego dokonać właśnie tutaj, zachęcił Dagona widok zaniedbanych pól i zniszczonych obwałowań. Dwa rody, które tu mieszkały, nie mogły być silne i liczne, spotkanie nie groziło walką.

Przenocowali nad brzegiem rzeki i dopiero raniem zbliżyli się do pierwszego z gródków. Jak zwykle w takich razach, widok uzbrojonych jeźdźców spowodował panikę i ucieczkę z domów za nędzne obwałowania, w których obrębie była szopa drewniana, zapewne zamieszкана przez naczelnika rodu, czyli starostę, najstarszego, tutejszym ludziom bowiem starość kojarzyła się z wiedzą i mądrością.

Nie wjechali do grodu, a tylko stanęli przed zamuloną fosą, czekając aż się ktoś pojawi i nawiąże z nimi rozmowę. Po chwili wyszedł stary człowiek o siwych włosach w towarzystwie dwóch mężczyzn uzbrojonych w miecze żelazne i proste drewniane tarcze.

- Jestem Dago Pan, który wraz ze swoim sługą, Herimem, wędruje do kraju Spalów - oświadczył starcowi w mowie Sklavinów. - Chcemy kupić chleb i posilić się mięsem. Nie mamy wrogich zamiarów.

- Moje imię, Chorywa - odezwał się po sklavińsku starzec. - Panuję nad rodem Lisiców. Niewiele mamy chleba i skąpe jado. Ale nie odprawimy nikogo głodnym.

- A tamten gród? - Dago wskazał drugi brzeg rzeki.

- Tam, panie, mieszka ród Nielisiców, z którym byliśmy zwaśnieni.

Chorywa wskazał im walące się domostwo, aby w nim odpoczęli, ale

Dago brzydził się robactwem, które zawsze wypełniało takie miejsca.

Zdecydował, że założą obozowisko w najbliższym sąsiedztwie grodu, gdyż konie muszą się dobrze napaść. Pokazał denara i poprosił o chleb i mięso.

- Dobrze - zgodził się Chorywa.

Bydło - tylko kilka sztuk - oraz stado owiec i kóz pasło się pod lasem.

Zabito koźlątko, rozpalono ogień, na którym zaczęto piec mięso. W

gródku życie potoczyło się zwykłą koleją, Sklavinowie byli ludźmi

subtelny, udawali, że nie dostrzegają obcych i nie starali się

narzucać im swojej ciekawości. Tyle tylko, że ruch po domach stał się

żywszy, usłyszeli stuk masielnicy, zadymiły piece chlebowe, robiono

dla przybyszów twaróg ze skwaśniałego mleka.

Z gródka po drugiej stronie rzeki przyszedł wolno bardzo stary

człowiek ubrany w białe giezło i białe gacie. Długą chwilę patrzył na obcych.

- Szkoda, że nie jesteście kupcami. Mam dużo wosku do sprzedania, ale od dawna nie odwiedzają nas ludzie handlujący woskiem.

Wieczorem rozpalono ognisko, przy którym zasiadł Dago i Herim, i tylko dwaj starcy z rodu Lisiców i Nielisiców. Reszta ludzi ukryła się poza kręgiem blasku ognia, jak nakazywał obyczaj, i przysłuchiwała się rozmowie z obcymi. W kilka lat później Herim napisał w swojej kronice:

"A kiedy Dago Pan i ja przybyliśmy na Ziemię Ludzi Wolnych, do grodów Lisiców i Nielisiców, za jednego denara nakarmiono nas obficie, dano polewkę mleczną, placki jęczmienne z masłem, twaróg i mięso koźlecia. Więcej nie mogli nam niczego ofiarować ani sprzedać na dalszą drogę, ponieważ sami przymierali głodem gnębieni przez straszego Smoka. Było bowiem zwyczajem Sklavinów, że gdy człowiek z jednego rodu zabił albo skrzywdził człowieka z drugiego rodu, nie szukano pomsty, ale wyznaczano zapłatę za krzywdę i czas ten nazywano wiarą, zapłatę zaś pokorą. Tedy mężczyzna Lisiców zabił mężczyznę Nielisiców i kobietę pozbawił mężczyzny. Przyjął wiarę ród Nielisiców i wyznaczył pokorę - skoro kobieta straciła mężczyznę, musiał go jej dać ród Lisiców. A że tamci nie chcieli się pozbawić męża silnego do walki i pracy, tedy oddali owej kobiecie czternastoletniego chłopca imieniem Szczek, gdyż kiedy był mały, zamiast mówić - szczekał, a mimo swoich czternastu lat wciąż jeszcze bawił się jak siedmioletnie dziecko. Lubieżna kobieta wzięła więc w ramiona owego Szczeka, on się jej jednak tak przeraził, że udusił ją i

uciekł w las. Trzy lata o sobie znaku nie dawał, aż wreszcie zaczęto znajdować tu i ówdzie uduszone kobiety, młode i stare. To czynił Szczek, który w Smoka się zmienił i zemsty szukał. Po grodach i po wioskach zaczęto ukrywać kobiety przed Szczekiem i czynić wyprawy, aby go zabić. Lecz on był tak dziki i silny, tak zręczny, że w siedmiu norach mieszkał i nigdy nie wiadano, z której wypadnie i zdobytym skądś toporem mężczyznę zabije, a kobietę rękami udusi. A gdy tego było mu jeszcze mało, na kupców zaczął napadać i ich grabić, dlatego kupcy innej drogi szukali i aż osiem grodów nad rzeką w biedę popadło. Wówczas to powiedział im Szczek: «Odtąd co roku każdy z ośmiu rodów jedną dziewczynę do mnie przyprowadzi, a ja ją uduszę dla swej przyjemności. Wtedy będziecie mieć ode mnie spokój.»

Zapytał ich Dago Pan: «Tylu was, a on jeden. Jakże to tak?»

Odpowiedzieli: «To nie jest zwykły człowiek, ale Szczek.» Zapytał ich

Dago Pan: «Jeśli sami rady dać nie możecie, dlaczego nie poprosicie jakiegoś władcy, aby was od Szczeka uwolnił?» Odpowiedzieli:

«Szczek tylko jedną dziewczynę raz do roku bierze, natomiast każdy władca zabiera wolność, to jest wszystko.» powiedział Dago Pan:

«Jest takie prawo na świecie, że słaby oddaje się we władzę silniejszego, ten zaś we władzę jeszcze silniejszego, a ten najsilniejszy oddaje się pod władzę księcia i króla. Czemu nie chcecie mieć swojego króla?» Odpowiedzieli: «Na naszej ziemi przeklęte jest imię księcia i przeklęte jest imię króla, ponieważ wszędzie, gdzie oni władają, lud płacze w niewoli. Nie księcia i króla nam potrzeba, ale piastuna, który

by nas wziął w swoje piastowanie jak matka bierze swoje dziecko.»

Powiedział Dago Pan: «Czy chcecie, abym was uwolnił od Szczeka?»

Odpowiedzieli: «Tak, panie. Ale czego żądasz w zamian. Ilu kobiet, ile

dzieci, ile krów i ile owiec?» Powiedział Dago Pan: «;niczego od was

nie żądam, tylko tego. abyście złożyli przysięgę na moją tarczę, że

nadajecie mi tytuł Piastuna. wiele bowiem tytułów nosiłem w swoim

życiu, ten jednak wydaje mi się najpiękniejszy.»

A potem - czego już Herim nie zapisał - wszyscy dokoła widzieli jak

Dago ukrył swoją twarz w dłoniach i długo milczał. Płomienie ogniska

zdawały się sięgać jego dłoni, lecz jak gdyby ich nie parzyły. Po

włosach Dagona pełzały na przemian smugi cienia i blasku, jego zaś

włosy stawały się to czarne, to znów złote. I choć nikt nie potrafił

nazwać swych uczuć, ludzie zrozumieli, że mają przed sobą mocarza.

Nagle Dago odjął dłonie od twarzy i zapytał starców: - Czy złożyliście

w tym roku daninę Szczekowi?

- Mamy dziewczynę dziesięcioletnią. Ciągłe choruje i pewnie umrze.

Na jesieni, aby wydała się starszą, oddamy ją Szczekowi.

- A skąd będzie wiedział, że przynieśliście mu ofiarę? Przecież krąży po

lesie i ma siedem kryjówek.

- Zabijamy koguta i zawieszamy go na drzewie zwanym Drzewo

Szczeka. Jest to stara lipa rosnąca nad urwiskiem rzeczonym. Gdy

kogut zostanie zabrany, jest to dla nas znak, że następnego dnia

można do tego drzewa przywiązać ofiarę. Ale nie sądź, panie, że da się

on schwytać w pułapkę. Ukryty w gęstwinie leśnej widzi ilu ludzi

zbliża się do drzewa, czy ktoś nie chce go zająć od tyłu lub z boku.

Chroni go też urwisko rzeczne. Wielu próbowało zrobić tam na niego zasadzkę i nikomu ona się nie udała.

- Przynieście mi zaraz sieć dużą i gęstą. Jutro zaś zawieszicie koguta na Drzewie Szczeka. Potem wykonujcie wszystkie rozkazy człowieka, który siedzi obok mnie, a na imię ma Herim. "Teraz odejdźcie, abym mógł się pomodlić do swoich bogów.

Odeszli, a potem jeden z nich przyniósł Dagonowi sieć dużą i gęstą.

Przeraził się Herim i przypadł do ręki Dagona.

- Co czynisz, panie? Obiecałeś stworzyć państwo wielkie i silne. Czy nie rozumiesz, że zwykły przypadek. twoja śmierć lub rana zadana przez Szczeka, może pokrzyżować te wszystkie plany?

Dago dorzucił gałęzi do ogniska i odpowiedział Herimowi:

- Nie wiem co to jest przypadek. Opowiedz mi o nim, jeśli potrafisz.

Rozpaczliwie zaczął grzebać Herim w swojej pamięci, aż wreszcie przypomniał sobie:

- Był wielki wódz Hunów zwany Atyllą. Nazywano go Bicz Boży i samo jego imię budziło strach. Wziął sobie za żonę młodą kobietę i wydał wspaniałą ucztę, na której tak się objadł, że umarł z obżarstwa. A wtedy napadły na Hunów wszystkie ludy i pokonały ich nad rzeką Nadeo, ponieważ nie stało Atylli.

- Mów dalej, Herimie - poprosił Dago.

- Papież Grzegorz I został Wielkim, ponieważ nad Mauzoleum

Hadrjana pokazał się ludowi Archanioł Gabriel. Wtedy to odstąpili od

murów Świętego Miasta potężni Longobardowie, zaczęła ich bowiem trapić krwawa dryzdaczka. To przez przypadek pokonano Hunów i przez zwykły przypadek, dryzdaczkę i Archaniola, papież Grzegorz I został Wielkim.

- Mów dalej, Herimie - poprosił Dago.

- Król Longobardów Alboin został zamordowany przez własną żonę.

To samo uczyniła żona następnego króla, Klefa. Przez ten głupi przypadek Longobardowie przez trzynaście lat nie wybrali żadnego króla, choć w tym czasie mogli wprowadzić arianizm do Świętego Miasta i historia świata potoczyłaby się inaczej. Nóż dwóch kobiet pokierował historią. Albowiem historia nie posiada żadnych praw i nikt nie wie, dlaczego jedne ludy nagle rosną w siłę i błyszczą jak słońce na niebie, a potem tak samo nagle zachodzą za horyzont.

Największe dzieło potrafi zniszczyć trucizna, wygrana lub przegrana bitwa. Historia jest jak gra w kości. Nie idź, panie, po Szczeka, bo przypadek może rozstrzygnąć o naszych losach.

Uśmiechnął się Dago do Herima i rzekł:

- Pojąłem, że są dwa rodzaje przypadków: dobry i zły. Dlaczego sądzisz, że mnie czeka zły przypadek?

- Mówiłem, że to gra w kości. Chcesz grać o swoje państwo?

Zamyślił się Dago i Herimowi wydało się, że go przekonał. Ale on, układając się do snu i okrywając sukiennym płaszczem, powiedział:

- Cenię twój rozum, Herimie. Nie lubię grać w kości, nie lubię wina i piwa, od kobiety nie wezmę nawet wody, jeśli ona jej wpierv nie

pokosztuje. Zrobię jak zechcesz, jeśli rozwiążesz zagadkę.

- Słucham, panie.

- Czy Grzegorz I dlatego został Wielkim, że pokazał mu się Archanioł, czy dlatego pokazał mu się Archanioł, że Grzegorz I miał zostać Wielkim?

- Jak to zrozumieć, panie?

Czy można pokonać tysiące trudności i powalić na kolana setki ludzi, jeśli nie potrafi się pokonać jednego człowieka? Teraz śpij, Herimie. I nie rozkazuj mi więcej, gdyż nie potrafiłeś rozwiązać mojej zagadki.

Herim jeszcze raz odważył się zapytać Dagona: Powiedz mi, panie, szczerze: jesteś chrześcijaninem?

- Namaszczo mnie olejami świętymi i złożyłem wyznanie wiary.

Pobłogosławiono też mój miecz. W swoich jukach wożę złoty łańcuch z krzyżem. Pamiętaj, że moje władztwo będzie święte.

- Nigdy jednak nie widziałem cię modlącego się albo żegnającego krzyżem, natomiast wiele razy dawałeś stawę leśnym i rzeczonym bogom.

- Władca musi mieć wiele sług i służyć wielu bogom. Dlatego nigdy więcej nie pytaj mnie, czy jestem chrześcijaninem. Jestem bowiem tym, kim chcę być. Tylko ja wiem kim jestem.

Czy wolno będzie mi się za ciebie modlić, gdy pójdziesz walczyć ze Smokiem?

Dago nie odpowiedział. Dopiero po dłuższej chwili zdobył się na wyznanie

- Urodziłem się w karłowatym rodzie, ale moim ojcem był olbrzym

Boza.

Wielu ludzi widziało, jak się rodziłem, ale nikt nie widział, jak mnie poczyniono. Skąd mogę mieć pewność, że ojcem moim był olbrzym, jeśli nie będę dokonywał czynów, które przerażają nie tylko karłów, lecz nawet zwykłych ludzi? Daj mi pewność, Herimie, że począł mnie olbrzym Boza, a nie pójdę walczyć ze Szczekiem. Lecz skoro ani ty, ani nikt na świecie nie może mi dać tej pewności, tylko moje nadludzkie czyny staną się bezspornym dowodem. - Po chwili dodał: -Jeśli zginę, pochowaj mnie jak karła. Jeśli wrócę żywy, zapomnij o tym, co ci teraz mówiłem, albowiem umrzesz jeśli dostrzegę w tobie choć odrobinę wahania, czy mam w sobie krew olbrzymów. Wszystko mogę innym wybaczyć, oprócz tej wątpliwości.

I Dago zasnął lub udawał, że śpi, nigdy bowiem nie był Herim pewien, co się z nim dzieje tak naprawdę. Herim jednak nie mógł zasnąć, gdyż znowu miał zamęt w głowie.

Ognisko dogasało i na niebie rozbłysły gwiazdy. Herim popatrzył na gwieździste niebo i po raz pierwszy od dłuższego czasu pomyślał o Bogu jedynym i wszechmogącym. Było prawdą, że jeszcze w klasztorze w Fuldzie przestał wierzyć w Boga umęczonego na krzyżu, gdyż stał się on prywatną własnością papieży i biskupów, a nawet niektórych władców. Z jego imieniem na ustach wprowadzali swoje własne porządki; mówili, co jest zdaniem tego Boga dobre, a co złe, nakładali na swoje głowy korony, budowali państwa, zabijali, czynili

niewolnikami, nakazywali porzucać wszelkie żądze, ale sami pełni byli najróżniejszych żądz. Nawet Święte Miasto stało się miejscem największej rozpusty. I on, Herim, też się poddał żądzy do niewiasty, ale jego - choć rozgrzeszonego - wypędzono z klasztoru, a potem obłożono klątwą. Czy istniał Bóg jedyny i wszechmogący, jeśli to, co czynili władcy zawsze było dobre i zyskiwało jego uznanie, a to, co czynił człowiek mały - stawało się złe i zostawało potępione? Skoro nie istniał Bóg, nie istniały także żadne jego prawa, historią ludów i władców rządził przypadek i chaos.

Pomyślał Herim, że być może niedaleka przyszłość da mu rozwiązanie zagadki Dagona. Wtedy albo znowu znajdzie się w klatce z leszczynowych prętów, albo dojdzie do najwyższych godności. Dlatego pod swoim okryciem z wilczej skóry, mimo ciepłej nocy, aż zadygotał z trwogi, albowiem tak jedno jak i drugie - wydawało mu się przerażające.

Przed brzaskiem Dago wstał i szeptem wydał Herimowi kilka rozkazów, od których znowu lęk ogarnął mnicha. W milczeniu patrzył jak jego pan objuczony siecią i uzbrojony tylko w swój krótki miecz zniknął w ciemnościach; a gdy wreszcie rozplynął się w mroku, poczuł Herim ciężar samotności. Pojął, że nie ma nikogo bliskiego na świecie oprócz człowieka, który odszedł. Bez niego świat jest chaosem, a on, Herim, marnym prochem zdany na przypadek. Zrozumiał Herim, że pokochał Dagona miłością bardziej podobną do zwierzęcej niż ludzkiej.

Rano Chorywa przyniósł zabitego koguta. Zaniepokoił się brakiem

Dagona, ale Herim pokazał mu pasącego się Vindosa.

- Dago poszedł po Szczeka, a ty spełnij to, co przykazał - powiedział Herim.

Starzec zjawił się po dwóch godzinach. Kogut wisiał na Drzewie Szczeka. Nie okazał Herim ludziom ani niepewności, ani trwogi, ponieważ tak mu nakazał Dago.

Przyszedł wieczór, a potem zapadła noc. Na niebie znowu jasno świeciły gwiazdy, Herimowi ciążyła samotność i przenikał go lęk.

Myślał o tym, co go czeka, jeśli Dago zginie. Zostaną mu trzy konie, w tym piękny biały ogier, wypełnione bogactwem juki oraz miecze frankońskie. Ale dokąd z tym wszystkim ma się udać Herim, mnich, który przestał wierzyć w Boga? Co ma uczynić człowiek świadomy chaosu świata? Nie chciał wracać na Zachód, do Franków. Bał się też barbarzyńskich Sklavinów na Wschodzie. Czy Dago był szalony ze swoim planem stworzenia silnego państwa? Czy był szalony, idąc na spotkanie ze Szczekiem? Lecz jeśli nawet historia ludów była zbiorem przypadków i Dago mógł zginąć z ręki Szczeka, tak samo prawdopodobne się zdało, że pokona i stworzy swoje państwo. Na przemian, nadzieja i trwoga dręczyły Herima.

Rano pojawił się Chorywa i powiedział, że zniknął kogut na Drzewie Szczeka.

- Przeprowadź do mnie dziewczynkę - rozkazał władczo Herim. -

Zanim ją przywiążesz, w imieniu Dagona i z jego rozkazu, mam ją

wziąć w jego piastowanie. Czy ona wie, co ją czeka?

- Nie, panie. Gdyby wiedziała, umarłaby ze strachu albo rzuciła się do rzeki.

Dziewczynka była jak na swój wiek wątła, słabo rozwinięta. Może chorowała na płuca, bo męczył ją kaszel. Może jej serce biło zbyt powoli, bo miała blade wargi.

Herim pogładził jej rzadkie, długie, jasne włosy, ujął dłoń pod brodę

i - zajął w niebieskie przerażone oczy. Wiele dróg przemierzył

Herim, napatrzył się wielu okrucieństwom, czytał o mordach i

skrytobójstwach. Ileż okrucieństw doznało jego własne ciało? Ale

przecież to dziecko, które szło na śmierć, obudziło w nim ogromną

litość i wątpienie. Dlaczego to jemu Dago powierzył tak okropne

zadanie, aby wysłał na śmierć małe dziecko? Czuł, że jeszcze chwila, a

rozkazę Chorywie odprowadzić dziewczynkę do domu.

Przemógł się jednak. Z wściekłością kopnął nie dopalone kłody w

wygastłym ognisku. Potem pochylił się nad dzieckiem i na jego czole

uczynił znak krzyża, mamrocząc jakieś niezrozumiałe nawet dla siebie

słowa.

- Idźcie - rozkazał starcowi, wskazując daleki skraj lasu.

Odwrócił się od nich plecami i przy wygasłym ognisku usiadł

skurczony, jak gdyby go bolał brzuch. Nawet nie zauważył, że tego

ranka nikt nie opuścił swojego domu, cała wieś wyglądała jak

martwa, choć śmierć dziecka była tu sprawą zwyczajną.

Chorywa przywiązał dziewczynkę powrozem do pnia wielkiej lipy nad

urwiskiem. Nie wyrzekł ani słowa, gdyż z dzieckiem, a szczególnie z dziewczynką, nie trzeba było rozmawiać. Dziewczynka też o nic nie pytała, bo wiedziała, że nie usłyszy słowa od starca. Dopiero kiedy zniknął jej z oczu, zaczęła płakać. Najpierw bardzo cicho, a potem coraz głośniej.

Dago słyszał płacz. Leżał tuż nad dziewczynką, przytulony do grubej gałęzi lipy, schowany wśród liści w opończy, szary jak ów pień. Bolały go wszystkie kości, słabość ogarniała ciało. Bo jak długo można leżeć nieruchomo na grubym pniu drzewa i wypatrywać przeciwnika? Ani jeden członek jego ciała nie mógł drgnąć, aby nie spowodować szelestu liści. Szczek był podobny do Leśnego Człowieka, którego spotkał w młodości i stoczył z nim swój pierwszy śmiertelny bój. Las stał się żywiołem Szczeka, jak żywiołem ryby było morze. Każdy szelest liści, ruch wśród gałęzi musiał do niego przemawiać językiem lasu. Inaczej szeleścił dla Szczeka biegnący kozioł, inaczej ptak w gałęziach drzewa, a jeszcze inaczej - człowiek.

Dlatego przez cały upalny dzień nieruchomo leżał Dago na konarze i czekał aż Szczek przyjdzie po koguta. W gałęziach lipy szumiały pszczoły, liście zapewniały cień, lecz gorące powietrze wysuszało usta. Miał ze sobą naczynie z wodą zamknięte, ale nie śmiał po nie sięgnąć. Stara lipa rosła na małej polance nad urwiskiem z szumiącą w dole rzeką, zewsząd jednak zdawały się śledzić to miejsce czyjeś oczy ukryte w gęstwinie. Czas włókł się wolno, a Szczek nie nadchodził, choć często Dago słyszał rozmaite szelesty w krzakach. Chwilami

ostrożność wydawała mu się zbędną, ponieważ nie miał pewności czy Szczek jest w pobliżu, czy zauważy koguta i przyjdzie po niego. Lecz jeśli cokolwiek w życiu człowieka miało się powieść - Dago wiedział, że ceną była cierpliwość i martwiejące od zneruchomienia członki. Cóż to był ów przypadek, o którym wciąż mówił Herim? Przypadkowy ruch na gałęzi, przypadkowo usłyszany przez Szczeka obcy szelest w koronie drzewa, a więc nieostrożność, brak cierpliwości. Przypadkiem należało kierować, mieć go nie przeciw sobie, ale za sobą. Powodzenie można było osiągnąć jedynie bolesnym zneruchomieniem na konarze, spękanymi od pragnienia wargami, umiejętnością zwyciężenia czasu, który mijał bardzo powoli, gdy ciało słabło.

Szczek nie pojawił się, choć wiele razy oczom Dagona zwiadywała się jakaś obrośnięta głowa nad krawędzią urwiska lub słyszał szelest w krzakach i widział coś, jak przemykający cień ludzkiej postaci między drzewami.

Nadeszła noc pełna gwiazd. Dago przywiązał się do konara, aby nie spaść, jeśli nie zdoła powstrzymać ogarniającego go snu. Razem z ciemnością powieki stawały się coraz cięższe i powoli opadły. Na jak długo zasnął? Chyba na chwilę. A jednak tej nocy kogut zniknął. Nie mógł go porwać zwierz, bo wisiał za wysoko. Nie zjawił się po niego ptak, gdyż nie było takiego ptaka, który bezszelestnie mógłby porwać ciężkiego koguta. Uczynił to tylko człowiek o stopach lekkich jak duch. Przypadek pomógł Szczekowi. To znaczy pomogła mu chwila snu Dagona. "Przypadek sprzyja tym, którzy czuwają - pomyślał. - Nie

zostanie władcą człowiek, który ufa nocy. Ilu władców zginęło podczas snu?" I poczuł wściekłość, że nie pozostanie władcą, gdyż jego ciało nie było z żelaza.

A potem leżał na konarze i słuchał płaczu dziewczynki. I ten płacz wydawał mu się znowu jakąś kolejną próbą. Tylko że to już nie była próba ciała, ale próba uczuć. Ten płacz miał wzbudzić w nim litość, miał nakłonić go do uwolnienia płaczącej dziewczynki. Nigdy nie poddano Dagona takiej próbie. A przecież chyba musiał przez nią przechodzić każdy władca, jeśli - jak powiadał Herim - tylu z nich zabiło własne dzieci, aby im nie zabrały władzy? Czy płacz dziecka znaczy coś w historii ludów i państw? Czy słyszeć go poprzez wieki? Czy płacz dziecka zdolny jest obudzić drzemiące ludy?

Dago zaczął myśleć, że to dziecko powinno płakać jeszcze głośniej i rozpaczliwiej, aby usłyszał je Szczek i aby bezbronność ofiary obudziła w nim chorą żądzę. Jeśli ten płacz wywabi Szczeka i Dago go pokona, będzie to zarazem płacz, który obudzi drzemiące ludy. Kiedyś Dago odda temu dziecku sprawiedliwość i powie, że to jego płacz dał początek jego państwu. Tak więc teraz trzeba go słyszeć i jak gdyby nie słyszeć. Historia zapisuje tylko imiona władców i ich czyny, a nie notuje płaczu setek przerażonych dzieci. Historia jest tak samo okrutna jak Szczek.

Frankowie poddawali ludzi próbie żelaza. Rozpalonym żelazem dotykali ciała, a gdy rana nie goiła się szybko, takiego uznawali za winnego zarzucanym mu podejrzeniom. On, Dago, jeśli dojdzie do

władzy, będzie poddawał ludzi próbie duszy. Kto wie, czy ta druga próba nie jest ważniejsza? Człowiek któremu przyświeca wielki cel powinien panować nad nienawiścią, nad miłością, nad uczuciem litości.

Raptem coś zaszleściło w krzakach nad urwiskiem. Jeden krótki błysk, ale Dago wiedział, że to promień słońca odbił się na ostrzu topora. Na polanę wszedł wolno młody mężczyzna. Dago spodziewał się zobaczyć kogoś w rodzaju Leśnego Człowieka, obrośniętego długim włosiem. Ten też był barczysty, o ogromnej klatce piersiowej, ciemne włosy opadały mu na kark. Twarz jednak miał bez zarostu, niemal z dziecięcym wyrazem radości na widok przywiązanej do drzewa dziewczynki. Zdawało się, że nie widzi niczego poza jej wątłym ciałem. A jednak spojrzenie małych oczu obiegło polanę i rosnące wokół krzaki, szedł bezszelestnie bosymi stopami. Przypominał Dagonowi dziecko, które nigdy nie dorosło.

Z każdym krokiem ku dziewczynce oczy Szczeka przestawały być bystre i czujne, usta -zaczynał wykrzywiać jakiś dziwny uśmiech, wargi dygotały. Dziewczynka zobaczyła go i płacz ucichł. Nareszcie zrozumiała, po co ją tu przyprawiono i kim jest zbliżający się ku niej człowiek. O trzy kroki do ofiary porzucił topór i wyciągnął ku niej rękę. A gdy sięgał dłońmi jej szyi, z gałęzi nad jego głową spadła sieć, a potem zeskoczył Dago i jednym ciosem Tyrfinga uciął głowę potwora.

Dziewczynka też była martwa. Zabił ją strach. Jej ciało odwiązał Dago

od pnia drzewa i zarzuciwszy sobie na ramię ruszył w stronę ludzi.

Wielu się później zbiegło, aby oglądać zabitego. Jego martwe ciało

dźgali oszczepami i włóczniami aż wreszcie posiekali na kawałki i

rozzręcili po całym lesie. Dago zaś położył się przy wygasłym ognisku,

nakrył opończą i pod opieką Herima spał przez całą dobę.

Przybyło też kilkunastu mieszkańców okolicznych grodów nad rzeką i

wspólnie poszukiwano siedmiu kryjówek Szczeka. Powrócili z łupami,

które on zrabował kupcom. Była to broń, jantar, sól, ozdoby z brązu i

ze złota, zwoje sukna, a nawet jedwabiu.

Między ośmiu starostów rozdzielił Dago bogactwo Szczeka, następnie

na swoją tarczę kazał im złożyć przysięgę, że odtąd gdziekolwiek

będzie - na Wschodzie lub Zachodzie, po lewej albo po prawej stronie

świata - jeśli ich wezwie sam, albo przez posłańca, pójdą bez wahania,

aby mu pomóc w walce z gnębiącym kogoś smokiem.

- Myślałem, panie, że tutaj zaczniemy budować twoje państwo -

powiedział

Herim do Dagona. - Ziemia tu żyzna, a kobiety wydają się urodziwe.

Dago wzruszył ramionami:

- Nikogo nie obchodzi ugór leżący odłogiem. Ale niech no ktoś spróbuje

go orać, zaraz znajdzie się wielu właścicieli. Pokonają nas władcy

Pyrysjan lub władca Lendiców. Moją ojczyzną jest kraj Spalów.

Byli gotowi do odjazdu, kiedy ciało małej dziewczynki zaczęło płonąć

na stosie, a powietrze wypełniło zawołanie płaczek. Ośmiu starostów

otoczyło białego ogiera, na którym chciał odjechać Dago. Usłyszał od

nich:

- Obiecałeś stać się naszym Piastunem, a teraz nas opuszczasz.

Dlaczego? Wskazał Dago ręką na Wschód i na Zachód, na Północ i na Południe.

- Będę tam albo tu. Będę tutaj albo tam. Wezwijcie mnie, jeśli zacznie was gnębić nowy strach.

Zachlupotały w płytkim brodzie rzeki kopyta trzech koni. Na drugim brzegu Herim ośmielił się zapytać:

- Co miałeś na myśli, panie, mówiąc, że może ich znowu zacząć gnębić nowy strach.

Ponura była twarz Dagona.

- Woleli swojego Szczeka niż wybrać władcę, ponieważ Szczek zabierał jedną dziewczynę na rok, a władca zabiera wolność. Nie można władać ludem, który nie odczuwa strachu przed własną wolnością.

- Czy ty, panie, nie lubisz wolności?

Tyle zjeździłem świata, a przecież nigdy nie spotkałem naprawdę wolnego człowieka. Bo nawet władca, który ma setki niewolników jest od nich zależny. Wszędzie natomiast spotkałem strach. Dlatego jeśli kiedyś zdobędziesz przybory do pisania, utrwal dla historii:

Przebywszy szczęśliwie kraj Pyrysjan Dago Pan spotkał lud Luboszan cierpiący straszliwie od smoka zwanego Szczekiem. Ulitował się nad tym ludem i zabiwszy smoka przyjął tytuł Piastuna. Potem zaś obdarowany przez nich żywnością ruszył w dalszą drogę w poszukiwaniu kraju Spalów. Wiedział bowiem, Pan, że lud ten odda

się kiedyś pod jego władzę, ponieważ na miejsce jednego zabitego smoka zawsze wyrasta pięć innych smoków...

ROZDZIAŁ SZÓSTY - DRUZO

Stało się to w samym środku surowej zimy. Miał wtedy szesnaście lat i zgodnie z rozkazami Zely uczył się sztuki wytrwałości: całymi dniami biegał przez lasy i zamarznięte moczary w pełnym rynsztunku bojowym, w hełmie, kolczudze, z tarczą, nożem zawieszonym u szyi, Tyrfingiem u pasa, toporem, włócznią i łukiem na plecach. W futrzanych butach, w które miał wpuszczone futrzane spodnie przemierzał ogromne przestrzenie, brnąc przez zaspę, ucząc się sztuki rozpoznawania śladów pozostawionych przez różne zwierzęta, a także ludzi. Niekiedy polował, przeważnie na wiewiórki, doskonaląc swoje umiejętności strzelania z łuku zatrutymi strzałami. Na kolczudze nosił pelerynę z wiewiórek, uważano ją za cenną, gdyż była lekka i ciepła. Pewnego popołudnia ujrzał chmurę dymu w tej stronie, gdzie znajdowała się wioska Zemlinów. Dym był czarny, potem siwy i rudawy; chmura olbrzymiała i wyglądała groźnie na tle niebieskiego zimowego nieba. Z początku myślał, że Zemlinowie wypalają las, aby poszerzyć swoje pola uprawne, lecz przypomniał sobie, że czynili to przeważnie wczesną wiosną albo późną jesienią, a nie w środku zimy. Zaniepokoił się tym trochę i przystanął obserwując dym na horyzoncie. Miał uczucie, że ktoś go woła na pomoc, skądś zbliża się niebezpieczeństwo. Zlekceważył jednak to wrażenie, ponieważ ogarnęła go złość. Zobaczył wiewiórkę na gałęzi buka, strzelił i nie

trafił, strzala wbiła się wysoko w pień. Stracił strzałę z żelaznym grotem, pień nie miał niższych gałęzi i nie mógł się wspiąć po nią. Wtedy zobaczył drugą chmurę czarnego dymu. Tym razem bardziej na zachód, gdzie znajdował się dwór Spalów. Wówczas zaczął natychmiast biec w tamtą stronę - rytmicznie przerzucając ciężar ciała z nogi na nogę i starając się równo oddychać. Od dworu Spalów dzieliło go bardzo wiele stajañ, czarny dym zdążył stać się rudawy, siwy i znowu czarny. Zastłonił połowę nieba i nawet skrył zachodzące zimowe słońce. Ale chłopiec nie przyśpieszał kroku, ponieważ zdawał już sobie sprawę, że nastąpiło najgorsze i musi przybiec do dworu Spalów w pełni sił, aby walczyć.

Z czasem, kiedy już był niedaleko celu, dym zaczął rzednąć, szarzeć, przebijało się przez niego amarantowe zachodzące słońce. Potem już nie widział nieba, gdyż zanurzył się w gęsty las, za którym była zamarznięta rzeka i wyspa z dworem Spalów. Las przyniósł odbite przez gęstwinę dzikie okrzyki, jęki i płacze, skowyty na wpół ludzkie, na wpół zwierzęce. Wydostał się na skraj i wtedy ujrzał ogromny tłum wędrujący po zamarzniętej rzece. Chyba ze czterdziestu wojowników uzbrojonych we włócznie, tarcze, miecze i topory prowadziło powiązaną sznurami gromadę młodych kobiet i młodych mężczyzn. Zdawało się chłopcu, że rozpoznaje kobiety Zemlinów, brodatych mężczyzn spalskich, zajmujących się kobiecymi robotami w dworze Zely. Wielokrotnie słyszał, że na dalekiej północy w kraju Estów, nad ogromną wodą, istnieje miasto, gdzie najdrogocenniejszym towarem

są niewolnicy. Plemiona Estów niekiedy przekraczały rzekę Visulę i napadały na plemiona Sklavinów, aby chwycić niewolników. Tym razem zdradziecki najazd Estów musiał nastąpić, gdy on jak co dzień wybiegł z dworu Spalów. Teraz startł rękawicą pianą, która z wściekłości wystąpiła mu na wargi. Ale przecież nie rzucił się na odchodzących z łupem wrogów; było ich zbyt wielu i zbyt dobrze uzbrojonych. Wierzył w moc swojego Tyrfinga, wierzył w swoją nadludzką siłę, jaką dawała mu krew Spalów. Silniejszą jednak była Zely. Co się z nią stało? Dlaczego pozwoliła, aby Estowie odchodzili z jeńcami po zamarznętej rzece? Uczyła go zresztą Zely, że nawet jego ojciec, olbrzym Boza, który ukręcał karki żubrom, krył się na drzewo przed rozwścieczonym turem. Na tura dobrze było wykopać zdradziecki dół i zapędzić go do niego podstępem, udając strach, a dopiero później - uwięzionego - zaatakować i zabić. "Niczyja moc nie jest nieskończona - ostrzegała Zely. - Nawet bogowie rzek są słabi w lesie, tak jak bogowie lasu bywają słabi nad brzegiem rzeki." Skrył się więc w las, a następnie ostrożnie przeszedł przez jego gęstwinę w stronę dworu Spalów. I wówczas poczuł zapach spalenizny. W zapadającym zmroku ujrzał resztki dworu oddzielone od niego tylko białą połącią zamarznętej rzeki. Śnieg był zdeптany wokół częstokołu, brama szeroko otwarta, tu i ówdzie wały się trupy Estów, a także kobiet spalskich i spalskich młodzieńców. Ze wszystkich stron zlatywały się już stada wron, gawronów i kruków. Estowie widocznie napadli rankiem od północnej strony. Zaskoczyli

Spalów i dostali się do dworu przez otwartą bramę. I choć zapewne młodzi mężczyźni z krwi Spalów szybko chwycili za broń, to przecież pokonało ich zaskoczenie i ogromna ilość napastników. Tych, którzy zamknęli się w obronnych domach Estowie wykurzyli, podpalając trzciniowe strzechy. Pożar rozszalał się we wnętrzu ostrokołu, podwórze stało się polem walki. Wszystko to widział w swej wyobraźni syn Boży jak przez czarną mgłę, którą wywołuje pragnienie walki i zemsty. Z tą mgłą w oczach przekraczał trupy wrogów i znanych mu ludzi - szukał tylko Zely. Dym snujący się po pogorzeliści dławił go w gardle i wywoływał kaszel. Znikąd jednak nie słyszał ludzkiego głosu, a tylko potrzaskiwanie podpalających się bierwion i krakanie czarnych ptaków. Wszędzie też śnieg był pocętkowany krwią ludzką. Dookoła zaś walały się wzgórki pomordowanych ciał.

Zely leżała na plecach. Była w samej koszuli, w lewą pierś miała głęboko wbity grot strzały wypuszczonej z dużą siłą z bliskiej odległości. Obok niej spoczywało kilku wrogich wojowników z roztrzaskanymi głowami. Twarz Zely wydawała się synowi Boży pożółkła i postarzała przez śmierć, a przez to brzydka. Piękne pozostały jedynie jej długie jasne włosy, rozrzucone wokół głowy i wdeptane w śnieg. Tylko raz syn Boży spojrział w jej nieruchome otwarte oczy. Potem aż do świtu na środek podwórza ściągał dopalające się belki i uczyniwszy z nich stos, położył na nich ciało Zely. Nie czuł ani głodu, ani pragnienia - dopóki ciało Zely nie

zamieniło się w popiół. Rankiem na środku podwórza, w twardej grudzie wykopał głęboki dół i wsypał do niego szczątki spalonego ciała wraz z resztkami stosu. Następnie przeszukał zwęglone domostwa i w jednym z nich znalazł w głębokiej piwnicy pod podłogą wędzone mięso i ryby. Najadł się do syta, sporo mięsa włożył do naddartej płachty, którą zawiązał sobie na plecach. Chciał natychmiast ruszyć tropem Estów, ale raptem poczuł zmęczenie i aż do zmroku spał w kącie dopalającego się domu Zely. Nie musiał się spieszyć; obarczeni niewolnikami Estowie nie mogli iść szybko. Czekala ich zresztą daleka droga do miasta, gdzie handlowano niewolnikami. Być może dlatego nie pozostali dłużej w spalonym dworze, nie przeszukali dokładnie, lecz natychmiast ruszyli w powrotną wędrówkę. Rzadko przecież zapuszczali się aż tak daleko: tylko dwa razy - jak to opowiadała kiedyś Zely - czynili podobne próby. Kto wie, czy nie dlatego zastali otwartą bramę ostrokołu? Tak naprawdę synowi Bozy także nigdy nie przeszło nawet przez myśl, aby ktokolwiek mógł napaść na Spalów, ponieważ rządziła nimi olbrzymka. Tak oto przekonał się syn Bozy, że miała rację Zely, kiedy go ostrzegała, że istnieją granice każdej siły i mocy. Wszystko i każdego można pokonać.

Pragnął zemsty, pamiętał jednak nauki Zely, że nienawiść czyni człowieka ślepym. Estów naliczył czterdziestu, ale mogło ich być więcej. Widział przecież dym aż z dwóch stron nieba. Zniszczona została wioska Zemlinów, dwór Spalów, może jeszcze kilka innych

wiosek. Niewiele też wiedział o Estach zamieszkujących na północnym wschodzie za rzeką Visulą. Tyle tylko, że nie mieli żadnych władców i mówili językiem trochę podobnym do języka Spalów. Kiedyś - jak twierdziła Zely - był to jeden wspólny język.

Noc spędzona w ruinach spalonego dworu sprawiła, że nagle poczuł się jak gdyby kimś innym. Pragnął zemsty, to uczucie jednak już go nie rozgrzewało jak poprzedniego dnia. Zrozumiał, że i tak nie wskrzesi Zely z popiołu, który wsypał do głębokiego dołu. Pojął, że jeśli nawet pokona Estów i uwolni jeńców, nigdy już nie powróci do zniszczonego dworu, albowiem tej nocy ogarnęła go choroba zwana Żądzą Czynów.

Zaczęła się od tego, że doznał przejmującego uczucia samotności i lęku przed przyszłością. Miał świadomość, że musi coś uczynić, ale nie wiedział, co ma czynić. Wspomnił swoje dziecięce lata u Zemlinów i nagle utracił pewność, że jego ojcem był olbrzym Boza. Pochodził z karłowatego rodu, a dał sobie wmówić, że płynie w nim krew olbrzymów. Uwierzyli w to Zemlinowie, uwierzyła Zely, ale czy on sam do końca uwierzył, że począł go jednak olbrzym, a nie karzeł? Jak się przekonać o prawdzie, jeśli nie poprzez wielkie czyny na miarę olbrzymów.

Napastnicy, jeńcy, zemsta, to wszystko jak gdyby przestało mieć znaczenie: chciał walki, pragnął czynić sprawy nadludzkie. Wyraźnie czuł jak owa choroba zbliża się i go pożera. W nocy ogarnęła go gorączka, całym ciałem wstrząsnęły dreszcze, zadzwonił zębami, a

ślina w ustach nabrała smaku krwi. Jego palce przestały być posłuszne i zaczęły drapać ziemię, wyprężył mu się członek i nabrzmiął aż do bólu, tryskając w końcu nasieniem. Jego włosy jak gdyby uniosły się nieco nad głową, mięśnie ramion najpierw zeszywniały, a potem nabrały jakiejś wielkiej mocy. Chwytał oszczep i złamał go jak cieniutki patyczek, wziął w dłonie topór i zgiął jego ostrze, stękając z wysiłku i cały oblewając się potem. Wreszcie zaczął krzyczeć coraz głośniej i przenikliwiej, aż do utraty tchu. Aż do chwili, gdy jak martwy padł twarzą w śnieg i zasnął bardzo mocno.

Rankiem jeszcze raz przeszukał ruiny spalonego dworu i zabrał trzy kołczany strzał do swojego łuku, dwie włócznie i jeszcze więcej jedzenia. Ciężył mu oręż, płachta z żywnością krępowała ruchy, lecz niemal biegiem ruszył po wyraźnie odbitym w śniegu tropie dużej gromady ludzi. Szeroki ślad prowadził najpierw po zamarznętej rzece, potem skręcał w puszcze i kierował się na zamarznęte mokradła. W południe zobaczył na śniegu obdartego do naga trupa mężczyzny. Rozpoznał w nim człowieka, którego kiedyś uważał za swojego ojca. Za stary się wydawał Estom, a poza tym był chyba ranny w walce i nie mógł iść szybko. Ktoś przebił mu plecy włócznią, gdyż opóźniał marsz. Na piersiach pozostawili mu tylko małe woreczek z wełnianej tkaniny, zapewne bali się, że cudze leki przyniosą im nieszczęście. Chłopiec rozerwał woreczek, który widywał już na piersiach człowieka uchodzącego kiedyś za jego ojca i znalazł w nim tylko odrobinę mchu, kiel bobra, kawałek jantaru zwanego też

bursztynem i trochę nici wełnianych. Odrzucił je w śnieg z pogardą, odkąd bowiem Zely nauczyła go sztuki czarów i robienia amuletów, ten wydał mu się pozbawiony wszelkiej mocy. Sam nie miał żadnego amuletu; jak przystało na człowieka znającego czary.

W godzinę później znalazł pierwsze obozowisko napastników.

Zdeptany śnieg, ślady pięciu ognisk i jeszcze jeden na wpół obdarty trup, tym razem brzemiennej kobiety, która chyba zaniemogła z powodu ciąży.

Stwierdził, że nie lęka się trupów. Martwa kobieta miała otwarte oczy i wyszczerzone zęby, lecz podobnie wyglądała Zely. Czy miała go przejąć strachem ta obca kobieta, chyba z rodu Zemlinów, tylko dlatego że na szyi wisiał kiel bobra? Usiadł obok niej i spokojnie pożywił się uszczuplając swoje zapasy. Potem natychmiast ruszył dalej, wciąż biegnąc równym krokiem, co było łatwe, gdyż idąca przed nim gromada dobrze przetarła drogę przez śnieżne zaspę.

Zatrzymał się nocą, mrok nie pozwalał widzieć tropu. Znalazł w puszczy wykrot, nazbierał suchych gałęzi i rozpalił ognisko. Najadł się, zasnął mocno otulony swoją futrzaną peleryną. Przed świtem zbudził go chłód, spowodowany przejmującym północnym wiatrem.

Ten wiatr mógł zasypać ślady, więc nie tracąc czasu na śniadanie, przy świetle późnego świtu natychmiast pobiegł po niemal niknącym mu w oczach trapie. Bieg rozgrzał go, a ślady na śniegu, mimo że nieustannie zasypywał je wiatr północny, pozostawały wciąż wyraźne. To znaczyło, że chyba dogonił Estów. Po godzinie znalazł

ciepłego trupa jednego z tych Spalów, którzy zapadli na chorobę scytyjską. Estowie nie wiedzieli, że ci tak rośli mężczyźni, byli z powodu tej choroby delikatni jak kobiety. Zabili go jak zwykle uderzeniem oszczepu w plecy. Na piersiach pozostał przedziurawiony kiel niedźwiedzia, amulet wielu Spalów.

Dalej trop rozwidlał się. Pięciu ludzi odeszło w bok, ich ślady rozeszły się. Syn Boży pojął, że postanowili upolować jakieś zwierzę, aby wyżywić tak liczną gromadę jeńców i wojowników. I poszedł za tym, który pozostawiał najmniejszy i naj płytszy ślad, a więc zdawał się być jeszcze młodzikiem.

Byli dobrymi myśliwymi. Otoczyli gęsty matecznik i jeden z nich, ów młodzik, wygonił z niego stado saren. Ustrzelili jedną, a że zbliżał się zmrok, postanowili chyba już dalej nie polować i skierowali się w tę stronę, gdzie zapewne miała obozować cała gromada. Stłoczeni w małą grupkę - największy i najsilniejszy niósł na plecach sarnę-minęli syna Boży ukrytego za korzeniami przewróconego drzewa. Tylko dwóch z nich miało na sobie włochate skóry, przez które z trudem przechodził grot strzały. Gdy oddalili się trochę, syn Boży zachrzakał jak locha. Przystanęli i naradzali się. Przemogła w nich chęć zdobycia świńskiego mięsa. Dwóch odeszło dźwigając sarnę, a trzech zawróciło i znowu rozdzieliwszy się, zaczęli wolno iść w kierunku miejsca, skąd usłyszeli chrząknięcie. Robiło się coraz ciemniej i wciąż wiał północny wiatr głośno hucząc w koronach potężnych sosen.

Człowiek z napiętą cięciwą łuku ostrożnie mijał przewrócone drzewo.

Wtedy syn Boży trafił go włócznią w plecy. Tamten krzyknął głośno i padł, a potem jęcząc zaczął się czolgać po śniegu. Syn Boży wyskoczył z ukrycia i uciął mu głowę Tyrfingiem, a następnie powrócił do swojej kryjówki.

Po dłuższej chwili nadbiegli dwaj pozostali, wśród nich młodzik w sukiennej pelerynie i futrzanej czapce. Przeraził ich widok odciętej głowy i martwego ciała wojownika. Ten moment zdumienia i przerażenia wystarczył, aby strzała uderzyła w pierś młodzika. Trzeci rzucił się do ucieczki, lecz dogonił go jak gdyby czarny cień. Padł z odciętym prawym barkiem, a potem jego głowa odpadła od tułowia.

Nastala noc. Syn Boży pozbierał trzy oszczepy zabitych Estów, wziął ich głowy za długie włosy i poszedł w tę stronę, w którą odeszli dwaj wojownicy z sarną. Zaczął padać śnieg, a że wiał północny wiatr, nadeszła zadymka. Syn Boży uśmiechał się. Wiedział, że przed rankiem nikt nie będzie poszukiwał zaginionych wojowników. A nocą ich ciała, a także ślady walki, zasypie śnieg.

Między drzewami ujrzał blask kilku ognisk i usłyszał ludzkie głosy. Estowie założyli obóz nad brzegiem zamarznętej rzeki. Może chcieli pójść jej biegiem, a może postanowili ją przekroczyć? Ominął obóz i niewidoczny w zadymce skierował się na pokryty śniegiem lód.

Widział z daleka blask ognisk i naprzeciw obozowiska wbił w śnieg na lodzie trzy włócznie z uciętymi głowami. W dworze Spalów, gdy chciano odstraszyć kruki od młodych kurcząt, zabitego kruka wieszano na długiej żerdzi. Ucięte ludzkie głowy powinny przerazić

ludzi. Strach - uczyła go Zely - jest sprzymierzeńcem wojownika, obezwładnia wroga i pozwala zadać mu niespodziewany cios.

Na drugim brzegu usiadł za pniem grabu i przez zadymkę śnieżną wciąż dostrzegał blask ognia Estów. Potem zmienił miejsce, ponieważ wiatr z północnego zmienił się na południowy. Niósł ze sobą ciepło i odwilż. "Ilu ich muszę zabić za jedną Zely?" - zastanawiał się. Ale zaraz pomyślał, że takie rozumowanie nie ma sensu, nic bowiem mu nie wyrówna poniesionej przez niego straty. "Będę zabijał, dopóki sprawia mi to przyjemność" - postanowił.

Wczesnym rankiem Estowie zamordowali jeńca - brodatego mężczyznę z rodu Spalów - i nagiego położyli obok trzech głów wbitych na włócznie. Zapewne nawet im przez myśl nie przeszło, że ściga ich ktoś tak silny jak syn Boży, który potrafi jednym uderzeniem miecza odcinać głowy od tułowia. Sądziło, że swoją wędrówką naruszyli spokój jakiegoś bóstwa i teraz złożyli mu ofiarę. W obawie przed dalszą zemstą boga, pośpiesznie ruszyli dalej, przeszli rzekę i znowu zagłębili się w puszcze.

Odtąd syn Boży zabijał rzadko. Tylko wtedy, gdy groziło mu niebezpieczeństwo albo był głodny i chciał któregoś z Estów obrabować z żywności. Weszli zresztą w kraj Estów, co jakiś czas trafiali na obronne wioski. Jeśli wioska była mała, atakowali ją, brali żywność i jeńców, przeważnie młode kobiety. Dołączali ich do tych, jakie prowadzili. Wioski nie podpalali, aby dym nie ostrzegł innych mieszkańców tych stron. Jeśli wioska okazywała się silnie broniona,

wysyłali posłów, kupowali żywność dając w zamian swoich jeńców, przeważnie brodatych Spalów, gdyż już się zorientowali, że są zniewieściali i nie nadają się ani do wędrówki, ani do ciężkiej pracy. Zresztą nie było dnia, aby któryś z jeńców nie padł martwy z wycieńczenia. Nikogo też nie martwiło, że zginął wojownik zabity przez syna Boży. Nie tworzyli czegoś w rodzaju drużyny wojennej, poddanej surowej dyscyplinie dowódców, ale zbieraninę ogarniętą jedną myślą: jak najwięcej jeńców doprowadzić do celu. I nie było dla nich ważne, czy będą to jeńcy, których zdobyli w Kraju Spalów, czy też schwytani po drodze.

Kiedyś rozebrał do naga zabitego Esta, aby zdobyć strój maskujący go przed nimi. Na piersiach zabitego znalazł zawieszoną na rzemyku drewnianą figurkę dzika. Ci ludzie wierzyli, że nosząc figurkę zwierzęcia zarazem zdobywają jego siłę i dzikość. Syn Boży nie uznawał takich czarów, Zely uczyła go, że męstwo i siłę człowiek zdobywa przez ciągłe ćwiczenie swego ciała i swoich myśli. Potem przebrany w futro zabitego wojownika nocami podkradał się aż pod obóz Estów, niekiedy nawet krążył pomiędzy dogasającymi ogniskami i podkradał żywność. Nie zabijał nikogo, ponieważ chciał, aby doprowadzili go do miejsca, gdzie handluje się niewolnikami. Pragnął zobaczyć Miasto. Od Zely słyszał o miastach pełnych ludzi i bogactwa, marzył, aby je ujrzeć na własne oczy, gdyż ku nowym sprawom gnała go Żądza Czynów.

Z nudów obserwował zwyczaje Estów, zachowanie jeńców, słuchał

dzikich pieśni, które śpiewali przy ogniskach. Odkrył, że kobiety lepiej od mężczyzn znosiły niewolę. Niektóre z nich być może straciły swoje zamordowane przez Estów dzieci, ale jak gdyby już o tym zapomniały. Z radością oddawały się ciemnościom, a nawet biły się między sobą o to, z którą co silniejszy Est będzie spał i rozgrzewał ją swoim ciałem. Gromadzie przewodził ogromny mężczyzna z gęstą czarną brodą.

Wołali na niego Hurda. To on znał drogę do miejsca, gdzie handlowano niewolnikami, to on rozstawiał strażę przy obozie, to on wybierał sobie na noc najładniejszą kobietę, to on także karał Estów, a nie uznawał innej kary, jak wbicie oszczepu w plecy. To on jadł najwięcej i najsmaczniejsze kęsy. Jego władza nad innymi brała się z tego, że był najsilniejszym i znał drogę przez puszcę i mokradła.

Pomyślał więc syn Boży, że źródłem władzy jest siła i posiadanie jakiejś tajemnicy. Władza zaś nie może się przejawiać inaczej, jak przez okrucieństwo. Nikt przecież nie protestował, jeśli Hurda zabijał wojownika, który źle wykonał rozkaz. Władzę należało okazywać jednak nie tylko przez okrucieństwo, ale również przez fakt, że korzystało się z najładniejszej kobiety i jadło najsmaczniejszy pokarm. Doszedł więc syn Boży do wniosku, że władzę należy ciągle objawiać w rozmaity sposób, a tych sposobów jest prawdopodobnie nieskończona ilość.

Tymczasem zrobiło się cieplej. Swoją zdradziecką czeluść odkryły bagna i mokradła. W południe pękał lód na jeziorach i gromada musiała niekiedy nakładać wiele godzin drogi, aby obejść bagno lub

jezioro. Wtedy syn Bozy spostrzegł, że Hurda zaczyna coraz częściej zabijać estyjskich wojowników, przeważnie tych, którzy szli na końcu pochodu z trudnością wyciągając nogi z topniejącego śniegu.

Jednocześnie unikał zabijania jeńców. Pojął więc syn Bozy, że jeńców ma dojść do miasta jak najwięcej, a jak najmniej tych, którzy ich przyprowadzą. W końcu zostało dwadzieścia pięć niewolnych kobiet i pięciu niewolników oraz piętnastu Estów, którzy ich pilnowali. O jeńców Hurda zaczął się troszczyć, o swoich wojowników zupełnie nie dbał i gdy zauważał, że na kolejnym noclegu brakuje jednego czy dwóch, nie okazywał niepokoju, a nawet wydawał się zadowolony. Zrozumiał syn Bozy, że Hurda chce cały zysk ze sprzedaży jeńców wziąć wyłącznie dla siebie. Nienawidził więc coraz bardziej owego Hurdy, gdyż nie takiego postępowania uczyła go Zely. Za równy trud należała się równa nagroda. Ale czy tak postępowali ludzie władczy? Poznając potem Księżę Grzmotów i Błyskawic pojął, że dla człowieka, który chce władać innymi, liczy się jedynie jego własny cel i jego własne korzyści.

Któregoś dnia ominęli bagniste brzegi wielkiego jeziora i natrafili na szeroką, rozjeżdżoną kołami wozów drogę. Ciągnęły po niej wolno zaprzężone w woły ogromne wozy o drewnianych skrzypiących przeraźliwie osiach. Wozom - przeważnie było ich kilka, z ładunkiem nakrytym lnianymi płachtami - towarzyszyli uzbrojeni jeźdźcy.

Niekiedy za wozami szli niewolnicy o krótko przystrzyżonych włosach, ubrani w obszarpaną odzież. Od czasu do czasu wojownicy w

skórach dzikich zwierząt i z krowimi czaszkami na głowach prowadzili gromadki wynędzniałych ludzi - mężczyzn i kobiet, których porwano gdzieś daleko stąd. Grupa, której przewodził Hurda niczym się od tamtych nie różniła, nikt z wojowników lub jeźdźców nie zwracał na nich prawie żadnej uwagi. Nikogo także nie interesował syn Boży, samotnie podążający w pewnej odległości za grupą Hurdy. Miasto - jak tego się można było łatwo domyśleć - żyło -r. handlu niewolnikami, skórami i woskiem, z rabunku. Ciągnęli do niego nie tylko porywacze niewolników i rabusie. ale różnego rodzaju obieżyświaty, gotowi wynająć się do ochrony kupieckich karawan. Dopiero później dowiedział się syn Boży, że w mieście znajdował się port i dziesiątki statków. Każdej wiosny ludzie zwani jarlami i posiadający okręty wojenne ogłaszali nabór ochotników do swoich bojowych drużyn. Każdy, kto był wolny i miał tarczę oraz miecz, mógł po złożeniu przysięgi ruszyć po przygodę, po łupy. Nie miało znaczenia, że wyglądał jak obszarpaniec, miał podarte futro, dziurawe buty, spodnie tak porwane, że widziało się nagie kolana i uda. Najważniejsze, aby posiadał broń i umiał walczyć. Miasto żyło nie tylko z handlu, ale z łupów, które na swoich okrętach wojennych przywozili ci obszarpańcy, sprzedawali za srebrne grzywny lub kufijskie monety Abbasydów i pili na umór w specjalnie na ten cel pobudowanych szopach i szałasach, i zabawiali się ze sprzedajnymi kobietami. Miasto było czymś innym niż reszta świata, rządziło się własnymi prawami i miało własne drużyny do swej obrony, własnego

wybieralnego władcę.

A gdy wreszcie syn Boży ujrzał Miasto - doznał uczucia

rozczarowania. Zely powtarzała, co mówili Spalowie po powrocie ze swych wypraw na południe.

Widzieli ogromne mury z kamienia, a na murach przechadzających się wojowników w błyszczących pancerzach. Do Miasta prowadziły bramy o wysokich wieżach. Za murami ciągnęły się wybrukowane kamieniami ulice i stały jeden obok drugiego murowane domy kryte drewnianymi deseczkami lub prostokątami z wypalanej gliny. Na ulicach kłębił się tłum ludzi odzianych w złote szaty, pachniało wonnościami i dobrym jedzeniem. W kątach tak wielkich, że mogły pomieścić tysiące ludzi, z każdej ściany patrzyło na człowieka piękno - tak nazywali to zjawisko Spalowie. I dlatego nawet, gdy wracali z łupami, tęsknili za wyprawami i znowu szli pod Wielkie Mury.

To miasto nie miało żadnych murów. Nad brzegiem rzeki uchodzącej z zarastającego trzcinami jeziora, na rozmięklej od wiosennego błota ziemi stały setki szałasów z trzciny lub żerdzi pokrytych słomą.

Między szałasami tu i ówdzie widziało się długie szopy zbudowane z plecionki utwardzonej gliną, zapewne składowiska towarów, bo obok nich znajdowały się puste place, gdzie prowadzono handel pod gołym niebem. Z szałasów dobywał się dym, a gdy zaglądało się do ł któregoś z nich widziało się ludzi szyjących buty, pracujących przy krosnach lub dochodził stamtąd łoskot młotów kowalskich. Między szałasami kłębił się tłum przeróżnie ubranych ludzi, mówiących także w wielu

językach. Powietrze i przesycił zapach dymu, fetor gnijącego mięsa, smród ludzkich i zwierzęcych odchodów; tu i ówdzie w zagrodach z żerdzi czekały na ubój woły, barany, cielęta i świnie. Wszędzie grzęzło się w błocie, w ściekach spływających do rzeki.

Dopiero gdzieś dalej, za dachami setek szałasów i szop, widziało się niewysoki i wał ziemny i kilka bram zrobionych z drewnianych dylów.

Zza wałów sterczały strome dachy domów podobne do tych, które były w dworze Spalów, zbudowanych z przepołowionych bali. Domy były różnej wysokości, przeważnie szczytem i zwrócone ku ulicy wyłożonej dranicami. Domy bliżej rzeki - tak samo jak domy w dworze Spalów - stały na palach, te dalej od rzeki - miały malutkie zagrody ograniczone płotami z plecionki. Ulice były wąskie, z trudem mogły się na nich minąć dwa wozy. Tych domów były setki, choć stłoczone zostały w pewnym porządku wyznaczonym przez ulice.

Na prawym brzegu rzeki znajdował się port pokryty teraz lodem - drewniane pomosty wchodziły w rzekę, a przy nich wyciągnięte na brzeg widniały statki swoim kształtem przypominające ogromne łodzie. Niektóre były wąskie i bardzo długie, inne krótsze, ale szerokie.

Każdy statek miał wysoki maszt i z daleka port przypominał las ogołoconych z gałęzi drzew.

Rzekę przegradzała drewniana palisada z wielką bramą pośrodku.

Dzięki niej, gdy rzeka była wolna od lodu i wejście do portu stało otworem, nikt nie mógł wpłynąć lub wypłynąć bez zezwolenia wojowników, czuwających na dwóch wieżach z obydwu stron

portowej bramy. Zresztą, tuż obok wznosił się bardzo wysoki nasyp z palisadą pochyłonych i zaostrzonych na końcach bali, sterczały wysoko ku górze cztery drewniane wieże, skąd roztaczał się widok na rzekę i na całą okolicę. To tutaj mieszkał książę, który rządził miastem i to tutaj, na wypadek napaści, mogli się schronić co znaczniejsi mieszkańcy. Później, gdy wypadło mu tu żyć, odkrył porządek miasta, a w wojownikach maszerujących jego ulicami lub przejeżdżających konno nauczył się odróżniać tych, którzy pilnowali tego porządku i za każde przewinienie mogli wolnego człowieka uczynić niewolnikiem. Poznał zakątki, gdzie mieszkali kupcy: Hebrajczycy i Chazarowie, Jutowie, Normanowie, Frankowie i Ascomannowie, Abbasydzi i Omajadowie, Estowie i dziesiątki innych najróżniejszych ludów i plemion. Poznał zakątki, gdzie czekały na chętnych rozpustne kobiety, miejsca, gdzie pito się wino, miód sycony i piwo, sprzedawano udźce baranie, kapłony i pachnące korzenie oraz owoce o dziwnym smaku. A także ulice, gdzie można było kupić broń tak piękną i lekką, jak gdyby ją zrobiono nie z żelaza, ale z dobrze wysuszonego drewna, złoczone kolczugi i hełmy, przepiękne wykute ozdoby do pasów, wspaniałe brosze, diademy, zwoje sukna tak delikatnego jakby utkały je nie ręce ludzkie i nie krosna, ale zrobił to za nie ogromny pająk. Jedno od razu rzuciło mu się w oczy i nauczyło czujności. Kto chodził bez broni, temu towarzyszył jeden lub dwóch zbrojnych; nawet kobiety nosiły noże u pasa. Syn Boży nie pojmował słów wypowiedzianych przez mieszkańców miasta, ponieważ mówili w wielu

językach, lecz mowa ich ciała zdradzała uczucia: każdy myślał o bogactwie, każdego przepelniała chciwość.

Hurda znał miasto i pośród szalasów pewnie prowadził swych wojowników oraz gromadę niewolnych kobiet i mężczyzn. Syn Bozy niemal dołączył do nich. Ani Hurda, ani nikt z niewolnych nie potrafiłby w tym obszarpańcu rozpoznać kogoś, kto szedł za nimi aż z kraju Spalów, okradał ich z żywności, podpatrywał nocami, a niekiedy nawet zabijał. Mowa ciała Hurdy mówiła synowi Bozy, że tamten jest zmęczony zimową wyprawą, pragnie jak najszybciej pozbyć się łupu i osiąść bogactwo.

Zatrzymali się obok długiej szopy tuż przy pierwszym niskim nasypie ziemnym. Wiał od północy zimny wiatr i niósł z sobą nieznany słony zapach. Z szopy wyszedł mężczyzna z szeroką czarną brodą i w białej aż do ziemi szacie. Miał na głowie dziwną białą czapkę z połyskującym nad czołem drogocennym kamieniem. Towarzyszyło mu dwóch ludzi w błyszczących pancerzach, okrytych płaszczami utkanymi z małych kłaczków wełny. Nosili wysokie buty z miękkiej skóry i wełniane obcisłe spodnie. U pasa mieli długie miecze w ozdobnych pochwach. Hurda mówił coś tym wojownikom w języku Estów, a oni jego słowa tłumaczyli człowiekowi w białej szacie. Ten kiwał wolno głową, a potem dał Hurdzie zezwolenie, aby wniósł do szopy dużo drewna i rozpałił ognisko. Nie chciał, aby niewolnicy pozaziębiali się od chłodnego wiatru i zachorowali. Następnie z szopy wyszły jakieś kobiety, także chyba niewolnice, i między niewolników Hurdy zaczęły

rozdawać jedzenie. Syn Boży nie jadł od wczoraj i uczucie głodu odczuwał w sobie jak połknięty cierń. Ukrył się jednak za rogiem szopy i obserwował sprzedaż niewolników.

Zely mówiła mu jak wygląda handel niewolnikami, bo to widzieli Spalowie, gdy czynili wyprawy aż pod Wielkie Mury. Nagiego niewolnika i niewolnicę wprowadzano na podwyższenie, a licznie zebrani kupcy mówili jeden przez drugiego, ile każdy z nich jest gotów zapłacić. Lecz Hurda śpieszył się. Wybrał na kupca człowieka w białej szacie, jemu - a nie innym - zaproponował swój łup.

Na czas jakiś zniknął jeden z wojowników i powrócił w towarzystwie kobiety okrytej puszystą ciemnozieloną opończą z kapturem. Pod opończą miała ona długą suknię, ujętą w talii ozdobnym pasem z pochwą na nóż. Na piersiach widziało się aż trzy duże brosze, po jednej na każdej piersi i jedną pośrodku, choć nieco niżej. Postawa tej kobiety, sposób chodzenia i strój sprawiały wrażenie, że jest osobą mającą znaczenie.

Znała chyba wiele języków. W jakiejś nieznannej mowie odezwał się do niej człowiek w białej szacie, wręczył kawałek metalu jako zapłatę, a potem ona podchodziła kolejno do każdego z przyprowadzonych przez Hurdę niewolników i jeśli to był Est, pytała go w języku Estów, a jeśli Sklavin, pytała w języku Sklavinów. Ile ma lat? Czy potrafi uprawiać jakieś rzemiosło? Czy - jeśli to była kobieta - już miała mężczyznę lub rodziła dziecko'' Ile razy rodziła?

Kiedy kobieta skończyła wypytywanie, skłoniła się człowiekowi w

białej szacie i odeszła w stronę miasta. Wtedy syn Boży poszedł za nią i przyspieszywszy kroku, dopędził ją tuż koło dużego domu na wysokim brzegu rzeki.

- Zatrzymaj się, pani - powiedział błagalnie w mowie Spalów. - Jestem tu obcy, a ty, jak słyszałem władasz językiem Sklavinów.

Przyłożyła dłoń do rękojeści noża, ale spojrzawszy na jego dziecienną twarz i rozwiewające się na wietrze niemal białe włosy, odrzekła:

- Czego chcesz, chłopcze?

- Przybyłem z kraju Spalów, bo gna mną Żądza Czynów. Powiedz mi, gdzie się znalazłem'? Co to za miasto?

Roześmiała się.

- Nawet nie wiesz dokąd przybyłeś? To miasto nazywa się Druzo.

Zauważył, że jej twarz jest jak gdyby pomazana popiołem, przez co wyglądała na starą. Ale oczy nie mogły okłamać syna Boży - ona była młoda.

- Doradź mi, pani, co powinienem tutaj robić, skoro nawet nie znam innej mowy, poza mową Spalów.

- Za tydzień lub dwa, gdy spłyną lody jarlowie ogłoszą pobór na swoje okręty. Będą szukać drengów, którzy mają broń i umieją walczyć. Na statkach i okrętach jarłów jest miejsce dla tych, których gna Żądza Czynów. Również kupcy będą potrzebowali wojowników, aby ich towary chronili przed rabusiami morskimi. Nie wiem, czy zgodzą się ciebie wynająć, ponieważ im są potrzebni wprawni w boju wojownicy, a ty wyglądasz na chłopca.

- Dziękuję, pani, za radę. Ale gdzie mam mieszkać i kto mi da jeść przez czas oczekiwania na wezwanie jarłów lub kupców?

Wzruszyła ramionami.

- Tu trzeba mieć pieniądze, chłopcze. Czy nie mówiono ci o tym, zanim skierowałeś swoje kroki do Druzo? Tu nawet człowiek wolny, jeśli nie ma pieniędzy, oddaje się w niewolę innym.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał lichą tarczę i miecz w deszczułkach z lipowego drewna. Jedyłą wartościową rzeczą, jaką u niego widziała, to była misterna kolczuga. Futrzana peleryna miała pełno dziur, tak samo dziurawe nosił buty i spodnie. Twarz chłopca wyglądała na piękną. Ale ona nie pragnęła miłości.

- Sprzedaj swoją kolczugę i sprzedaj swój miecz - doradziła. - Tylko że nie weźmie cię do swej drużyny żaden jarl ani nie wynajmie cię żaden kupiec. - A ty, pani, nie potrzebujesz wojownika?

- Nie. Jestem prawie tak uboga jak ty. Do jesieni miałam czterech niewolników i trzy niewolnice oraz męża, który zajmował się handlem skórami kun i wydr. Czy słyszałeś, że jesienią napadli na miasto ascomańscy rabusie? Wówczas zginął mój mąż i zostałam wdową. Musiałam sprzedać niewolników. Został mi tylko dom. Utrzymuję się z tego, że znam język Sklavinów i język Estów, potrafię leczyć rany, a także uprawiam seidr, to jest sztukę czarów.

- Ja też znam sztukę czarów - pochwalił się syn Bozy.

- Może twoja sztuka potrafi wyczarować mieszek kufijskich monet Abbasydów - wzruszyła ramionami. - Jeśli tego dokonasz, przyjdź do

mojego domu i zapukaj do drzwi trzy razy. Nazywam się Astrid. A ty?

- Nie mam imienia - odparł z powagą.

- W takim razie pomyliłam się, biorąc cię za chłopca. Jesteś dzieckiem.

Opuść Druzo jeszcze dzisiaj, bo jutro być może spotkam cię w szopie, gdzie trzyma się niewolników.

To mówiąc odeszła. A syn Boży zobaczył, że otwiera kluczem drzwi i znika w mrocznej izbie. Wtedy niemal biegiem ruszył w stronę szopy i placu, gdzie Hurda sprzedawał niewolników. Żałował, że tyle czasu stracił na rozmowę z obcą kobietą. Czy nie uczyła go Zely, jak się powinno zachowywać w mieście, jakie rządzą w nim prawa i jakie stwarza ono pułapki na ludzi, którzy przybywają z odległych puszczy? Znowu skrył się za rogiem szopy, zadowolony, że targ między Hurdą i człowiekiem w białych szatach jeszcze się nie skończył. Dwaj ludzie towarzyszący kupcowi ciągle oglądali poszczególnych niewolników, sprawdzali siłę mężczyzn, zaglądali im w usta i dotykali palcami uzębienia. Kobietom obnażali piersi i brzuch, aby sprawdzić czy już rodziły, wsadzali palce między nogi, aby się upewnić czy miały mężczyzn. Nie rozumiał języka jakim posługiwał się kupiec w rozmowie z Hurdą, lecz mowa ciała kupca była dla syna w Boży całkowicie zrozumiała. Hurda był głupcem - przyprowadził niewolników wychudzonych głodem i wynędzniałych od długiej drogi. On sam i jego ludzie używali sobie z niewolnicami, zapominając, że za dziewice otrzymuje się najwyższą cenę. Ani jednej dziewczynie nie darowali cnoty. Co warta jest przechodzona kurtka czy wyszczerbiony

miecz? Człowiek w białych szatach potrząsał małym mieszkiem i pogardliwie pokazywał Hurdzie jego niewolników. Jedyne mały mieszek miał otrzymać Hurda za tygodnie trudów, za tyle niebezpieczeństw, za dziesiątki zabitych. W jednej chwili syn Boży pojął istotę handlu: Hurda powinien najpierw niewolników wykupić, odżywić, a dopiero potem rozmawiać z kupcami. Czy w tym wielkim mieście był tylko jeden i człowiek w białych szatach? Ale Hurdzie się śpieszyło do jakichś swoich spraw.

Pośpiech był złą sprawą w handlu. Jeśli syn Boży zechce stać się bogatym, chwytając niewolników i nimi handlować, zrobi to inaczej niż Hurda. W końcu, gdy już zmrok się zbliżał, człowiek w białych szatach z kieszeni ukrytej w fałdach płaszcza wyciągnął drugi mieszek. Wtedy Hurda kazał swoim ludziom, aby złożyli w jednym miejscu broń. Nadeszło skądś kilku uzbrojonych wojowników w błyszczących pancerzach i nagle zaczęli wiązać ludzi Hurdy. Syn Boży nagle uświadomił sobie, że Hurda sprzedał w niewolę własnych ludzi, tych, którzy z nim odbyli wyprawę łupieżczą. Oto jak wygląda zdrada. Zrozumiał też ostrzeżenie Astrid, że tutaj każdy łatwo może stać się niewolnikiem. Granicy między człowiekiem wolnym i niewolnikiem nie wyznaczały żadne prawa, nawet długie lub krótkie włosy, ale broń w ręku i pełen mieszek.

O zmroku niewolników zapędzono do szopy, a Hurda z dwoma mieszkami u pasa ruszył między szalasy. Nad Miastem unosił się dym z pieców rozpalanych w setkach domów, z wielu ognisk, płonących

między szopami. Hurda szedł u klucząc między szalasami, skąd dolatywał zapach pieczonego mięsiwa, wychylały się obnażone do pasa kobiety i wołały go ku sobie. W szalasach sprzedawano jedzenie, piwo, sprzedawano także własne ciało dla czyjejś rozkoszy. "Miasto to miejsce, w którym wszystko można kupić i wszystko można sprzedać" - tak mówiła Zely, choć nigdy nie była w mieście, a słyszała o nim jedynie od innych Spalów.

Widok obnażonych do pasa kobiet z rozpuszczonymi włosami, które wabiły nie tylko Hurdę, ale i syna Bozy - budził w nim pożądanie. Nigdy nie miał kobiety innej niż Zely, ponieważ nie pozwoliła mu zbliżyć się do żadnej z kobiet i we dworze Spalów. Te tutaj - nawet w nikłym blasku ognisk - wydawały się i piękne, a wypukłości ich piersi, krągłe ramiona powodowały w nim dziwny ból.

Ale był też bardzo głodny, obdarty i brudny, od zapachu jedzenia aż kręciło mu i się w głowie. Silniejszy jednak od bólu pożądania i dręczącego uczucia głodu był 'i strach przed tym, co widział na targu niewolników. Jeśli pozostał człowiekiem wolnym, to dlatego, że nikt nie wiedział o jego istnieniu. Nikt nie przeczuwał, że między szalasami idzie człowiek obdarty, nie znający obyczajów miasta, bez mieszka u pasa, a tylko z mieczem i tarczą. Hurda zatrzymał się przy jakiejś szopie i mężczyźnie, który dokładał drew do ogniska, dał błyszczącą monetę. Po chwili wyniesiono mu dzban piwa i Hurda pił długo i chciwie. Potem ruszył przed siebie, chyba do jakiejś znajomej szopy, gdzie bywał wiele razy i syn Bozy pomyślał, że jeśli tam pozwoli mu

trafić, straci Hurdę. Dlatego, gdy na krótką chwilę Hurda znalazł się w miejscu, dokąd nie sięgał blask żadnego ogniska, bezszelestnie dopędził go, wyjął Tyrfinga i jednym uderzeniem uciął mu głowę. Pochylił się nad drgającym w agonii ciałem Hurdy i od pasa odwiązał mu dwa mieszki.

Nikt nie zauważył tego, co się stało, choć o kilkadziesiąt kroków dalej płonęło ognisko i siedziało przy nim kilku uzbrojonych Estów, śpiewających jakąś pieśń. Syn Boży zawrócił i poszedł w kierunku domu Astrid, omijając ogniska, szopy i szalasy. Przelazł przez nasyp obronny, nigdzie nie strzeżony. Wojownicy pilnowali tylko bram do obwarowanego grodu, gdzie mieszkał władca Miasta.

Jak mu kazała - trzy razy głośno uderzył pięścią w drzwi. Otworzyła natychmiast i zobaczył zdumienie w jej oczach. Ujrzał też dużą mroczną izbę, nieco rozświetloną palącym się na kominie żywym ogniem i blaskiem steatytowej lampy wypełnionej olejem i ustawionej na drewnianym stole.

Astrid była w długiej aż do kostek lnianej koszuli, włosy miała rozpuszczone, jej twarz - umyta z popiołu - była młoda i ładna.

- Czego chcesz? - burknęła.

Zbliżył się do stołu, otworzył mieszki i z kufijskich monet Abbasydów usypał mały stożek.

- Czego chcesz? - powtórzyła w języku Sklavinów.

- Wyczarowałem te monety - powiedział. - Chcę za nie tutaj mieszkać, nauczyć się języka tutejszych ludów i tutejszych obyczajów. Jestem

głodny. W milczeniu podeszła do komina i zdjęła z niego zawieszony nad ogniem

nieduży sagan pełen kaszy z tłuszczem. Nałożyła mu kaszy do steatytowej misy i podała drewnianą łyżkę.

Syn Boży rozejrzał się po izbie. Nic nie wskazywało, aby mieszkał tu jakiś mężczyzna. Ale z izby prowadziły schody na górę. Może tam ktoś się ukrył? Nie wierzył, aby Astrid mieszkała samotnie. Miasto nie wydawało się dobrym miejscem dla samotnych kobiet.

- Gdzie jest twój mężczyzna? - zapytał.

- Żyję sama. Mówiłam ci, że jestem wdową. Brudzę sobie twarz, aby myślano, że jestem już stara i brzydka.

- I to są twoje czary - stwierdził drwiąco.

Zajrzał do miski z jedzeniem, nabral kąpiastą łyżkę i podał ją Astrid.

- Zjedz ty, zanim ja zacznę jeść. Nigdy nie biorę z ręki kobiety żadnego jedzenia, zanim ona sama go nie skosztuje.

- Nie jestem głodna.

- Rób co ci każe. Takie są obyczaje Spalów, z których pochodzę. - Nie chcę.

- Zrób, bo cię uderzę - był głodny i narastała w nim złość. Wzruszyła ramionami i zjadła łyżkę kaszy.

- Nigdy nie słyszałam o Spalach - oświadczyła. - Wyglądasz jak dziecko i jak dziecko nie masz imienia. Ale jesteś ostrożny i nieufny jakbyś przeżył sto lat. W milczeniu obserwowała jak jadł. Nie siadła obok na ławie, ale wciąż stała nieruchomo przy płonącym ogniu i

myślała o czymś pilnie.

- Weź - odsunął od siebie pustą miskę i łyżką wskazał jej stożek

kufijskich monet. - To dla ciebie.

Zebrała monety i włożyła je do dwóch mieszkań.

- Poznaję jeden z nich - powiedziała. - Miał go kupiec, który od Hurdy

kupował jego niewolników. Zabijeś Hurdę.

- Tak - skinął głową. - Zabijanie to moje czary.

- Jeśli zawiadomię o tym straż księcia Akuma, też stracisz życie.

- A te kufijskie monety? - zapytał. - Przecież nie żądam od ciebie wiele.

Dasz mi mieszkanie, nauczysz języka i obyczajów. Mówiłaś mi, że od

śmierci męża żyjesz w biedzie, musiałaś sprzedać niewolników, służbę.

Od tej chwili staniesz się bogata.

Dotknęła dłonią piersi rysujących się pod lnianą koszulą. - Czego

jeszcze żądasz? - spytała.

Przecząco pokręcił głową.

- W tym mieście jest wiele kobiet. Widziałem je obnażone do pasa.

Wabiły mnie swoim ciałem. Jeśli będę chciał kobiety, sprowadzisz mi

którąś za jedną z tych monet.

- I niczego więcej nie żądasz nad jedzenie, mieszkanie i naukę języków,

a także obyczajów?

- Tak. Jeśli jest prawdą, że mieszkasz bez mężczyzny, mój miecz da ci

obronę. Zabijam szybko i cicho. To jedno potrafię.

- Dobrze - skinęła głową.

Rozkazał; aby usiadła na ławie po drugiej stronie stołu. Podsunął

lampę aż pod jej twarz i polecił, aby spojrzała mu w oczy.

- Rozkazujesz mi jakbym była dzieckiem - powiedziała. - A ja

mogłabym być twoją matką. Dlaczego chcesz patrzeć mi w oczy?

- Za mało masz lat, aby być moją matką. Masz piękne zielone oczy i

cerę policzków tak delikatną, jak płatki kwiatów.

- Nie mów do mnie tak ładnie, gdyż pomyślę, że mnie pożadasz.

Jedzenie nappełniło go sytością. A wraz z nią odczuł ogromne

zmęczenie. - Czy nie widzisz, że jestem w łachmanach? - zapytał. - Chcę

wypocząć.

Daj mi czystą koszulę i wskaż miejsce do spania.

- To dom Ascomanna - powiedziała. - Ascomannowie sypiają nago.

Położ się na ławie przy piecu. Tam jest skóra barania. Będzie ci pod

nią ciepło. Jutro zrobię ci kąpiel i dam szaty po mężu. Długo tu

szedłeś?

- Nie liczyłem dni i nocy, ale było ich wiele.

Dorzuciła drew do ognia w piecu i wolno poszła po schodach na

strych. Tam sypiała albo tym razem chciała tam spać. Nieomal po

omacku znalazł ławę przy piecu i rozłożone na niej skóry baranie. Z

ulgą zrzucił z siebie zarobaczone łachmany. Nie mył się i nie

zdejmował ubrania przez wiele dni i nocy. Skóra na jego ciele aż

łuszczyła się od brudu. Położył na klepisku podłogi swoją kolczugę i

tarczę. Ułożył łachmany na ławie. Nagi, tylko z Tyrfingiem i nożem w

dłoniach, narzuciwszy na siebie skórę barania, skrył się w

najciemniejszym kącie izby. Usiadł tam i przymknął powieki. Rękojeść

noża wsparł na kolanach ostrzem do góry. Gdyby zasnął i głowa mu opadła, ostrze noża powinno ukuć go w brodę. Bał się snu, ponieważ wydało mu się, że w oczach Astrid odkrył fałsz. Miał świadomość, że posiada nadludzką siłę, ponieważ płynie w nim krew olbrzymów. Ale jak go ostrzegala Zely i nauczyło doświadczenie, Leśny Człowiek był silniejszy od niego i uratował mu życie tylko Tyrfing. Ale nawet i on okazywał się bezskuteczny, gdy ten, kto go trzymał w ręku poddał się ludzkiej słabości - potrzebie snu. Śpiącemu zwycięzcy ukradł Tyrfinga Odoaker - tego uczyła pieśń Zely.

Był tylko młodzieńcem zmęczonym długą drogą i bezsennością; ciepło pieca i spokój mrocznej izby odbierały resztki sił i oddawały ciało na łup snu. Coś jednak wciąż nakazywało czujność i broniło przed słabością. Jakaś dziwna gorączka, która go zaczęła trawić podczas pogoni za wojownikami Hurdy

- Żądza Czynów, nie zaspokojone niczym pragnienie działania. Czuł w sobie ową gorączkę i to ona od czasu do czasu jak dreszczem wstrząsała jego ciałem i odpędzała sen i słabość.

Trzy razy ostrze noża boleśnie ukuło go w brodę. Za trzecim razem podniósł ociężałe powieki i zobaczył schodzącą Astrid. Była zupełnie naga, z rozpuszczonymi włosami i długim nożem w prawej dłoni.

Blask ognia na piecu i steatytowa lampa słabo rozświetlały izbę, ale biel ciała tej kobiety wyraźnie rysowała się w mroku, a na ostrzu noża kilkakrotnie jak czerwona iskra zapęłgało odbicie żaru od pieca.

Patrzył jak bezszelestnie zbliża się do miejsca, gdzie miał spać. I

równie bezszelestnie podniósł się ze swego kąta i stanął za jej plecami.

- Dlaczego chcesz mnie zabić? - zapytał. - Przecież nie uczyniłem ci nic złego?

Drgnęła przerażona tym głosem i obróciła się do niego, a on bez wysiłku wyjął z jej palców nóż o długim ostrzu.

Nie powiedziała ani słowa, w mroku nie widział wyrazu jej oczu. Stali naprzeciw siebie obydwójce zupełnie nago - ona o białej skórze, małych dziewczęcych piersiach i smukłych udach, z krągłymi ramionami, na których leżały włosy. Zaciśnięte wargi mówiły o nienawiści i lęku. On też był nagi, o skórze szarej od brudu i o długich niemal białych włosach. Tylko przez krótką chwilę miał ochotę ją zabić, odciąć głowę Tyrfingiem. Jej twarz wydawała się zbyt piękną, aby miał ją zeszpeciwać grymas śmierci. Nigdy tak naprawdę nie miał kobiety, a tyle się ich dzisiaj napatrzył. Jej lęk wzmógł w nim pożądanie. Zauważył, że spojrzenie oczu skierowała na jego podbrzusze. Uczynił to samo i odkrył, że jego członek zaczyna mu się podnosić i twardnieć jak rękojeść noża. Wtedy powolnym ruchem odwróciła się do niego plecami, pochyliła ku dołowi plecy, chwyciła się dłońmi ławy koło pieca i wypięła ku niemu swój krągły zad. Odrzucił miecz i nóż, wszedł w nią pchnięciem tak silnym, że aż krzyknęła z bólu. Miał wielkiego żołędzia na końcu długiego członka i sięgnął w nią głębiej niż kiedykolwiek sięgał w nią jej mąż, Ottar. Ale po bólu doznała uczucia całkowitego wypełnienia, sprawiającego rozkosz, dlatego jeszcze bardziej wypięła się, aby w nią sięgał wciąż

*głębiej i głębiej. Jej pochylony ku dołowi kark musnęły opuszki
palców jego dłoni, a potem wargi ust, przez co rozkosz jeszcze się
wzmogła. Delikatnie gryzł ją w kark, a jego dłonie chwyciły zwisające
ku dołowi piersi i przycisnął je tak mocno, że aż na chwilę zabrakło jej
tchu. Lecz to również wzmogło rozkosz, podobnie jak strach, że gdy
zaspokoi swoje pożądanie, utnie jej głowę mieczem, ponieważ ona
chciała go zabić. Z trwogą więc przyjmowała każde jego dotknięcie i
powolne ruchy prącia w swoim wnętrzu, zupełnie odmienne od tych,
które czynił Ottar; on brał ją gwałtownie i szybko zaspokajał swoje
pożądanie, podobnie jak szybko zaspokajał głód, rozrywając palcami
jęczmienne placki i kawałki mięsa. Strach przed śmiercią nie zabijał
jednak wrażenia rozkoszy, a przeciwnie - jeszcze je wzmagał, jak
gdyby ostatnie chwile swego życia chciała przeżyć podwójnie,
potrójnie, jak najmocniej. Nie miała wyobrażenia, że po takim
pchnięciu jakie odbierało jej wnętrze doznanie rozkoszy będzie się
potęgować, aż przez moment utraciła wrażenie rzeczywistości, -
znalazła się na skraju jakiejś przepaści, a potem zaczęła w nią
zapadać, w dół, w ciepłe odmęty. Krzyknęła głośno ze strachu i
rozkoszy, potem drugi raz krzyknęła, kiedy poczuła w sobie uderzenie
jego nasienia. Bezwładnie upadła na kolana i ukryła twarz w owcze
skóry na postaniu.*

*A on, zaspokojony, po raz pierwszy spełniwszy się z kobietą, z pogardą
patrzył na swój wciąż sterczący członek lśniący od jej wydzielin.*

Zaspokojenie pożądania dało mu ulgę, ale przecież do tej kobiety czuł

wstręt. Jej pochwa wydzielala obrzydliwy rybi zapach, gdy Zely pachniala zawsze olejkiem sosnowym. Jej skora miala nieprzyjemny w smaku stony smak, a skora Zely smakowala igliwiem jalowca i rumiankiem. A wiec nie wszystkie kobiety byly takie jak Zely. Astrid dygocac calym cialem wczolgalala sie na postanie i legla na nim jak martwa, nieruchomym wzrokiem patrzac w ciemnosc pod sufitem izby. Legl obok niej i objal ja ramieniem, aby - jezli on zasnie - nie mogla odejsc i znowu wrócic z nozem. Lecz ona chyba nawet o tym nie myslala.

Siedem lat zylam ze swoim mezem - szeptala - ale nigdy nie dostapilam rozkoszy. To strach przed smiercia i nienawisc do ciebie daly mi ja. Nie umial wyjasnic tej sprawy. Pomyslal tylko, ze nie wszystkie kobiety przypominaja Zely, sa zapewne rozne, jak rozne bywaja kwiaty na lące. Ale chyba wszystkie jeden tylko sposob znaja na mezczyzne - gdy kochaja i nienawidza, gdy odczuwaja wdziecznosc lub ogromny strach. W kazdej trudnej sytuacji wypinaja mezczyznie swój obnazony zad.

Mowila mu kiedyś Zely, ze kobieta moze oddac sie mezczyznie nie odczuwajac -zadnego poządania. Niekiedy nienawisc jaka nosila w sobie wobec mezczyzny mogla wzmoc jej rozkosz. To wszystko sprawilo, ze kobiecie nigdy nie nalezalo ufac; ani gdy sie oddawala bez rozkoszy, ani gdy oddajac sie - przezywala rozkosz.

ROZDZIAŁ SIÓDMY - ZYFIK

Przez dwa dni wolno i ostrożnie posuwali się przez rozległą krainę

bagien i moczarów, jakie tworzyła rzeka, którą miejscowi ludzie nazywali Notecz. Sama rzeka nie była wielka, niekiedy jednak rozgałęziała się na dziesiątki małych rzeczulek i strumieni; wiosną i jesienią zalewała rozległe równiny, które nawet w upalne miesiące pozostawały wciąż podmokłe. Cała ta kraina zdawała się tworzyć jedną wielką pułapkę na człowieka - rozległe łąki porośnięte wysoką trawą po pas ugiwały się pod kopytami i dochodziło spod nich złowieszcze bulgotanie czarnego błota. Krzaki łązy rosły na cieniutkiej warstwie ziemi, zakrywając głęboką czeluść smrodliwej mazi. Tu i ówdzie, zaciągnięte kozuchem rzęsy, stały nieruchomo połacie ogromnych rozlewisk z cuchnącą wodą i rojącymi się nad nimi chmurami komarów. Nocami na moczarach płonęły małe ogniki wabiące ku sobie ciekawych lub przerażające tych, którzy mieli na sumieniu jakąś nieprawość. Herim raz po raz żegnał się znakiem krzyża, twierdząc, że to piekielnym ogniem płoną dusze ludzkie, ale Dago, ponieważ pochodził z krainy Spalów, również pełnej bagien i moczarów, tylko uśmiechał się ironicznie i zasypiał spokojnie. Gdyby nie Dago i jego znajomość podobnych ziem, przenigdy nie przebyliby Noteczy, po stokroć pochłonęłaby ich czarna przepaść pod zielenią traw i krzaków. Nieomylnie jednak Dago wiódł swojego Vindosa, omijając łąki i zarośla pełne zdrady. Jakiś cudowny instynkt - tak to nazywał Herim - kazał mu kierować konia po gruncie twardym, choć tak samo wyglądającym jak mokradła. On zawsze zdołał ominąć rozlewiska śmierdzącej wody, znajdował suche groble, choć niekiedy

musieli nadkładać drogi zanim odrobinę posunęli się do przodu.

- Teraz wiem już, dlaczego Popiołowłosi i ich państwo nigdy dotąd nie weszli do historii - powiedział Dago. - Ten kraj bronią bagna od niespokojnych i ruchliwych ludów Północy. Żyje się tu bezpiecznie, jak gdyby za Wielkimi Murami. A jednak rzeki, Herimie, nie powinny ludzi dzielić, ale łączyć. Tą rzeką popłyniemy kiedyś, aby wziąć we władzę Ludzi Wolnych i Pyryksjan, a także ludzi Północy. Cóż bowiem jest wart kraj bez owego bezmiarów wód, który zowią oceanem? Jest jak człowiek, który chodzi na jednej nodze.

Nigdy nie widziałem oceanu - wyznał Herim. - Uczono mnie, że od oceanu przychodzi wszelkie zło: Normanowie, Jutowie, Anglowie, Ascomannowie.

Ocean daje także bogactwo, Herimie. I siłę. Dlatego silne są ludy zamieszkujące nad morzami.

- Roma jest blisko morza, ale nad morzem nie leży. A czy jest coś potężniejszego od Romy?

- Nie wiesz o Nowej Romie za Wielkimi Murami? Kto widział miasto Byzisa, tego nigdy nie zachwycą miasta Franków. Słyszałem też wiele o przedziwnej urodzie miast Omajadów i Abbasydów, ludów, które nazywają siebie "uległymi". Czas też obudzić śpiącego olbrzyma, on stworzy rzeczy wspaniałe. - Po chwili dodał: - Czy wiesz, co naprawdę myślę o Starej Romie, jej papieżu i jej ludzie? Leżałem w tym mieście chory, ale przecież zetknąłem się z wieloma zamieszkującymi go ludźmi. Nigdy nie spotkałem ludzi tak pełnych zarożumiałstwa i

pychy, myślących tylko o sobie, że są dziedzicami wielkiej przeszłości, starodawnymi Rhomajami. W rzeczywistości zaś to bękarci Wandalów i Longobardów, Hunów i Gotów. Mówią w swym okropnym języku zwanym latina, nie mając pojęcia o cudownej i dźwięcznej mowie Greków. Wielkość kryje się jedynie w Nowej Romie. I uczynimy wielkim i wspaniałym śpiącego olbrzyma.

Herim nie odezwał się. Gdzie byli owi śpiący olbrzymi, skoro już dwa dni przechodzili przez niemal bezludną krainę bagien i moczarów?

Przebyli wiele rzeczulek i strumieni, może nawet i ową Notecz, wciąż jednak przegradzały im drogę rzeki i rozlewiska błota. Czy

rzeczywiście gdzieś dalej było państwo Lendiców i król Popiołowłosy, a także kraj Spalów, dokąd tak uparcie dążył Dago? A jeśli Dago się pomylił? Przecież uczono Herima, że na Wschodzie żyją

Androfagowie, pożerający ludzkie mięso, łysogłowi Agrypajowie i na czarno ubrani Melenchlajnowie, ludy dzikie i barbarzyńskie, nie wybierające władców i nie tworzące żadnych, nawet swoich, praw.

Stare księgi nie mówiły o Lendicach i królach Popiołowłosych, ani też o krainie Spalów. Co będzie, jeśli trafią na śpiącego olbrzyma, obudzą

go, a on chwyci ich w swoje palce i zdusi jak małe robaki? A może historia czyniła słusznie każąc spać olbrzymom na Wschodzie. Kto

wie, czy owe bagna, przez które przechodzili, nie doprowadzą ich do wspomnianego w historii wielkiego jeziora, skąd wypływa jeszcze

inna rzeka zwana Hypanis, a dookoła jeziora biegają dzikie białe konie podobne do Vindosa? Wedle ksiąg, to właśnie jezioro miało

odgradzać kraj Scytów i Neurów, ludzi, raz do roku zmieniających się w wilki.

Herim nagle wstrzymał konia.

- Zawróćmy, panie - powiedział błagalnie. - Zawróćmy do Kraju

Wolnych Ludzi, gdzie nadano ci tytuł Piastuna. Lękam się olbrzymów, o których mówisz, że śpią za bagnami.

Dago położył dłoń na rękojeści miecza. Usta miał zaciśnięte i Herim pojął, że za chwilę jego głowa upadnie w błoto, które miesiły kopyta ich koni.

- Wiedziałem, że drogę do kraju Spalów zagrodzą mi puszcze i rzeki, ogromne moczary i będę słyszał wołania, abym zawrócił. Ale sądziłem, że będą to słodkie głosy nagich kobiet, a nie twój, nędzny skrybo.

Zdawało się Herimowi, że po raz ostatni patrzy w zachodzące słońce, przestał odczuwać ból od ukłuc komarów, które oblepiły mu twarz. a także obsiadły sierść koni.

- Daruj mi, panie! - zawołał błagalnie.

I być może -nigdy Herim nie był tego pewien -zostałby zabity, gdyby nie jakiś rozpaczliwy głos zajął uwagę Dagona. Ktoś wołał o pomoc z niedalekiej kępy krzaków wierzbowych porastających moczar pokryty rzęsą. To było wołanie w języku Spalów i przeszło serce Dagona zarazem bólem i radością. Uderzył konia ostrogą, ale za chwilę już go powstrzymał, ponieważ każdy krok w tym miejscu groził śmiercią w czeluści błota.

Zeskoczył więc z siodła i prowadząc Vindosa za uzdę, ostrożnie skierował się ku krzakom wierzby. Wreszcie stanął, gdyż ziemia pod jego nogami zdawała się drgać i zapadać. O pięć kroków dalej zobaczył wojownika z koniem, który tkwił aż po brzuch zanurzony w topieli. Koń chrapał straszliwie, gdyż każdy jego ruch powodował, że zapadał się coraz głębiej. Wojownik zaś miał na sobie pancierz i na plecach tarczę, które krępowały jego ruchy. Bał się, że jeśli zeskoczy z konia również zapadnie się w błocie.

- Panie, ratuj mnie - poprosił cienkim młodzieńczym głosem.

Twarz miał opuchniętą od ukąszeń komarów, jego pancierz ze srebrnych łusek błyszczał krwawo w zachodzącym słońcu. Połyskiwał też czerwono kopulasty hełm na głowie, srebrem pokryty i zakrywający nos.

- Zaczekaj ty, który mówisz w języku Spalów! - krzyknął mu Dago.

Bojowym toporem, który miał u siodła Vindosa, naciął wierzbowych gałęzi i rzucił je przed siebie na bagno. Potem wyjął z juków linę i na owych gałęziach zbliżył się do uwięzionego w błocie konia.

- Rzuć mi lejce - rozkazał.

Przywiązał lejce do sznura, wrócił do Vindosa, wskoczył na jego grzbiet i nakazał ruszyć przed siebie, jednocześnie wyciągając za uzdę konia z jeźdźcem. Uwięziony w bagnie wierzchowiec chrapał coraz głośniej, ale powoli przednimi kopytami stawał na coraz twardszym gruncie. Z cichym sykiem uszło powietrze, które już go zdążyło wessać. Bagno jak gdyby z niechęcią oddawało swoją zdobycz. Jeszcze

jeden ogromny wysiłek wierzchowca, jego chrapliwe stęknięcie i wreszcie wy dostał się z błota. Oblepiony czarną mazią stanął na ziemi na chwiejących się nogach.

- Dziękuję ci, panie - powiedział młodzieniec, zeskakując z siodła. - Uratowałeś mi życie.

Nadjechał Herim i z odrobiną zdumienia popatrzył na uratowanego, na jego strój i uzbrojenie.

Nosił długie buty z cienkiej skóry. tak samo z cienkiej skóry zrobione spodnie, a na skórzanej kurcie miał pancierz ze srebrzystymi łuskami, na głowie hełm posrebrzany i na plecach podłużną tarczę pokrytą srebrną blachą. U pasa wisiał mu miecz o długim i cienkim ostrzu, a na ramieniu tkwił łuk o błyszczących okuciach. Z tyłu ozdobionego srebrem siodła zobaczyli uczepiony płaszcz ze, skórek bobra, którym się chyba okrywał na noc. Wojownik, sądząc po głosie, był bardzo młody, ale opuchnięcie i plamy od błota na twarzy nie pozwalały określić jego wieku. Miał szczupłą figurę i wysoki wzrost. Piękny się wydał Dagonowi jego wierzchowiec o długich nogach i czarnej sierści.

- Kim jesteś, człowieku, który mówisz w języku Spalów? - zapytał

Dago. Wojownik wskazał rękami swoje usta, dając do zrozumienia, że brak mu tchu i musi odpocząć. Usiadł na ziemi i oddychał ciężko.

- Wiem kim on jest, panie - wtrącił się Herim. - Czytałem w księgach, że za rzeką Visulą mieszkają Argaraspidowie, którzy noszą srebrne tarcze. Spójrz, panie, on ma właśnie srebrną tarczę. To oni przegnali kiedyś sławnego Aleksandra Macedońskiego, aż aleksandryci musieli

odejść na południe i szukać zdobyczy u innych ludów.

- Zamilcz - burknął Dago. - Chcę to usłyszeć od niego. Spętaj nasze konie i przygotuj suchych gałęzi na ognisko. Tu będziemy nocować.

Coś w młodym wojowniku zastanawiało Dagona. Czuł jego bystry wzrok na sobie, lecz hełm tamtego zakrywał oczy. Odpoczywał, ale jego ciało wyrażało podejrzliwość. Być może chciał pewności, że nie ma do czynienia z wrogami. Przecież chyba nie przypadkowo znalazł cię samotnie wśród moczarów? Ktoś lub coś zapędziło go w tę dziką krainę.

Herim zdjął siodła z koni, rozsiadł też czarnego wierzchowca młodego wojownika. Spętał im nogi i puścił luzem, potem nazbierał suchych gałęzi wierzbowych i rozpałił ogień. Zapadł zmrok, a wojownik wciąż nie ruszał się z miejsca, tylko tyle, że zdjął z ramienia swój łuk i ledwo dostrzegalnym gestem wyjął strzałę z kołczanu.

Mowa ciała tego człowieka zdawała się wskazywać, że lęka się tych, co uratowali mu życie i w każdej chwili gotów jest do walki.

Dago przykląkł i pocałował bagnistą ziemię, na której mieli spać. - Co czynisz, panie? - zdumiał się Herim.

- Całuję matkę, która mnie urodziła i wykarmiła. Ziemia może dać lub odebrać siłę człowiekowi. Kto jej okazuje szacunek i miłość ma prawo myśleć, że prześpi noc spokojnie.

- To przecież czary.

- Znam sztukę czarów, Herimie, i być może kiedyś i ciebie jej nauczę.

Zapadł zmrok i Herim uprzejmym gestem wskazał wojownikowi

miejsce przy ognisku. Podał mu też kawał chleba żytniego i na trzy części podzielił resztkę zapasu jedzenia, jakie jeszcze mieli ze sobą. Był to kawał wędzonej świniny.

- Ty, panie uratowałeś mi życie - odezwał się wreszcie wojownik. -

Tobie więc winien jestem pierwsze słowa. 'To prawda, że pochodzę z ludu Argaraspidów, którzy zamieszkują za rzeką Visulą. Wysłano mnie z poselstwem do króla Goluba Popiołowłosego, ponieważ jesteśmy nękani przez Mardów i potrzebujemy pomocy. Ale w kraju Goluba żadnych praw nie uznają i wszystkich moich ludzi wybito, mnie zaś zapędzono aż na bagna. Powiadają, że Golub Popiołowłosy jest uwięziony w wieży, a rządzi syn jego Aslak oraz wojownicy z Jumna. Ojcu Goluba okazaliśmy kiedyś pomoc, a teraz nam ona potrzebna. Niestety, na nasze poselstwo napadli Lestkowie, a to znaczy, że w kraju Lendiców nie ma już porządku i praw się nie szanuje. Moje zaś imię Zyfik, panie.

- Mówisz w języku Spalów - odezwał się Dago Wojownik wzruszył ramionami.

- Z daleka musisz być, skoro wspominasz o Spalach. Oni żyją tylko w starych pieśniach. Językiem, który zowiesz językiem Spalów, władają tu wszystkie plemiona i ludy: Lendici, Gopelani, Mazowianie, Łędzianie i my, Argaraspidzi, a także na południu Visulanie. Tym językiem mówi się u księcia Gedanii i na całej Północy, choć bardziej gardłowo i twardo.

Powiedział Dago:

- Jestem synem olbrzyma Boży urodzonym ze zwykłej kobiety. Pięć lat temu zginęła ta, która mnie wychowała, olbrzymka Zely. Wtedy zapadłem na chorobę zwaną Żądzą Czynów i ruszyłem w świat. Ta sama choroba kazała mi wrócić tutaj, aby dokonać wielkich rzeczy, a ty mi mówisz, że kraj Spalów istnieje tylko w starych pieśniach? Na imię mam Dago, ale nazywają mnie Piastunem. Ten zaś człowiek, który jest ze mną ma na imię Herim i mówi językiem Sklavinów, ale w mowie Sorbów.

- Jeśli wszystkie ziemie, gdzie mówi się twoją mową, panie, nazywasz krajem Spalów, tedy jesteś w swoim kraju, choć Spalowie żyją jedynie w starych pieśniach - odrzekł wojownik. - Bagna się zaraz skończą i wejdiesz w kraj Lendiców. Po lewo będziesz miał kraj Gopelanów, a za Visulą Argaraspidów i Mazowian. Nigdzie nie spotkasz olbrzymów, a raczej karłów. Lecz w wielu ludziach, podobnie jak w tobie, płynie krew Spalów.

- Czy chcesz, Zyfiku, powiedzieć, że jestem człowiekiem bez ojcowizny?

- zawołał gniewnie Dago.

- A cóż to jest ojcowizna? - zapytał Zyfik. - Jeśli mówisz prawdę, że jesteś synem olbrzyma Boży i wychowała cię Zely, tedy cały ten kraj jest twoją ojcowizną. Musiałbyś go jednak najpierw posiąść. Z ojcowizny wyzuto nawet Goluba i rządzi jego ostatnia żona imieniem Helgunda, córka Hoka, choć mówią, że włada jego syn Aslak. Bo Aslak to przecież jeszcze dziecko, panie.

- Czy Golub Popiołowłosoś nosi na głowie zaczarowaną przepaskę

zwaną Andalą? - zapytał Dago.

- Tak. Dlatego go nie zabito, tylko uwięziono w wieży. Andali nie wolno zabrać siłą ani też przelewając krew.

- Tedy on jest tu wciąż władcą zgodnie z wolą bogów - oświadczył Dago. - Powiadają, że kamień Andali stał się mętny. Golub stracił rozum i władzę. - Ten, kto nosi na głowie Andalę jest zawsze władcą - powtórzył z uporem Dago.

- W takim razie nie wiem, panie, w jaki sposób chcesz odzyskać swoją ojcowiznę. Musisz pokonać Helgundę i otrzymać od Goluba Świętą Andalę. Inaczej nikt cię nie będzie szanował. Co do mnie, panie, pozwól mi wrócić do kraju Argaraspidów, gdyż mój łuk i moje strzały mogą być potrzebne do walki z Mardami. Czy zgadzasz się, że przez jakiś czas będę ci towarzyszył? W trójkę łatwiej unikać niebezpieczeństwa.

- Mówiłeś, że potrzebujecie pomocy przeciw Mardom. Czemu nie zwrócisz się o nią do Helgundy?

- Jakże to zrobić, skoro na głowie Goluba pozostaje Święta Andala? Argaraspidowie nie uznają władzy Helgundy.

- Uczynisz więc według własnej woli - rzekł Dago.

Wstał od ogniska i odszedł w ciemność, która zapadła na moczarach.

- Kim jesteś dla niego? - Zyfik zapytał Herima. - Sługą czy przyjacielem?

- Nie wiem - odparł szczerze Herim. - Uratował mi życie, jak i tobie. I wędruję z nim tak, jak ty chcesz wędrować. Mówi, że urodził się

władcą.

O nic więcej nie zapytał Zyfik. Nakrył się swoim bobrowym płaszczem i zaraz zasnął spokojnie, gdyż ów Dago, który uratował mu życie, od pierwszego spojrzenia obudził w nim dziwne uczucie spokoju.

Tymczasem Dago stał w ciemnościach na skraju moczarów, o krok od przepaści wypełnionej błotem. Widział na bagnach niebieskawe ogniki, poruszające się jak żywe istoty, słyszał podobną do szumu ściszonego morza muzykę miliarda błyszczących komarów. Z powodu nisko wiszących chmur nie potrafił dojrzeć gwiazd, gdzie od wieków człowiek zwykł szukać zapowiedzi swoich losów - i miał ochotę krzyczeć z żalu, z ogromnego rozczarowania, jakie go ogarnęło. To, co od lat tylko przeczuwał, czego się zaledwie domyślał - teraz zdawało się być oczywistością. Spalowie istnieli tylko w starych pieśniach. Być może zrozumiał jak człowiek, gdy znajdzie się w krainie dzieciństwa, że to co dawniej było ogromne, wysokie i dalekie, teraz jest małe i bliskie - tak siedmioletniemu dziecku kobieta imieniem Zely wydawała się olbrzymką, a teraz już tylko zwykłą kobietą. Dorastał w przeświadczeniu, że żyje obok olbrzymki, posiada nadludzką siłę, w istocie jednak był tylko nieco silniejszy od innych, a wzrostem równy wysokim mężczyznom. Spalowie żyli jedynie w starych pieśniach; możliwe, iż nigdy nie istniał naprawdę żaden kraj Spalów, wędrówka Dagona po władzę i po swoją ojcowiznę okazała się niepotrzebna. Nie miał w sobie krwi olbrzymów, nie urodził się władcą. Rzeczywistością pozostawała w nim jedynie owa choroba zwana Żądzą Czynów,

pragnienie, aby obudzić na Wschodzie śpiącego olbrzyma. Nie miał żadnych praw, aby rządzić tym skrawkiem ziemi, ponieważ była to ziemia Gopelanów, Lendiców i innych ludów. Tego, który miał prawo do władztwa - Goluba Popiołowłosego jacyś obcy usiłowali wyzuć z władzy. Tylko Golub Popiołowłosy mógł mu przekazać swoją moc, swoje prawo do władzy, w przeciwnym razie, przede wszystkim we własnym osądzie, pozostanie rabusiem cudzego mienia i cudzej ojcowizny. Czemu jednak słuchał Dagona straszliwy Tyrfing i zrzucił głowy z karków jego wrogów? Czym była w istocie owa moc władzy? Czy nie nauczył się u Rhomajów, a także u Franków, że po władzę sięgnąć mógł każdy, kto miał siłę, spryt, bogactwo i potrafił krzyknąć: "jestem władcą", narzucić swoją wolę innym - strachem, okrucieństwem, zbrodnią, nie dotrzymaną obietnicą? Dlaczegoż to nie miał ufać Bazylemu, Wielkiemu Koniuchowi Rhomajów, który od pierwszego spotkania uznał w nim władzę wszystkich ludów na wschód od Viaduy? Czy całe życie Bazylego nie potwierdzało faktu, że nie należało ufać świętościom, lecz własnej sile i rozumowi? "Andala? - śmiał się Bazyli, biesiadując z Dagonem, gdyż bardzo go sobie upodobał, widząc w nim odbicie samego siebie, tę samą siłę i Żądze Czynów. - Tylko głupcy wierzą, że można zdobyć władzę nie przelewając krwi. Cóż to jest Andala? Liczy się korona. Wróc do kraju Spalów, Dagonie, wbij sztylet w serce Goluba i załóż sobie na włosy złotą koronę. Przekonasz się, że żaden Swaróg nie rzuci na ciebie gromu, lud cię pokocha, a ty ruszysz przeciw Frankom z pomocą

Rostislava."

Niestety, nic nie mogło wymazać z pamięci Dagona przestróg i nauk

Zely: "Tyrfing i Andala będą twoją siłą, ale Andalę musisz otrzymać nie przelewając krwi".

"Spalowie żyją tylko w starych pieśniach" - powiedział Zyfik. Czy to -

znaczyło, że on, Dago, pochodził nieodwołalnie z karłowatego rodu

Zemlinów, nie począł go żaden olbrzym, gdyż olbrzymów już nie stało?

- Nie, nie! - krzyknął w ciemność nocy i myślał dalej: "Jestem synem

olbrzyma, gdyż już dokonałem czynów, których inni bali się dokonać.

Stanę się władcą wielkiego państwa, ponieważ tylko to może być

dowodem, że mam w sobie krew olbrzymów. Czasami odzywa się we

mnie krew karłów, wtedy, tak jak teraz, ogarniają mnie wątpliwości,

czuję strach i niepewność. Czego jest jednak we mnie więcej: krwi

karłów czy krwi olbrzymów? I jeśli nawet Spalowie żyją tylko w

starych pieśniach, to ja ich wskrzeszę przez swoje czyny. Wówczas lud

okrzyknie mnie olbrzymem".

Wrócił do dogasającego ogniska i okryty wełnianą opończą położył

się obok Herima i Zyfika. A kiedy wczesnym rankiem obudził się, Zyfik

wracał od strony bagien, gdzie znalazł chyba jakąś kałużę. Jego

skórzane buty i spodnie zostały starannie wytarte z błota, obmył też

twarz i aby zgubić opuchliznę od komarów natarł ją liśćmi mięty.

Zobaczył Dago delikatne, jeszcze bez zarostu, piękne śniade oblicze

szesnastolatka i ze wzruszeniem pomyślał, że on właśnie w tym wieku

przybył do Druzo i ogarnęła go Żądza Czynów. Zyfik był bez helmu,

*jego długie czarne włosy podniósł z ramion lekki powiew wiatru,
roziewając mgły nad moczarami.*

*Młodzieniec bystro przyjrzał się Dagonowi, który nie zdążył ogolić
policzków i wydał mu się raptem o parę lat starszy.*

*- Wczoraj widziałem cię innym, panie - powitał go Zyfik. - Miałeś
twarz pogodną, a dziś jakby trawił cię jakiś ból. - Zyfik zwrócił uwagę
na jego niezwykle gęste, długie i przedziwnie białe włosy. Pomyślał, że
Dago jest biały, a on, Zyfik, czarny; białego konia ma Dago, a on,
Zyfik, czarnego. Czy to było dobrą, czy złą wróżbą?*

- Siadaj - rozkazał mu Dago - i podaj mi swoje dłonie.

*Zyfik stał się nieufny. Nie chciał jednak tego okazać, przykucnął
naprzeciw Dagona i patrząc mu w oczy, podał w jego szerokie silne
ręce swoje drobne młodzieńcze dłonie.*

*Dago w milczeniu i z wielkim napięciem patrzył w ciemne oczy
młodzieńca, aż tamten skrył je za powiekami i wyrwał mu z rąk swoje
dłonie.*

- Nie lubię czarów, panie...

*Dago wstał, nie wypowiedziawszy słowa ruszył w kierunku, skąd
przybył młodzieniec. Znalazł kałużę wody, umył w niej twarz,
zmiękczył zarost wodą i ogolił go swoim ostrym nożem. Gdy wrócił,
Herim wciąż jeszcze spał, a Zyfik siedział obok, czujnie obserwując
każdy ruch Dagona. Obok siebie miał teraz srebrną tarczę, miecz, łuk i
strzały.*

- Jesteś dziś, panie, inny niż byłeś wczoraj. Dlaczego? - znowu

zagadnął go Zyfik.

- Nie zadawaj mi żadnych pytań bez mojej zgody, chłopcze - pogardliwie odparł Dago. - Bo jeśli ja zacznę ci je zadawać, ty nie nadążysz z wymyślaniem kłamstw.

Zyfik podniósł się z ziemi. Gestem tak szybkim, że niemal niezauważalnym założył strzałę na cięciwę łuku.

- Zarzucasz mi, panie, kłamstwa - powiedział z oburzeniem. - A przecież powiedziałem prawdę, że jechałem z poselstwem od Argaraspidów, napadnięto nas jednak i wszystkich moich ludzi wybito. Powiedziałem ci też prawdę, że Golub jest uwięziony, władzę ma syn jego Aslak, a w jego imieniu rządzi żona Goluba, kobieta z Jumna i jej wojownicy. Powiedziałem ci również prawdę, że Spalowie żyją jedynie w starych pieśniach.

Dago uspokajająco podniósł swoją prawą dłoń.

- Odlóż ten łuk, chłopcze, bo masz do czynienia z mężczyzną, którego miecz zawsze dotąd zabijał. Uwierzyłem ci wczoraj i wierzę ci dzisiaj. Ale oprócz mowy słów, znam także mowę ciała i mowę oczu. Dlatego nie zadawaj mi żadnych pytań bez mojej zgody, abym i ja ci ich nie musiał zadawać.

- Nie nazywaj mnie chłopcem - znowu gniewnie oświadczył Zyfik.

Dago wzruszył ramionami.

- Dopóki nie zaczniesz się golić, jak dorosły mężczyzna, pozostaniesz dla mnie chłopcem. Odlóż ten łuk. Nie zwykłem walczyć z chłopcami.

Podniesione głosy zbudziły Herima. Odezwał się poziewując:

- Odlóż ten łuk, Zyfiku. Widziałem jak Dago zabił smoka imieniem

Szczek. Ma miecz, który zawsze ucina głowy jego wrogom.

- Nie jestem jego wrogiem! - zawołał Zyfik. Herim, znowu ziewając, rozprostowywał swoje kości.

- To oczywiste, Zyfiku, że nie jesteś jego wrogiem. Przecież już od

dawna byś nie żył. - A potem, aby zmienić między nimi nastrój

niechęci, rzekł: - Czy wiecie, że nie mamy już nic do jedzenia: Jestem

głodny. Chce mi się pić, a wody z bagien pić nie wolno. Co gorsze: śniła

mi się w nocy piękna pachnąca wonnościami kobieta.

- Mogę w każdej chwili ustrzelić dziką kaczkę-ofiarował się Zyfik. - Ale

kto po nią pójdzie na moczary?

- W drogę - zarządził Dago i poszedł do Vindosa.

Zebrali swoje rzeczy, zarzucili siodła na konie i ruszyli w drogę po

naturalnej grobli między dwoma nieckami bagien. Rozwiały się nocne

mgły, słońce podniosło się dość wysoko i ujrzeli daleko ciemną linię

lasów - znak, że jest tam suchy i twardy ląd. Ale musieli jeszcze przejść

małą mulistą rzeczkę i dużą połąć moczarów, porośniętych młodymi

wierzbami. Dago jechał pierwszy i ostrożnie kierował Vindosem, a

wiedza o bagnach zdobyta w dzieciństwie od Zely pozwalała mu

uniknąć pułapek zgotowanych przez grubych rżęsy, kępy sitowia

i krzaki ledwo uczepione topieli. Herim i Zyfik jechali obok siebie, tuż

za Dagonem.

- Śniła mi się dzisiaj kobieta, Zyfiku - opowiadał Herim. - Dago Pan i

Piastun mówił mi, że najśłodsza jest władza. Ale dla mnie nie ma nic

słodszego od młodej niewiasty. Czy miałaś kiedyś kobietę, Zyfiku?

- Oczywiście. Przeżyłem już szesnaście lat - pochwalił się Zyfik.

- Śniło mi się, Zyfiku, że miałem urodziwą kobietę. Nagą. Krągłą.

Pachnącą wonnościami. Ale ciągle ktoś mi przeszkadzał, aby ją

posiąść i nasycić żądze. Dlatego boli mnie z głodu żołądek, ale jeszcze

silniejszy ból czuję od nie zaspokojonej żądz. Panie mój, Dago,

Piastunie. Tyle dni wędrujemy razem, ale ani razu ani ty, ani ja, nie

mieliśmy niewiasty. W Kraju Ludzi Wolnych, gdzie zabiłeś smoka,

wiele było urodziwych kobiet. I patrzyły na nas lubieżnie. Dlaczego

nie zatrzymaliśmy się tam, panie, aby którąś posiąść? Czy ty nie

odczuwasz żądz i jesteś z żelaza?

Nie usłyszał odpowiedzi od Dagona. Znowu więc zwrócił się do Zyfika:

- Opowiedz mi, jaką miałaś kobietę i czego z nią zaznałeś.

- Wstydzę się, panie - odparł Zyfik. - O takich sprawach nie lubię

mówić. Czy naprawdę tak cierpisz od żądz, Herimie?

- Tak bardzo, że gdy dosiadaliśmy konia i dotknąłem twoich

pośladków, Zyfiku, twardych i małych jak u młodej kobiety,

pomyślałem, że przecież i mężczyźni mogą ze sobą zażyć rozkoszy. To

czyniono powszechnie w klasztorze w Fuldzie, gdzie byłem mnichem.

Co sądzisz o tym, Dago, panie? Czy widzisz w tym coś zdrożnego?

- Zamilcz - nie odwracając głowy powiedział Dago. - Mówisz o

sprawach, które budzą moje obrzydzenie.

Zyfik roześmiał się trochę sztucznie.

- Mówisz po sorbsku, Herimie, i nie każde słowo było dla mnie

zrozumiałe. Gdybym je zrozumiał, wbiłbym ci nóż w plecy.

Herim nie obraził się. Westchnął ciężko. Milczał jakiś czas, ale żądze nie dawały mu spokoju.

- Gdy dotrzemy do lasu, być może upolujemy jakiegoś ptaka czy zwierzę. Napelnę żołądek i ze źródła napiję się wody. Gdzie jednak i kiedy zaspokoję swoje żądze, skoro mojego pana, Dagona, one nie trapią? On myśli tylko-o władzy. Dla niego jest ona słodyczą i kochanką.

- Powiem ci coś, Herimie - roześmiał się Zyfik wesóło. - Powiadają, że na Wschodzie jest kraina Kwen, to jest kraina kobiet. Pomyśl, dziesiątki kobiet, ba setki kobiet. Udaj się tam, a będziesz mógł zaznawać rozkoszy z nimi, ile tylko zapragniesz.

- Czytałem o tym w uczonych księgach - przyznał Herim. - Ale to nie są prawdziwe kobiety, tylko wojowniczk. Świetnie jeżdżą na koniach i celnie strzelają z łuków. Słyną z okrucieństwa. Po zażyciu rozkoszy z mężczyzną zabijają go. Dwa razy do roku urządzają polowania na mężczyzn, chwytają ich, i niewolą, zażywają rozkoszy i kładą trupem. Nie wiedzą, co to miłość. Swoje dzieci dają do wychowania eunuchom, chłopców zabijają, a z dziewczynek robią wojowniczk. Nie chciałbym wpaść w ich ręce i zażywać z nimi rozkoszy. Dago, Panie i Piastunie, co myślisz o tych kobietach?

- Budzą wstręt - odpowiedź rzucił przez ramię.

- Zdaje się, że w ogóle nie lubisz kobiet - zauważył Zyfik. Dago zatrzymał Vindosa. Powiedział nie odwracając głowy:

- Gdy byłem małym chłopcem, kobieta, której zaufałem podała mi truciznę. Padł od niej wielki czerwony byk. Od tego czasu przysięgłem sobie nawet wody nie brać od kobiety, jeśli ona sama jej nie pokosztuje. Przed miesiącem ta ostrożność uratowała mi życie. Z taką samą ostrożnością biorę od kobiety rozkosz.

Zapytał go Zyfik:

- A czy ode mnie, chłopca, jak mnie nazywasz, przyjmiesz panie trochę wody z miętą? Dobrze gasi pragnienie.

To mówiąc Zyfik z kieszeni przy siodle wyjął tykwę i podał ją

Dagonowi. A on wziął ją i chciwie pił wodę z miętą.

- Dziękuję ci, Zyfiku, gdyż odgadłeś, że jestem spragniony, a wody z bagien pić nie wolno. Przyjąłem od ciebie wodę, ponieważ jesteś tylko wstydliwym chłopcem, a nie kobietą.

Herim opróżnił tykwę.

- Dobra jest woda z miętą - oświadczył. - Teraz rozumiem Zyfiku, dlaczego tak pięknie pachniesz miętą. Już wczoraj czułem od ciebie ów zapach i chyba dlatego śniła mi się pachnąca wonnościami kobieta.

Zyfik zwrócił się do Dagona:

- Przyjąłeś, panie, ode mnie wodę z miętą, to znaczy, że nie gniewasz się już na mnie. Czy wolno mi cię o coś zapytać?

- Pytaj.

- Powiedziałeś, że nie ufasz żadnej kobiecie. Podobno kobiety z Kraju Kwen też nie wierzą w miłość.

- Kochałem Zely, która mnie wychowała. I jej ufałem bezgranicznie.

To od niej dowiedziałem się, co znaczy władza i rozumiałem, że nie ma w niej miejsca na prawdziwą miłość.

- Dlaczego?

- Nie jest prawdziwym władcą ten, kto się oddaje we władzę miłości.

Jeśli się kocha jakąś kobietę, jest się jej poddanym. Nie można być zarazem władcą i czyimś poddanym.

- Mówisz tak, panie, jak mówią kobiety z Kraju Kwen. Nie oddają się mężczyznom, ale ich biorą, używają i wyrzucają w błoto. One są własnymi władczykami. '

Dago powiedział z pogardą:

- One mają tylko ciała kobiet, ale duszę mężczyzn. Tacy jak ja biorą nie tylko ciało, ale i duszę kobiety. Gdybym miał zażyć z nimi rozkoszy, miałbym wrażenie, że czynię to z mężczyzną, a tym się brzydzę. Teraz znasz moją odpowiedź, co sądzę o kobietach z Kraju Kwen. Brzydzę się nimi.

I Dago ruszył dalej, a za nim Zyfik i Herim, którego podobne rozmowy zupełnie nie interesowały. Czuł w sobie żądzę i myślał o nagim ciele kobiety. Mogła to być kobieta inna niż ta ze snu, nie pachnąca wonnościami. Byle miała ciało kobiety. Nie z duszą się bowiem zażywało rozkoszy, ale z ciałem.

Aż do południa kluczyli między rozlewiskami bagien i moczarów zanim osiągnęli wreszcie skraj łąki, za którą rozpoczynała się podmokła puszcza. Zyfik kilkakrotnie oddalał się od pozostałych jeźdźców, wypłaskał z szuwarów dzikie kaczkę i z niezwykłą celnością

trafiał do nich ze swojego łuku. Spłoszone kaczki przeważnie uciekały w stronę moczarów, ale dwie na łąkę i Zyfik przytroczył je do siodła.

Strzały starannie wydobyl z pierza i schował do swojego kołczanu.

- Strzelasz, młodzieńcze, bardzo celnie - z uznaniem powiedział Herim.

- A i łuk masz przepiękny. Z brązowymi okuciami. Nigdy takiego nie widziałem.

- Sam łuk jest nowy, ale okucia stare - z dumą wyznał Zyfik. - Nie odróżniasz, panie, złota od brązu. Okucia są złote. To złoty łuk księcia Alanów, dawno zaginionego ludu, z którym moi przodkowie walczyli zwycięsko.

- O Alanach słyszałem, że podlegali straszliwym Hunom - powiedział Herim.

- Tego nie wiem, ale byli waleczni i zapuścili swoje konne oddziały aż na Mazowie. Tam ponieśli klęskę od moich przodków. Stare pieśni mówią, że ramię w ramię z moimi przodkami stanęli do walki również Spalowie.

Dago wzruszył ramionami i rzekł z goryczą:

- Co warte są stare pieśni, skoro mówią o wymarłych dawno ludach, o odbywanych ongiś bitwach? Znam wiele pieśni o Spalach. To oni murem swoich ciał zagrodzili drogę Scytom, a potem Sarmatom. To dzięki nim kraj Gopelanów, Lendiców i Mazowian nigdy nie zaznał niewoli. Czy myślisz, że stare pieśni opowiadają prawdę? A jeśli tak, to czy z tego powodu, że płynie we mnie krew Spalów, mam prawo, by stworzyć tutaj swoje państwo, które kiedyś zagrozi zdraдлиwym

Teutonom?

- Chciałbyś tutaj, panie, stworzyć swoje państwo? - zdziwił się Zyfik. -

Jesteś może księciem lub wygnanym skądś królem?

- Wielki cesarz Rhomajów dał mi władzę nad wszystkimi ludami na

wschód od Viaduy. Król Ludwik Teutoński ofiarował mi tytuł

hrabiego i kielich z trucizną. Dlatego wzgardziłem wszystkim, czego

sam nie zdobyłem. Zabiłem smoka zwanego Szczekiem i nazwano

mnie Piastunem. Cenię to, ponieważ otrzymałem ów tytuł od Ludzi

Wolnych. Nazwano mnie Piastunem, co znaczy, że biorę kogoś w

obronę, jak ojciec bierze w opiekę swoje dziecko. Postanowiłem wiele

ludów wziąć w swoje piastowanie, rozumiesz to, ponieważ sam

pochodzisz od władców.

Zaniepokoił się Zyfik tymi słowami.

- Skąd ci panie przyszło do głowy, że pochodzę od władców

- Ponieważ masz złoty łuk Alanów tak jak ja miecz zwany Tyrfingiem.

Na tym mieczu ciąży przekleństwo boga Północy Odyna że gdy się go

wyciągnie z pochwy do walki zawsze musi paść trup. A jeśli ktoś nie

ma w sobie krwi władców, sam ginie, a nie jego przeciwnik. To samo,

myślę, jest ze złotym łukiem Alanów. Tylko w twoich rękach, Zyfiku,

strzela on tak celnie. Nie wysłała się z poselstwem byle kogo. Inni

zginęli, a ty ocalałeś, choć masz tylko szesnaście lat i nie posiadasz

wielkiego doświadczenia w walce. Rozumiem więc, że inni bronili

twojego życia i zginęli, abyś mógł uciec wolny. Będziesz bezpieczny,

jeśli oddasz się w moje piastowanie.

- Jesteś zbyt bystry, panie! - krzyknął Zyfik i uderzył ostrogami konia.

Odjechał galopem i po chwili zniknął im w podmokłej puszczy.

- Zdaje się, że odkryłeś prawdę - przyznał Herim. - Ten Zyfik od pierwszej chwili sprawiał na mnie dziwne wrażenie. Może należało go wziąć do niewoli i uzyskać za niego okup? Szkoda, że tego nie uczyniłeś, panie, ale wyznałeś mu, co o nim wiesz lub czego się domyślasz. Zabrał także ze sobą dwie upolowane kaczki. Musimy postarać się o żywność.

W puszczy rosły przeważnie olchy i brzozy, a tylko na suchych pagórkach napotkali dęby i sosny. Nic nie wskazywało, aby w pobliżu znajdowała się jakaś wioska czy gród, gdzie mogliby nasycić głód.

Zbyt podmokła była ta puszcza, aby osiedlali się tutaj ludzie.

Wreszcie, gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, trafili na brzeg jeziora, które wchodziło w puszcze wąską i krętą rynną. Napoili konie w czystej wodzie, sami też zaspokoili pragnienie. Dago z niepokojem obejrzał końskie brzuchy - były wzdęte od złej trawy, którą przez dwa dni żywiły się na moczarach. Należało dać im czas, aby doszły do zdrowia. Dlatego rozkazał Herimowi rozpalić ognisko, a sam z łukiem w ręku wyruszył pieszo wzdłuż trzcin obrastających jezioro. Jak Zyfik, chciał ustrzelić kaczkę. Zerwało się ich kilka do lotu, ale żadnej nie trafił. To jeszcze na dworze Zely wprawiał się w strzelaniu z łuku, potem jednak zaniedbał tej umiejętności i wprawiał się do walki mieczem. Rozgniewany na siebie powrócił do Herima i zobaczył nad ogniskiem piekące się, oskubane z pierza ptaki. Obok ich koni pasł się

czarny rumak, a przy ognisku siedział Zyfik.

Nie oddam się, panie, w twoje piastowanie - powiedział mu Zyfik. -

Mam jednak inny plan. Pochodzę, jak to odgadłeś, z rodu władców.

Jestem najmłodszym synem królowej Ajtwar. Nie ja odziedziczę

władzę i królestwo, ale jeśli mnie odprowadzisz cało do mojej matki,

ty, panie, otrzymasz dużo złota, a Herim zażyje rozkoszy z

niewiastami, ile tylko zapragnie. Zgadzasz się? Odpowiedział mu

Dago:

Jestem Piastunem, a nie najemnym wojownikiem. Odprowadzę cię do

kraju Argaraspidów, jeśli oddasz się w moje piastowanie i złożysz mi

przysięgę. Zyfik nie dał odpowiedzi. Rzekł natomiast złośliwie:

- Widziałem, panie, jak usiłowałeś trafić kaczkę strzałą z łuku. Nie szło

ci to najlepiej.

Dobrze zabijasz kaczki, Zyfiku - bez uśmiechu odrzekł Dago. - Ja

jednak zwykłem zabijać nie kaczki, ale ludzi.

Zapytał go Herim:

- Dlaczego dzisiaj nie ucałowałeś ziemi, na której postanowiliśmy

nocować!' Nie wierzysz już, panie, w swoje czary?

- Najpierw muszę być pewien, czy to ta ziemia jest moją matką i ojcem.

Wtedy okażę jej swoją miłość i szacunek.

Aż do wieczora Dago nie odezwał się ani słowem. Zanim upiekły się

kaczki, zrzucił z siebie kolczugę, rozebrał się do naga i namydliwszy

swoje ciało, wykapał się w jeziorze.

A ty, Zyfiku, nie lubisz czystości, jak mój pan`? - zapytał go Herim.

Umyłem się i wykapałem, zanim do was powróciłem. Też lubię

czystość. Lecz ty, Herimie, jak gdybyś bał się wody.

- Owszem, nie lubię wody. Ale mój pan, Dago, nienawidzi śmierdzieli.

Ktoś musi jednak czuwać na brzegu, gdyż jesteśmy w obcym kraju.

- Czy ja nie wystarczę, Herimie?

- Jesteś tylko chłopcem, który celnie strzela z łuku - powiedział Herim i

zaczął obracać kaczki na zrobionych z patyków roznach.

Pochwycił Herim wstydlive, ale pełne ciekawości i zachwytu

spojrzenie Zyfika, gdy ujrzał Dagona wychodzącego nago z jeziora.

Herim drugi raz widział ciało Dagona i pojął, że za pierwszym razem

pomylił się: Dago nie był osiłkiem. Miał wąskie biodra i niezbyt

szerokie ramiona, jakie były zazwyczaj u siłaczy. Ale pod skórą drgały

sznury mięśni i to one znamionowały jego siłę. To ciało było gibkie i

zręczne, tak samo rozwinięte wydawały mu się mięśnie lewego i

prawego ramienia. Odkrył Herim, że Dago jest oburęczny, co musiało

mu się bardzo przydawać w walce, gdyż umożliwiała przerzucanie

miecza z jednej dłoni do drugiej.

Zasiedli do pieczystego. Dago przyniósł z juków mały woreczek z solą i

każdemu kilka szczypt nasypał na dłoń.

- To przez ten szary proch giną tu ludzie - powiedział Zyfik. - Złoża soli

mają w swym posiadaniu Gopelani, dlatego podbili ich Popiołowłosi i

zbudowali swoje Gniazdo, aby strzec soli. trzymać ją w swoich

składach. Kto jest im wrogiem, ten soli nie otrzyma i musi ją

sprowadzać aż z miasta, które jest Koło Brzegu Morza. Wielu

Lendiców wzbogaciło się na handlu solą i to oni wypowiedzieli posłuszeństwo Golubowi. Mój kraj też potrzebuje soli, dlatego żyliśmy zawsze w przyjaźni z Popiołowłosymi. Skąd teraz weźmiemy sól, tego nie wiem. Kiedyś dojdzie do wojny między Argaraspidami i Helgundą, która rządzi w imieniu Aslaka, syna Popiołowłosego.

- Czy Helgunda jest silna? - zapytał Dago.

- Ma stu wojowników z Jumna, których otrzymała jako wiano. Ale nienawidzą jej potężne rody Gopelanów i Lendiców. Nazywają ich Powalami, Łabędziami. Zemlinami i Duninami.

- Moja matka pochodziła z Zemlinów. To ród karłowatych ludzi - pogardliwie rzekł Dago. - Mojej matce pękło krocze, gdy mnie rodziła, a przecież sam to widzisz, Zyfiku, że nie jestem olbrzymem.

- Mówiłeś, że płynie w tobie krew olbrzymów - przerwał mu Herim. - Spalowie żyją tylko w pieśniach - ze smutkiem zakończył rozmowę Dago. - Nie wiem jak wyglądał mój ojciec, Boza. To jednak jest pewne, że gdy dorastałem, ta która mnie wychowywała, wydawała mi się olbrzymką.

Herim zjadł prawie całą upieczoną kaczkę. Połową drugiej zadowolił się Dago. Zyfik zaledwie tknął mięsa. Często chodził nad jezioro i pił wodę, usta miał spieczone. Dago zerkał na niego zamyślony, a gdy zapadł zmrok rzekł mu:

- Jeśli mi nie zaufasz, Zyfiku, nigdy nie zobaczysz kraju swojej matki.

Przyszła noc, zdjęli pancerze, kolczugi i położyli się do snu przy gasnącym ognisku. Nasycony jabłem Herim zasnął pierwszy i wkrótce

usłyszeli jego głośne pochrapywanie. Dago czuwał i patrzył, tym razem w bezchmurne, gwiaździste niebo, aby odnaleźć tam swoją gwiazdę Zwierzęcą. A po jakimś czasie poczuł na swym ramieniu delikatne dotknięcie dłoni.

- Dago Panie i Piastunie - owiał go gorący oddech Zyfika. - Domyślałam się, że ty wiesz kim jestem naprawdę. Gdy odjechałem od was, gałąź w puszczy zrzuciła mnie z konia i otworzyła się na moich plecach świeża rana od strzały. Krwawię, panie, i nie potrafię opatrzyć sobie rany. Ty znasz czary, zatamuj mi krew.

- Idź nad jezioro - rozkazał szeptem Dago.

Wyszukał w swoich jukach woreczek z kupionym ongiś w Akwizgranie cudownym proszkiem startego kamienia zwanego alunem, a także zamkniętą w drewnianym pudełeczku maść na rany z listków krwawnika i dziurawca. Podarł lnianą koszulę na długie pasma i poszedł nad jezioro.

Zyfik miał krwawą plamę na plecach. Rana była pod prawą łopatką i krew ściekała wzdłuż kręgosłupa aż między pośladki. Dago namoczył lnianą szmatę w jeziorze i wytarł plecy Zyfika, potem kazał mu zsunąć spodnie i wytarł krew z rowka między twardymi pośladkami młodej dziewczyny. Miała stromo sterczące szpiczaste dziewczęce piersi i skórę na plecach tak gładką jak bywa gładkie ciało pięknej kobiety. Na karku Zyfiki zobaczył rzemyk, a między piersiami wisiała drewniana figurka.

- Nie pomógł ci twój lek przeciw ranie - zauważył Dago. - Bo on nie

broni przed ranami, ale przed władzą mężczyzn.

Wziął w palce drewnianą figurkę i zdumiał się ujrawszy

wyrzeźbionego w drzewie męskiego członka.

- W Kraju Kwen, gdy dziewczyna kończy siedem lat, rzeźbi się taki

członek i pozbawia się ją dziewictwa. Odtąd nosi go ona na swojej

piersi. Nasze prawa mówią, że żaden mężczyzna nie może zadać bólu

kobiecie, gdy ją zapładnia, ani się pochwalić, że wszedł w nią

pierwszy.

Dago nic nie powiedział na te słowa, albowiem nauczył się szanować

cudze obyczaje i prawa.

Zasypał ranę proszkiem, posmarował maścią i obwiązał paskiem

plótna klatkę piersiową, robiąc węzeł pod wysokimi piersiami.

Sporo krwi ci uszło. ale pojutrze będziesz mogła ruszyć w drogę

powiedział przynosząc z juków czystą koszulę.

Narzuciła ją na swoje dziewczęce ciało i powiedziała:

Jak ci mam, panie. okazać wdzięczność? Czy przyjmiesz ode mnie

złotego solida.

Nie. Ponieważ nie czyniłem tego dla pieniędzy. Masz tylko szesnaście

lat i pochodzisz z Kraju Kwen. więc nie jesteś prawdziwą kobietą. Bo

kobieta tylko w jeden sposób może okazać wdzięczność mężczyźnie.

Jej duma została tak urażona. jakby włożył jej palec w ranę pod

łopatką. Czy wiesz, panie. co mówi nasze prawo? Kto widział

obnażone ciało kobiety a Kraju Kwen. powinien zostać zabity. Pilnuj

więc swojego życia. Roześmiał się cicho.

Nie widziałem obnażonej kobiety, a tylko chłopca o imieniu Zyfik z kraju Argaraspidów. Tak było i tak będzie.

Dobrze - skinęła głową. Niech tak pozostanie.

Położyli się znowu do snu. Ale Dago nie mógł zmrużyć oczu, ponieważ gdy je zamykał, Widział strome piersi dziewczyny. czuł pod palcami jej gładką skórę, odżywała w nim pamięć o jej krągłych i twardych pośladkach, wdychał nozdrzami oszałamiający zapach dziewczęcego ciała. A kiedy zasnął, nadszedł na niego taki sen, jaki wczoraj miał Herim - na próżno chciał zażyć rozkoszy z pachnącą wonnościami kobietą. I aż zajęczał z żądzy. Słyszała ten jęk Zyfika i myślała, że Dago płacze przez sen z tęsknoty za krajem olbrzymów. A jemu w marzeniu sennym na twarz Zyfiki nałożyło się wspomnienie oblicza dumnej księżniczki Pajoty, a potem wielu innych kobiet, których pragnął i które posiadał. a przecież tak mało od nich otrzymał. I gdy od czasu do czasu budził się z owych marzeń, widział olbrzymkę Zely i wszystko się w nim buntowało przeciw myśli, że Spalowie żyją już tylko w dawnych pieśniach. Czy on, Dago, nie miał w sobie krwi Spalów'? Czy złudzeniem były jego wspomnienia o szczęściu na dworze Zely? Być może naprawdę wraz ze śmiercią Zely wyginęli olbrzymi Spalowie. lecz przecież pozostał on, Dago, zapewne po to, aby spełniło się jakieś przeznaczenie. Mocą swoich wielkich czynów i mocą swej przyszłej władzy nieznanne dotąd ludy wprowadzi do historii.

ROZDZIAŁ ÓSMY - HLODR

Astrid zagrzała dużo gorącej wody, potem wtoczyła do izby beczkę z drewnianych klepek i chłopak mógł się nareszcie pozbyć brudu. W wodzie z pachnącymi ziołami umyła jego długie włosy aż stały się jeszcze bielsze. Przyszczygła je równo, aby sięgały tylko do ramion, jak u człowieka stanu wolnego. Ogołiła młodzieńczy zarost i podała obfite śniadanie.

Tej nocy, gdy przysła go zabić, a potem odwrócona plecami leżała obok niego na ławie w pobliżu pieca, on budził się trzy razy i czując na swoim brzuchu ciepłe kobiece pośladki za każdym razem okazywał żądzę, brał ją i wypełniał ją, a ona doznawała rozkoszy. Prawdą było, że przez siedem lat pożycia z mężem, Ottarem, nigdy nie doznała z nim nawet najmniejszej przyjemności i myślała, że tak być powinno. "ten szesnastolatek bez imienia odkrył w niej coś nowego i ją samą przerażała myśl, że gdyby go zabiła, być może do końca życia pozostałaby nieświadoma kobiecej rozkoszy. Przekonała się, że nawet dotknięcie jego ciała sprawia przyjemność jej palcom, dlatego myła go długo i pieszczotliwie dotykała ramion, brzucha, ud. Chciała mu w ten sposób okazać wdzięczność za to, co ją z nim spotkało. Przyniosła też najpiękniejsze szaty swego męża. Sama dziwiła się, czemu pragnie, aby ten przybłąda, który wkroczył w jej życie brudny i obszarpany wyglądał pięknie, jak jej zabity mąż.

Dostał więc od niej białe lniane gacie i koszulę, szkarłatne wełniane spodnie-pończochy tak obcisłe, że wyraźnie odznaczało się jego przyrodzenie. Na koszulę wdział bluzę, również szkarłatną.

Ofiarowała mu długie buty z miękkiej jeleniej skóry, pas zdobiony srebrnymi okuciami i dla jego miecza ozdobny w srebro pasek przez ramię. Podarła mu kapelusz z miękkim rondem, także szkarłatny oraz podobny do futra płaszcz zwany rogrrr, zrobiony z krótkich pasemek wełny. Teraz dopiero w stroju bogatego Ascomanna wyglądał naprawdę pięknie. Chciała, aby takim pozostał na zawsze.

- Czy dać ci miecz mojego męża, dłuższy i piękniejszy niż twój? - spytała. - Miecz nosi nazwę Kąsacz Kolczugi, gdyż przecina nawet kolczugę.

Dziękuję ci, Astrid: Mój miecz nazywa się Tyrfing i jest zaczarowany - odrzekł młodzieniec. - Jeśli go wyciągnę z pochwy do walki, musi paść trup, dlatego noszę go w lichej pochwie. Nie powinien zwracać niczyjej uwagi. Czy to ty go zaczarowałaś. Mówiłeś, że znasz sztukę czarów.

- Przekleństwo na niego rzucił bóg Odyn. Rozkazał mu zabijać. Ale prawdą jest, że znam sztukę czarów, gdyż wychowała mnie olbrzymka Zely. Zrodzony zaś jestem ze zwykłej kobiety i olbrzymy Bozy.

Pochodzę z kraju Spalów, to jest z kraju olbrzymów.

Pomyślała, że są to przechwałki młodzieńca. Wspomniała jednak jego nabrzmiały członek, który wypełnił ją aż cztery razy w ciągu nocy i dał rozkosz. Takiego dużego członka nie miał Ottar, choć należał do mężczyzn silnych i walecznych.

Moja sztuka czarów nie jest wielka - wyznała. - Umiem podawać ziele, które powoduje miłość, ale także takie, które miłość oddala. Potrafię składać połamane kości i leczyć rany, zatamować płynącą krew i

przyjmować dziecko rodzącej kobiety.

- Ja też znam tę sztukę - rzekł chłopiec. - A choć nie potrafię odebrać dziecka rodzącej, wiem, że trzeba iść do niej w stroju mężczyzny, aby oszukać złe moce.

- To prawda - zdumiała się Astrid. - Ty naprawdę znasz sztukę czarów.

- Rozumiem także mowę ludzkiego ciała. Dlatego wiedziałem, że przyjdiesz, aby mnie zabić. Powiedziały mi to twoje oczy.

- A co one teraz ci mówią? - zapytała z uśmiechem.

Tę rozmowę prowadzili przy śniadaniu, siedząc naprzeciw siebie po dwóch stronach stołu. On - w swych szkarłatnych szatach i z białymi włosami sięgającymi ramion, ona - ubrana też pięknie, gdyż chciała mu się podobać, w długiej zielonkawej wełnianej sukni, ze srebrnymi broszami na piersiach i festonem paciorków zawieszonych między broszami. Włosy - jak przystało wdowie - miała związane w gruby węzeł, a na głowie nosiła szpiczasty czepek.

Chłopiec z przyjemnością skubnął palcami przystrojone w koronki mankiety swej koszuli, potem spojrzał na Astrid i rzekł:

- Twoje oczy są niespokojne. Twój wzrok wciąż ucieka ku schodom.

Dlatego wiem, że tam na górze jest mężczyzna.

- Zabijesz go? - starała się nie okazać przerażenia. - Nie wiem.

- Jest ranny. Ma złamane obydwie nogi. Nie będzie się długo bronił - powiedziała, z napięciem oczekując jego odpowiedzi.

- Kim jest dla ciebie?

- To brat mojego męża. Ma na imię Hlodr. - Czemu nie leży tutaj, ale na

strychu?

- Ukrywam go przed władcą miasta, Akumem. Hlodr, w spisku z moim mężem, Ottarem, napadł tej jesieni na miasto z gromadą

Ascomannów. Zostali wybici. Znalazłam Hlodra z połamanymi nogami i przywlokłam tutaj. Mąż mój zginął. Nikt jednak nie wie, że Ottar był w zмовie z piratami, dlatego dano mi spokój. Ale od tego czasu żyję w nędzy. Musiałam sprzedać niewolników, a także pozbyłam się wielu cennych rzeczy.

- Dlaczego twój mąż związał się z piratami?

- Był Ascomannem - wzruszyła ramionami, jakby to mogło wszystko wyjaśnić.

Ciągle słyszę o Ascomannach. Kim są?

To ludzie z Północy. Niekiedy są kupcami, niekiedy najeźdźcami i zdobywcami, a nawet piratami. Mój mąż skupował futra, ale kiedy cały ten handel przejął Akum, zaczęło się nam źle powodzić. Wtedy Ottar przypomniał sobie o bracie Hlodrze i o tych, z którymi łączyło go vaarar, to jest ślubowanie braterstwa. Wspólnie zaplanowali napad na miasto. Zabijesz Hlodra?

- Nie - odparł syn Bozy. - Będę się nim opiekował, jeśli nauczy mnie obyczajów Ascomannów. Pragnę bowiem osiąść wiedzę i umiejętności, gdyż jak mi wróżono, mam zostać wielkim władcą. Nie chcę zabić człowieka, który może mnie czegoś nauczyć. Czy Hlodr jest kimś znacznym?

- W mieście Birka ma dom. Wiele razy przepływał morza, walczył z

Brytami, Anglami, najeżdżał Franków i przywoził wielkie lupy. Był nawet na morzu zwanym Pontem. Gdy spłyną lody, będę codziennie wychodzić na przystań i wyglądać statku z głową smoka o rozdwojonym języku. Tym statkiem potajemnie powróci Hlodr do swojego domu, a mnie zabierze ze sobą.

Zapytaj go, czy zechce zostać moim nauczycielem - zaproponował syn Boży, który na myśl o dalekich podróżach, odczuwał w sobie drżenie wywołane chorobą zwaną Żądzą Czynów.

Odeszła i długo jej nie było. Potem pokazała się na połowie schodów i kiwnęła ręką na chłopca, aby wszedł na górę. Wtedy to syn Boży zobaczył w izdebce na strychu, na wielkim łóżu pokrytym skórami owiec, leżącego ogromnego mężczyznę z wielką czerwoną brodą i długimi czerwonymi włosami. Jego obydwie nogi znajdowały się w drewnianych deszczułkach. Mężczyzna był w sile wieku, oczy miał wesole.

Czego chcesz się nauczyć ode mnie, młodzieńcze bez imienia? - tubalnym głosem zapytał Hlodr w mowie, której syn Boży nie rozumiał, ale Astrid mu jego słowa zaraz przetłumaczyła.

Odparł bez namysłu:

- Twojej mowy, panie. I twoich obyczajów. A jeśli kochasz się w walce, także i twojej zręczności walki.

- Nie wiem, czy warto cię uczyć, młodzieńcze bez imienia - zahuczał

Hlodr, a Astrid tłumaczyła jego słowa. - Może na to szkoda czasu?

Mówiła Astrid jakobyś się chwalił, że pochodzisz z rodu olbrzymów

zwanych Spalami. Przemierzyłem na łodziach chyba pół świata, ale o Spalach nie słyszałem. Gdybym nie miał połamanych nóg, spróbowałibyśmy pojedynku na miecze. Słyszałem, że twój nazywa się Tyrfing. Mój zaś nosi imię Kąsacz Goleni.

Nie mogliśmy się pojedykować na miecze, panie, ponieważ gdybym obnażył do walki swojego Tyrfinga, musiałbyś paść trupem.

Mój miecz jest przeklęty i niczego nie robi dla zabawy.

Hlodr przestał się uśmiechać. - Kto go przeklął?

- Odyn.

- Spalowie oddają cześć Odynowi? ,

- Nie. Naszym bogiem jest Swaróg. Ale ja chcę oddawać cześć wielu bogom, ponieważ chciałbym mieć wiele sił.

- Nie wiem, w jaki sposób mam sprawdzić, czy nadajesz się do nauk - zastanawiał się Hlodr.

Uśmiechnął się syn Boży i powiedział:

- Masz, panie, nóż ukryty w owczych skórach tuż koło swojej dłoni.

Gdy tu wchodziłem, widziałem w twoich oczach wahanie, czy mnie nim nie zabić. Ledwie te słowa przetłumaczyła Astrid, a nóż zabłysnął i przeleciał tuż nad głową syna Boży. Gdyby chłopiec nie był świadomy niebezpieczeństwa i nie uchylił się, nóż wbilby mu się w serce.

- Umiesz czytać w ludzkich myślach! - zawołał Hlodr.

- Nie, panie - odparł spokojnie młodzieniec. - Znam tylko mowę oczu i mowę ciała.

To mówiąc wyjął nóż wbity w krokiew i rzucił go na polepę strychu.

- Ja cię nauczę mowy Ascomannów, czyli donsk tunga, a ty mnie mowy oczu i ciała - zaproponował Hlodr.

- To niemożliwe, panie. "Tylko kobieta, która zna sztukę czarów może nauczyć mężczyznę mowy oczu i ciała. Przez wieki kobiety pieściły mężczyzn, poznawały ich oczy i ich ciała, jak również własne ciało, i to one, a właściwie niektóre z nich, zachowały odrobinę pamięci o dawnej ludzkiej mowie. Ja ją poznałem, ale nauczyć potrafiłbym tylko kobietę. Mogę jedynie zapewnić ci bezpieczeństwo i pieniądze na dostatnie życie.

- W jaki sposób?

- Będę brał wieczorem czarną opończę i szukał takich, co chodzą z mieszkami u pasa. A teraz, panie, powiedz mi, czy używasz tej oto kobiety imieniem Astrid.

- Jak mam jej używać?- rozsierdził się Hlodr. - Owszem niekiedy każę jej w rozmaity sposób zaspokajać swoje żądze, ale to cała korzyść.

- W takim razie będziemy się nią dzielić - zdecydował syn Bozy. - Co ty na to, Astrid? - zapytał Hlodr.

- On ma rację. Kocham ciebie, Hlodr, ale i jemu jestem potrzebna. A poza tym nie wolno dla niego sprowadzać do domu obcej kobiety, gdyż powodowana zazdrością, może donieść na nas ludziom Akuma.

I tak oto syn Bozy zaprzyjaźnił się z Hlodrem, starym thane, jak kazał się nazywać, słowo to bowiem oznaczało uczestnika wielu walk. Sam zaś został drengiem, to jest chłopcem i towarzyszem broni. Po

miesiącu dobrze już mówił w mowie Ascomannów i dowiedział się wiele o ich tajemnych obyczajach i przysięgach, a także sposobach walki.

Nie byli jednym ludem, choć władali jednym językiem. Inne nieco obyczaje mieli ci z krajów Jutów, z wyspy Fonia, Zelandii, Borholmu, Skanii oraz Biekinge. Inne trochę ci, którzy wywodzili się z nad jeziora Wener i jeziora Wetter, z Vastmanlandu i Norrlandu, a jeszcze inne ci, co pochodzili z Hordelandu, Vestfoldu albo Halagglanu, czyli Kraju Wiecznej Zorzy. Wszyscy kochali morze i walkę: czasami bywali piratami, najeźdźcami, to znów przekształcali się w kupców albo władców, którzy wraz ze swoim hirdem, to jest drużyną zbrojną, opanowywali jakiś skrawek ziemi. Mieli królów, ale posiadali także jarłów, którzy zwoływali ludzi na wyprawy łupieżcze lub w celu podboju; wtedy składali przysięgę, czyli waarar, że „jeden za wszystkich. a wszyscy za jednego”. Ludzi połączonych przysięgą zwano kylfingar. Złamanie przysięgi narażało na wyrok norn który oznaczał tylko jedno - śmierć.

Wierzyli w Odyna i wielu innych bogów i półbogów. Hlodr nosił na piersi amulet w kształcie młota Odynowego syna imieniem Thor, inni jednak mieli amulety z wyobrażeniem bogini Freyji, która dawała urodzaj i bogactwo. Do najslawniejszych miast - portów należała Birka, ale nad Północnym Morzem pełno ich było we wszystkich portowych miastach, jak choćby w Hedeby, gdzie organizowali się w drużyny vaeringjar, w miejscowym języku nazwane Warjagami albo

Waregami. I ruszali na wschód opływając półwysep Domesnes, a potem poprzez jeziora i rzeki, a także przeciągając statki po lądzie - dostawali się na ogromną rzekę Borystenes, którą dążyli po bogactwa wspaniałego miasta nad Pontem. Po drodze niektórzy osiedlali się w rozmaitych grodach albo wynajmowali się miejscowym władcom dla obrony i wzmocnienia ich potęgi; niekiedy sami dawali początek nowym dynastiom władców.

Boendr - to była grupa ludzi wolnych, thrall - rasa niewolników. Do rządzenia stworzeni byli konnungrowie, czyli królowie, i władcy - jarlowie. Mieli żony i nałożnice. Hlodr chwalił się synowi Boży, że w Birce pozostawił cztery nałożnice; ich kobiety też bywały waleczne. Gdy brakowało mężów, doskonale radziły sobie w interesach lub prowadzeniu gospodarstwa.

Hlodr odbył wiele wypraw łupieżczych i kupieckich, umiał o nich barwnie opowiadać. Rozpoczął jako młody dreng u boku swojego ojca podczas wyprawy Warjagów na Wschód i Południe. Opłynęli wtedy półwysep Domesnes i przez rzekę zwaną Newa dostali się na jezioro zwane Łagoda, a później rzeką zwaną

Wołochów przybyli do kraju zwanego Gardar, co znaczy Kraj Miast.

Tam ojciec Hlodra pokochał młodą kobietę z plemienia Rusinów i pozostał jako najemny wojownik w służbie księcia Holmgardru, a

Hlodr wraz z innymi przenieśli swoje łodzie aż do początku rzeki

Borystenes inaczej zwaną Danapr i nią dostali się do kraju Achajów, na ciepłe morze. Podczas tej wędrówki, która trwała prawie sześć

tygodni, musieli przebywać straszliwe porohy zwane: Oulborsi, Gelandri, Alfor, Barutoros, Leanti, Strukun. Wielu Warjagów zginęło, wiele łodzi rozbiły skalne progi, ale ci, co powrócili, mieli mnóstwo towarów i łupów, przede wszystkim wiele pięknych przedmiotów ze złota.

Hlodr znalazł także szlak dla łodzi Warjagów z biegiem rzeki Chazarów aż nad morze Chazarów i dalej do państwa Musliminów zwanych uległymi, do miasta zwanego Bagdad. Tamtędy szedł szlak karawan objuczonych jedwabiem z Krajów Serów, żyjących gdzieś aż na krańcu świata. Warjagowie opłacali się Chazarom, którzy podobnie jak i Hebrajczycy i Musliminowie lubili handel. I znowu drogą Warjagów, niekiedy razem z nimi, wracali na Północ, aż do Druzo i dalej, nawet do Birki, po drodze kupując futra zwane permskimi. To stamtąd, z dalekiego Południa znad morza Pontu i morza Chazarów przywożono ciemnoskóre niewolnice znające sztukę najbardziej wyszukanej miłości oraz delikatny materiał zwany jedwabiem, który powstawał z nici pochodzącej od białych motyli, a takie kupione w drodze wspaniałe futra z białych niedźwiedzi. Ojciec Hlodra zginął w walce po stronie księcia Holmgardru i pochowany został ze wspaniałym rytuałem w wielkiej łodzi, razem ze swoim bogactwem i ukochaną żoną, pośród sterczących wokół wyrzeźbionych z drewna męskich członków. "Tak i ja pragnę być kiedyś tam pochowany" - powiedział Hlodr synowi Bozy.

Mimo zdobytego bogactwa, Hlodra wciąż ciągnęło do nowych

wypraw, przede wszystkim łupieżczych. Dlatego, gdy pod wpływem Ottara zaplanowano w Birce napad na Druzo, Hlodr zgłosił się na tę wyprawę. Nie udała się z powodu czujności Akuma, ale Hlodr wciąż nie tracił nadziei, że będzie kiedyś łupił Druzo. "A co uczynisz potem?" - zapytał go syn Bozy. Hlodr miał gotową odpowiedź. U ujścia rzeki Ren był port Dorestad opanowany przez króla Rorika, tak więc całe wybrzeże państwa Franków można było napaść i ograbić. "Na tę wyprawę ciebie z sobą zabiorę" - obiecywał Hlodr.

Minął czas zbierania oskoły, czyli soku z brzozy, a potem jeszcze raz odmienił się księżyc i w końcu nastał miesiąc Trawień gdy to zieleni się trawa i ludzie wypuszczają 'bydło na świeżą paszę. Hlodr już nie leżał w łóżku, lecz zaczął chodzić, wspierając się na zrobionych przez siebie szrudłach. Robił kilka kroków po strychu, najczęściej od łóżka do ściany szczytowej domu Astrid. W jednym z bali wypadł sęk i poprzez dziurę widać było rzekę wypływającą z jeziora Druzo oraz port. Lody już dawno roztopiły się, uwięzione w nich statki odpłynęły do dalekich krajów, na ich miejsce przybywały wciąż nowe i nowe, aby po jakimś czasie znowu zniknąć z portu. Hlodr nauczył młodzieńca rozróżniać rodzaje statków. A więc przyływały ogromne i szerokie ferje z wysokimi burtami, przeznaczone dla kupców i ich towarów, knorry - do dalekich podróży, skuty o trzydziestu wiosłach, dobre do wojaczki i do kupiectwa, karfi mieszczące od dwunastu do trzydziestu dwóch wioślarzy. Wszystkie statki miały maszt i żagiel, miejsca dla wioślarzy oraz ster i kil, który im pozwalał płynąć ostro

na wiatr. Wielkość statku określano po ilości wiosłarzy i ławek dla nich przeznaczonych, i dzielono je na te, które były przeznaczone dla kupiectwa - kanpsikipy oraz bardzo długie i płytko zanurzone - langskipy, do wojennych wypraw. Wojenny statek snekka był na ogół dwudziestolawkowcem, mógł zabrać czterdziestu czterech mężczyzn i dwa konie. Przyływały też nieco mniejsze skeidy, bardzo szybkie, słowo skeid oznacza bowiem rzecz, która tnie wodę. Największe statki wojenne nazywano drekar, czyli smok, ponieważ miały dzioby z brązu i umieszczone na nich wizerunki smoków ziejących ogniem z nozdrzy. Na dziobach innych statków widziało się postacie ludzkie odlane z brązu lub nawet ze złota, byki ze wzniesionymi wysoko szyjami, delfiny i ludzi z tułowiami konia. Na wierzchołkach masztów poruszały się ptaki wykute z lekkiego metalu - wskazywały one kierunek wiatru. Każdy wielki statek miał swoje imię. Hlodr czekał na "Długiego węża", który był drekarem i nosił na dziobie figurę smoka z rozdwojonym językiem. Lecz choć każdego ranka i niekiedy przez cały dzień przez dziurę w belce obserwował rzekę i port - tego statku ciągle nie było. Hlodr nie mógł się obyć bez szczudeł i ta bezradność powodowała, że czasami popadał w smutek, odmawiał jedzenia, nie chciał widzieć młodzieńca, a nawet Astrid. To znów wpadał we wściekłość i w więźbę dachową walił mieczem. "Uważaj, abym kiedyś nie popadł w berserkir, to jest wilczy szal - ostrzegwał chłopca i Astrid. - To się zdarza niekiedy Ascomannom podczas bitwy. Zabijają wtedy na ślepo, a ranieni nie czują bólu. Tacy są potrzebni w walce, ale otacza

ich ogólna pogarda, uważa się ich za głupców i szaleńców. Kto wie jednak, czy bezczynność nie sprowadzi na mnie tej choroby i wówczas mogę zabić ciebie, młodzieńcze bez imienia, i Astrid."

Niekiedy Hlodr popadał w samochwalstwo i wspominał swoją młodość. Opowiadał, że jako dreng potrafił przebiec wzdłuż całego statku po wiosłach znajdujących się w ruchu. Dokonać czegoś takiego mógł tylko człowiek niezwykle zręczny i odważny, rzadko komu się to udawało, szczególnie na statku o wielu wiosłach.

Jak każdy Ascomann, kochał statki i jak każdy Ascomann chciał, aby po śmierci spalono go wraz ze statkiem. Jeśli kogoś nie stać było na statek, przyjaciele chowali go w grobowcu zrobionym z kamieni ułożonych w kształcie kadłuba. "To my staliśmy się właścicielami wszystkich mórz i oceanów - chwalił się synowi Boży. - Nasze statki nie płyną bezwolnie pchane przez wiatr. Są płytkie i dopływają aż na ląd. Wtedy atakujemy błyskawicznie ludzi nieświadomych niebezpieczeństwa. Nasze statki są lekkie, możemy je przeciągać po lądzie lub nieść na ramionach. I mają wyższe burty od innych, dlatego łatwiej nam z nich skakać na statki wroga o niższych burtach."

Syna Boży też męczyła bezczynność, szczególnie, gdy jak mu się wydawało, dostatecznie poznał język Ascomannów i ich obyczaje. Nie mógł się z Hlodrem wprawiać do walki, gdyż Hlodr ciągle jeszcze chodził wsparty na szczudłach i łatwo go było pokonać. Znużyła go też miłość Astrid. Zely nauczyła go nie tylko i mowy ciała, ale także rozumienia ciała mężczyzny i kobiety. Dzięki temu swoimi

pieszczotami potrafił doprowadzić Astrid do wywołanej rozkoszą utraty przytomności. Ale ona nie umiała mu się odwzajemnić podobną pieśczoą, nie znała bowiem tajemnic ciała mężczyzny. W jej ramionach syn Boży tęsknił za Zely i jego pożądanie nigdy nie bywało zaspokojone do końca. "Wszystkie nasze kobiety są zimne - powiedział mu Hlodr, gdy poskarżył mu się na brak miłosnej sztuki u Astrid. - I zapamiętaj sobie też nasze przysłowie: zimna jest rada naszej kobiety. Dlatego bądź ostrożny wobec ich rad."

Astrid miała dwanaście lat, gdy porwano ją z jakiejś sklavińskiej wioski i sprzedano bogatemu Ottarowi w Druzo. Wyrosła na piękną dziewczynę wychowaną przez kobiety ascomańskie i Ottar wziął ją sobie za żonę, wyzwalając uroczyście z niewoli. Od kobiet ascomańskich nauczyła się być silną, wytrwałą, gotową walczyć u boku mężczyzny, ale ta surowość pozbawiła ją kobiecej miękkości i uległości, zabrała gdzieś słodycz i ciepło, z której słynęły kobiety Południa. Takie można było spotkać jedynie w szałasach pod miastem i za wynagrodzeniem zażyć z nimi rozkoszy. Syna Boży trawiła wciąż Żądza Czynów, nocami u boku Astrid niekiedy aż dzwonił zębami, dręczony przez pragnienie dokonywania wielkich rzeczy. A tymczasem pozostawał w bezczynności, gdy oczekiwany drekar ciągle nie wpływał do portu. Dlatego coraz częściej, wieczorami, zrzucał z siebie szkarłatną odzież i byle jak ubrany, z mieszkiem pieniędzy, wymykał się do szałasów za miasto, a jego Żądza Czynów wyrażała się w odwiedzaniu nieskończonej ilości sprzedających kobiet.

Szczodrze opłacał te, które dawały mu najbardziej wyszukaną rozkosz. Niekiedy zachęcał do miłości przypadkowo poznanych Estów lub Ascomannów i wraz nimi, robiąc układy, ile też w ciągu nocy zdoła odwiedzić szalasów, dokonywał rzeczy niezwykłych: potrafił osiąść w ciągu jednej nocy aż osiem, dziewięć, a nawet dwanaście kobiet. Nikomu nigdy nie wyjawiał, gdzie mieszka i jak się nazywa, bo w istocie nie miał jeszcze imienia, toteż otaczała go atmosfera tajemniczości. znikał bowiem równie tajemniczo, jak się pojawiał. Rankiem powracał do domu Astrid tak zmęczony, że spał aż do południa, nie mówiąc gdzie był i co robił. Pewnego dnia zobaczył jak Astrid zaspokaja żądzę Hlodra. Ascomann, jak zwykle, leżał na swym łóżu na poddaszu i gdy poczuł pragnienie kobiety, wyjął na wierzch wezbrany członek i przywołał znajdującą się w kuchni Astrid. Pobieгла na górę posłusznie, a zobaczywszy jego sterczące prącie, pojęła, czego od niej chce. Wówczas wlaźła na jego łóże, zasiadła na nim okrakiem i zadarła spódnice. Syn Boży wspiął się na schody, zobaczył jak Astrid wpycha w siebie męskość Hlodra, a potem rytmicznie porusza swoimi gołymi pośladkami. aż odczuła wytrysk nasienia. Westchnąwszy cicho, zlaźła z Hlodra i, jak gdyby nic nadzwyczajnego nie uczyniła, spokojnie powróciła do kuchni i do syna Boży. .A on, nie wiedząc czemu, raptem poczuł do niej wstręt i postanowił nigdy więcej nie zażywać z nią rozkoszy. Miłość, uczyła go Zely, była sztuką. a Astrid poszła do Hlodra i dała mu siebie, jakby poprosił ją o kubek wody lub kawałek baraniej pieczeni. A więc było

jej wszystko jedno, co daje - siebie czy wodę lub jadło. Niczego nie rozumiała żyjąc z synem Boży; na próżno uczył ją sztuki miłosnej. Powiedział jej o tym, a ona, ku jego zdziwieniu, przyjęła te słowa z największym spokojem, nawet chyba jakąś ulgę przyniosła jej jego decyzja, że odtąd nie będą się łączyć ze sobą. Bo choć w rzeczy samej tylko z tym młodzieńcem odczuwała rozkosz. to zarazem owa rozkosz wydawała jej się czymś niezwykle i przez to przerażającym, ponieważ gdy ją przeżywała, miała wrażenie, że umiera. Lękała się iż pewnego dnia naprawdę umrze z rozkoszy. Tak pojął syn Boży, że rozkosz jaką mężczyzna napelnia kobietę może ją do niego mocno przywiązać, ale także niekiedy wzbudzać lęk i oddalać z powodu owego lęku, szczególnie, jeśli dotąd przyzwyczajona była przeżywać miłość bez rozkoszy.

Po jakimś czasie kupił konia i siodło i trzymał je u pewnego kowala, zamieszkującego samotny dom nad brzegiem jeziora Druzo, odległym o kilka stajni od skraju miasta. Ów kowal, jak wszyscy niemal kowale. uchodził za czarownika. U niego wprawiał się do jazdy konnej, w miejscu ustronnym. niewidocznym.

Wciąż wabiły go kobiety w szalaszach na skraju miasta, sprowadzone tu z różnych stron świata. Te z Północy były - jak je nazywał Hlodr - zimne zachowaniem swoim przypominały krowy o wielkich wymionach. Za garść monet bez słowa kładły się na łożu i rozsuwały uda albo wypinały tłuste białe tyłki. Te z Południa chyba trochę znały sztukę miłości, niektóre z nich potrafiły na wpół obnażone tańczyć

przy wtórze fujarki lub uderzeń bębena, wdzięcznie wyginając się w biodrach i lubieżnie kręcąc tyłkiem. Za obcowanie z takimi płaciło się drożej, lecz tym, co tu przychodzili rzadko zależało na lubieżnych uciechach; Estowie i Ascomannowie zaglądali tutaj jak do karczmy, aby nasycić głód i robili to pośpiesznie, byle szybciej doznać ulgi w jądrach. Jedyne przybysze z Kraju Uległych korzystali z usług tancerek i ich wysmarowanych pachnidłami ciał o oliwkowej cerze. Syn Boży wybierał te z Południa. Leżąc nagi na posłaniu splatał swoje palce z ich smukłymi palcami, przymknąwszy powieki z rozkoszą przyjmował wędrówki ich ust po całym swoim ciele, gdyż przypominała mu się wówczas Zely. Ich aksamitne języki wnikały w każdą szczelinę jego ciała, a gorące wargi obejmowały napęczniałego żołądka na prąciu, czego za żadną cenę nie chciały czynić kobiety z Północy, nie rozumiejąc jak rozmaite są drogi do rozkoszy. Te z Południa pochylały się nad mężczyznę, aby mógł dotykać wargami ich szpary i spijać słodkawą, woniejącą olejkami śluz, jak motyl spija pyłek z rozchylonego kwiatu. A jeszcze później to one piły rozkosz mężczyzny, jego białe nasienie, podobnie jak to czyniła Zely. Po odwiedzinach u nich znajdował na swoim ciele, na piersiach i na podbrzuszu delikatne zadrapania ich paznokci i ślady ukąszeń ich zębów, drapały bowiem i gryzły spełniając się lub udając wspólne spełnienie z mężczyzną. Oglądając na sobie te ślady, przypominał sobie przeżyte chwile i znowu tęsknił za powrotem do szalasów. On też znał miłosną mowę ciała. Niekiedy zaskakiwał je swoją sztuką i

wcześniej niż siebie potrafił doprowadzić każdą z nich do rozkoszy.

Wtedy zwracały mu jego pieniądze. klękały przed nim i całowały stopy, błagając, aby je znowu odwiedził. Skarżyły się mu, że mężczyźni przeważnie są jak cuchnące kozły i nie umieją nic innego jak wchodzić w ich pochwy: obca jest im nawet sztuka pocałunków najprostszyc, odwracanych, pochylonych i wyciśniętych, nie znają wspaniałej miłosnej walki języków, o której uczą święte księgi bogini miłości. Tylko on jeden wiedział, jak należy splatać swoje ciało z ciałem kobiety i choć nie znał nazw określających każdy z uścisków, to przecież potrafił czynić bluszcz, wspinanie się na drzewo, mieszanie sezamu z ryżem, a nawet mieszanie mleka z wodą, gdy to popada się w ekstazę i okalecza własne i cudze ciało. Lecz on pozostawał obojętny na ich pochlebstwa i nie wracał do nich, ponieważ pragnął poznawać coraz inne kobiety, jakby szukając wciąż Zely, pachnącej nie wschodnimi olejkami, lecz olejkiem sosnowym, igłami jałowca i rumiankiem...

Brak pieniędzy zmusił go do działania. U kowala ukrył swoją szkarłatną odzież, wieczorami ją przywdziewał i narzuciwszy ciemną opończę konno wyruszał na gościniec, gdzie o zmierzchu albo wczesnym rankiem napadał na samotnie jadących do miasta lub z miasta. Zawsze wracał z mieszkiem pełnym pieniędzy lub kawałków kruszcu; na drodze pozostawały trupy z odciętymi głowami. Czynili na niego zasadzki wojownicy Akuma, potrafił im się jednak wymknąć albo ucinał głowy Tyrfingiem. Tak powstała wśród mieszkańców

miasta groźna legenda o Szkarłatnym Kuningu, który stał się postrachem całego Druzo. Nikt się nie domyślał, że po zrzuceniu szkarłatnego stroju i ukryciu konia u kowala ten sam człowiek w zwykłych szatach, a niekiedy nędznych, powraca potem pieszo do miasta, aby wiele następnych nocy spędzać w szałasach, w ramionach sprzedajnych kobiet. Astrid i Hlodr domyślali się kim jest ów Szkarłatny Kuning, ale nigdy na ten temat nie rozmawiali z synem Bozy. Brali pieniądze i milczeli, ponieważ i ich ogarnął strach przed tym młodym człowiekiem. "To wszystko z powodu choroby, którą on nazywa Żądzą Czynów - tłumaczył Hlodr zatroskanej Astrid. - Gdy przybędzie nasz drekar on stanie do prawdziwej walki i zmieni się w innego człowieka. Na razie trzeba pozwolić, aby robił to, co chce. Mnie też dręczy bezczynność."

Latem, w porze żniw, do domu Astrid zapukał jakiś obcy człowiek, który swoim strojem, a przede wszystkim mieczem noszonym na pasku przez ramię, zdradzał, że jest Ascomannem. Właśnie przyплыł do portu dwudziestolawkowy langskip, ten człowiek wyglądał na żeglarza, pachniał solą i wiatrem. Zapytał szeptem o Hlodra, a Astrid poprowadziła go na strych. Rozmawiali ze sobą w języku donsk tunga, ale syn Bozy już zdołał go sobie przyswoić i z dołu słyszał każde ich słowo. To z tej rozmowy dowiedział się, że rzeka Ilfing wypływająca z jeziora Druzo, nad którą znajdowało się miasto i port, wpada do Zalewu Estyjskiego, stworzonego przez ujście rzeki Visuli. Rzeka ta miała kilka ujść, pełno rozlewisk, bagnisk i wysp; cały ten obszar

nazywano Witlandią lub Krajem Wit, należącym do Estów i dzielącym ich od kraju Sklavinów. Naprzeciw ujścia rzeki Ilfing do Estyjskiego Zalewu też znajdowała się wyspa, ale fale morza i prąd rzeki Visuli ciągle nanosiły na nią coraz to nowy piasek i w bardziej suche lata coraz trudniej bywało przepłynąć przez wąski przesmyk wody między lądem i wyspą. 'Gdyby ów przesmyk kiedyś się zamulił, statki kupieckie musiałyby opływać usypany przez morze półwysep, nadkładając szmat drogi. Wówczas to port i miasto Druzo przestałoby być dobrym miejscem dla żeglarzy i kupców, zbyt daleko położonym od morza. Wiedział o tym władca Witlandii, książę Gedan, i zamierzał zbudować nowy port w swoim grodzie, przy lewym ujściu Visuli. O tych tajnych planach Gedana usłyszał Akum, władca Druzo, i z myślą o dalekiej przyszłości postanowił podbić całą Witlandię, przejąć władzę po Gedanie i u lewego ujścia Visuli, na miejscu gródka Gedana, zbudować własne miasto i własny nowy port. W tym celu słał tajnych posłów do Hedeby, a nawet do Birki, gdzie gnieździło się mnóstwo rozbójników morskich i wraz z nimi zdecydował się jesienią napaść na gród Gedana. Najpotężniejszy z jarłów mieszkających w Birce, niejaki Sveri, przystał na plany Akuma i jesienią na czele kilkunastu wojennych statków miał wpłynąć do portu Druzo, a potem razem ze statkami i wojownikami Akuma zaplanował uderzyć na gród Gedana i opanować Witlandię. Jednak Gedan nie pozostał bezczynny. Uzbroił swój gród, do pomocy wezwał sąsiednich Sklavinów. Lecz w rzeczywistości jarl Sveri ani myślał napaść na ubogi gród Gedana.

Rozbójnicy morscy od dawna marzyli, aby osiąść bogactwa Druzo.

Gotowi byli w płynąć do portu Druzo, ale ani myśleli dotrzymać obietnicy danej Akumowi. Zaplanowali po przybyciu do portu rozprawić się z wojownikami Akuma i splądrować całe miasto. To, co minionej jesieni nie udało się Ottarowi, Hlodrowi i innym, tym razem musiało się spełnić. I Hlodr, choć chodził jeszcze o kulach, otrzymał od Sveriego zadanie, aby zorganizować nieliczną, lecz bitną grupę ludzi, którzy w odpowiedniej chwili, gdy statki Ascomannów wpłyną do portu, uderzą na wojowników strzegących bram warowni Akuma i otworzą drogę do jego bogactw.

Obcy wkrótce odszedł i odpłynął jego statek. Hlodr wtajemniczył syna Bozy w plany jarla Sveriego, "Jeśli naprawdę trawi cię Żądza Czynów, będziesz ją mógł zaspokoić - obiecał. - Ja i Astrid wyszukamy odpowiednich ludzi, a ty aż do jesieni zachowaj ostrożność, aby cię nie pojмали wojownicy Akuma. Zemścimy się na Akumie za śmierć Ottara, za moje połamane nogi. Powrócimy do Birki jako ludzie bardzo bogaci. Zbudujesz tam sobie dom i staniesz się zamożnym Ascomannem."

Późnym wieczorem, wypiwszy dzban piwa, zaśpiewał Hlodr:

*Często byłem wesół w morskiej toni,
gdy ostry wiatr dął w żagiel ogromny.*

*Koń morskich toni rączo pomykał,
kile orały wielkie fale i odmęty.*

Oto pędziliśmy statkami do walki.

Od tego dnia syn Boży przestał odwiedzać szalasę ze sprzedajnymi kobietami. Ale wcale nie dlatego, że go o to poprosił Hlodr. Zdarzyło się, że właśnie poprzedniego wieczoru znowu posiadał sześć kobiet, szczerze im za to płacąc. Chciał mieć siódmą i poszedł do szalasu, gdzie trzymano pewną niewolnicę z Południa o oliwkowej cerze i delikatnych dłoniach. Pieszczoty jej ust, a przede wszystkim dziwny taniec, w którym wyginała swoje prawie nagie ciało, wzbudziły w nim nowe pożądanie. To w jej ramionach zasnął zmęczony siódmą kobietą i zbudził go jej szept. Nie rozumiał mowy tej kobiety, pojął jednak natychmiast, że brzmi w nim ostrzeżenie. Jakiś włóczęga, Est czy też Ascomann, ukradł mu jego pas z Tyrfingiem i właśnie wybiegł z szalasu. Sprzedajna dziewczka podała mu oszczep. Nagi młodzieniec dopędził włóczęgę, który mając jego miecz, był pewien swej przewagi. Stanął naprzeciw syna Boży i wyciągnął z pochwy Tyrfinga. I wówczas stała się sprawa zadziwiająca. Włóczęga zamachnął się mieczem, nie trafił syna Boży, potem poślizgnął się na kupie gnoju i upadł. A wtedy syn Boży przeszył go oszczepem, następnie chwyciwszy Tyrfinga uciął mu głowę. Tak znowu spełniło się przekleństwo Ody. Wyciągnięty do walki Tyrfing musiał zabić. Ofiarą jednak padł ten, który nigdy nie miał stać się władcą. Świadców walki nie było, wszystko to bowiem działo się głęboko nocą. Ale piękna niewolnica wybiegła za młodzieńcem, zobaczyła odciętą od tułowia głowę i oświadczyła: "Teraz wiem, że to ty jesteś Szkarłatnym Kuningiem. Tylko on potrafi ucinać głowy. Kocham cię."

Wówczas i jej głowa upadła na ziemię, bo nie chciała, żeby powiedziała o tym jeszcze komuś i żeby wiadomość o nim dotarła do Akuma. Potem wiele razy żałował swego czynu i szeptał tej dziewczki, gdy go ostrzegała, że ktoś kradnie jego miecz, słyszał podczas wielu bezsennych nocy. Zamiast okazać wdzięczność - zabił. Być może w tej właśnie chwili pierwszy raz ujawniła się w nim cecha wielkiego władcy.

Odtąd jednak przestał chodzić do szałasów. Hlodr odrzucił swoje szczudła i chociaż wciąż jeszcze mocno kulał na prawą nogę, wsparty na ramieniu syna Bozy codziennie szedł do portu lub krążył po ulicach miasta, poszukując ludzi, z których pragnął zorganizować małą drużynę dla jarla Sveriego. Na miasto spływał upał lata, ulice śmierdziały ludzkimi i zwierzęcymi odchodami, spod wyłożonych darnicami ulic wychodziły tłuste szczury. I tylko wiatr od Zalewu Estyjskiego przynosił rześkie powietrze przesycone słonawym zapachem wodorostów. Ten zapach wspomagał w synu Bozy pragnienie spotkania się z morzem i dokonywania wielkich czynów. Poznając miasto nabrał młodzieniec wyobrażenia o jego bogactwie. Zobaczył ogromne składy futer kun i wydr, szopy pełne wosku, miodu w beczkach, soli; długie domostwa, w których na kupców czekały gromady niewolników schwytanych w kraju Estów, na Ziemi Sarmackiej, u Sklavinów. Kupiectwem zajmowali się bogaci Estowie, Musliminowie, Chazarzy i Hebrajczycy wyznający przedziwną religię: wierzyli w jednego Boga i bali się go tak bardzo, że żaden z nich nie wymawiał nigdy jego imienia. Poznał syn Bozy i Franków, którzy

mówili o sobie, że jak wskazuje ich nazwa, są synami wolności, Alemanów, niezwykle zarozumiałych, ponieważ ich nazwa tłumaczyła się jako wszechludzie. Zaznajomił się z kupcami z, kraju Abassydów, Celtami, Brytami, Grekami, Galami i pojął, że świat jest ogromny i otoczony wieloma morzami i oceanami. To od nich usłyszał o bogactwach Nowej Romy, o ludziach żyjących w niezwykłym zbytku, o przedziwnych i czasami strasznych obyczajach wielu ludów.

Zobaczył w składach przywożone przez kupców materie, złote misy i dzbany, nauczył się rozróżniać wartości różnych monet; tych złotych zwanych solidami i nowszych, zwanych drihemami, wykonanych ze srebra lub nawet brązu, a także frankijskimi denarami. Zobaczył złoczone naszyjniki dla kobiet i misternie kute brosze, wspaniałe bransolety dla mężczyzn i wykonane przez mistrzów zbroje wojenne, hełmy, kolczugi, pancerze, miecze znad rzeki Ren i błyszczące sztylety z Damaszku. A że miał umysł chłonny, wkrótce już znał wiele słów w języku Teutonów, a nawet wiele słów języka zwanego łaciną i języka frankijskiego. Chłonął też opowieści o dawnych czasach, kiedyś istniejących ogromnych państwach, o Cezarach, którzy wydawali się niezwyciężeni dopóki nie padli od ludów jakie wyłoniły się z Lasu Herceńskiego. Zaledwie pół roku minęło, gdy opuścił spalony dwór Spalów, ale przeszłość już kryła się jak gdyby za lekką mgielką; wciąż jednak myślał o wioskach zagubionych wśród lasów i mokradeł, w nieznanym mu państwie Popiołowłosego, 'o Ziemi Spalów, gdzie Zely kazała mu zostać władcą. Zrozumiał, że świat, z którego pochodził,

istniał tylko dla łowców niewolników; liczył się jedynie świat położony daleko na Zachodzie i na Południu, gdzie podobno zawsze bywało ciepło i rosły przedziwne i słodkie owoce. Ale człowiek, którego gnała Żądza Czynów powinien zmieniać obraz świata, a nie wyłącznie akceptować świat już zastany. Druzo było wąskim okienkiem, przez które ludzie z prawdziwego świata, pełnego bogactw i słońca, zaglądali w mroki krain pogrążonych w barbarzyństwie. Cóż zresztą widzieli przez owe małe i wąskie okienko? Estowie dzielili się na wielką ilość ludów: Golendów, Sudowów, Pomezan, Pomezan, Bortów, Natangów, Wormów, Nadrowów, Skalów, Sasinów, Zambów i wielu innych. Ich rozległe puszcze i wyspy na tysiącach jezior kryły ogromną ilość grodów, z których każdy miał swojego księcia. Bez przerwy też toczyli między sobą walki dla zdobycia niewolników. dla zysku lub zemsty. Przedziwne były ich obyczaje, jak choćby ten, że gdy inne ludy brzydziły się węzami, oni uważali je za święte i trzymali w domach. Znane im były niezwykle rodzaje czarów, które syn Bozy usiłował poznawać, lecz mimo że zapłacił estyjskiemu wróżowi złotego solida, nie posiadał tajemnicy. Gdy bowiem zmarł ktoś znaczny z Estów, nawet w upalne lato potrafili sztucznie tak oziębic zwłoki, że nie rozkładały się, a oni przy zwłokach ucztowali niekiedy po dwa miesiące, a potem na dużej przestrzeni rozkładali dobra zmarłego i urządzali wyścigi konne; kto pierwszy dopadł tych rzeczy, ten stawał się ich właścicielem. Waleczność Estów, ich czary imponowały synowi Boży. Ale w głębi duszy pogardzał nimi, ponieważ w chwili

niebezpieczeństwa poszczególne ludy nie potrafiły się zjednoczyć ani stworzyć państwa i władzy choćby takiej, jaką miał Popiołowłosy.

Marzył więc syn Boży, że kiedyś wróci na ziemię Spalów, pozna Popiołowłosego, pokona go albo się z nim sprzymierzy i z ludów, o których mówiła Zely stworzy państwo równie potężne i groźne jak te, o jakich wspominali kupcy w Druzo.

Pewnej nocy miał dziwny sen. Ujrzał w nim Zely. Ujęła go za rękę i poprowadziła, jak wówczas po Tyrfinga, na tajemniczą wyspę, gdzie zobaczył wielu śpiących olbrzymów. "Czemu oni śpią?" - zapytał Zely. "Śpią, gdyż i czekają na ciebie. To ty obudzisz ich do czynu" - wyjaśniła.

Zely uczyła go sztuki rozumienia snów. Ten uznał syn Boży za ważny, za wróżbę i przykazanie. Jeśli tak było, że pozostał ostatnim z krwi Spalów, to jego zadaniem było obudzić olbrzymów, co należało rozumieć, że olbrzymami są owe ludy wymienione przez Zely. Tyrfing utoruje mu drogę do władzy nad nimi, a zaczarowana opaska zwana Andalą doda blasku jego oczom i uczyni rozumnym.

Odtąd słuchał jeszcze uważniej o wielkich władcach i wielkich państwach na Zachodzie i Południu, ale od czasu do czasu tajemniczy uśmiech pojawiał mu się na ustach. Czuł się potężny i bogaty gdyż, jak sądził tylko on jeden posiadał tajemnicę o śpiących wśród bagien i lasów olbrzymach i on jeden był przeznaczony, aby ich obudzić do czynu.

Aż zdarzyło się pewnego razu, że, gdy stał tuż obok ulicy prowadzącej

do obronnej warowni Akuma, otworzyła się szeroka nabita żelazem brama i wyjechał z niej orszak jeźdźców. Na przedzie zobaczył wojownika z Druzo, a potem złożony hełm i złożoną kolczugę samego Akuma i towarzyszącej mu konno córki o imieniu Pajota. Dziewczyna ubrana była po męsku, miała kolczugę, hełm tak samo złocisty jak ojciec. W dłoni okrytej skórzaną rękawicą trzymała włócznię, cały pęk włóczni wiózł za nią jej niewolnik lub sługa. Zapewne ona i jej ojciec wyruszyli na polowanie.

Jak zwykle, gdy pojawiał się władca Akum, tłum wylegał na ulice i jeźdźcy z orszaku musieli piersiami koni usuwać ciekawskich z drogi.

Syn Boży ujrzał twarz Pajoty o czerwonych wargach i czarnych brwiach i tak się nią zachwyił, takie go ogarnęło pożądanie do tej dziewczyny, że aż znieruchomiał i niemal stracił przytomność.

Świadomość przywróciło mu dopiero mocne uderzenie piersi końskiej, potem otrzymał uderzenie płazem miecza i usunął się z drogi. Wciąż jednak patrzył w twarz dziewczyny i nagle uświadomił sobie, że ona nikogo nie widzi, jej wzrok zapatrzony jest w jakieś ogromne dale. Syn Boży wyczuł między nią a sobą niewidzialną ścianę. Kiedy go mijala. chciał zrobić krok do przodu, pragnął zajrzeć w jej twarz, lecz coś niewidzialnego zabraniało mu tego kroku, coś go jakby wdeptywało w ziemię. On, który pojmował mowę oczu, bez trudu odgadnął, jakie to myśli i uczucia wyrażało to niewidzącego nikogo spojrzenie. Dla córki Akuma nie istniało tłoczące się na ulicy pospólstwo, gardziła nim.

Była tak dumna, że nie chciała się zniżyć nawet do tego, aby zauważyć

kogokolwiek. Jej ojciec był tylko władcą bogatego miasta Druzo, ale ona swoje ciało i swoją urodę chciała przeznaczyć dla kogoś o wiele większego i potężniejszego. Cóż więc mógł dla niej znaczyć jakiś młody człowiek, stojący w tłumie na ulicy i przyglądający się jak ona i jej ojciec jadą na polowanie? Czy ktoś z tego tłumu mógł jej ofiarować królewską koronę?

Młodzieniec wrócił do domu i o swoich wrażeniach opowiedział Hlodrowi i Astrid.

- Nawet nie marz o Pajocie, synu Bozy - roześmiała się Astrid. - To córka władcy Akuma, a ty kim jesteś? Zwykłym wojownikiem i to bez imienia. - Stanę się znowu Szkarłatnym Kuningiem i położę u jej stóp ogromne bogactwo - rzekł chłopiec.

- To za mało. Akum jest najbogatszym człowiekiem w mieście. On jest władcą, czy tego nie pojmujesz? To, co leżało niewidzialnego między tobą a nią, to była właśnie moc władzy - wyjaśnił Hlodr. - Ona się już urodziła jako córka władcy i wyjdzie za mąż za władcę. Jej oczy są ślepe na zwykłych wojowników i sługi, a tylko mogą spojrzeć na człowieka, który urodził się władcą.

- Co to znaczy władza?

- Nie umiem ci tego wyjaśnić - wzruszył ramionami Hlodr. - Władza to coś wielkiego i świętego. Słyszałem, że wystarczy dotknąć szat króla Horicha, a ślepy odzyskuje wzrok, chory zdrowieje. U Franków zrodził się zwyczaj, że na znak władzy koronę każdemu z władców frankijskich daje papież, gdyż on jest przedstawicielem ich Boga na

ziemi.

- *Kto to jest papież? Gdzie on mieszka?*

- *W Rzymie. W złotym pałacu i w złotych szatach chodzi, na złotym tronie zasiada. On czyni ludzi wielkimi, dając im świętą władzę od Boga. Dlatego niektórzy mówią, że papież jest potężniejszy od królów i książąt. Nasi królowie albo sami zdobywają władzę orężem, albo ją dziedziczą po swoich ojcach. Chłopiec powtórzył:*

- *Chcę władzy świętej.*

I nie pomogły tłumaczenia Astrid i Hlodra, że musi najpierw przyjąć wiarę Boga, który umarł na krzyżu, dać się ochrzcić, czyli zostać chrześcijaninem. - Tak, chcę być chrześcijaninem - powtarzał syn Boży. - Czy nie ma w Druzo kapłana, aby mógł mnie ochrzcić?

Musiałbyś potem nosić znak krzyża na piersi - ostrzegł go Hlodr. - A wielu ludzi nienawidzi tego znaku.

Ty nosisz na piersi znak Odyna. Nie obronił cię przed tymi, co połamali ci nogi. Widziałem i ja ludzi martwych, którzy mieli na piersiach woreczki z lekami, kły niedźwiedzie i pazury wilcze. Te amulety nie dają siły i władzy.

- *A ja widziałem jak ginęli ludzie, którzy nosili znak krzyża na piersiach - powiedział Hlodr. - Sam wielu takich zabiłem.*

- *Chcę mieć ten amulet. I chcę mieć prawo go nosić - powtarzał syn Boży. Hlodr nie stawiał oporu wobec decyzji syna Boży. Wśród mieszkańców Birki, wyspy Fonii i u Jutów wielu było chrześcijan. Sąsiadujący z nimi Sasi i Fryzowie od dawna przyjęli wiarę w*

człowieka zmarłego na krzyżu. W Druzo też żyli Ascomannowie, którzy nosili na piersiach srebrne krzyżyki, symbol owej wiary.

Dlatego bez trudu Astrid znalazła wśród nich człowieka, którego nazywano Pater, czyli ojciec, bo był jakby ojcem dla wyznawców chrześcijaństwa w Druzo. Syn Boży poszedł do niego i w bogatym domu ascomańskiego kupca handlującego futrami poznał ojca Dagoberta, ubranego w czarną szatę, z ogoloną głową i srebrnym krzyżem na piersi. Starego kapłana nie zdziwiła decyzja młodzieńca, o którym dowiedział się, że przybył do Druzo z kraju Sklavinów położonego nad rzeką Visulą. Wydawało mu się czymś niejako naturalnym, że ludzie chcą przyjąć prawdziwą wiarę. Zapytał jednak syna Boży, czemu pragnie się ochrzcić. I syn Boży odpowiedział mu szczerze: - Mam zamiar, ojcze, powrócić na swoją ojcowiznę i tam jednocząc różne ludy zostać ich władcą. Powiedz mi, czy jeśli przyjmę chrzest moja władza będzie świętą?

- Tak, synu. Widziałem jak we Frankfurcie chrzczono wielu książąt małych plemion i ludów. Władza ich stawała się świętą. Odtąd jednak muszą uznawać zwierzchnictwo Papieża i płacić daninę wyznaczoną dla nich przez biskupów.

Czy godzisz się na to?

- Godzę się - skinął głową syn Boży. - Ale czy lud mój będzie się musiał ochrzcić?

- Nie. Wystarczy, że ich władca wyznaje prawdziwą wiarę. - Czy ochrzczisz także mój miecz, panie?

- Nie. Ale pobłogosławię go i przez to uczynię świętym, albowiem dostrzegam w twoim umyśle wielkie zamiary, a w sercu pragnienie umiłowania Chrystusa.

A syn Boży pomyślał: "Długa i trudna droga jest do władzy. Niech mi na niej pomaga wielu bogów. Niech moja władza będzie święta po stokroć, poprzez Krzyż i Andalę".

Potem w dłoniach ojca Dagoberta po raz pierwszy w życiu zobaczył książkę oprawioną w skórę kartki pergaminu, zapisane tajemnym pismem w tajemniczym języku. Hlodr nauczył go kreślić runy na drewnianych deszczułkach, runami można było przedstawiać słowa, a nawet zdania ludzkiej mowy. Ale chrześcijańscy kapłani, jak to wyjaśnił pater Dagobert, już od czasów wielkiego Karola zaczęli posługiwać się w swych obrzędach językiem zwanym łacina i w tym języku specjalnym alfabetem były pisane ich uczone księgi. Syn Boży zapragnął zgłębić tajemnicę łacińskiej mowy, ale Hlodr otrzymał wiadomość, że wkrótce statki Sveriego wpłyną do portu. Niewiele więc czasu pozostało na poznanie zasad nowej wiary aż do chwili, gdy pater Dagobert zaprowadził go do małego jeziora w lesie, które w swoim dziwnym języku nazwał piscina. Tam, zgodnie z wyuczonym rytuałem, zapytał syna Boży:

- Czego żądasz od Kościoła Świętego?

- Wiary - odparł, choć ani odrobinę nie wierzył w boskość człowieka, który dał się ukrzyżować.

Potem wyrzekł się szatana i wierzeń pogańskich, złożył wyuczone

wyznanie wiary i w obcej mowie powtórzył na pamięć słowa modlitwy "pater noster". Następnie rozebrał się i trzy razy zanurzył w sadzawce zanim usłyszał w latińskiej mowie: "Ego te bapstisto in nomine Patris et Filii et Spiritus Sancti". Ramiona młodzieńca pater Dagobert namaścił olejem i nadał mu własne imię: Dagobert.

Następnie w domu Astrid odbyła się uczta z udziałem ojca Dagoberta.

Młodzieniec był dumny, że ma już imię, które zresztą Hlodr natychmiast nieco zmienił. Odtąd mówił do niego Dago i wkrótce młodzieniec sam zapomniał, że tak naprawdę nie jest ani Dagonem, ani Dagobertem. Za garść srebrnych dirhemów otrzymał też malutki srebrny krzyż, który odtąd nosił na rzemyku na piersiach.

I wtedy dopiero odważył się zapytać kapłana: - Ojczy, powiedz mi, skąd się bierze władza?

- O jakiej władzy myślisz, synu? - zapytał ojciec Dagobert z pochodzenia Gall, który święcenia otrzymał w słynnej szkole w Akwizgranie, a ponieważ znał język dansk tunga, jeszcze Ludwik Pobożny wysłał go do Druzo, aby śledził i donosił o wyprawach łupieżczych Ascomannów.

- Myślę o władzy nad ludźmi.

- Tę władzę daje Bóg wybranemu przez siebie człowiekowi, aby mógł kierować losem innych ludzi oraz całymi ludami. Jest to siła i mądrość. Ale ta władza nad ludźmi jest niczym w porównaniu z władzą jaką Bóg dał swemu namiestnikowi na ziemi, Papieżowi i jego kapłanom. Jest to władza nad ludzkimi duszami, prawo do sądenia

ich grzechów, odpuszczania i udzielania sakramentów.

- W jaki sposób można otrzymać władzę nad ludźmi?

- Najczęściej otrzymuje ją człowiek urodzony z władcy. Papież

namaszcza go olejami świętymi i wkłada na głowę koronę królewską.

Bez owego namaszczenia władza nie ma w sobie żadnej świętości.

Bywa zresztą, że i zwykły człowiek, któremu Bóg w tajemny sposób

dał zdolność kierowania innymi lub wielką siłę, dochodzi do wysokich

godności i też może otrzymać namaszczenie, czyli charyzmę od

namiestnika boskiego.

Mówisz o chrześcijańskich władcach. A przecież jest wielu innych

władców. Księżę Akum w Druzo też posiada władzę nad losami

ludzkimi i nad miastem.

- To władza fałszywa i ślepa. Przyznaję jednak, że trudno ją zwykłemu

człowiekowi odróżnić od tej, którą dają święte oleje. Niektórym

ludziom Bóg, pełen niezgłębionej i tajemnej mądrości, ofiarował

przedziwny talent: zdolność rządzenia. Poprzez swój spryt i mądrość

dochodzą do władzy i rządzą innymi. Ale powiadam ci, że jednak

pozostają ślepcami. Bóg ofiarował im możliwość ujrzenia pełni swego

blasku i majestatu, ale mogą to uczynić przyjąwszy prawdziwą wiarę.

Jeśli nie korzystają z tej okazji, umierają jako ślepcy i są potępieni.

- Akum widzi wszystkich i wszystko słyszy. A gdy jechał na koniu obok

mnie, czułem, że oddziela mnie od niego jakaś niewidzialna ściana.

- Tę ścianę między władcą a zwykłym człowiekiem tworzy majestat

władzy. Nigdy o tym nie myślałem tak dokładnie, sądzę jednak, że

niektórzy ludzie niejako sami z siebie rodzą się władcami. Bije od nich siła i mądrość, a także ów majestat.

- Powiedz mi, ojczu, jak go zdobyć?

Stary kapłan popatrzył ze zdumieniem na tego siedemnastolatka.

Przeżył sześćdziesiąt lat, a nikt nigdy nie zadawał mu takich pytań.

Czyżby już to Samo, że ten młodzieniec pytał go o takie dziwne sprawy

nie świadczyło, że będzie kiedyś władcą? Dlatego po dłuższym

namyśle powiedział to, co wskazywało mu doświadczenie:

Niewielu wie, że byłem kiedyś, synu, na dworze Franków. Poznałem

ich władcę, zetknąłem się z frankijskimi możnowładcami. Tedy ci

powiem, że człowiek, który chce osiąść choćby skrawek władzy musi

przede wszystkim budzić strach, aby inni mu się podporządkowali

choćby ze strachu. Powinien też budzić miłość, aby innych sobie

zjednać. Musi go otaczać tajemniczość, aby każde jego słowo i każdy

jego czyn nosiły znamiona niezwykłości. Powinien też ważyć każde

słowo i każdy swój uczynek i nie wywoływać śmieszności. Bo kto jest

śmieszny, budzi wzgardę.

Tyle tylko udało się synowi Boży wydobyć ze starego kapłana. Ale i to

wystarczyło, aby pojął, że jeśli prawdę mówiła Zely, iż urodził się na

władcę jako syn olbrzyma, to przecież tu, w Druzo, na początku swej

drogi do władzy, zaczął popełniać błędy. Z początku był tajemniczy

dla Astrid i Hlodra, lecz zgubił gdzieś tę cechę, gdy zaczął biegać po

szalasach pełnych nierządnych kobiet. Czy można było zdobyć

majestat posiadając w ciągu nocy nawet dwanaście dziewczek? A potem

rabował po gościach jak zwykły rozbójnik. Ascomannowie cenili sobie rozbój, ale przecież on nie chciał być władcą Ascomannów.

Dlaczego przestał posługiwać się sztuką, którą nabył od Zely - magią i czarami? Tak, ciągle był jeszcze siedemnastolatkiem, który musiał się wiele uczyć. W planowanym zdobyciu i obrabowaniu Druzo przywództwo wziął na siebie Hlodr, a nie Dago. Lecz tak chyba być musiało, skoro dopiero poznawał świat.

Mimo czynionych starań nie potrafił uwierzyć, że syn Boga dał się ukrzyżować ludziom. Dago nosił na piersiach krzyżyk, obce jednak pozostawało dla niego pojęcie grzechu, nieba i piekła, a także wiecznego przedstawiciela grzechu, to jest Szatana. Jak mu wpojono w dzieciństwie, po śmierci człowiek żył pod postacią ducha swoim zwykłym życiem, był księciem lub niewolnikiem w zależności od tego, kim się urodził i kim umarł. Jeśli za życia czynił wiele złego, co najwyżej przybierał postać zwierzęcia lub stawał się upiorem. Gdy Dago popatrzył na niebo z wielką smugą jasnych gwiazd, którą niektórzy nazywali Drogą Mleczną, a inni Drogą Ptasią, dla niego pozostawała zawsze Gościńcem Dusz, drogą duszy odlatującej ku życiu w nowym świecie....

Tymczasem na podgrodzie w Druzo zwożono len i w szalaszach ubogich ludzi słychać było, jak kobiety oddzielają paździerz od włókien. Czas ten nazywano Paździerz. W pierwszych dniach tego czasu zjawilo się w domu Astrid dwóch wojowników, ukryło się w nim też szczęście Ascomannów, których udało się Hlodrowi nakłonić do udziału w

napaści na miasto. Albowiem wyznaczony został dzień, gdy statki wojenne Sveriego miały wpłynąć do portu. Co noc Dagonowi śniła się Pajota, widział jej białą twarz i czerwone usta, nie dostrzegające nikogo oczy. A kiedy śnił, że patrzą one na niego z przerażeniem i miłością zarazem, pęczniał mu członek i wyprężał się aż do bólu. Nie miał przy sobie Astrid, gdyż odkąd zaczął bywać w szałasach nierządnych kobiet, chodziła spać u boku Hlodra, nie mógł więc zaspokoić swojej żądzy i od czasu do czasu pojękując przewracał się na ławie. Potem nawet w dzień, gdy na chwilę przymykał powieki, obraz Pajoty stawał mu przed oczami, budził dreszcz i dygotanie, jak od chłodu czy też gorączki. Zauważyli to jego drżenie Astrid i Hlodr, ale im wyjaśnił: "Trapi mnie Żądza Czynów. Czy nie mówiłem wam wiele razy, że stworzono mnie do wielkich spraw".

Ukradkiem wyciągał zawieszony na rzemyku srebrny krzyżyk i modlił się do Boga umęczonego przez ludzi, aby mu pomógł osiąść Pajotę. Ale czy w rzeczywistości pragnął tylko jej w taki sposób, jak pragnie mężczyzna młodej i ładnej kobiety? Przecież nie była nawet piękna, Dago znał w Druzo kobiety o wiele ładniejsze. Jego pożądanie miało więc w sobie coś jeszcze, co z trudem sobie uświadamiał. Być może chciał osiąść Pajotę, albowiem pragnął przekroczyć ową niewidzialną granicę między jej majestatem i sobą, udowodnić, że dla niego, przyszłego władcy, taka granica nie istnieje. Osiąść Pajotę znaczyło utwierdzić się w przekonaniu, że on jest kimś innym niż wszyscy dookoła, nic nie znaczy jej wysokie urodzenie i jej majestat,

ponieważ on, Dago, też wkrótce zdobędzie majestat władzy, jak mu to wróżyła Zely.

I tak oto w marzeniach znowu powróciła pamięć o życiu na dworze Zely, o jej pieszczotach i ogromnym ciebie, o jej czarach i przepowiedniach. To nic, że nie był większy od innych, ani silniejszy od najsilniejszych w Druzo, skoro miał cudowny miecz Tyrfing i pochodził z rodu olbrzymów. Zniszczy Druzo, z Pajoty uczyni swoją niewolnicę i wyruszy w świat, aby dokonywać wielkich czynów i zostać władcą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY - LESTK

Rana na plecach Zyfiki nie zasklepiła się tak od razu, mimo leków i czarów Dagona, dlatego zdecydował on, że jeszcze przynajmniej przez dwa dni będą obozować w lesie nad jeziorem. Miejsce to zdawało się być bezpieczne, chyba rzadko kto zaglądał w okolicę graniczącą z krainą bagien i moczarów. Noce nastały ciepłe, a gdy Dago upolował w lesie sarnę, mieli w bród jedzenia. Także i ich konie, schorowane trującą roślinnością bagienną, teraz powracały do zdrowia, żywiąc się soczystą trawą nad brzegiem jeziora.

Zgodnie ze swoją obietnicą ani razu Dago nie dał Zyfice do zrozumienia, że widzi w niej kobietę. Lecz sama Zyfika mocno odczuwała swoją kobiecość. Być może po raz pierwszy w życiu zdarzyło się jej przebywać w .takiej bliskości mężczyzn. Czy to przy wspólnym rozpalaniu ognia lub dzieleniu się jedzeniem bardzo uważała, aby jej dłonie przypadkiem nie spotkały się z dłońmi

Dagona, jej udo albo kolano nie spotkało się z jego udem lub kolaniem.

A gdy Dago czasami na nią spoglądał, jej oczy zakrywały się powiekami, co nie przeszkadzało, że często rzuciła na niego ciekawe spojrzenie i budził się w niej podziw dla urody jego ciała, bo nie zaprzestawał swych codziennych kąpieli nago w jeziorze. Jej kobiecość jednak emanowała dookoła i nawet Herim, który przecież nie znał tajemnicy Zyfiki, w jej obecności stawał się podniecony, co wyrażało się w nieustannej gadaninie o rozkoszach, jakich w swoim życiu zażywał z różnymi kobietami. Aż w końcu Dago musiał mu tych opowieści zakazać, gdyż wyraźnie drażnił Zyfikę.

Czy przychodziły Dagonowi do głowy myśli, aby zdradziecko i gwałtem osiąść Zyfikę, o delikatnym ciele dziewczyny i skórze oszłamiająco pachnącej kobietą? Któż mógł jednak zaręczyć, że w przyszłości nie będzie potrzebował pomocy przerażająco okrutnych, ale zarazem bardzo walecznych kobiet?

Nadeszła noc, duszna, upalna, zwiastująca burzę. Otoczyły ich roje komarów i Herim raz po raz dokładał do ognia, aby je odstraszyć żarem i dymem. Wkrótce gdzieś daleko, od strony bagien i moczarów, usłyszeli cichy łoskot gromu i zaraz konie stały się niespokojne, podchodziły do ogniska i parskaly. Ludzie również zaczęli odczuwać strach. Zyfika przyklęknęła i czołem dotknęła ziemi, modląc się do Peruna, aby oszczędził ich swymi błyskawicami, jakieś swoje modlitwy szeptał Herim, jedynie Dago siedział nieruchomo i w milczeniu, żalując, że nie zna boga, któremu mógłby powierzyć swój

lęk przed burzą. Zbyt wielu bowiem znał bogów, którym ludzie przypisywali moc rzucania piorunów: Peruna, Swaroga, Tryglawa, zapomnianego już starożytnego Zeusa, bogów Celtów, Alemanów, Sasów, Jutów i Angłów. Istniał też Bóg chrześcijan, posiadający moc nad wszelkim żywiołem, istniał Odyn, bóg ludów Północy. Widział Dago jak wznoszono do niego prośby o uciszenie sztormu na morzu, lecz żadna z takich próśb nie została nigdy wysłuchana. Dlatego choć bał się burzy, nie modlił się, ponieważ nie miał w sobie żadnej wiary. Świat był dla niego tak pełen groźnych tajemnic; że żaden człowiek, choćby sobie wymyślił najsilniejszego i najpotężniejszego boga, nie potrafiłby ich zgłębić. Bogowie w wyobrażeniu Dagona pozostawali, tak samo jak ludzie, bezradni wobec owych tajemnic. Świat, jak to mu powiedział pewien szalony mnich, składał się z czterech żywiołów, nie znał ani dobra, ani zła, a to co dobre lub złe ustalali sami ludzie. Był świat widzialny i świat niewidzialny, pełen duchów zmarłych ludzi. Tego niewidzialnego świata bał się Dago i dlatego czynił oblatę, niewidzialnym ustom rzucał na ziemię kilka kropel wody, miodu albo piwa, okruchy chleba. I wolał omijać gaje, gdzie to, co niewidzialne być może kryło się przed światem widzialnym.

Raptem poczuł na swojej twarzy jakby dotknięcie dłoni. Czy to był duch, o którym myślał przed chwilą? Nie, to było właśnie to, co Zely nazywała spojrzeniem ludzkim. Nauczyła go odczuwać je nawet wtedy, gdy tego człowieka nie widział. Odsunął się więc nieznacznie od ognia, aby go blask żaru nie raził i spojrzął w mrok leśny. Ludzkie

oczy świeciły tak samo jak oczy zwierząt. W leśnym mroku ukryty w krzakach obserwował ich jakiś człowiek. A że nie oczekiwali przyjaciół, musiał to być wróg.

- Zachowujcie się jak dotąd - szeptem powiedział do Herima i Zyfiki. -

Z lasu ktoś na nas patrzy. Zakradł się aż w pobliże naszego obozowiska. Na chwilę oddalę się i go schwytam.

Znowu odezwał się daleki grom i przetoczył nad lasem. Zatupotał

kopytami biały ogier Vindos i musiało wydać się czymś naturalnym,

że Dago podniósł się z ziemi i wolno odszedł od ogniska w kierunku

ogiera. Poklepał go po karku, uspokoił, a potem przepadł w

ciemnościach. Od dzieciństwa uczono go, jak chodzić po bagnach, aby

się w nich nie utopić, jak chodzić po lesie, aby nie złamać żadnej

gałązki. Zbliżył się więc bezszelestnie do owego człowieka i od tyłu,

mocnym uderzeniem w głowę pochwą miecza uczynił nieprzytomnym.

Jak ciężki wór przywlókł jeńca do ogniska i położył na plecach.

- W lesie pozostała jego broń i chyba wierzchowiec - rzekł rozkazująco

do Zyfiki, która zaraz wzięła do ręki płonącą głownię i ruszyła w mrok

leśny. Gdy Zyfika wróciła prowadząc konia za uzdę, niosąc podłużną

tarczę z deseczek obszytych skórą i wielki topór, jeniec odzyskał

przytomność.

Był to mężczyzna w wieku Dagona, ale bardziej od niego rosty i

barczysty, o ostrych rysach twarzy i ptasim nosie. Miał jasne włosy i

długie wąsy. Ujrawszy wrogów, natychmiast zamknął oczy, udając,

że znowu traci przytomność. Ale jego dłonie i palce zaczęły wędrować

po trawie poszukując miecza lub topora. Dago kopnięciem odrzucił jego broń daleko od ogniska i tamten pojął, że znalazł się na łasce tych, co go pojмали'. Nie okazał strachu, co Dago odgadł obserwując jego twarz.

- Nie jesteście wojownikami Aslaka i Helgundy - odezwał się nieco ochryplym głosem w mowie Spalów. - Na obcych mi wyglądacie.

Czemu więc mnie pojмалиście'

- Zakradłeś się jak wróg - oświadczył Dago.

W tym momencie Zyfika rzuciła pod nogi Dagona znaną tarczę.

- Zabij go, panie! - zawołała. - Zabij go natychmiast jak wściekłego psa. Spójrz na jego tarczę. To przecież Lestk.

Na tarczy pojmanego widniał niezdarnie przedstawiony wizerunek białego orła z rozpostartymi skrzydłami.

- Zabij go, Dagonie - powtarzała Zyfika. - Czy nie wiesz, kim są Lestkowie albo Lestkowice, bo różnie ich zowią?

- Nigdy a nich nie słyszałem.

- Pełno ich tu teraz po wioskach i lasach. Chcą powrotu dawnej wolności. Walczą z władzą książąt i królów. Dawniej zdradziecko napadali na ludzi księcia Popiołowłosego, a teraz wojują z Helgundą i Aslakiem. Nienawidzą wszelkiej władzy. W dzień pracują i żyją jak inni, udając posłuszeństwo wobec władców, a nocami zbierają się w gromady i napadają na grody. Na tarczach mają znak orła, bo on dla nich znaczy istotę, która sama kieruje swoim lotem i nie uznaje żadnego pana. (idy wyruszałem z poselstwem do Popiołowłosego,

kazano mi się ich strzec i zabijać. Kto nie uznaje żadnej władzy, ten też nie uzna poselstwa Argaraspidów.

W kilka lat później zapisał Herim:

"I wtedy powiedział Dago Pan i Piastun: Ja też jestem człowiekiem, który jak orzeł nie uznaje niczyjej nad sobą władzy i nie szuka niczyjej rady, i sam swoim lotem kieruje. Obmierzli mi królowie i książęta, baronowie i hrabiowie. Od Ludzi Wolnych otrzymałem tytuł Piastuna, albowiem przybyłem w te strony, aby wziąć w swoje ojcowskie piastowanie lud mój uciemiężony przez książąt i możnych. Wolność mego ludu jest moim najwyższym celem."

Tak, a może trochę inaczej, rzekł Dago Pan i Piastun, nikt tego już dziś nie ustali. Ale pojął go pojmany Lestk i mimo bólu jaki odczuwał od jego uderzenia w głowę, usiadł i zwrócił się do Dagona:

- Jak się nazywasz, panie, i kim jesteś? Nie zabijesz mnie chyba, jeśli kochasz wolność, a nienawidzisz książąt i możnych.

- Zowią mnie Dago Pan i Piastun. Pochodzę z plemienia olbrzymich Spalów, którzy przetrwali w starych pieśniach, ale ja mam w sobie ich krew, dlatego mam prawo, aby tę ziemię uznać za swoją ojcowiznę.

Przez wiele lat gnany Żądzą Czynów byłem w świecie. Aż tajemny głos nakazał mi powrót na moją ojcowiznę, aby mój lud otrzymał dawną wolność. Po drodze wziąłem w swoje piastowanie tego tu dawnego mnicha Herima, który był nieszczęśliwy i w niewoli, i tego oto młodzieńca z Kraju Argaraspidów, któremu groziła śmierć albo niewola. Ty zaś jesteś Lestkiem, co w pradawnym języku Spalów

znaczy sprytny lub przebiegły. Nie okazałeś się jednak tak bardzo przebiegły, skoro jesteś w mojej niewoli. Jeśli jednak powiesz mi swoje prawdziwe imię, dam ci wolność. Jeśli zaś zechcesz oddać się w moje piastowanie, dam ci wolność po dwakroć.

- Co to znaczy "po dwakroć"? - zapytał Lestk.

- Mogę ci zwrócić miecz, topór, tarczę i konia oraz pozwolić odejść. To będzie danie ci wolności pierwszy raz. Jeśli jednak zostaniesz u mnie i u mojego boku, dostanie wolność także i tutejszy lud. Dlatego mówię, że ofiaruję wolność po dwakroć.

- Nazywają mnie Pałuka i jestem z rodu Pałuków, którzy nigdy nie uznali władzy Popiołowłosego. Nasz ród jest potężny, ale władza księcia zniszczyła nasze grody i wiele naszych wiosek. Przetrwaliśmy tylko w głębokich lasach. Wszyscy Pałukowie są Lestkami.

- Czy znasz jeszcze jakieś rody, które należą do Lestków? - zapytał

Dago. - Tak. Na południu ma swoją siedzibę kilka rodów, które nigdy nie uznały władzy Popiołowłosego. Ani jego wojowników z Jumna, ani władzy jego żony Helgundy i jej syna Aslaka. Setki ludzi nam sprzyja, panie, który też miłujesz wolność.

- Jeśli was aż tylu, czemu dotąd panuje Helgunda i Aslak? Czemu władzę mają wojownicy z Jumna? - drwiąco rzekł Dago.

- Popiołowłosi zbudowali trzy tak potężne grody, że nikt ich nigdy nie zdobędzie, chyba że ma siłę olbrzyma. Najpotężniejsze z nich jest Gniazdo. My, panie, umiemy walczyć po lasach. Ale zdobyć gród, to co innego. Zresztą, nie mamy kogoś, kto by nas wszystkich razem zebrał.

- Rozumiesz więc, że ktoś musi stanąć na czele i ktoś poprowadzić do walki? - zapytał Dago.

- Tak, panie. To każdy rozumie. Dago powiedział:

- Jeśli aż tyle rozumiesz, to znaczy, że wszystko rozumiesz. Bierz więc swoją tarczę, topór, miecz i konia. Jesteś wolny.

W tym momencie oślepiający zygzak błyskawicy przeciął ciemność nieba nad ich głowami, a po chwili ogłuszający grom przetoczył się nad lasem. Pałuka wstał od ognia, ale zachwiał się na nogach i znowu usiadł.

- Czy pozwolisz mi, panie, pozostać tutaj aż do rana? Mocno mnie uderzyłeś.

Dago przyzwalająco kiwnął głową, a potem kazał Herimowi i Zyfice, aby końskimi derkami nakryli przed deszczem chrust zebrany do ogniska. Naciął mieczem zielonych gałęzi i narzucił je na płomień, aby, gdy rozpęta się burza i luną potoki deszczu, w ognisku pozostała choć odrobina żaru. Następnie końcem pochwy swojego miecza obrysował wokół nich duży krąg, wymamrotał kilka niezrozumiałych słów i okryty płaszczem usiadł nieruchomo. Wyglądał niczym wykuty z kamienia lub wyrzeźbiony z drewna.

- Czy jest także czarownikiem? - Pałuka zapytał Herima.

- Zna sztukę czarów. Ale przede wszystkim jest Piastunem, a to znaczy, że wziął nas w opiekę przed burzą. Dat ci wolność po dwakroć, a ty wziąłeś tylko jedną wolność. Jesteś głupi, Pałuka.

- Powinien był ci uciąć głowę - dorzuciła Zyfika. - Na dwór króla

Argaraspidów, gdzie służę, od dawna przychodziły wieści o Lestkach z białymi orłami na tarczach. Jesteście największym nieszczęściem państwa Popiołowłosego. Chcecie żyć w wolności, ale jedno zło zamieniacie na drugie. Zwalczaliście księcia Popiołowłosego, ale to nie wy zwyciężyliście, tylko jeszcze gorsza Helgunda i jej syn Aslak. Chcieliśmy pomocy przeciw Mardom, ale jeśli uda się nam ich pokonać, przyjdziemy tutaj po sól, ponieważ tutaj nie będzie już żadnej władzy. Razem z solą odbierzemy wam wolność.

- On też kocha wolność - powiedział Pałuka, wskazując na siedzącego nieruchomo Dagona.

- To prawda - zgodził się Herim. - W Kraju Ludzi Wolnych pokonał strasznego smoka i ofiarowano mu za to władzę. Ale jej nie przyjął i ruszył przed siebie, gdyż jest człowiekiem wolnym. To jednak ci powiem, że w Kraju Ludzi Wolnych spotkałem tylko strach i biedę. Uczynił mnie wolnym, a jednak ja przystałem do niego i słucham jego rozkazów jak niewolnik.

Burza rozpełtała się na dobre. Najpierw przyleciał wiatr z ogromnym szumem. Swoim wyciem nappełnił cały las, pochylił korony starych sosen i dębów, a potem zaczął łamać olszyny. Raz za razem orwały niebo błyskawice i robiło się jasno jak w dzień, a potem nagle zapadała ciemność z ogłuszającym grzmotem, wichura uderzyła w żar ogniska. Na szczęście mokre gałęzie, którymi nakrył go Dago nie pozwalały porwać ognia. Dusze ludzkie wypełnił strach: Pałuka bił czołem o ziemię, a okryta płaszczem Zyfika, podobnie jak Herim

dygotała z lęku. Wreszcie podbiegła do Dagona, uklękła przed nim i wyszeptała:

- Ratusz mnie, panie, przed gniewem Peruna, władcy błyskawic. Ratusz, panie!

- Władcą błyskawic i piorunów jest Swaróg - odparł Dago. - Ale jeśli wierzysz w Peruna, to znaczy, że scytyjska w tobie płynie krew.

Uczyniłem magiczny krąg, uszanuje go i Swaróg i twój Perun.

Położył dłoń na włosach Zyfiki i znowu wypowiedział kilka niezrozumiałych słów, a wówczas Zyfika poczuła, że od dłoni tego mężczyzny przechodzi do niej jakaś moc, a jednocześnie mija strach.

Gdyby nie wpojone w nią zasady, aby nienawidzić i gardzić mężczyznami, objęłaby go ramionami i przytuliła się do niego całym ciałem, albowiem burza była dla niej czymś straszniejszym od walki z wrogiem.

Wichura nagle straciła swoją siłę. Przez jakiś czas oczy porażał jeszcze blask błyskawic, a uszy wypełniał łoskot gromów, ale burza oddalała się. Rżały przerażone konie i gdyby nie miały spętanych nóg w popłochu rozbiegłyby się po lesie. W końcu lunął deszcz, błyskawice zaś i gromy stawały się rzadsze. Potok wody w jednej chwili zgasił ognisko, trawę wokół siedzących ludzi uczynił podobną do płytkiego jeziora. Deszcz słuwał po derce okrywającej ramiona Dagona, lał się Zyfice za kołnierz jej skórzanej bluzy i chyba wygasił w niej strach. Zawstydzila się Zyfika, że tak klęczy u nóg Dagona, wstała z ziemi i w strugach deszczu odeszła pod gęstwinę liści ogromnego dębu. A wtedy

w oczekującym od wody płaszczu zbliżył się do Dagona Herim i

powiedział:

- Zdaje mi się, panie, że rozumiem twoje myśli.

- To dobrze. Może nareszcie będziesz mi w czymś pomocny. O czym więc myślę. Herimie'?

- Myślisz, panie, czy nie wymalować białego orła na swojej tarczy i nie zostać Lestkiem.

- Skąd wiesz, że o tym myślę?

- Ponieważ powiedziałeś mi, że chcesz stworzyć wielkie państwo. W jaki sposób pokonasz Helgundę i Aslaka, jeśli nie sprzymierzysz się z Lestkami? Mówisz słusznie. Herimie. Ale pamiętaj, że u każdego władcy co innego myśli głowa, co innego mówią usta, a co innego robią ręce. Skryj się pod drzewem. Chcę być sam.

Nad ranem deszcz ustał i zrobiło się bardzo zimno. Herim odnalazł w ognisku odrobinę żaru, rozdmuchał go i rozniecił płomień okrytym derką chrustem. Mężczyźni natychmiast rozebrali się do naga i grzejąc ciała przy ogniu jednocześnie suszyli swoje ubrania. Tylko Zyfika trzęsła się z zimna w swym przemoczonym odzieniu. ,

Czemu się nie rozbierasz, Zyfiku? - zapytał Herim. - Ciągle chodzisz w pancerzu. jakbyś się bał, że ktoś z nas ci go ukradnie.

Wówczas Dago zaprowadził Zyfikę do swoich juków, wydobył z nich suche i przepiękne odzienie Ascomanna, takie samo, jakie kiedyś otrzymał od Astrid: szkarłatne spodnie, pończochy, białą koszulę z koronkami przy rękawach i szkarłatną bluzę oraz długie białe gacie.

Ale nie odszedł, tylko czekał aż Zyfika przebierze się przy nim.

*Zawstydzasz mnie, panie, i upokarzasz - powiedziała dygocąc z zimna,
z trudem ściągnając z siebie przemoczone ubranie.*

*Widziałem wiele nagich kobiet, Zyfiko - uśmiechnął się Dago. Wiem, że
masz piękne ciało. Chcę cię zobaczyć nagą.*

*- Zapłacisz za to śmiercią - z nienawiścią, dzwoniąc zębami
wykrztusiła Zyfika.*

*Lecz przecież rozebrała się przy nim do naga i Dago zobaczył jej
dziewczęce ciało. smukłe uda, płaski brzuch, czarne łono i pomyślał, że
jest piękna. A ona, rozbierając się patrzyła mu prosto w oczy i
zauważyła, że gdy ujrzał ją nagą, nie drgnęła mu nawet powieka.*

*- Dlaczego na mnie patrzysz, skoro widok nagiej kobiety, jak mi się
wydaje. jest ci obojętny? zapytała.*

Dago potrząsnął głową:

*- Mylisz się, Zyfiko. Pożądam cię i byłem ciekawy twojego ciała. Ale
czasami lubię zadawać sobie cierpienie, aby sprawdzić swoją moc i
swoją wolę. Źle kończą władcy. którzy nie potrafią opanować żądz
do jakiejś niewiasty i nie umieją zadawać sobie bólu
wstrzemięźliwości. Władza to także cierpienie. - Chcesz zostać władcą,
a nie zabiłeś przeklętego Lestka? Wzruszył ramionami.*

*Chyba prawdę mówią niektórzy, że u kobiety rozum kryje się między
nogami. Nigdy nie pojdziesz dokąd leci orzeł. I czy naprawdę
zamierzasz mnie zabić, ponieważ widziałem cię nagą?*

To mówiąc roześmiał się i odszedł, aby grzać się przy ogniu. A ona po

chwili przyszła za nim ubrana w szkarłatny strój Ascomanna. Pod bluzą miała pancierz, który ukrywał jej dziewczęce strome piersi.

Wszystkich uderzyła jej niezwykła uroda i zgrabna sylwetka, którą uwidaczniał szkarłatny strój.

- Wyglądasz, Zyfiku, jak piękna dziewczyna - pożądliwie oblizał wargi Herim.

Pogardliwym spojrzeniem obrzuciła nagie ciało Herima i jego przyrodzenie, takim samym wzrokiem obdarzyła nagie przyrodzenie Pałuki, a potem splunęła na mokrą od deszczu trawę i powiedziała:

- Ty sam, Herimie, jesteś jak kobieta, ponieważ myślisz tylko o jednym, co wskazuje, że twój rozum nie kryje się w głowie. ale między nogami.

Twarz Herima poczerwieniła od gniewu i chciał coś ostro odpowiedzieć, ale uspokoił go Dago, podnosząc dłoń na znak, że chce o coś spytać.

- Czy nie wiesz, Lestku, gdzie teraz znajduje się książę Popiołowłosy? Po co ci on, panie? zdumiał się Pałuka.

- Pytałem, a ty nie odpowiedziałeś - groźnie zabrzmiał szept Dagona.

Prawdę znają tylko wojownicy z Jumna. To oni wywieźli go z Gniazda i ukryli gdzieś razem z jego dwiema nałożnicami. Myślę, że Helgunda chciała go zabić, ale on nosi Andalę, więc woli rządzić w imieniu Popiołowłosego.

Przy ostrym ogniu wilgoć szybko wyparowała z odzieży, wkrótce ubrali się. Odjeżdżasz? Herim zapytał Pałukę.

- Nie - odparł i zwrócił się do Dagona: - Chcę, panie, przyjąć od ciebie wolność po dwakroć, tak jak obiecałeś. Nie powiedziałem ci tego, ale zanim podkradłem się pod wasze ognisko, ścigali mnie ludzie z Jumna. Ledwie z życiem uszedłem. Może zawrócili do jakiegoś ogródka, gdy zbliżała się burza, a może czekają gdzieś tam w puszczy. Nie chcę dłużej uciekać przed nimi jak pies i kasać jak pies. Weź mnie w swoje piastowanie.

- A co mi w zamian ofiarujesz?

- Zaprowadzę cię do swojej wioski. gdzie spotkasz wielu Lestków.

Pójdziemy z tobą po wolność. Jak nikt w tych stronach rzucam toporem. Pokaż!

Wtedy Pałuka wziął do ręki swój topór z szerokim opuszczonym ku dołowi ostrzem, z trzema wąsami przy otworze, aby ostrze dobrze się trzymało toporzyska. Broń była chyba doskonale wyważona, przez chwilę Pałuka kołysał nią w swojej dłoni, a potem rzucił z rozmachem. Topór zrobił trzy obroty w powietrzu i wbił się ostrzem w cienki pień niedaleko rosnącej olszyny.

To był dobry rzut, ale Dago nie wypowiedział żadnej pochwały. -

Ruszamy - rozkazał krótko. - Ty, Pałuko, poprowadzisz.

Było południe, kiedy zagłębili się w las. Słońce prażyło bardzo mocno, ściółka leśna parowała i jechali w lekkiej mgle, często omijając lub przeskakując pnie przewróconych przez burzę drzew. Niektóre z nich wiatr wyrwał z korzeniami, przeważnie świerki. Widzieli jednak olszyny i brzozy złamane w połowie.

Ten widok sprawił, że znowu wkradł się w ich serca lęk przed gniewem bogów.

- Co uczyniliśmy takiego, panie, że przyszła burza? - z niepokojem zapytał Lestk. - Gdyby nie twój magiczny krąg i w nas na pewno trafiłby piorun.

- Burza to dobry znak, Pałuko - oświadczył Dago. - Ta burza miała powstrzymać tych, co cię ścigali. Bogowie ci sprzyjają. Czy masz jakiś lek?

- Tak, panie. Dostałem go od ojca, którego zabili ci z Jumna. To trzy wilcze kły.

- Nie wiesz, że nie należy nosić rzeczy, które ofiarowali zmarli?

Pewnego dnia zmarły zechce się upomnieć o swoją darowiznę. Wyrzuć go. Ja ci dam inny, ale dopiero wtedy, gdy przekonam się o twojej wierności.

- Co to będzie, panie?

- Kawalek złotawego kamienia, w którym został na zawsze zamknięty dziwny owad. Kamień powstał z morza, dokąd spływały łzy wielkich sosen. Ten owad, to zamknięty w kamieniu duch, który ci będzie sprzyjać.

- A ty, panie, jaki masz lek? - Mnie służą moje zaklęcia.

- A ty, młodzieńcze? - Pałuka zwrócił się do Zyfiki.

Dziewczyna sięgnęła do szyi i wyciągnęła drewniany członek na rzemyku. Zobaczył to Herim i zaniósł się śmiechem. Pałuka był poważny.

- Lubisz kobiety, młodzieńcze. Ten drewniany członek ma ci dodawać sił w miłości, czy nie tak? Chciałeś, aby mnie Dago Pan zabił, ale ja nie żywię do ciebie niechęci. To jednak ci obiecuję, że gdy znajdziemy się w mojej wsi, będziesz mógł sobie wziąć kobietę jaką tylko zechcesz. Nie szczędzimy gościom naszych żon, sióstr i córek.

- Pośpieszmy się tedy, Pałuko - rozochocił się Herim. - A tobie, Zyfiku, proponuję, abyśmy się zmierzyli, kto dłużej i kto więcej razy posiadzie kobietę. Z gniewem w oczach schowała Zyfika na piersi swój amulet. Żałowała, że go pokazała. Słuchając przechwałek Herima zacisnęła zęby i pomyślała, że być może kiedyś trafi się okazja i ona, Zyfika, pokaże im jak wiosną w ich kraju kobiety robią polowanie na mężczyzn i jak ich czynią niewolnikami albo zadają śmierć.

- Moja wioska leży nad małym jeziorkiem w lesie. Z tego jeziora płynie strumień do wielkiej rzeki o nazwie Warta. Przed wieczorem zdołamy dotrzeć do mojego domu. Czy to nie dziś, panie, jest najdłuższy dzień i wielkie święto Oczyszczenia Ognia?

- Tak. Dziś jest pora letniego przesilenia - skinął głową Dago. - Dziś gasi się brudny ogień.

Raptem otworzyła się przed nimi rozległa polana, porośnięta malutkimi brzoškami i wysoką trawą. Chyba jeszcze niedawno uprawiano tutaj ziemię. Po drugiej stronie polany widać było kikuty spalonych domów.

- To zrobił Nielub Popiołowłosa - wyjaśnił Pałuka. - Gdy budował swoje Gniazdo i sypał ogromne wały, każdy ród i każda wieś

otrzymała rozkaz zwożenia ziemi i usypania swojego kawałka wału.

Ci, co tu mieszkali, zbuntowali się i uciekli. Wojownicy Nieluba pojechali za nimi i wybili wszystkich. Nawet starców i małe dzieci.

Jedźmy prędzej, panie, bo tutaj przebywa wiele duchów.

Byli już w połowie polany, gdy po drugiej jej stronie ujrzeli wyjeżdżającą z lasu gromadkę jeźdźców. Sześciu ich było, dwóch ubranych w pancerze i hełmy błyszczące w słońcu. Mieli okrągłe drewniane tarcze i miecze u pasa. Pozostali nosili tylko tarcze, oszczepy i łuki.

- To ci, którzy mnie ścigali! - krzyknął Lestk i chciał zawrócić konia, ale Dago stanowczo rozkazał, aby pozostał. Zatrzymał się i dał znak Zyfice i Herimowi, aby uczynili to samo.

- Panie, ich jest sześciu - zamruczał Herim.

- Masz przecież miecz - gniewnie burknął Dago. - Czy przez całe życie chcesz tylko wojować członkiem?

Polecił Zyfice, aby stanęła odrobinę dalej od nich i napięła swój łuk.

- Gdy podniosę lewą dłoń, strzelaj prosto w gardło tym, co noszą pancerze poleciał Dago. - Z pozostałymi sami damy sobie radę.

Sześciu jeźdźców zbliżało się powoli, ostrożnie, obserwując Dagona i pozostałych. Wiedzieli, że mają przewagę. Ich było sześciu, a tych na polanie tylko czterech. Ale jeden siedział na białym wielkim ogierze. W kątynie w Jumnie białe konie uważano za święte.

Dago nigdy nie był w Jumnie, podobnie jak nigdy nie zdarzyło mu się odwiedzić świętego miasta na wyspie sklavińskich Ruanów. Ale z tego

o czym donosili szpiedzy wysłani tam przez Ludwika Teutońskiego wynikało, że Jumno zaliczyć należało do największych i najruchliwszych miast, jakie istniały nad brzegiem Morza Brytyjskiego, w tej jego części, która nazywała się Ostsea. Rządzili Jumnem sklavińscy władcy, dużo tam mieszkało Greków, a także kupców i podróżników pochodzących z innych ludów, nawet Sasów, a także Ascomannów. W Jumnie sprzedawano żywność ubogim w zboże ludom Północy, handlowano niewielkimi, cennymi skórami zwierząt, kupowano broń i najpiękniejsze ozdoby. Jumno leżało u ujścia rzeki Viaduy, a także na wyspie. I podobnie jak u Ruanów, na środku miasta znajdowała się ogromna kątina, gdzie w sali udrapowanej czerwoną materią stał drewniany posąg boga o trzech twarzach, z ogromną włócznią w drewnianej dłoni. U Ruanów modlono się do boga o czterech twarzach i z wielkim ozdobnym mieczem w dłoni. Uczone klechy z Akwizgranu nazywali tego boga Światowidem, ponieważ, na podobieństwo staroromańskiego boga Janusa, spoglądał on w cztery strony świata, choć to nie mogła być prawda. Spojrzenie oczu w tych czterech twarzach raczej na boki się kierowało, ku sobie, a nie ku światu. Tak samo głupstwa mówili o trzygłowym bogu z Jumna, że patrzy na ziemię, na niebo i w piekło, choć Sklavini w żadne piekło nie wierzyli. Dla Dagona, który tak naprawdę nigdy nie stał się chrześcijaninem, było jasne, że sklavińskie plemiona graniczące z państwem Karola Wielkiego, także jakoś - próbowały się zjednoczyć i do tego celu potrzebna im była podobnie jak u Franków

wiara w jednego Boga. A że każde plemię miało swoje bóstwo, jednocząc się, tworzyli jednego boga z kilku bóstw plemiennych. I tak u Ruanów w osobie czterogłowego boga zawarły z sobą przymierze aż cztery plemiona, a w Jumnie trzy plemiona postawiły trzygłowego boga. Bo przecież u Sklavinów spotykało się - jak o tym donosili szpiedzy - i bogów o pięciu, a nawet siedmiu obliczach. I tylko wspólna dla nich była wiara we wróżebną moc świętych białych koni, które trzymano w specjalnych stajniach na tyłach świątyń. Kiedy ktoś szykował się w daleką podróż morską albo udawał się na wyprawę łupieżczą, przychodził z darami dla bóstwa. Wówczas kapłani wyprowadzali białego konia i nakazywali mu przejść przez rozrzucone na ziemi włócznie. Jeśli koń nie dotknął kopytem żadnej włóczni, oznaczało to, że wyprawa będzie miała przebieg pomyślny, jeśli dotknął lub nastąpił na włócznię zazwyczaj rezygnowano z podróży lub łupieżczej wyprawy. Bywało, że do wróżenia używano też koni czarnych jak kruki, ale właśnie na takim siedziała Zyfika. I dlatego z niepokojem patrzyli ludzie z Jumna to na Vindosa, to znów na czarnego rumaka Zyfiki.

- Kim jesteś, panie - pierwszy przemówił jeden z dwóch wojowników, chyba znaczniejszych od innych, gdyż nosili pancerze i byli lepiej uzbrojeni. Wypowiedział słowa w tutejszej mowie, ale z trudem. Był chyba Normanem, podobnie bowiem jak Dago nosił miecz na pasku przerzuconym przez ramię. Jeśli mówiono prawdę, że Popiołowłosy wziął sobie za żonę córkę władcy z Jumna i otrzymał stu wojowników

wraz z narzeczoną, musieli to być przede wszystkim gotowi każdemu służyć za pieniądze rabusie z Północy.

- Jestem hrabia Dago i jadę od Ludwika Teutońskiego do księcia Goluba Popiołowłosego - rzekł w języku donsk tunga.

- Golub, za swoje nieprawości, został uwięziony w wieży na wyspie - odparł wojownik, zadowolony, że usłyszał swój rodzimy język. - Teraz rządzi w jego imieniu Helgunda, córka władcy z Jumna i jej mały syn, Aslak. Jeśli z nią chcesz się zobaczyć, przepuścimy cię wolno.

Raptem jeden z wojowników, tych gorzej uzbrojonych i chyba podległych władzy Normana, podniósł do góry oszczep i krzyknął w tutejszej mowie:

- To Lestk, panie! Jest między nimi przywódca Lestków, którego szukamy. Ostrze oszczepu wskazywało Pałukę. Zdradziła go tarcza z białym orłem. Znowu odezwał się Norman w błyszczącym pancerzu:

- Mówmy, hrabio, w tutejszej mowie, aby nas wszyscy rozumieli. Między twoimi widzimy Lestka, naszego wroga. On przecież nie posłuje od Ludwika Teutońskiego. Musisz go nam wydać.

Odpowiedział Dago:

- Otrzymałem tytuł Piastuna, a to znaczy, że biorę w swoje piastowanie każdego kto mi złoży przysięgę wierności. Ten człowiek uznał we mnie Piastuna, dlatego nie zostanie wam wydany.

- W takim razie będziemy walczyć! - krzyknął gniewnie Norman i sięgnął po miecz.

Dago podniósł lewą dłoń i strzała Zyfiki przebiła gardło Normana.

Zanim jeszcze zdążył spaść z konia, z obnażonym mieczem rzucił się na Dagona drugi Norman, a czterej wojownicy z drużyny Helgundy zaatakowali oszczepem Herima, Lestka i Zyfikę.

Dago startł się z drugim Normanem i uderzeniem Tyrfinga rozciął jego szlom na głowie, aż tamten nieprzytomny stoczył się na ziemię. Zyfika drugą strzałą przebiła cienką kolczugę atakującego ją wojownika i trafiła w serce. Pałuka odciął toporem prawe ramię jednego z napastników, a potem rzucił się na pomoc Herimowi, który niezręcznie osłaniał się tarczą przed oszczepem piątego jeźdźca.

Krzycząc przeraźliwie, z podniesionym do góry mieczem, Lestk zbliżał się do niego, aż tamten, przerażony, widząc, że Zyfika celuje do niego z połyskującego złotem łuku, zrobił nagle zwrot koniem, uchylił się od nadlatującej strzały i zaczął uciekać w stronę lasu. Szósty z nich zaatakował Dagona oszczepem, ten jednak zdążył się osłonić tarczą.

Potem jednym machnięciem Tyrfinga odciął mu głowę od tułowia. Do ucieczki rzucił się też bojownik z uciętym ramieniem, ale w połowie drogi do lasu, zapewne z bólu albo upływu krwi, osłabł i spadł z konia, który popędził między drzewa.

Na ziemi leżał bezwładnie Norman z rozciętym na głowie szlomem,

Dago zeskoczył z konia, podszedł do niego, zdjął mu z głowy poharatany szlom i stwierdził, że głowa nie została naruszona. Od uderzenia Norman stracił tylko przytomność i teraz ją odzyskiwał.

- Jeśli mi powiesz, gdzie jest Popiołowłosy, daruję ci życie - powiedział

Dago w języku donsk tunga.

Tamten nie wahał się. Znajdował się w obcej służbie, życie dla niego było więcej warte niż tajemnice Helgundy.

- Jest panie jezioro, co zwą Lendica. Ma dwie wyspy. Na jednej jest gród drewniany i wieża. Tam zamknięto Popiołowłosego i jego dwie nałożnice.

- Czy dużo ludzi strzeże Popiołowłosego?

- Tego nie wiem, panie. Ale po co go strzec? On nie ma przyjaciół.

- Jesteś zbyt gadatliwy jak na Normana. I tchórzliwy. Czy nie mówiono ci, że w obliczu śmierci należy się uśmiechać? - zapytał go

Dago.

- Przecież obiecałeś mi życie - wyjąkał Norman, a na czole ze strachu pojawiły mu się krople potu.

- Co warta jest obietnica władcy - powiedział Dago i jednym uderzeniem Tyrfinga odciął mu głowę od tułowia, który zaczął podskakiwać na ziemi. Palce chwyciły żdźbła trawy, usta w odciętej głowie poruszały się bezdźwięcznie.

Ani Lestk, ani Herim i Zyfika nie znali donsk tunga i nie wiedzieli o czym Dago mówił z Normanem. Tylko Herim odważył się zapytać:

- O czym z nim, panie, rozmawiałeś i dlaczego uciąłeś mu głowę? Dago wzruszył ramionami:

- Powiedziałem mu, że jako Norman z Jumna, powinien się uśmiechać umierając. A musiałem go zabić, ponieważ na moim mieczu ciąży przekleństwo Odyna. To nie ja zabiłem, ale mój miecz.

Tymczasem Pałuka zdołał schwytać konia jednego z zabitych

wojowników i zaczął z trupów ściągać pancerze i szlomy, zbierać porzucone włócznie. Całą zdobycz ładował na owego konia.

- Mogą się przydać dla innych Lestków - wyjaśnił.

- Nie podziękowałeś mi - rzekł surowo Dago. - A przecież, gdyby nie ty, puściliby nas wolno. Nie powiedziałaś mi też, że jesteś przywódcą Lestków, Pałuko. Czy tak się postępuje z Piastunem?

- Posłałem ci, panie, dziękczynne spojrzenie - odparł dumnie Pałuka. - Skoro już wiesz, że przewodzę Lestkom, nie możesz żądać ode mnie, abym ci dziękował jak podwładny.

- Nie zauważyłem twego spojrzenia. Może zbyt zajęty byłeś rabowaniem trupów?

- To broń dla innych. I nie próbuj, panie, ranić mojej dumy, gdyż jestem człowiekiem wolnym. Nie będę przed nikim klękał na jedno ani na dwa kolana, gdyż nie uznaję władców.

- Nie każę ci klękać, nie jestem bowiem księciem. Ale musisz mi się skłonić, gdyż mam władzę Piastuna. A może wolisz, abym wyciągnął swój miecz przeklęty przez Odynd?

Pałuka zawahał się. Była w nim duma wolnego człowieka, który od lat walczył z władzą księcia po to, aby przed nikim nie klękać. Ale w istocie ów Piastun wolał walczyć niż oddać go w ręce ludzi Helgundy.

Czy ukłon uwłaczał dumie wolnego człowieka, oznaczał uległość i niewolnictwo? Ten człowiek przecież bronił jego wolności. Skłonił się więc nisko i znowu wrócił do swego zajęcia, to jest mocowania na grzbiecie konia zdartej z trupów broni. A gdy skończył tę robotę,

wesoło powiedział:

- Spieszmy. Moja wieś jest już niedaleko. Wkrótce będziemy się radować, pić miód i piwo.

Ruszyli, ciągnąc za sobą konia ze zdobyczną bronią. Lestk prowadził ich wąską ścieżką przez las, Dago jechał na samym końcu. W pewnej chwili zrównał się z nim Herim i rzekł półgłosem:

- Chyba nie ma różnicy, jaką nazwę przybiera władza człowieka nad człowiekiem.

- Stajesz się coraz mądrzejszy - kiwnął głową Dago. - Wierzyłem, że takim się staniesz już wtedy, gdy cię ujrzałem uwięzionego w klatce.

- Dziękuję ci, panie - rozpromienił się Herim. - Dlatego odważę się jeszcze raz zapytać: o czym naprawdę rozmawiałeś z owym zabitym potem przez ciebie Normanem?

- Wskazał mi miejsce gdzie jest Popiołowłosa. Zabiłem go, aby nikomu nie doniósł, że pragnę się zobaczyć z tym człowiekiem.

- Po co ci on, panie?

- Widziałem w swoim życiu wielu władców. Także i zwyciężonych. Ale zawsze stawało się to po przegranej bitwie. Teraz chcę poznać władcę, który utracił swoją moc bez walki. Czy myślisz, że można stać się kimś wielkim nie znając wszystkich tajemnic władzy?

W kilka lat później na korze zdartej z brzozy napisał Herim:

"A kiedy prawowity władca tych ziem, Piastun, na czele swoich nielicznych wojsk przebył bagna i znalazł się w bezmiernych puszczech, zagrodziło mu drogę potężne wojsko księżnej Helgundy,

zdradzieckiej żony Popiołowłosego. Wtedy to Piast na wielkiej polanie stoczył bitwę z przeważającymi siłami wroga i wspomagany przez Lestków oraz wojowników z kraju Argaraspidów odniósł zwycięstwo, otwierając sobie drogę do ojcowizny. Stało się tak dlatego, że był nie tylko mądry i miał przyjaciół, ale i odznaczał się niezwykłą walecznością, ponieważ płynęła w nim krew olbrzymów."

Wioskę zamieszkałą przez ród Pałuków odnaleźli na krótko przed wieczorem. Droga do wioski prowadziła przez moczary i podmokły las, dlatego trzydziestu nędznych chat, postawionych nad brzegiem niewielkiego jeziora, nie broniła ani fosa z wodą, ani żadna palisada. Zbudowane z drewnianych bali domy były niskie, zagłębione w ziemi, kryte ogromnymi dachami ze słomy i trzciny. Nie miały okien, a tylko drzwi; dym z palenisk obudowanych kamieniami ulatniał się przez otwór w szczycie. Łatwo było te domy spalić, ale i łatwo odbudować. W wiosce świętowano już od rana. Na ławach wystawionych nad jeziorem leżały nie dojezione ogromne kołaczki, nie ogryzione kości baranów i cieląt, stały gliniane dzbany z syconym miodem lub piwem. Niemal wszyscy mieszkańcy, nie wyłączając starych kobiet i dzieci, byli podchmieleni. Nawet tutejszy stary wróż w brudnej koszuli i o dłuższych niż u innych włosach z trudem podniósł się z ziemi, gdy nadszedł Pałuka z gośćmi. Powrót Pałuki, który zdawał się tu być kimś ważnym, a także widok obcych, wywołał nową falę radości. Rozsiodłano ich konie i puszczono na trawę, zaproszono do najdłuższej ławy, przyniesiono nowe kołaczki i dzbany napełniono

piwem. Z lasu nadbiegły dziewczęta w długich lnianych szatach i z wiankami na głowach. Rozochoczone piwem i przez to bardzo śmiało zachowywały się zalotnie, a potem przy delikatnych dźwiękach gęśli zaczęły podrygiwać, przebierać bosymi stopami po trawie, podniecająco poruszając piersiami i biodrami. Śpiewały najpierw smutno:

Odchodzi słonko do swego domu

Powoli jak wypełniona życiem dziewczyna.

Nie będzie już żagiew słonka palić ziemi.

Odchodzi słonko, aby dać życie.

Umiera brudny ogień i czysty się rodzi,

Będzie czysty jak lniane płótno.

A potem już weselej i w szybszym rytmie:

Odchodzisz słonko, odchodzisz białe,

Bo byś nam ziemię powypalało.

Lecz będziesz z nami przez całe lato

I dasz dostatek naszym chatom.

Herim chciwie wpatrywał się w tańczące dziewczyny, raz za razem

łykał piwo z dzbana. Nad jeziorem płonęła sterta chrustu z nowo

rozpalonym ogniem, od którego kobiety niosły do swych domów

żagwie z czystym płomieniem. Przywabieni śpiewem dziewcząt

nadchodzili zewsząd także i młodzi mężczyźni.

To im przyglądał się uważnie Dago i stwierdził z zadowoleniem, że są

wysocy i barczyści. Nie wiedział tylko czy dobrze władają bronią.

- Teraz będziesz mógł sobie wybrać którą zechcesz i zawlec ją w krzaki

- powiedział Dago do Herima.

Dziewczęta próbowały syconego miodu. Do każdej podchodził z

dzbanem chwiejący się na nogach stary wróż, a one piły łapczywie

chcąc się zupełnie oszołomić. Zabrzmiały jęklive struny gęśli, dźwięki

stawały się szybsze, coraz szybsze. Dziewczyny zaśpiewały:

To ty, słoneczko, rozpalasz dziś krew,

Dojrzewa słońce na przyszły chleb.

Żadna dziewczyna dziś ud nie ściska,

Tuczy się krowa, chłop mleczem tryska.

I wszyscy zebrani, dziewczyny i chłopcy, zaczęli wirować z

rozpostartymi rękami jak ptaki, które otworzyły skrzydła, aby

wzlecieć. Wirowano coraz prędzej i prędzej, aż niektórym zakręciło się

w głowie i tracąc równowagę padali na ziemię. Ten i ów chwycił na

ręce dziewczynę i włókł ją w pobliskie krzaki, skąd zaczęły dochodzić

radosne piski podnieconych kobiet. A na całą wioskę powoli opadał

szary zmierzch, który tego wieczora miał trwać niemal do północy.

Na skraju wsi, na pniu powalonej przez wiatr sosny siedział brudny i

stary mężczyzna z siwymi włosami i opadającymi ku dołowi

ogromnymi wąsami. Obok niego na płaskim kamieniu stała malutka

gliniana figurka przedstawiająca kobietę z niewielką głową, ale ze

wzdętym brzuchem, dużymi piersiami i wydatnymi narządami

rodnymi. Był to tutejszy wróż zwany po lendicku żercą, gliniana zaś.

figurka przedstawiała Makoszę znaną także pod imieniem Vesna,

boginię płodności, urodzaju i dostatku.

- Popatrz, Herimie - rzekł Dago. - A powiadają Sasi, że żadnych kobiecych bogów nie ma w krajach za Viaduą.

Od czasu do czasu do żercy podchodzili młodzieńcy oraz dojrzały mężczyźni, obnażali się od pasa w dół ukazując mu sterczący mocno członek. Żerca brał go w dwa palce i przyciągał do brzucha, a następnie szybko puszczał, patrząc jak prącie sprężyste prostuje się i powraca do dawnej pozycji. Wtedy z zadowoleniem sięgał do stojącego obok dzbana z syconym miodem i skrapiał nim członek.

Przychodziły także kobiety i dziewczyny. Zadzierały spódnice i koszule, obnażając przyrodzenie. Żerca wsuwał palec w ich pochwy i jeśli były pełne męskiego nasienia, biały mlecz wyciekał im na uda.

Wtedy też kropił ich łona, a one odchodziły szczęśliwe, że będą płodne, zbiorą bogaty urodzaj i nie wyzdycha im bydło.

- Ci ludzie strasznie grzeszą - odezwał się Herim, choć usta wykrzywił mu grymas pożądania.

- Milcz, głupi mnichu - rozgniewał się na niego Dago. - Czy to nie ty zgrzeszyłeś w Fuldzie przeciw czystości, gwałcąc niewiastę? Ludzie mają tyle utrapień, a wyznawcy krzyża dołożyli im najgorsze: grzech.

Ci ludzie tutaj nie grzeszą. ponieważ nie znają grzechu. Także ich bogowie nie wiedzą, co to grzech. Powiedz mi jak może grzeszyć bóg rzeki, prastare drzewo albo kamień'? One są poza grzechem i poza dobrem i złem, w ich świecie nie ma grzechu, bo nie ma także dobra i zła. Wszelkie prawa na ziemi ustanowili ludzie i oni wedle nich sądzą

innych. Prawo ludzkie nie może pochodzić od bogów, gdyż różne kraje mają swoje własne prawa, często zresztą zmieniane. Kiedy zostanę władcą, też będę ustanawiał własne prawa. Po co w to mieszać bogów i grzech? Nasi bogowie karzą tylko tych, co nimi gardzą, nie składają im żertw, powołują się na nich kłamiąc lub łamiąc przysięgi. Pamiętaj jednak, że przysięga dana bez powołania się na bogów nie podlega karze.

Umilkł i siedział dalej zamyślony. ponury.

- A ty, panie? - zapytała Zyfika: - Mało jesz i jeszcze mniej pijesz?

Dlaczego nie radujesz się z innymi?'

Dago odparł po długiej chwili milczenia.

- Przypomniały mi się wszystkie kobiety, które miałem i które mnie kochały.

- Powiadają, że dziś po północy dziewczyna. choćby i kilku mężczyzn ją miało, w ciążę nie zajdzie - rzekła Zyfika.

- To prawda. Dziś po północy każda chodzi wypełniona męskim nasieniem, ale dzieci z tego nie rodzi.

- Czy to sprawia słońce czy czary?

Nie doczekała się odpowiedzi, ponieważ Pałuka, który wirował razem z innymi, nagle zatoczył się. chwycił dwie dziewczyny za ręce i powlókł je w stronę ławy, gdzie siedział Dago wraz z Zyfiką.

To moje siostry. Bierz tę - podsunął jedną Zyfice - a wy, panie, tę młodszą i ładniejszą - na kolanach Dagona posadził chyba piętnastoletnią młodkę, o różowych policzkach, niebieskich oczach,

ale już szeroką w biodrach i z dużymi piersiami.

Podchmielona dziewczyna zachichotała, a potem wczepiwszy swoje palce w długie białe włosy Dagona, zaczęła go mocno całować w usta.

Należą się wam one za moje życie! - krzyknął radośnie Pałuka i wołając "hu, hu, hu" znowu zaczął się kręcić z rozpostartymi rękami.

Zyfika niechętnie przyciągnęła do siebie starszą siostrę Pałuki i jak kazał obyczaj posadziła na kolanach.

- Pij. Najpierw jeszcze się napij - wciąż nachylała dzban miodu do ust dziewczyny.

Ale ona już mocno pijana wpila się w dłoń Zyfiki i zaczęła ją ciągnąć w stronę pobliskich krzaków. Zyfka ruszyła za nią opornie, ogarnięta wstrętem. Minął ich Dago. Niósł na rękach młodszą siostrę Pałuki, a usta drżały mu od pożądania. Dziewczyna odchyłała głowę i śmiała się radośnie, wymachując bosymi nogami i odsłaniając kolana.

Dago położył ją na trawie za pierwszym krzewem i zadart jej koszulę aż po szyję. Ściągnął spodnie i wszedł między rozchylone uda. Poczul opór w jej ciele, dziewczyna krzyknęła, ale on już był w jej gorącym i wilgotnym wnętrzu. Po chwili całe ciało przebiegł dreszcz rozkoszy.

Obok niego druga siostra Pałuki wciąż ciągnęła za sobą Zyfikę, która zobaczywszy Dagona dygocącego od spełnienia, gniewnym gestem odepchnęła od siebie dziewczynę i wróciła do ławy z jedzeniem.

Porzucona siostra Pałuki stała nieruchomo, nie rozumiejąc czemu ten chłopak okazał jej pogardę. Dago podniósł się, chwilę patrzył na nagą młodkę u swoich stóp, a potem zrobił kilka kroków i chwycił wpół tę

porzuconą przez Zyfikę. Posłusznie położyła się na ziemi i sama zadarła lnianą koszulę. Mimo szarości wieczoru Dago zobaczył jej bielejącą nagość i czerń włosów między nogami, ponownie obudziło się w nim pożądanie i posiadał ją. Poruszał się w niej długo i mocno, zanim znowu poczuł rozkosz.

Do ławy, przy której siedziała Zyfika, wrócił wolnym krokiem, podciągając spodnie. Chwycił pełny dzban i podniósł go do ust.

- Masz krew na ręku - zauważyła Zyfika.

- To krew dziewczki, którą uczyniłem kobietą - rzekł Dago. - Z tobą nigdy się to nie stanie, ponieważ drewnianym kolkiem odebrano ci dziewczictwo.

- Jesteś, panie, brudny - splunęła z pogardą Zyfika i odeszła w mrok, w stronę pasących się koni.

Powoli ogarniała ziemię najpóźniejsza w tym roku noc. Cichły głosy, śmiech i pohukiwania w lesie, wciąż jednak wysokim płomieniem paliły się ogniska nad jeziorem, a między drzewami biegali młodzieńcy z pochodniami. Wielu mężczyzn i wiele kobiet leżało pokotem na trawie, uśpionych piwem i miodem. Jakaś dziewczyna śpiewała smutno o słońcu, które ustąpiło nocy. Obok Dagona pojawił się Herim i chępiąc się oświadczył, że miał już trzy dziewczyny, teraz zapragnął kobiety. Pobiegł po krzakach szukać chętnej do miłości.

Dago odczuwał smutek i po raz pierwszy od dłuższego czasu odniósł wrażenie, że spadł na niego ciężar wielkiej samotności. Wydawało mu się, że wokół niego nie ma nikogo, komu mógłby zwierzyć swoje

marzenia, lęki, pragnienia i troski. Ruszył więc na poszukiwanie Zyfiki i znalazł ją owiniętą derką i leżącą na trawie w pobliżu pasących się koni. Wyjął z juków swój włochaty płaszcz rzucił go na trawę i położył się obok. Cekał, aż na niebie pokaże się najjaśniejsza z gwiazd zwana Zwierzęcą, ta sama, którą zobaczył jako dziecko, gdy odchodził z wioski Zemlinów. Potem nocami towarzyszyła mu wszędzie, gdzie był i widziała wszystkie jego dobre i złe czyny. Wierzył, że jest mu życzliwa.

Tymczasem korzystając z ciemności wybiegły z chat staruchy. Liczyły na to, że w ciemnościach nikt ich nie rozpozna. Podchmielone, belkocząc bezzębными ustami, szarpały odzież młodzieńców i wysoko zadzierały kiecki, a starzy mężczyźni lubieżnie dotykali nieprzytomnych od miodu i piwa, leżących bezwładnie dziewcząt i kobiet. Dwie staruchy podbiegły do Dagona i Zyfiki, szczypały ich, mamrocząc i pokazując swoje obwisłe brzuchy. Odeszły, gdyż Dago i Zyfika udawali, że są zamroczeni jak inni. Dago rozumiał ich pragnienia. Oto noc miała stawać się coraz dłuższa, a wraz z nią bliższa stawała się śmierć. Czemu nie mieli i oni, starcy i staruchy, jeszcze raz w swoim życiu zażyć rozkoszy?

Wreszcie nisko nad lasem zobaczył Dago jaśniejącą mocno gwiazdę Zwierzęcą. Weszła późno i wkrótce miała zniknąć wraz ze świtem. Tylko zimą pojawiała się wcześniej i świeciła niemal przez całą noc. Nadszedł Pałuka prowadząc ze sobą kobietę, której biała szata jaśniała w mroku.

- Panie - przemówił cicho do Dagona. - Polubiłem ciebie jak siebie samego i pragnę, abys był ze mną. Minęła północ, wkrótce będzie świt i skończą się czary bezpłodności. Weź moją żonę i zapłodnij ją, chcę mieć od ciebie syna, który mój ród uczyni potężnym. Przekaż nam swoją krew olbrzymów.

Pałuka odszedł, a jego żona posłusznie położyła się na trawie obok Dagona i obnażyła swoje ciało. Dago nie widział w ciemności rysów jej twarzy, nie widział czy jest ładna czy brzydka. Jego dłonie namacały sterczące piersi, prześlizgnęły się po płaskim brzuchu, dotknęły gorących ud. Nie czuł pożądania, nie chciał tej kobiety.

Odsunął się od niej i długą chwilę leżał nieruchomo patrząc w niebo na swoją gwiazdę Zwierzęcą. A wokół nich rozparzony dziennym słońcem sosnowy bór chłódł teraz, a powietrze przepelniał zapach żywicy oraz sosnowego igliwia. Dago przymknął oczy i wydało mu się, że jak ongiś leży obok Zely, przenika do jego nozdrzy zapach sosnowego olejku, którym skrapiała swoje podbrzusze. Raptem poczuł gwałtowne pożądanie, znowu dotknął gorących nagich ud kobiecych, a potem gwałtownym gestem zadarł jej koszulę aż pod brodę, legł na niej i wszedł w jej wnętrze. Usłyszał jej przyśpieszony oddech, a potem szum własnej krwi w uszach. Dał jej swoje nasienie, a ona przyjęła je nieruchoma i niema.

Legł znowu na swoim płaszczu i czekał aż uspokoi się jego gwałtownie bijące serce. Kobieta wolno podniosła się z ziemi i równie wolno jej biała szata rozplynęła się w ciemności.

- Czy śpisz, Zyfiko? - rzucił pytanie w ciemność. - Chciałbym ci pokazać swoją gwiazdę. To ta, która świeci najjaśniej.

- Nie śpię, panie, ponieważ to co robiliście rozbudziło mnie i nappełniło pogardą.

- Czy wy, wojowniczk, robicie to inaczej?

- Nie wiem, bo nigdy tego nie robiłam. W porze zrównania dnia z nocą, wiosną i jesienią polujemy w lasach na mężczyzn albo zapładniają wojowniczk nasi niewolnicy. To jednak chyba musi się odbywać inaczej niż tutaj. Ja nigdy jeszcze nie polowałam na mężczyznę.

Widziałam jak trzy razy łączyłeś się z tymi brudnymi kobietami i za każdym razem miałam ochotę zabić każdą z nich.

- Dlaczego? Nie rozumiem .ciebie.

- One się oddają, a powinny brać mężczyznę, ponieważ on jest dla kobiety tylko narzędziem do poczęcia dziecka.

- Nie odczuwacie pożądania? Nie pragniecie miłości? - zdumiał się Dago. - Nie, panie. I nie mów o tym ze mną.

Bała się, że w jej słowach wykryje kłamstwo. Tej nocy aż trzy razy doznała uczucia pożądania i zrozumiała, dlaczego o zazdrości mówiono jak o kłuszącej żmii. Jej ciało było obolałe jakby wiele razy została ukąszona i wraz z krwią rozplwał się po jej żyłach trujący jad.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY - GEDAN

Książę Akum, władca Druzo, o wczesnym zmierzchu w połowie miesiąca zwanego Paźdierzem wydał w swej warowni wielką ucztę

na cześć jarla Sveriego. który tego dnia wraz ze świtem dwunastoma okrętami wpłynął do portu. Na każdym okręcie znajdowało się co najmniej trzydziestu wojowników ascomańskich z Birki, dobrze uzbrojonych. Tak więc jarl Sveri przywiódł Akumowi swój Hird, drużynę z ponad trzystu wojownikami do walki z księciem Gedanem, władcą kraju Wit. Księżę Akum zgromadził także piętnaście własnych okrętów i ponad czterystu wojowników, samych Estów, ponieważ Ascomannom nie ufał. Z taką potęgą spodziewał się Akum łatwego zdobycia Grodu Gedana, niezbyt warownego, gdyż broniły go rozlewiska Visuli. Jak donosili szpiedzy - grodu Ciedana broniło tylko stu pięćdziesięciu wojowników, przeważnie Sklavinów, gdyż Kraj Wit oddzielał ziemię Estów od ziemi zamieszkałej przez ludy sklavińskie. Cała Witlandia - jak to głosiły pieśni - należała do Estów, dopóki dziad panującego obecnie Gedana nie wdarł się w rozlewiska rzeki i nie zbudował małego gródka, który po wielu latach stał się nowym ośrodkiem władzy. Potem Sklavini opanowali lewe ujście Visuli, skoro bowiem płynęła ona z głębi krain sklavińskich, twierdzili, że mają prawo nie tylko do wielkiego węża rzeki, Lecz również do jego głowy, która piła morską wodę.

Visula sprzyjała rodowi Gedanów. Rok po roku coraz płytsze stawało się wejście z morza do Zalewu Estyjskiego i do Druzo, musiała więc nadejść chwila, kiedy rzeka stworzy piaszczystą mierzeję i na zawsze zamknie cały Zalew. Wtedy zginąć musiało Druzo i z myślą o tym Gedan postanowił nad lewym ujściem zbudować własny port, miasto

oraz przejąć cały handel w tej części południowego brzegu Ostsaë, ongiś zwanego Morzem Sarmackim. Tylko że o tych planach wiedział Akum i zapragnął zdobyć gród Gedana, w ten sposób stając się władzą całej Witlandii. Jego plany sięgały zresztą jeszcze dalej. Jeśli wszystko ułoży się pomyślnie, swoją córkę Pajotę wyda Akum za młodego władcę Miasta Koło Brzegu, gdzie produkowano sól, przejmie w swoje ręce także handel solą i ogłosi się królem południowego brzegu Ostsaë. Sól potrzebuje każdy. Przede wszystkim muszą ją mieć ludy położone w głębi lądu. Dlatego przyjdzie taka chwila - rozmyślał Akum - gdy sklavińskie ludy będą musiały wybrać między solą od Popiołowłosego i solą od Akuma. Potem silną dłonią chwyci Akum głowę wielkiej rzeki i zmusi Popiołowłosy, aby słynne z urodzaju Kujawy na południu stały mu rzeką statki ze zbożem, którym on - w zamian za rozmaite bogactwa - nakarmi liczne, wiecznie wygłodzone i skłonne do rabunku ludy nieurodzajnej Północy.

Akum nie ufał Ascomannom, ponieważ wiele razy usiłowali nagłym najazdem zdobyć bogactwa Druzo. Ale nie miał wyboru, jeśli chciał pokonać Gedana. Dopuścił więc do tego, aby dwanaście okrętów i ponad trzystu Ascomannów wpłynęło rankiem do portu w Druzo, zgodził się na ich jednodniowy odpoczynek, nie zezwolił jednak, aby uzbrojeni opuszczali swoje okręty i cały port otoczył strażą złożoną z ponad stu Estów. Musiał też wydać ucztę na cześć Sveriego i jego starszyny, albowiem Ascomanni kochali się w ucztach. Piętnastu Ascomannów wpuścił do swej warowni i pozwolił im zasiąść w sali

biesiadnej, poczerńiałej od dymu łuczywa i steatytowych lamp.

Zgodnie z umową, zaraz po biesiadzie, wczesnym rankiem okręty Ascomannów i Estów miały razem wypłynąć na Zalew Estyjski, a potem na morze. Następnie kierując się wzdłuż brzegu morza przy sprzyjającym wietrze powinny już wieczorem dotrzeć do grodu Gedana i dokonać niespodziewanej napaści.

Na długie drewniane stoły obstawione ławami wniesiono gliniane tace z poćwiartowanymi kawałami upieczonych baranów i jagniąt, steatytowe misy z mięsem kapłonów. Każdy z biesiadujących wyjmował z za pasa krótki nóż i odkrajał sobie kawał pieczeni, zapijając mięso winem z południa i piwem wyrabianym w Druzo. Wino i piwo wnoszono w dzbanach glinianych i rozlewano je do posrebrzanych kubków. Ascomannowie jedli szybko i chciwie, obgryzione kości rzucając na koniec stołu, gdzie siedzieli milczący i czujni estyjscy wojownicy. W ten sposób zwykli okazywać pogardę lub szukać zaczepki do bitki, oprócz bowiem ucztowania właśnie bójki lubili najbardziej. Pili dużo, jakby ich paliło w żołądkach. Niektórzy nawet chwyтали w dłonie dzbany, siorbiąc z nich głośno piwo i rozlewając je sobie po piersiach i po stole. Byli groźni w walce, wyglądali groźnie nawet teraz, gdy siedzieli i jedli. Przybyli na ucztę w pełnym uzbrojeniu, żaden nawet na chwilę nie odwiesił rzemienia z mieczem, mimo że prosił ich o to książę Akum. Tłumaczyli się, że zaraz po uczcie ruszą na okręty i potem do walki. Tylko kilku ściągnęło z głów żelazne hełmy z krowimi rogami i ich rudawe włosy krwawo

połyskiwały w blasku łuczywa. Noży nie chowali za pas, ale wbijali je przed sobą w blat stołu, aby w każdej chwili mogli sobie odkroić nowy kawał mięsa. Mówili głośno w swym gardłowym języku donsk tunga, obyczaje mieli szorstkie. Raz po raz któryś brutalnie uderzał w bok drugiego albo wyrywał mu z dłoni ukrojoną łopatkę baranią.

Sprawiali wrażenie wrogiej względem siebie hałastry i tylko ten, co dobrze ich znał, pojmował, że jeden za drugiego oddałby w każdej chwili własne życie. Łączyły ich dozgonne więzi przyjaźni, a niekiedy nawet i miłości, którą wstydzili się sobie okazywać. "Wyglądają jak stado dzikich psów, którym rzucono ochłapy mięsa" - pomyślał o nich Akum, albowiem na jego dworze - może pod wpływem Pajoty i obyczajów przywiezionych do Druzo przez kupców z kraju Musliminów, a także z miasta Byzisa - nauczono się już biesiadować bardziej elegancko, szczególnie, gdy w uczcie brały udział kobiety. Ale żadnej z kobiet ze swego dworu nie pozwolił Akum pojawić się na uczcie, jedzenie i napitek podawali wojownicy estyjscy, także w pełnym uzbrojeniu, co zdawało się irytować jarla Sveriego.

Był to mężczyzna ogromnego wzrostu, o twarzy niemal całej pokrytej rudawym zarostem opadającym na koleczugę. I jego obyczaje były grubiańskie. Jeśli chciał zwrócić na siebie czyjąś uwagę rzucał w niego kością z nie dojedzonym mięsem, a potem krzyczał coś z pełnymi ustami, przez co jego mowa stawała się prawie niezrozumiała. Jadł i pił dużo, Akum jednak zauważył, że więcej wina i piwa po sobie rozlewał niż go pochłaniał. Groźnie wyglądały jego niebieskie oczy o

przekrwionych białkach i Akum pożałował, że sprzymierzył się z rabusiami, aby zniszczyć księcia Gedana. Czy ci z Birki nie słynęli z braku lęku przed śmiercią? Czy oprócz swych tajnych przysiąg, jakie zawierali między sobą, istniało dla nich coś świętego i godnego uszanowania? Opowiadano Akumowi, że mają surowe i bardzo dziwne prawa. Jeśli Ascomannowi ukradł coś czyjś niewolnik, odpowiadał za to jego pan, albowiem niewolnik nie był uznawany za człowieka. Jeśli któryś z nich nie potrafił zapewnić bytu swemu ojcu lub matce, oddawał się w niewolę temu, który zapewniał byt jego rodzicom. Nie byli więc w rzeczywistości jak stado dzikich psów, choć tak się teraz zachowywali. Kto wie - lecz o tym już Akum nie miał pojęcia - czy to nie od nich należało się uczyć prawdziwej i dozgonnej przyjaźni. Czy obok Sveriego nie siedział Hlodr, a obok Hlodra młody Dago? Skąd jednak Akum mógł się dowiedzieć, że ci dwaj mieszkali w Druzo od wielu miesięcy i zaledwie okręty Ascomannów wpłynęły do portu pojawili się na przystani? Wziął ich na swój okręt jarl Sveri i potem wraz ze swoją starszyzną powiódł na ucztę do warowni. Hlodr, Ottar i Sveń złożyli kiedyś przysięgę braterstwa, dlatego Hlodr miał prawo czekać aż przybędzie po niego drekar, a może zdarzy się okazja, aby pomścić śmierć Ottara i klęskę Ascomannów podczas napaści na Druzo.

- Dlaczego, książę, twoi ludzie nie jedzą i nie piją, tylko patrzą na nas jak na dzikie zwierzęta? - ochryplym głosem w języku donsk tunga zapytał Sveri księcia Akuma. - Czy twoje jadlo ma zbyt wiele pieprzu,

a twój napitek jest trucizną?

Książę Akum zdjął z głowy swój spiczasty pozłacany hełm. Nie chciał swarów i kłótni ze Sverim.

- Jutro czeka nas walka, jarlu Sveri - powiedział. - Czy chcesz, aby moi ludzie byli słabi z przepicia i przejedzenia?

- A my?! - gniewnie zawołał Sveri. - Czy myślisz, że będziemy mniej waleczni niż zwykle?

Akum wyciągnął prawą dłoń w kierunku Estów, którzy w pełnym uzbrojeniu stali pod poczerniałą ścianą koło drzwi prowadzących w głąb warowni. Na wskazującym palcu Akuma zabłysnął krwawo książęcy pierścień z ogromnym rubinem.

- Jedzcie i pijcie. Niech nasi przyjaciele nie myślą, że kryjemy w sercach zdradę - rzekł w języku Estów.

Posłusznie zaczęli jeść i pić. Ale tylko ci, którzy siedzieli przy stole.

Pozostali wciąż tkwili pod ścianami, aż rozzłoszczony Sveri zmiażdżywszy w ręku posrebrzany kubek do wina rzucił nim w jednego z nich.

- Masz ten kubek i pij! - wrzasnął.

Akum znowu wyciągnął rękę, a wtedy usługujący wojownicy zaczęli także wśród tamtych rozdawać kubki i rozlewać im wino.

- Masz, książę, piękny pierścień - odezwał się znowu Sveri. - To pierścień książęcy - odrzekł Akum.

- Czy jarl nie jest równy księciu?

- Jesteś mi równy, jeśli masz warownię.

- Warownią jest mój okręt - zaśmiał się Sveri. - Daj mi ten pierścień na znak przyjaźni.

- Podobny pierścień nosi książę Gedan. Jutra go sobie weźmiesz nawet z uciętą dłonią - powiedział Akum. - Przyjaźń, jarlu, rodzi się we wspólnej walce, a nie poprzez darowizny.

- Masz rację - roześmiał się tubalnie Sveri, a potem, położywszy dłoń na ramieniu Hlodra, dodał: - Ten to człowiek w ubiegłym roku napadł na twoje miasto, panie. Ma na imię Hlodr. Pokonałeś go, książę, i za to cię on miłuje.

Roześmiał się Sveri, śmiechem zawtórowali mu pozostali Ascomannowie. Tylko Hlodr i Dago nawet się nie uśmiechnęli, podobnie jak książę Akum, który dopiero w tej chwili zauważył, że ów Hlodr prawie nic nie je i nic nie pije, tylko wciąż pilnie patrzy w okna osłonięte rybimi pęcherzami. Ale za oknem była już noc i nic przez nie nie można było zobaczyć. Czegóż w ciemności wypatrywał ten człowiek?

Zauważył też Akum, że prawie wszyscy Ascomannowie nosili na sobie skórzane spodnie i bluzy, poszarzałe od morskiej soli, ponieważ przyszli na ucztę wprost ze swych statków po długiej podróży morskiej. Jedyne ów Hlodr i siedzący obok młodzieńki Ascomann wyglądali tak, jak gdyby musnęły ich morskie wiatry i nie obryzgała morska fala. Hlodr był w jasnozielonych obszernych spodniach z pończochami do kolan. a pod kolczugą miał jasnozieloną bluzę. Piękna czerwona szarfa podtrzymywała jego spodnie. Młody zaś Ascomann

nosił na sobie szkarłatne spodnie-pończochy, szkarłatną miał bluzę. Spod rękawów bluzy wyglądały nieskazitelnie białe koronki koszuli. Na piersiach wisiał mu złoty naszyjnik i przedziwnie białe wydawały się jego długie włosy. Ci dwaj albo specjalnie przebrali się idąc do Akuma, albo też nie odbyli podróży morskiej. Złe przeczucie ogarnęło księcia, ale zaraz uleciało. Pomyślał, że w jego mieście wielu żyło Ascomannów, zajmujących się handlem. Tylko że tamtych znał Akum osobiście, tych zaś nigdy w Druio nie widział...

Hlodr napętnił sobie winem srebrny kubek, opróżnił go jednym haustem i przekrzykując wrzawę biesiadujących, zawołał do Akuma: - Ja, stary thane, miłuję tych, co mnie pokonali, jak tu już powiedział jarl Sveri. Miłuję cię, księżę, chociaż mi połamałeś nogi. Taką samą miłością, ten oto młody dreng miłuje twoją córkę Pajotę. Czemu, księżę, nie ulżysz miłosnym cierpieniom owego drenga i nie pokażesz mu choć na chwilę swej pięknej córki?

- Tak, tak, pokaż nam swoją córkę! - niemal równocześnie wrzasnęli biesiadnicy.

Księżę Akum zmarszczył brwi. Nie podobały mu się żarty Ascomannów. Ci najmici i piraci za dużo sobie pozwalają. Czy nie domyślają się, że Akum zabezpieczył się na każdą okoliczność?

Wystarczy jego gest lewą dłonią, a włącznie strażników pod ścianami przeszyją piersi Ascomannów.

- Moja córka przeznaczona jest dla oczu innego człowieka. Równego sobie - oświadczył dumnie.

Sveri, który sięgał do steatytowej misy, aby wyciągnąć sobie kawał kapłoniej piersi, wbił nóż w stół.

Czy mnie, książę, też uważasz za człowieka, który nie jest ci równy Akum z trudem powściągał gniew. Chciał odpowiedzieć: ja jestem władcą, a ty najmitą, jarlu. Odrzekł jednak:

- Gdy ujrzę na twojej dłoni pierścień Gedana, powitam w tobie władcę.

Sveri podniósł się z ławy i wszyscy mogli zobaczyć jak był rosty.

- Czy Gedan ma coś więcej niż ów pierścień, książę? Nie zajmuje się on handlem tak jak ty, Akumie. Cóż rozdzielię między swoich trzystu wojowników? To u ciebie są składy pełne skórek gronostajów, wydr i permskich futer. To u ciebie leżą w skarbcu mieszki ze złotymi solidami Rhomajów, dirhemami Musliminów i denarami Franków.

Chcemy wrócić do Birki z okrętami obciążonymi dobrem. Gedan jest biedakiem, książę.

- Umówiliśmy się co do zapłaty - Akum też podniósł się z ławy. - Piękne są sklavińskie kobiety i pracowici sklavińscy mężczyźni. Niewolnicy bywają warci tyleż co skórki gronostajów. Powiedziałem wam, że po zwycięstwie weźmiecie sobie wszystkich niewolników.

- Nie ma dla nich miejsca na naszych okrętach - odrzekł jarl Sveri. -

Wystarczy go tylko na złote solidy, na futra i srebrne dirhemy. Ty weźmiesz sobie niewolników, a nam już teraz dasz zapłatę za przyszłą walkę.

W tym momencie za oknami pokazało się jaskrawe światło. Ten blask zaskoczył Akuma. Skąd mógł wiedzieć, że oto żona zabitego ubiegłej

jesieni Ottara, w określonej dokładnie chwili podpałiła własny dom i pobięła na przystań do ascomańskich wojowników.

- Co to jest? Co się tam dzieje? - Akum wyciągnął prawą dłoń, wskazując swym wojownikom tajemniczy blask za oknami.

- Wezmę twój pierścień! - zawołał Sveri i swoim mieczem odciął prawą dłoń księcia. W tej samej chwili Dago przeklętym Tyrfingiem oddzielił od tułowia głowę Akuma.

Krew trysnęła na stół i pomieszała się z rozlanym winem. Ale nikt tego nawet nie zauważył. Estyjscy wojownicy rzucili oszczepy w piersi Ascomannów, ale zaintrygowani blaskiem za oknami uczynili to zbyt późno. Ascomannowie okazali się szybsi. Jak tarcze podnieśli do góry ławy i osłonili się nimi, a potem rozpoczęli rzeź. Nie widział tego Dago, nie. wziął bowiem udziału w ich walce. Zabił strażnika przy drzwiach, otworzył je i pobięł w głąb warowni do pokojów książęcych. Nie zapamiętał ilu wojowników estyjskich napotkał po drodze. Jarl Sveri, który wkrótce pobięł za nim szukając skarbcza Akuma, opowiadał potem, że co krok spotykał wojowników z odciętymi głowami.

Dom Astrid płonął z głośnym trzaskiem. Ten pożar był znakiem dla Ascomannów na okrętach Sveriego. Dziesiątki zapalonych strzał poszybowało ku okrętom Akuma wzniecając na nich pożary. Jak tarany w boki tych okrętów uderzyły uzbrojone w żelazo dzioby okrętów Sveriego. Hłodr i trzech Ascomannów otworzyło wrota warowni, lecz Ascomannów nęciło miasto i składy kupców. Zrobiło się widno jak w dzień, ponieważ od domu Astrid zajęły się ogniem inne

drewniane domostwa i wkrótce całe niemal miasto zdawało się płonąć. Trzask palących się bierwion zagłuszały wrzaski mordowanych ludzi i wojenne okrzyki walczących. Kobiety, dzieci i kupcy uciekali z miasta w stronę dzielnicy szałasów. Niektórych Ascomannów ogarnął wilczy szal. Mordowali każdą ludzką istotę i z pianą na ustach biegali między płonącymi domami, nie bacząc że i na nich zaczyna się tlić odzież. Nie czuli bólu, a gdy zapaliły się ich ubrania, zrzucili je z siebie i mordowali nadzy, zbryzgani krwią. Dago wreszcie wpadł do izby, gdzie na małym stole płonęły dwa steatytowe kaganki i na drewnianym łóżku siedziała w koszuli Pajota, przygotowując się do snu. Ujrzała blask za oknem, usłyszała krzyki w głębi warowni i w przeczuciu niebezpieczeństwa chwyciła do ręki nóż. Umiała władać każdą bronią, ale bała się opuścić izbę. I oto od silnego kopnięcia rozpadł się skobel u jej drzwi, do izby wpadł młody mężczyzna w szkarłatnym stroju, z obnażonym mieczem i rozwianymi białymi włosami.

- Pajoto - powiedział łamanym językiem estyjskim, z trudem łapiąc oddech, gdyż wiele razy musiał walczyć zanim się tu znalazł. -

Zabieram cię jako swoją zdobycz.

Domyśliła się, że jest jednym z Ascomannów, z którymi jej ojciec miał wyruszać na podbój Witlandii.

- Nie będę twoją niewolnicą - wstała z łóżka i silniej zacisnęła palce na rękojeści noża.

Dago schował Tyrfinga do pochwy. Otarł rękawem spoconą twarz i

rozmażał tym samym na niej smugi krwi. Jego szkarłatny strój był

cały spryskany ludzką posoką. Uśmiechnął się i rzekł:

- Zrzuć koszulę. Chcę zobaczyć, czy warta jesteś łupu. Pokaż mi swoją nagość.

- Kim jesteś? - zapytała, dygocąc z trwogi.

- Na imię mam Dago. Z krajów Spalów.

- Przeznaczono mnie dla władcy - odparła pogardliwie, bo już nie bała się śmierci.

- Ja też będę władcą - powiedział Dago.

- Ale nie jesteś - splunęła mu w twarz i uderzyła się w lewą pierś ostrym i wąskim nożem tak celując, aby przeszedł między żebrami i trafił w serce. Upadła na podłogę, krwawiąc obficie. Dago stał nad nią, ze zdumieniem i przerażeniem obserwując jak jej twarz krzywi się z bólu i staje okropną maską. Został jakby porażony i nie zrobił najmniejszego ruchu. Gdyby w tym momencie wpadł do izby jakiś estyjski wojownik, mógłby bez trudu zabić go włócznią, mieczem, nawet nożem. To, co zrobiła Pajota przechodziło wszelkie wyobrażenia Dagona o kobietach. Czy nie były tylko rzeczą? Czy nie powinny postusznie oddawać się temu, który je kupił albo zdobył w walce? Co ich takiego dzieliło, że nim pogardziła? Czyżby znowu był to ów majestat władzy, do której ona była przeznaczona od dziecka, on zaś musiał go dopiero zdobyć?

- Ja jestem Dago, władca władców, król królów, cesarz cesarzy -

zaczął bełkotać w mowie Spalów. - Jesteś głupią, że patrzyłaś przeze

mnie jak przez rybi pęcherz.

W agonalnym skurczu przekręciła się na plecy. Jej biała koszula była na piersiach przesiąknięta krwią. Z palców Pajoty już dawno wypadł nóż.

- Obraziłaś mnie! - krzyknął Dago. - To ja decyduję, kto ma żyć, a kto ma umrzeć. Nie miałaś prawa umierać z własnej woli, bo tylko moja wola się liczy. Czuję, że zobaczyłaś we mnie karła i dlatego mną wzgardziłaś. Ale ja jestem synem olbrzymia i dokonam olbrzymich czynów. Nienawidzę cię za to, że pomyślałaś o mnie jak o karle.

Wyciągnął z pochwy Tyrfinga i odciął jej głowę. A potem opuścił izbę i szedł przez sale warowni, zataczając się jak pijany i nie zwracając uwagi na Ascomannów plądrujących pokoje i wynoszących mieszki z monetami i kosztownościami Akuma.

Warownia też już zaczynała płonąć, podobnie jak całe miasto. O świcie okręty Ascomannów wypłynęły z portu, obładowane najcenniejszym dobrem: złotem, srebrem, futrami, worami pełnymi wschodnich przypraw, bez których nie dawało się jeść wciąż niemal cuchnącego mięsa.

Ludzie z Druzo uciekli z płonącego miasta i nigdy już nie powróciło ono do dawnej świetności. Kiedy w kilkadziesiąt lat później wysłany w te strony przez Alfreda Wielkiego podróżnik Wulfstan odwiedził Truzo, jak je nazwał, musiała to być tylko zwykła osada, skoro ani słowem nie wspomniał on o jej kupieckim charakterze. Po latach Visula utworzyła mierzeję i zamknęła Zalew Estyjski od strony

północno-zachodniej prowadząc ostateczną zagładę Druzo.

W walce o skarby Druzo zginęło ponad stu Ascomannów, gdyż

Estowie bronili się zaciekle. Zatonął jeden okręt z Birki, okręty Estów

zostały spalone, aby nikt nie gonił łupieżców w ich powrotnej drodze.

Astrid, Hlodra i Dagona unosił do Zalewu Estyjskiego ogromny

drekar z głową byka na dziobie. Był to dwudziestolawkowiec, ale

ponieważ zginęło tak wielu Ascomannów, wiosłowało tylko piętnastu

ludzi. Przywództwo okrętu objął Hlodr i sam zasiadł przy sterze.

Podniesiono żagiel, gdyż na razie wiał wiatr w kierunku Zalewu.

- Czy wzięłeś łupy? - zapytała ciekawie Astrid, patrząc na ogromne

skrzepy krwi pokrywające szkarłatną odzież Dagona.

- Chciałem mieć Pajotę. Ale ona wolą zabić się nożem. Powiedz mi,

Astrid, gdzie zdobyć, zrabować lub ukraść majestat władzy?

Wzruszyła ramionami. Nie rozumiała go. Przyniosła na okręt dwa

duże miechy pełne srebrnych grzywien oraz kufijskich monet

Abbasydów. Hlodr przydźwigał dwa naręcza skórek gronostajów. To

wystarczyło, aby w Birce mogli długo opływać w dostatek.

- Hlodr obiecał, że ożeni się ze mną - powiedziała Dagonowi. - Będzie

miał wiele innych kobiet, lecz ja pozostanę najważniejszą. Być może

pozwoli ci zamieszkać u nas, ponieważ pomścisz śmierć Ottara.

Na Zalewie Estyjskim wiatr zmienił kierunek i zaczął wiać w stronę

lądu. Zrzucili żagiel i pracowali tylko wiosłami. Dago też zasiadł do

wiosła. Wkrótce minęli wyspę, którą tworzył piasek niesiony przez

jedną z licznych odnóg ujścia Visuli i Dago pierwszy raz w życiu

zobaczył morze, które kiedyś zwano Swebskim; Oceanem Sarmackim, Kwanssea, czyli Morzem Kobiet. Uparcie bowiem wierzono, że na Północy żyją waleczne kobiety - łuczniczki. Zwano to morze również Ostsea albo Estsea od kraju Estów położonym na jego południowym brzegu. Miejscowi jednak zawsze używali imienia Baltika, co się potem ogólnie przyjęło.

Ascomannowie zwykli pływać wzdłuż lądu, Birka jednak leżała po drugiej stronie Baltiki. Trzeba było przebyć morze w jego najszerszym miejscu, zatrzymując się na odpoczynek na wyspie zwanej Gotlandia. Miesiąc Październik nie był dobry do takiego przedsięwzięcia. Świeciło słońce, lecz zerwał się potężny wichur i wzniecił na morzu fale o dużej wysokości taranujące okręty. Lodowaty wiatr przenikał zimnem do kości i chłodem skuwał dłonie.

Dago w swoim krótkim życiu widział ogromne pożary lasów i ogień wydawał mu się wówczas najpotężniejszym bogiem. Poznał też wiosenne powodzie, które z małych strumieni czyniły potężne i rwące rzeki. Ale bóg morza był chyba najpotężniejszy. Oto roztaczała się przed jego oczami to zielonkawa, to znów niebieskawa lub czarna ciągle ruchoma kipiela. Była bezkresna, sięgająca do nieba. Potężne dłonie morza unosiły na falach okręty Ascomannów i potem rzuciły je w dół, aby po chwili unieść ponownie i znowu rzucić w zielonkawą odmętą. Na czubkach fal, jak na wargach Leśnego Człowieka pokazywała się biała piana wściekłości, jej kłaczki porywał wiatr i ciskał w twarze ludzi. Jak się nazywał bóg morza? Dlaczego nikt mu o

nim nic nie powiedział?

Ascomannowie modlili się głośno do Odyna, Dago modlił się do Swaroga, a potem do Chrystusa. Ale fale z każdą minutą stawały się coraz wyższe i silniejsze. Aby utrzymać się na powierzchni, trzeba było ogromnego wysiłku wiosłarzy i sternika, kierującego dziób okrętu wprost na nadbiegające wały wody. Każde obrócenie się bokiem do fali groziło wywróceniem - tak stało się z dwoma okrętami, które wypłynęły z Druzo. Nikt nie ratował tonących, każdy walczył o swoje przetrwanie.

Ascomannowie jednak znali morze. Na niektórych okrętach podniesiono żagle i mimo przeciwnego wiatru, dzięki kilowi pod dnem udało im się płynąć ostro na wiatr, to lewym, to znów prawym halsem. Flotylla Sveriego rozproszyła się, coraz dalej był jeden okręt od drugiego. Coraz więcej przewracało się i tonęło. Uratować się i dopłynąć do Gotlandii mogły jedynie te, które miały mocne żagle i pełną obsadę ławek.

Na drekarze Hlodra brakowało wiosłarzy. Dlatego Hlodr dał rozkaz, aby okręt zawrócił do brzegu. Był to manewr trudny, gdyż należało przez chwilę znaleźć się bokiem do nadbiegających fal. Gdy zawracali - zakołysało nimi mocno, pękł maszt i poleciał na lewą burtę powodując jeszcze większy przechył. Okręt zaczął nabierać wody.

Wtedy któryś z Ascomannów przeciął liny żaglowe i uwolniony maszt odplynął w bok, gnany wiatrem i falami, a oni zdani już tylko na wiosła, podrzucani od rufy wielkimi grzywaczami gnali ku brzegom

ładu. Ktoś w końcu krzyknął "ziemia" i poczuli radość w sercach. To nic, że wrócą na brzeg estyjski i być może zaraz po wyjściu na ląd czeka ich walka. Pragnęli czuć pod stopami twardy grunt.

Do brzegu było jednak wciąż daleko. Fale od rufy nie zawsze unosiły okręt, niekiedy przelewały się przez całą jego długość. Wtedy kilku ludzi porzucalo wiosła i wspólnie z Astrid drewnianymi wiadrami wylewali wodę z dna. Fale wciąż chciały odwrócić okręt bokiem, jak człowiek usiłuje ustawić przeciwnika do łatwiejszego uderzenia.

Napór wody i ludzkich mięśni był tak wielki, że raptem pękły cztery pióra wiosel i odtąd okręt z coraz większym trudem kierował swój dziób ku lądowi. Ale przecież do piaszczystej łachy z wysokimi wydmami było coraz bliżej.

Z głośnym trzaskiem pękło nagle wiosło sterowe i okręt stanął bokiem do fali, przetrzymał dwa uderzenia, aż raptem przewrócił się kilem do góry, przykrywając sobą całą załogę. Dagona ogarnęła ciemność i poczuł w ustach słony smak morza, ale urodził się i wychował nad rzekami i pływał jak wydra. Zanurkował głębiej i wydostał się spod skorupy wraka. Podał ciało fali i mimo że był w ubraniu, z tarczą na plecach i mieczem u boku, unosił się na wodzie. Co jakiś czas chwycił w płuca oddech i pozwalał, aby zwałała mu się na głowę i plecy potężna fala. Znikał na krótko w głębokiej jamie wodnej, aby znowu wznieść się w górę na kolejnym grzywaczu. Nie oglądał się za siebie, bo nic go nie obchodziły łupy, które zapewne wpadły do odmętu.

Ilekroć spoglądał na boki - nie widział nikogo, a tylko białą pianę i

coraz nowe wznoszące się wzgórza zielonkawej wody. Czuł, że kostnieje z zimna, w nogach i rękach pojawiły się bolesne skurcze mięśni, chwilami od chłodu tracił świadomość i wydawało mu się, że widzi nad sobą pochyloną twarz Zely. Gdyby nie lodowata woda, bez trudu dopłynąłby do brzegu, rysującego się tak blisko, jakby na wyciągnięcie ręki. Ciało jednak sztywniało, ciążyła tarcza na plecach i ciągnął na dno przeklęty przez Odyna Tyrfing. Aż wreszcie fala boleśnie uderzyła nim o twardy grunt, wyniosła go na miłąki piasek i po chwili usiłowała zabrać z powrotem w morze. Sztywniejącymi palcami wpił się w ziemię i pełznął po piasku, czując, że morze coraz słabiej upomina się o jego ciało. Wreszcie znalazł się na suchym lądzie i legł nieruchomo, ogrzewany promieniami jesiennego słońca.

Nie wiedział jak długo leżał. Kiedy uniósł głowę na piaszczystej wydmy, zobaczył Hlodra i Astrid. Jeszcze dalej, na granicy między suchym piaskiem i tym, który wciąż zalewały fale, leżało bezwładnie trzech Ascomannów. Później doszedł do jego uszu głośny trzask. To fale wyrzuciły na brzeg wrak drekara, uderzyły nim o ląd i rozbiły jak skorupę jajka, aby po chwili zabrać na morze i znowu wynieść na brzeg.

Na wiotkich nogach, z trudem wlokąc je po miłąkim piasku zbliżył się do wydmy, gdzie leżeli Hlodr i Astrid. Wygrzebali w piasku jamę i rozebrani do naga, chcieli się w niej osłonić od północnego wiatru. Mieli ze sobą wiosło - to ono uratowało im życie. Hlodr przeżył niejeden sztorm na morzu i wiedział, że trzeba się czegoś drewnianego

trzymać, aby nie utonąć. Odnalazł wiosło i wtedy lewą ręką objął wpół tonącą Astrid, a prawą kurczowo trzymał się drzewca. Potem Astrid oprzytomniała i także uchwyciła się wiosła.

- Hlodr dał mi życie - powiedziała do Dagona. - Jeśli umrze, ja także z nim umrę.

Hlodr był bez broni. W morzu uwolnił się od wszystkiego, co go obciążało. Dlatego nie chciał się zapuszczać w las rosnący za wydmami, ale w piaszczystej jamie przeczekać do nocy, a potem do świtu.

Dago zrzucił szkarłatną odzież ze skrzepami krwi na piersiach i na spodniach. Nagi, ale z mieczem przewieszonym przez ramię i z tarczą, poszedł ku leżącym na piasku ludziom. Pierwszy z Ascomannów, mimo że dopłynął do brzegu, był już martwy. Zabił go chłód wody.

Dwaj pozostali odzyskali przytomność, brakowało im jednak sił. Z pomocą Dagona dobrnęli do jamy wykopanej przez Hlodra i dzwoniąc zębami z zimna, również rozebrali się do naga, chłonąc promienie słońca. Nie mieli sił na rozmowy. Wychylając głowy z jamy widzieli jak morze bawi się drekiem, rozwała go i ożebrowania wyrzuca na brzeg. Widzieli też wyrzucone przez morze jakieś worki, mieszki, ale żaden nie ruszył się, aby je przynieść. Te, które zawierały złote solidy, srebrne grzywny, futra, zrabowaną broń - natychmiast poszły na dno. W tych mogły być jedynie jakieś wschodnie korzenie do przyprawy, rzecz cenna, nie warta jednak narażania zmarzniętego ciała na uderzenia ostrego jak bicz wiatru północnego.

Ciągle czekali pojawienia się jakichś ludzi na piasku wybrzeża. To było nieprawdopodobne, aby nikt nie widział drekara samotnie walczącego z falami. Ludziom zamieszkującym nad morzem ten straszny żywioł nieraz już chyba dawał łupy z rozbitych okrętów wojennych i statków kupieckich. Być może z lasu za wydmami pilnie obserwowali piasek zalewany falami. Morze rozbiło drekara z brązową głową byka. Któż wiedział, ilu wojowników zdołało dopłynąć do brzegu i teraz suszyło odzież? Powszechnie znaną była waleczność i dzikość Ascomannów. Gdy nabiorą sił i osuszą ubrania, poczują głód i ruszą w głąb lądu - któż się im oprze? Być może nikt się nie pokazywał, aby Ascomannowie nie domyślali się, że gdzieś w pobliżu znajduje się rybacka wioska.

Hłodr ciągle sądził, że są w kraju Estów. Nie wiedział, że sztorm poniósł ich daleko na zachód i wyrzucił na ziemię, gdzie trzema gardzielami wpływała do morza rzeka Visula. Ongiś ten skrawek ziemi zwano Ziemią Indów, ponieważ sądzono, że jakowyś Indowie przybyli tutaj gnani burzami morskimi. Jeszcze później zwano go Zatoką Kodańską, a później Zatoką Wenedyjską. Osiedlić się tu mieli przed setkami lat Gepidzi z północy i ujściu Visuli dali na imię Gepedoios. Gepidzi współżyli ponoć z miejscowymi Winidariami, ale - jak opowiadała legenda - pozazdrościwszy Gotom ich łupów nad brzegiem Pontu, wywędrowali, pozostawiając cały kraj Winidariom. Mówiono o tej ziemi jako o Kraju Wit lub Witlandii, rozdzielającej ziemię Sklavinów od Estów. Wnidariowie swym księciem wybrali

Gedana. I oto on siłą oręża i myśli ujarzmił ich i sobie

podporządkował. Było to bardzo dawno temu i teraz rządził już daleki potomek tamtego Gedana.

Po południu Dago wdział na siebie suchą szkarlatną odzież i ruszył w las za wydmami. Nie napotkał żadnego człowieka ani nawet ludzkiego śladu. Wyciął kilka świerkowych drągów dobrych do walki i przyniósł

je do jamy. Właśnie wtedy ujrzeli jadących wzdłuż morza trzech

wojowników. Konie mieli roste, uzbrojeni byli w miecze i okrągłe

tarcze, na głowach nosili hełmy z rogami byków, na wietrze

powiewały ich długie lniane płaszcze. Gdy zbliżyli się, Dago zobaczył,

że mają ogolone brody i potężne wąsy. Czyżby więc byli Sklavinami?

Ukrywanie się w jamie nie miało sensu. Ubrana już Astrid i pozostali

Ascomannowie chwycili swoje kije i razem z Dagonem stanęli na

szczytcie wydmy.

Wojownicy podjechali wolno i wreszcie zatrzymali się o kilka kroków.

- Kim jesteście? - zapytał jeden z nich. Używał języka Sklavinów, ale o brzmieniu gardłowym. Wtrącił też słowa z donsk tunga.

Zrozumieli go tylko Astrid i Dago.

- Czy nie widzisz naszego okrętu, miotanego falami? - odpowiedziała

Astrid.

Popatrzyli na nią pogardliwie. W ich wyobrażeniu kobieta nie

powinna odpowiadać, gdy obok są mężczyźni. Dago zauważył, że

zwyczajem Ascomannów nosili miecze na rzemieniu przerzuconym

przez ramię, musieli więc znać Ascomannów.

- Jesteśmy z floty jarla Sveriego - zabrał głos Dago. - Morskie fale

rozproszyły okręty. Nas przygnało aż tutaj.

- I tylko tyłu was ocalało? - zapytał ten sam wojownik.

Dago nie odpowiedział. Niech sobie myślą, że za wydmami kryje się jeszcze więcej rozbitków.

Nie szukali jednak zwady. Na razie. Znowu padło pytanie: - Byliście w Druzo?

Dago stanął w rozkroku. W lewą rękę mocniej ujął tarczę, prawą położył na rękojeść Tyrfinga.

- Kim jesteś ty, który pytasz? I dlaczego pytasz?

Młodzieniec w drogocennym szkarłatnym stroju ze skrzepami krwi na ubraniu, rosły i atletycznej budowy - budził w nich szacunek. Widzieli jego poszarpane i brudne koronki wychylające się z rękawów bluzy i pomyśleli, że mają do czynienia z kimś znacznym.

- Znajdujecie się w kraju księcia Gedana - powiedział prowadzący rozmowę wojownik. - Zaprowadzimy was do jego grodu. Kto na ziemi Wit przebywa bez zgody księcia, staje się jego jeńcem. Odrzućcie kije, oddajcie wszelką broń.

Dago oświadczył dumnie:

- Niechaj jeden z was natychmiast popędzi do księcia Gedana i powie mu, że nie ma już Druzo. Walczyliśmy w obronie Gedana. Ja jestem tym, który księciu Akumowi uciął głowę. Imię moje: Dago. Pójdziemy wolni. Jeden z was weźmie na konia kobietę.

- Mówisz, że nie ma już Druzo? - upewniał się przywódca.

- Powiedziałem. Spaliliśmy je, a ja uciąłem głowę Akumowi.

- Jeśli to prawda, otrzymacie dary. Jeśli kłamstwo, powiesimy was - rzekł i galopem, rozpryskując piasek kopytami konia, popędził wzdłuż morskiego wybrzeża.

O wczesnym jesiennym zmroku ujrzeli przed sobą drewniany gród zbudowany u ujścia wezbranej szeroko rzeki, w pobliżu morza. Osiem rzędów wbitych w brzeg grubych pali przeciwstawiało się falom i łagodziło ich uderzenia. Od strony rzeki chronił gród nasyp z faszyny i darni. W małej zatoczce, którą tworzył zakręt rzeki cumowało kilka statków kupieckich i dwa wojenne okręty. Sam gród postawiono z drewnianych skrzyń wypełnionych ziemią. Jedna tylko brama ze strażnicą prowadziła do grodu i nad brzeg rzeki. Wokół stało wiele domów z drewna oblepionych mułem i gliną, a pośrodku warowni wznosił się dom Gedana z drewnianą wieżą, z której można było widzieć morze jak z lotu ptaka. Oprócz domu księcia za drewnianoziemnym nasypem znajdowały się stajnie dla koni, pod nim w szałasach mieszkali wojownicy i służba.

Ascomannów zaprowadzono do Gedana, do domu świeżo pobielonego wapnem. Dano im mroczną izbę i tylko jeden kaganek. Stara kobieta przyniosła gliniany dzban wody, a potem podała zimne pieczone ryby i kołacz z pszennego chleba. Gdy jedli, nagle do izby wszedł Gedan.

Poznali go po przetykanej złotem bluzie i wysadzonym drogimi kamieniami sztylcie, który miał włożony za zielonkawą szarfę opasującą brzuch. Na długich ciemnoblond włosach nosił spiczasty

połączony hełm z czterema błyszczącymi kamieniami. Miał nie więcej niż czterdzieści lat, jego wąsy były długie i opadały poniżej brody.

Niebieskie oczy patrzyły czujnie i bystro.

Towarzyszyło mu dwóch wojowników w kolczugach roboty rromańskiej, o misternie plecionej siatce z malutkich oczek. Każdy miał w ręku długi oszczep i na głowie hełm we frankońskim stylu, zakrywający czoło i nos.

- Gdzie jest jarl Sveri? - rozkazującym tonem zapytał Gedan.

Dago wstał od stołu i tak, jak go ongiś uczyła Zely o zachowaniu wobec władców, przyklęknął na prawe kolano i skłonił na chwilę głowę. Hlodr i pozostali Ascomannowie nie ruszyli się ze swoich miejsc przy stole. Byli zbyt dumni, aby klaniać się jakiemuś książętku z kraju Wit, którego nawet nie warto było obrabować.

- Wstań - rozkazał Gedan w języku donsk tunga, który poznał w dzieciństwie, gdy wynajęty Ascomann uczył go walki na miecze i młoty. Spodobał mu się młodzieniec, ponieważ znał nowe obyczaje na dworach panujących.

- Minionej nocy, książę, spaliliśmy Druzo, a ja uciąłem głowę księciu Akumowi. Potem obladowani łupami odpłynęliśmy morzem ku Birce. Burza morska rozproszyła nasze okręty. Być może jarl Sveri dotarł do wyspy Gotlandii.

- Mieliśmy w trzydzieści okrętów i pięciuset ludzi zaatakować twój gród - odezwał się Hlodr. - Ale Druzo bardziej nas nęciło, bowiem nic nie dało się porównać do jego bogactw. Jarl Sveri dotrzymał swego

tajnego przymierza z tobą, Gedanie. Żądam okrętu, który nas poniesie do Birki.

Gedan udał, że nie doszły do jego uszu słowa Hlodra. Uprzejmie zwrócił się do Dagona:

- Powiadasz, młodzieńcze, że uciąłeś głowę Akumowi. Czy masz na to jakiś dowód?

- Moje słowo powinno ci wystarczyć. Nie jestem bowiem, książę, najemnym rozbójnikiem. Pochodzę z kraju Spalów, który sąsiaduje z państwem Popiołowłosego. Zrodziłem się ze zwykłej kobiety, ale moim ojcem był olbrzym Boza. Noszę imię Dago. Być może kiedyś o mnie usłyszysz, albowiem gna mną Żądza Czynów.

- Jeśli powiedziałeś prawdę, wsadzę was na okręt i popłyniecie do Birki. Jutro lub pojutrze otrzymam wiadomości z Druzo. Za prawdę wynagrodzę, za krew, którą, młodzieńcze, nosisz na swoich szatach, zapłacę.

- Obrażasz mnie, książę - odpowiedział Dago. Nie walczę dla zapłaty, ale z pragnienia walki.

Wtedy Gedan oświadczył z powagą:

- Jesteście wolni i możecie po moim grodzie chodzić jak ludzie wolni.

Jeśli moi wysłannicy potwierdzą waszą wieść o zniszczeniu Druzo, otrzymacie okręt do Birki.

Do izby przyniesiono bierwiona i rozpalono ogień w ogromnym kominie. Zaczęła się jesień i północny wiatr wciąż dął od morza. W nocy spali mocno pod futrami z owiec. Następnego dnia zaczęli

zwiedzać gród i jego okolice.

Warownia Gedana położona była na wyspie u zbiegu rzeki Motławy i Visuli, ale tak blisko morza, że z wałów obronnych usypanych z ziemi i wzmocnionych drewnianą palisadą widziało się złoty piasek wybrzeża i spienione fale aż po horyzont, gdzie zaznaczała się tylko malutka wysepka Hela, budowana i rozmywana przez sztormy. Od zachodniej strony, tuż przy grodzie, znajdował się port, a długi most łączył wysepkę z lądem. W pobliżu portu ciasno tłoczyły się drewniane domostwa budowane na zrąb i podłużne składy na towary. Na wąskich ulicach wyłożonych dranicami toczyło się zwykłe miejskie życie, na targowiskach zaś kwitnął handel, podobnie jak w Druzo, choć w znacznie mniejszym wymiarze, bo i miasto było o wiele mniejsze.

Tutaj przekonał się Dago czym jest wielka rzeka i jaki może być z niej pożytek. Co chwila w tę i z powrotem płynęły po Visuli łodzie dłubanki, z prądem wody zbliżały się do portu szerokie statki wypełnione towarem. Z kraju Lendiców i Gopelanów przywożono przede wszystkim proso i pszenicę, bo też tam rodziła się ona w obfitości. Wywiedział się Dago, że cały handel zbożem przejął Gedan. Przez zimę przetrzymywał zboże w składach z łasicami tępiącymi myszy, a kiedy przychodził surowy przednówek i ludy zamieszkujące skaliste i nieurodzajne ziemie na Północy zaczynały odczuwać głód, za zboże oddawały Gedanowi zdobyte w łupieżczych wyprawach pieniądze, uzbrojenie, wszelkie dobro. Opowiadano Dagonowi, że

wczesną wiosną w porcie aż roilo się od statków z Birki, Hedeby, z Helgo, z Kaupang. Frankońscy kupcy przyplływali tutaj po wosk do wyrobu świec, bowiem Bóg frankijski wymagał ciągłego ich blasku. Port dopiero się rozwijał, gdyż do tej pory cały niemal handel na południowym brzegu morza Sarmackiego i Zatoki Wenedyjskiej trzymali w rękach kupcy z Druzo. W zachodniej zaś stronie istniało potężne Jumno miasto-państwo, dlatego Gedan działał ostrożnie, aby nie narazić się na najazd Ascomannów i najmitów z Jumna. Przed laty zawarł przymierze z księciem Golubem Popiołowłosym, którego państwo graniczyło ze środkowym biegiem Visuli. Stu wojowników otrzymał Gedan od Popiołowłosego dla strzeżenia składów ze zbożem z kraju Lendiców i Gopelanów. W zamian Gedan słał Popiołowłosemu broń frankońską, hełmy żelazne, kolczugi, pancerze rhomajskie, a także przedmioty zbytku, jak choćby szatę dla Popiołowłosego zrobioną ze złotogłowiu oraz tron pozłacany. Potem Popiołowłosy, dla którego Gedan pozostawał ciągle malutkim książętkiem, zdecydował się zawrzeć przymierze z potężnym władcą Jumna, Hokiem, i wziął sobie za kolejną żonę jego córkę Helgundę. Albowiem wzbogaceni na handlu zbożem starostowie z kraju Lendiców i Gopelanów coraz bardziej ograniczali władzę Goluba, gdyż rok po roku stawali mu się niemal równi bogactwem. Ich to chciał poskromić książę Golub siłami wojowników z Jumna. Tylko, że los - jak to się okazało później - nie był dla Popiołowłosego łaskawy...

Wielu ludzi pytał Dago o bieg rzeki Visuli, ale nikt nie mógł mu nic o

niej powiedzieć dokładnie. Podobno wypływała Visula spod miasta Karradonon, mijala kraj Ludzi Skrzydlatych i Długogłowych, Kraj Kwen, czyli wojowniczych kobiet. W dolnym swym biegu Visula odgraniczała Kraj Estów od Krain Sklavińskich.

Przed wieczorem poszedł Dago nad brzeg morza, aby jeszcze raz napawać się widokiem żywiołu, nadbiegających grzywaczy, które - jak to mówili kręcący się po brzegu ludzie i o czym się sam przekonał - wyrzucały na piasek ów słynny gintaras, złotawe bryłki dziwnego kamienia czy też skamieniałego wosku.

Kiedy wracał o zmroku wzdłuż brzegu rzeki, z bramy grodu wybiegła dziesięcioletnia dziewczynka w białej lnianej sukni. Gonila oswojoną łasicę, która to kryła się pod wywróconymi do góry dnem łodziami, to wśród rozwieszonych sieci. Wreszcie łasica skoczyła na zacumowaną łódź dłubankę. Dziewczynka postanowiła wejść na łódkę po swoją łasicę i nagle wpadła do wody, w nurt, który przy brzegu był rwący i głęboki. Zniknęła biała sukienka i jasna głowa dziecka w mętnej odmułu toni.

Porzucił Dago tarczę i miecz Tyrfing, i tak jak stał, w swych szatach szkarłatnych skoczył do rzeki. Zobaczył jak nurt na chwilę wydobywa na powierzchnię ubrane na biało ciało dziecka, dopłynął do niego silnymi rzutami ramion, chwycił lnianą suknię i unosząc twarz dziewczynki nad wodą, wyciągnął ją na brzeg. Widzieli to rybacy naprawiający sieci i zaczęli wołać:

- Gedania. Córka księcia. Gedania uratowana!

Dziewczynka była przytomna, choć przerażona. Chwyciła mocno za szyję Dagona i nie dała się od niego oderwać, dopóki z bramy grodu nie wybiegła jej matka i kilkanaście służebnych kobiet. Oddał im ją Dago, podjął z ziemi swoją tarczę i miecz i poszedł do izby, aby osuszyć swoje szaty.

W godzinę później do izby wszedł książę Gedan, a za nim sługa niosący na wyciągniętych rękach posrebrzaną kolczugę i jasnozieloną bluzę, skórzane spodnie oraz pelerynę ze skórek bobrów.

- Młodzieńcze imieniem Dago - powiedział Gedan. - Mam czterech synów i tylko jedną córkę. Wyratowałeś ją z rzeki. Przyjmij ode mnie w darze tę kolczugę robioną potrójnie, aby ją nie przebiła żadna strzała, i szaty, a także bobrową pelerynę na chłodniejsze dni.

Skłonił się Dago i rzekł:

- Nie przyjmę podarków, ponieważ nie dla nich robię to, co robię, ale gna mną Żądza Czynów. Dziękuję ci jednak, książę, za szaty. Moje są mokre, podarte i skrwawione.

Gedan kazał położyć szaty na ławie, zabrać kolczugę i odszedł w milczeniu. Jego wróż Gwido, który stał na szczycie wieży i obserwował jesienne zaćmienie księżyca też był świadkiem uratowania Gedanii. Ale niepokoiła go ta sprawa.

Książę - powiedział potem do Gedana. - Na krótko bóg zabrał księżyc z nieba, a wówczas twoja córka wpadła do rzeki. Uratował ją obcy człowiek, którego trawi Żądza Czynów. Zły to znak dla ciebie i twojej córki. Każ nocą zabić przybysza. Wyrzuciło go zresztą morze na twoje

szczęście albo na nieszczęście, niestety, tego nie potrafię rozstrzygnąć.

- To twoja sprawa. Mnie wypadło złożyć mu podziękowanie i dary.

Ty masz sposoby, aby sprawdzić moc tego człowieka.

W porze wieczery sługa Gedana wszedł do izby, gdzie siedział Dago w towarzystwie Hlodra, Astrid i dwóch Ascomannów, i wezwał Dagona nad morze.

- Uważaj - ostrzegł go Hlodr. - Słyszałem, że dziś na chwilę zniknął z nieba księżyc.

Dago przyodziany w szaty od Gedana, założył na ramię ramię z mieczem, wziął do ręki tarczę, na ramiona narzucił bobrową pelerynę.

Wiatr rozwiewał jego długie białe włosy, gdy szedł nad morze na bezludny o tej porze brzeg, o który z rykiem uderzały fale. Uspokoił go widok samotnie nadchodzącego z drugiej strony człowieka bez broni, który w świetle księżyca wydał się bardzo wysoki. Był w obfitych i długich szatach przetykanych nitkami srebra. Człowiek ten miał siwą brodę, błyszczące dziwnie oczy i spiczastą czapkę ze świętym znakiem ognia wyszytym srebrną nicią.

Byli już o cztery kroki od siebie. Wtedy ów człowiek wyjął z fald swej szaty czarną laskę i na piasku zalewanym przez fale morskie, narysował krąg magiczny, a w nim znak tajemny:

Uczyła Dagona Zely, że znak ten mówi w języku czarów: Nie idź dalej, bo czeka cię śmierć.

Taki znak mógł zostać pokonany przez inny. Tedy Dago, końcem swojej pochwy z lipowych deszczulek, narysował obok:

i wzgardliwie przekroczył znak tamtego. Wówczas mężczyzna w spiczastej czapce nakreślił na piasku:

Dago zatrzymał się przed nową groźbą. I znowu spróbował potęgi innego znaku:

i chciał uczynić krok naprzód, lecz tamten podniósł do góry lewą dłoń, mówiąc: - Uważaj! Twój oręż jest za słaby.

Dago cofnął się i sięgnął pamięcią do nauk Zely. Jaki był silniejszy znak magiczny? Co należało przeciwstawić owemu kłębowisku węży, które nakreślił tamten? Przypomniwał sobie i narysował końcem pochwy znak nad znaki, prostokąt magiczny:

"tamten cofnął się o krok. A wtedy odżyła w Dagonie pamięć. Ruszył do przodu i znowu narysował na piasku:

Człowiek w spiczastej czapce zakrył twarz dłońmi ogarnięty lękiem.

Cofnął się o trzy kroki, Dago nakreślił kolejny znak:

I jeszcze jeden:

Tamten znieruchomiał. Stał poblady, z drżącymi wargami, z ust ciekła mu ślina. Tymczasem morskie fale rozmywały na piasku wszelkie ślady. Walka jaka się tu odbyła, stawała się coraz mniej widzialna, podobnie jak niewidzialna była siła zaklęta w kręgach, prostokątach i kwadratach magicznych.

- Jestem Gwido, wróż księcia Gedana. Mam siódmy stopień wtajemniczenia. Kim jesteś przybyszu? Gdzie posiadłeś sztukę czarów?

- Jestem Dago, syn olbrzyma z rodu Spalów. W naszym rodzie czary są

*zwykłą sztuką. Nie przybyłem tu w złych zamiarach i odejdę stąd w
pokoju. Gna mną Żądza Czynów.*

Mag skłonił się nisko:

- Bądź pozdrowiony synu olbrzyma.

*Wróż podreptał do grodu, a Dago jeszcze długą chwilę stał nad
brzegiem morza, o którym już wiedział, że jest potężnym bogiem.*

*W książęcej izbie Gedana, na puszystym dywanie zwanym huńskim,
bosymi stopami chodził wróż Gwido i mówił do księcia:*

*- Swaróg zabrał księżyc, gdy syn olbrzyma ratował twoją córkę. W ten
sposób losy tych dwojga są już na zawsze ze sobą związane. On
posiada moc czynienia czarów. Musisz go zabić, bo tylko taka jest
możliwość rozwiązania tej sprawy.*

*- Wiem już, że zniszczono Druzo i wiem, że to on uciął głowę mojego
wroga Akuma. Chcę mu dać jeden z moich statków, aby odpłynął
gnany Żądzą Czynów.*

*- Każ go zabić. Kto wie, czy nie powróci, ponieważ posiada tajemną
moc. - Mam zabić człowieka, który zrobił dla mnie tyle dobrego?*

*Uratował moją córkę i zabił Akuma. Czy jesteś pewien, że zniknięcie
księżycy jest złym znakiem dla niego i mojej córki?*

- Tego nie wiem. Ale na wszelki wypadek, każ go zabić. - Nie.

*- Książę panie. W rhomajskiej Księdze Grzmotów i Błyskawic, w
rozdziale o sprawowaniu władzy można przeczytać: „Zabije cię ten,
którego najbardziej umiłowałaś i obdarzyłaś największymi łaskami”.*

Czy ty, panie, nie zabiłaś swego najstarszego brata, który cię

*najbardziej umiłował? Był jednak pierworodny i miał po twoim ojcu
przejąć władzę. Czy nie udusiłeś swojego ojca, ponieważ przyszła pora
na twoje sprawowanie władzy? Byłeś najukochańszym synem
twojego ojca. Panie, użyłem swoich najsilniejszych sposobów, aby go
obezwładnić. Okazał się silniejszy.*

Gedan zdjął z palca pierścień z zielonym kamieniem.

*- Skoro jest tak silny, masz mój znak i wydaj rozkaz, aby go jutro
zabito. Niech jednak jego krew spadnie na twoje piersi i ramiona.*

Pamiętaj, że ja wyprę się skrytobójstwa, a skrytobójców ukarzę.

*Albowiem czytałeś mi w Księdze Grzmotów i Błyskawic, że władca
powinien zawsze sownie odplacać każdą zasługę. On zaś uratował
życie mojej córki.*

*- Niech więc zginie - skłonił się Gwido i bezszelestnie odszedł po
huńskim dywanie.*

ROZDZIAŁ JEDENASTY - POPIOŁOWŁOSY

*Trzy dni beczynnie przebywał Dago w wiosce Pałuków, co zaczynało
niepokoić Zyfikę, pragnącą wrócić do królowej Ajtwar. Również i
Herim, choć znajdował dziewczki chętne do miłości - znudził się nimi i
powiedział Zyfice: "Chciałbym ruszyć dalej, ponieważ zaraziłem się od
mojego pana chorobą zwaną Żądzą Czynów". Ale Dago nie kwapił się
w drogę. Przesiadywał nad brzegiem jeziora i na piasek wymywany
przez wodę rzucał okorowane i nie okorowane wiązki patyczków,
uważnie patrząc jak się układają, jak piętrzą jeden na drugim. Wśród
Lendiców i innych ludów sklavińskich wiedziano, co oznacza ta*

czynność - Dago radził się bogów, co powinien czynić.

Tak naprawdę jednak nie na wróżby bogów czekał Dago. Puszcze i lasy były gadatliwe, dlatego nie zdziwił się, gdy raptem krzyk podniósł się w wiosce, usłyszano z puszczy narastający tętent wielu koni. Pałucy chwycili za broń, niewiasty ukryły się w domach, przerażony Herim przypadł do nóg Dagona, a Zyfika chwyciła do ręki swoją srebrną tarczę i wyjęła strzałę z kołczanu, napinając złoty łuk Alanów.

Do wioski wpadło ponad trzydziestu jeźdźców, rozmaicie uzbrojonych, na małych, ale wytrwałych koniach. Ich twarze tchnęły dzikością, na tarczach jednak mieli wymalowane białe ptaki, co oznaczało, że są Lestkami i Pałukom nie grozi z ich strony żadne niebezpieczeństwo. Najroślejszy z nich, brodaty, lecz młody jeszcze, zatrzymał gwałtownie konia za plecami Dagona, który znowu zasiadł nad jeziorem, jak gdyby nie słyszał tętentu kopyt.

Przybysz rozpoznał Dagona po jasnych i długich włosach i w stronę Zyfiki, która mierzyła do niego z łuku Alanów podniósł pojednawczo prawą dłoń. - Czy to ty, panie, jesteś owym Piastem, o którym szumi puszcza? zapytał.

Odparł Dago:

- Nie nazywaj mnie Piastem, gdyż w starym języku Spalów znaczy to tłuk do miażdżenia ziaren. Jestem Piastunem.

- Ze zmiażdżonych ziaren można upiec placek. Z potłuczonych orzechów robi się słodkie ciasto. Jestem Kui, Piastunie.

- *Kui* znaczy *Wiatr* w naszej starej mowie. *Witaj mi więc Wietrze* -
odpowiedział *Dago* i podniósł się z ziemi ukazując swą twarz
przybyszom. - *Puszcza* wciąż szumi, że przybył człowiek na białym
koniu i pragnie zniszczyć władzę książąt i starostów. Lud ma być
wolny.

- *Tak będzie* - rzekł *Dago*.

- *Jesteśmy, Piastunie, ludźmi wolnymi. Nie mamy wiosek, żon i dzieci,*
gdyż nasze wioski spalili starostowie książęcy, powiedli w niewolę
dzieci i kobiety. Żyjemy z tego, co zrabujemy na gościńcach w
napadach na drużyny starostów. Co miesiąc jest nas mniej, bo
giniemy w walce, która zdaje się nie mieć końca. Ludzie boją się nas
więcej niż władzy starostów. Zamiast wolności przynosimy im ogień i
zemstę władców. Puszcza szumi o tobie, Piastunie. Czy przyjmiesz
*dowództwo od *Kuia* i poprowadzisz nas do wolności?*

- *Nie* - odparł *Dago*. - *Ten, kto przewodził musi przewodzić. Mogę was*
jednak wziąć w swoje piastowanie i po długiej walce dać wioski i żony,
abyście płodzili dzieci i obsiewali pola pod moimi skrzydłami.

*Zapamiętajcie jednak, że Piastun nie pochodzi od słowa *Piast*, to jest*
tluk, ale od tego, który piastuje władzę. Czy chcecie mojej władzy?

- *Tak!* - zawołał *Kui*. - *I na jego gest dłonią, "tak" zakrzyknęli jego*
wojownicy.

- *Przynieś mi moją tarczę* - *Dago* rozkazał *Herimowi*.

Potem położył swoją tarczę na ziemi i rozkazał przybyłym dotknąć jej
końcami palców i powtarzać za sobą:

- Oto ja, człowiek wolny, oddaję się w piastowanie temu, który zapewni mi opiekę i wolność. Przysięgam Dagonowi Panu i Piastunowi, że wykonam każdy jego rozkaz, że będę mu posłuszny w każdej sprawie, a jeśli przysięgę złamię, powieszony zostanę na drzewie. - A potem sam złożył przysięgę: - Oto ja, Dago Pan i Piastun, biorę tych ludzi w swoje piastowanie. Każdemu z nich w przyszłości dam skrawek pola i każdego uczynię panem swojej woli, dopóki go nie wezwę, aby mi okazał pomoc. Który z nich poczuje się skrzywdzony od innych, ma prawo przyjść do mnie jako Piastuna i zażądać sprawiedliwości. Każdy, który uczyni niesprawiedliwość zostanie przeze mnie osądzony i skazany wedle praw wolnych ludzi.

Skończył i polecił wojownikom Kuia, aby przenieśli się na drugi brzeg jeziora i tam rozpuścili konie. Wręczył też Kuiowi wydobyty z juków mieszek zwany po rhomajsku folles, pełen nowych niewiele wartych rhomajskich denarów.

- To jest wioska przyjaznych nam Pałuków. Zapłacicie za żywność tymi oto denarami i niech nikt się nie waży porwać ich żony lub dziewczki, gdyż za to ty, Kuiu, każesz takiego powiesić.

Jeszcze później obejrzał każdego ich konia, każdy miecz i każdą włócznię, stwierdzając, że kolczugi są porwane, skórzane kaftany podarte. Wielu jednak miało wspaniałą broń zrabowaną Normanom. Kuiowi polecił, aby podzielił swój oddział na dwie piętnastoosobowe grupy i każdej dał przywódcę. Następnie na skrawku białego płótna tłuszczem zaznaczył białego ptaka i zanurzył płótno w konwi z

czerwią. W ten sposób miał powstać czerwony proporzec z białym orłem, który nosić winien przywódca na swoim oszczepie, tuż pod grotem.

- Ty, Kuiu, będziesz w walce obok mnie i w dłoni masz dzierżyć nasz znak. Pozwól swoim ludziom odpocząć, gdyż od jutra czeka ich ciężka praca. Powrócił Dago do wioski Pałuków, gdzie cieszą się ze srebrnych denarów rhomajskich i zaniesiono żywność ludziom Kui. Pałuka był gniewny i przez długi czas wahał się, w jaki sposób swoje niezadowolenie okazać Dagonowi. Wreszcie tuż przed wieczorem poszedł tam, gdzie na skórach leżał Dago, a obok spoczywała Zyfika i Herim.

- Piastunie - powiedział. - Czy nie pokochałem cię tak mocno, że będę miał od ciebie syna. Czy chcesz jeszcze raz osiąść moją kobietę, jeśli w niej zasmakowałeś? Czemu wyróżniłeś Kuia, a o mnie zapomniałeś?

- Masz tylko dziesięć koni, a ja potrzebuję jeźdźców. Dużo jest u ciebie dobrej broni, ale koni niewiele. Czy potrafisz dać mi piętnastu jeźdźców, abym mógł mieć trzeci oddział pod twoim dowództwem?

- O pół dnia drogi mieszkają Warcianie. Zajmują się oni hodowlą koni dla księcia Popiołowłosego. Nocą napadniemy na koniuchów.

- A potem, gdy odjedziecie ze mną, oni zniszczą waszą wioskę, zabiorą w niewolę wasze kobiety.

- Co mam czynić, panie?

Dago zajrzał do swoich juków i wyjął drugi mieszek denarów. Rzekł:

- Za dobrego, ujeżdżonego konia w kraju Franków płacę trzysta

denarów. Masz dziesięć koni, więc pojedziesz do Warcian i kupisz od nich jeszcze pięć koni, płacąc po sto denarów za każdego. Mieszek weźmie Herim i on uiści zapłatę, aby wiadomo było, że to są konie dla Piastuna. Nie będzie rabunku, nie będzie więc również waśni i zemsty. Przyjdzie czas, gdy Warcianie zaczną ci oddawać swoje konie bez zapłaty, albowiem obiecuję ci, że jeśli z mojego nasienia zrodzi ci się syn, ziemia od tego miejsca aż daleko na północ będzie się nazywała Ziemią Pałuków.

Pałuka uklęknął i ucałował tarczę Dagona.

- Piastunie - rzekł wzruszony. - Nie jestem biedny. Nie potrzebny mi twój mieszek z denarami. Mam zakopane złote solidy. Za nie kupię najlepsze konie.

W nocy obudziło Dagona lekkie dotknięcie dłoni. Przy uchu usłyszał szept Zyfiki:

- Noc jest ciemna i ciepła, panie. Chcę się wykąpać. Chodź ze mną, aby nikt nie dostrzegł mej kobiecości.

Poszedł z nią Dago nad jezioro, gdzie rozebrała się przy nim bez wstydu. To samo uczynił i on.

- Czy nie rozumiesz, Zyfiko, że to ode mnie grozi ci to, co uważasz za najgorsze? Spójrz jak na twój widok pręży się mój członek.

Zyfika musnęła go delikatnie swoją dłonią, potem zaś odrzekła

drwiąco: - Tak naprawdę pożądasz tylko władzy. Czy wiesz ile złota ma królowa Ajtwar z Kraju Kwen? Pomyśl o tym złocie, a twój członek jeszcze bardziej się wypręży. Gdy cię zapragnę, sama cię posiądę, a

następnie zabiję.

To mówiąc na nagich biodrach zapięła pas z nożem i bez plusku zanurzyła się w wodzie. Dago zaś długą chwilę stał nad brzegiem i myślał o złocie królowej Ajtwar, albowiem wiedział z Księgi Grzmotów i Błyskawic, że wojna jest najkosztowniejszą sprawą na świecie.

Pałuka przyprowadził pięć koni od Warcian. Kui do zakrzywionego rogu wołu dorobił drewniany ustnik. Na rozległym pastwisku za jeziorem Dago ćwiczył wojowników. Jeśli róg zabrzmiał donośnie, znaczyło to, że dwoma szeregami winni uderzyć na wrogów. Jeśli zadął cienko i długo - mieli uderzać ławą rozciągniętą na dużą odległość. Trzy krótkie i jak gdyby rozpaczliwe jęki rogu oznaczały sygnał do odwrotu i ucieczki. Gruby głos rogu mówił, że ucieczka jest tylko upozorowana, należało zaraz zawracać i znowu uderzyć na przeciwników.

- Skąd, panie, znasz tę zadziwiającą sztukę ustawiania do walki wojowników? - zapytali pewnego razu Dagona Kui i Pałuka.

- Przebywałem długo na dworze cesarza Rhomajów i przyglądałem się ćwiczeniu wojsk. Byłem także na dworze króla Ludwika Teutońskiego. Ale ze wszystkich rodzajów wojowania najwyżej cenię sobie sztukę walki zdradzieckiej.

- Czy jest trudna?

- Tak. Wymaga bowiem także znajomości sztuki maskowania się, sztuki cierpliwości oraz sztuki opanowania umysłu, aby stał się

zimny. Naśladowajcie mnie, a uczynię was tymi, którzy wiodą do walki wojowników, to jest Wojewodami.

Puszcza wciąż szumiała o Piastunie. Codziennie przybywali do wioski nowi wojownicy, po dwóch, po trzech, po pięciu. Pieszycy Dago odsyłał do domu i kazał starać się o konie. Konnych zaś zatrzymywał i formował z nich czwartą drużynę. Tymczasem jednak zaczynało brakować żywności, mimo że za denary Dagona z dalekich nawet wiosek przywożono chleb i kaszę. Urządzano też polowania w sąsiednich lasach: Nie podobala się Dagonowi broń niektórych wojowników. Wymagała naprawy odzież, helmy, miecze, a także groty oszczepów i włóczni.

- Odzież drogi stąd w kierunku Gniazda mieszka kowal Awdaniec - powiadomił go Pałuka. - Ma swój gród. Oprócz kowalstwa trudni się czarami. Wykuwa dobre groty i naprawia kolczugi każdemu, kto mu zapłaci.

Piątego dnia miesiąca Lipień, gdy nad jeziorem słodko pachniało kwiatem lipy, czterdziestu pięciu jeźdźców, podzielonych na trzy oddziały, dwoma szeregami wyruszyło w drogę do kowala Awdańca. Prowadził ich Pałuka, na czele jednak jechał Dago w złotym pancerzu, z głową gołą i w białym płaszczu. Jego biały koń zwany Vindos od czasu do czasu cicho rżał, jakby rad, że może znowu biec lekkim truchtem. Obok Dagona jechała Zyfika na swym czarnym koniu i ze srebrną tarczą oraz Herim, który już trochę nauczył się władać mieczem. Herim stał się ulubieńcem wszystkich wojowników,

ponieważ lubili słuchać o przygodach Dagona, o jego walce ze smokiem, o jego pochodzeniu od olbrzymów, o jego wielkiej sztuce czarów, o tym, jak od Ludzi Wolnych otrzymał tytuł Piastuna. Herim budził także szacunek, a nawet strach, gdy okazało się, że potrafi uzdrawiać ludzi. Na dworze Rhomajów twierdzono, że wszystkie ludy sklavińskie cierpią na choroby skóry. W istocie dużo wojowników miało wrzody, zwane czyrakami, które Herim nacinał nożem, a następnie starannie wyciskał z nich ropę i drzeń, zwany także rdzeniem. Trapiły ich rozmaite parchy zwane świerzmem oraz liszaje. Inni znów uskarżali się, że w ich rzyci osiedliły się istoty zwane rupiami albo chrobakami lub glistami.

Przeciw brodawkom i liszajom stosował Herim roślinę zwaną biedrzyńiec, a na chrobaki - wrotycz. Na kaszel dawał napar z podbiału, na rany przykładał babkę albo robił okłady z krwawnika.

Przy niedomaganiach, których przyczyny nie potrafił określić prosił o radę Piastuna, a ten postępował według nauk Zely. Rozumieli więc Lestkowie, że Piastun posiada także tajemną moc, co utwierdzało ich wiarę, że spełni daną im obietnicę o życiu w wolności, bez księząt i starostów.

Wkrótce opuścili puszcze i bagna, wjeżdżając w kraj, gdzie od dawna wycięto lasy i wszędzie rozpościerały się pola zwane po starodawnemu Lędami. Na polach dojrzewało proso, pszenica, żyto, owies zapowiadając wspaniałą urodzaj. Kraj Lendiców nie był tak żyzny, jak kraj Gopelanów, ale wioski, które starannie omijali, i

sąsiadujące z nimi grody wydawały się zamożne i bardzo ludne.

Napotkani ludzie kłaniali się im, zdejmując nakrycia z głów, gdyż brali ich za drużynę księcia. Tylko co sprytniejsi zauważyli niezręcznie przedstawione wyobrażenie białego ptaka na tarczach, co znaczyło, że są Lestkami. Domyślali się, że owe białe ptaki to orły, które same kierują swoim lotem. A jakież człowiek nie tęskni za wolnością, za życiem bez nakazów i zakazów? Szumiała więc głośno puszcza, a potem szemrały kłosa zbóż na polach o ludziach niosących wolność dla ludu.

W zakolu małej rzeki o pół dnia drogi od warowni Gniazdo i o pół dnia konnej jazdy od warowni Poznania miał swoją wieś kowal Awdaniec.

O jego potężnej sile i sztuce czarów opowiadano tak przerażające historie, że same broniły go przed intruzami i nie musiał budować obronnego gródka, ale po prostu zwykły nasyp z kamieni i ziemi ogradzał jego dom. Poza wałem stały domy mieszkalne dla służby oraz długa szopa, z której wiecznie uchodził dym i sypały się iskry, a dźwięczne uderzenie młotów o kowadło słychać było aż po drugiej stronie rzeki. Awdaniec robił groty oszczepów i włóczni, sprzączki do pasów i proste żelazne hełmy. Rzadko kiedy wykonywał miecze, mówiono bowiem, że nie są tak dobre jak miecze frankońskie. Umiał zamawiać choroby, leczyć konia od zółzy, wyrywał zęby. Nagi do pasa, ogromny i prawie zawsze czarny od dymu - budził strach i szacunek. Miał kędzierzawe, czarne i włniaste włosy. Podobni do niego byli jego dwaj synowie - równie rośli i o mięśniach tak grubych

jak sznury. Za prace dla Popiołowłosych zwolniony był od wszelkich danin na rzecz władcy państwa Lendiców, dlatego poza własnymi sprawami nie obchodziło go, kto siedzi na złotym tronie w Gnieździe, czy rządzi Popiołowłosy, czy też w jego imieniu jego żona, Helgunda. Mocą czarów oswoił Awdaniec czarnego kruka, który ciągle latał po okolicy i powracał do kuźni. Siadał na ramieniu kowala i coś mu krakał do ucha, zapewne o wszystkim, co się dookoła działo. Ujrzeni tego kruka Lestkowie, jak latał nad nimi. Zyfika wyjęła strzałę i chciała ptaka trafić, ale powstrzymał ją Dago.

- To święty kruk. Nie róbmy rzeczy, których możemy żałować - oświadczył, albowiem sam także kochał sztukę czarów.

To jednak było pewne, że kruk zaniósł Awdańcowi wieść o nadjeżdżających wojownikach. W wiosce Awdańca zobaczyli wielu zbrojnych w oszczepy mężczyzn i żadnej kobiety lub dziecka.

Porzucił Awdaniec swój młot i z dwoma synami wyszedł im naprzeciw, ujrawszy zaś u owych ludzi białe orły na tarczach, nachmurzył się, gdyż nie lubił takich, co to nie uznawali żadnej władzy. On, Awdaniec, był władcą w swojej wiosce; słuchać go musieli jego synowie, a także żony synów i cała służba.

- Ty jesteś Awdaniec, kowal i czarownik? - zapytał młody mężczyzna z białymi włosami i w białym płaszczu, bez hełmu, a tylko w złotym pancerzu i z krótkim mieczem przewieszonym przez ramię. Siedział na białym ogierze o cudownie pięknych kształtach.

- Jam jest Awdaniec - dumnie oświadczył kowal.

- Na imię mam Dago, ale zowią mnie Piastunem. Z rodu olbrzymów się wywodzę.

- Zejdź z konia, przybyszu, i zmierz się ze mną. Jeśli jesteś mocniejszy i silniejszy, może uznam w tobie olbrzyma. Ale to mi się widzi, że ja jestem olbrzymem wobec ciebie - odparł Awdaniec i głośno się roześmiał.

Śmiechem wybuchnęli jego dwaj synowie, kobiety, które wyszły z domów i służebni niewolnicy.

Odpowiedział człowiek na białym koniu:

- Zrodziła mnie zwykła kobieta, dlatego po niej nie odziedziczyłem wielkiego wzrostu. Po ojcu mam tylko rozum. Nie ten jest prawdziwym olbrzymem, komu dano urosnąć nad miarę, ale ten komu dano olbrzymi rozum.

- Dowiedz swego rozumu - pogardliwie rzucił Awdaniec, a w tym momencie duży kruk usiadł mu na ramieniu. - To mi się jednak także widzi, że na nic rozum, gdy wejdą do walki czary. Nie boisz się uroku, który mogę na ciebie rzucić?

Zauważył Dago, że wielu jego wojowników ściągnęło cugle swoich koni i wycofało się o kilka kroków. Groźną sławą cieszył się Awdaniec, ponieważ w jego kuźni sługą był ogień.

Odpowiedział Dago:

- Nie boję się uroku. Piłem rozcieńczony winem jad żmii, jadłem na surowo jej mięso, ciało moje smarowano kiedyś żabim śluzem. To ja zabiłem Zygryda z rodu Nibelungów, który uważał się za

nieśmiertelnego, gdyż w jego rodzie kąpano się we krwi smoka. To właśnie ja zabiłem smoka imieniem Szczek. Posiadam miecz, który przeklął bóg Odyn, odtąd, kiedy go wyciągnę z pochwy, paść musi trup. Dlatego trzymam teraz ten miecz w pochwie, albowiem podobasz mi się kowalu i pragnę twojej przyjaźni i pomocy.

Następnie Dago wziął od Kuia oszczep i jego grotem wyrysował na ziemi znak między sobą i kowalem.

- Oto, Awdaću, znak w kręgu magicznym, który łączy z sobą ogień i wodę, dwie siły, które nigdy nie mogą być połączone. Co możesz mi przeciwstawić?

- Nie znam tej sztuki, panie - z nogi na nogę przestąpił Awdaniec..

- To źle, kowalu. Każę zaraz zalać wodą twoje palenisko i nigdy już nie rozpalisz na nim ognia, aby kuć groty.

Rozejrzał się Dago i zobaczył koguta, który siedział na słomianym dachu odległego domu. Szepnął o kogucie do Zyfiki, która wyjęła z kołczanu strzałę i naciągnęła cięciwę złotego łuku Alanów. Świsnęła strzała, kogut chciał zapiać, ale spadł z dachu z przesytyą grotem szyją.

- Teraz zestrzel tego kruka z ramienia kowala - rozkazał Dago. Zyfika wyjęła drugą strzałę i naciągnęła cięciwę złotego łuku.

- Nie! - zawołał kowal. - Nie rób tego, panie. To nas uczyni wrogami na śmierć i życie. Powiedz raczej czego żądasz ode mnie.

- Jam jest Dago, Piastun wszystkich ludów tej krainy. Wykujesz dla mnie sto pięćdziesiąt grotów do włóczni, aby każdy mój jeździec miał

ich po kilka do rzucania we wrogów. W zamian nauczę cię jak

unicestwić znak, który łączy ogień z wodą. Przypatrz się, Awdańcu,

oto znoszę z ciebie swoje czary.

I narysował grotem oszczepu

- Pokój z tobą, Piastunie - odpowiedział Awdaniec - zrobię dla ciebie

sto pięćdziesiąt grotów z zadziorami. Zapłacisz mi za to pięć złotych

solidów.

Dago popatrzył drwiąco na kowala Awdańca, na jego kędzierzawą

głowę i niskie czoło z potężnymi łukami brwi. Kowal oblizwał nerwowo

grube, nieco wydęte wargi. "Jakie mogły być myśli tego człowieka? W

jaki sposób uczynić z niego swojego przyjaciela?" - zastanawiał się

Dago.

- Dam pięć solidów, lecz odbiorę ci wolność, Awdańcu. - Mnie?

Wolność? - nie pojmował kowal.

- Będziemy walczyć w zaczarowanym kręgu. O wolność lub niewolę.

Jaką bronią władasz najlepiej?

- Młotem, ponieważ jestem kowalem.

- Każ więc przynieść kilka młotów kowalskich, abym mógł sobie

wybrać najlepszy dla mojej ręki.

To mówiąc Dago zeskoczył z konia i końcem pochwy swego miecza

narysował na ziemi ogromny krąg.

Kowal czuł niepokój. Sam uprawiał czary i bał się tej sztuki. Wszyscy

widzieli, że Dago jest słabszy i niższy od Awdańca, a jednak to on

zapropozował, aby walczyć na młoty. Dlatego pełen podejrzliwości

przestąpił kowal z nogi na nogę i powiedział:

- Nie można, panie, walczyć młotami o wolność lub niewolę, ale o śmierć lub życie. Każde uderzenie młota rozłupuje czaszkę lub łamie żebra albo przetrąca kręgosłup.

Odpowiedział mu Dago:

- Pokonam cię sztuką seidr, którą dał ludziom bóg Thor, władca wszystkich młotów. Nie chcę twojej śmierci. Podobasz mi się i moje serce zaczyna cię miłować.

- Czy nie możemy rozstać się w zgodzie? - zapytał Awdaniec.

- Będę toczył długą i wyczerpującą wojnę aż zaprowadzę tu prawa wolności. Potrzebuję grotów i włóczni, potrzebuję ciebie, Awdańcu, twoich synów i kilku mężczyzn, aby poszli za mną. Nasz kraj zagrożony jest od Mardów, od ludzi Skrzydlatych i Długogłowych. Czy miałeś w nocy kobietę?

- Aż trzy, panie, gdyż nie tylko moja siła, ale i moja żądza jest wielka. - Czy wiesz, że aby walczyć na młoty trzeba być czystym?

- Nie wiedziałem, że będę walczył na młoty.

- Zgadzam się więc przenieść walkę aż do jutra. Tej nocy masz pozostać czysty. A teraz każ swoim ludziom, aby wykuwali sto pięćdziesiąt grotów do włóczni. Wskaż nam też miejsce, gdzie będziemy mogli paść swoje konie i zleć swoim kobietom, niechaj przygotują stawę dla moich wojowników. Zabij wołu i trzy barany. Za wszystko to otrzymasz dodatkową zapłatę.

To mówiąc podszedł Dago do jucznego konia, którego pilnował Herim

i wyjął z juków dwie srebrne grzywny, które rzucił pod nogi Awdaćca.

- Nie jesteśmy rabusiami, kowalu.

Awdaniec pochylił się ku ziemi, podniósł grzywny i potem wskazał dom za nasypem z gliny.

- Wejdz, gościu, w mój dom i przyjmij ode mnie strawę i dary. Do jutra będziesz miał groty. Jutro też stoczmy walkę. Myślałem, że jesteś Lestkiem, rabusiem, ale ty wydajesz się być kimś innym, choć wokół ciebie wielu widzę Lestków.

Wezwał Dago do siebie Pałukę i Kuia. Przypomnił im, że jeśli któryś r wojowników dotknie niewiasty Awdaćców albo zrabuje im rzecz nawet najmniejszą, zostanie powieszony na drzewie. Potem wziął z sobą Herima, Zyfikę oraz Pałukę i Kuia, i poszedł z nimi do domu Awdaćca.

Zobaczyli wielką izbę z podłogą i ścianami wyłożonymi cennymi kobiercami, z rozwieszoną drogocenną bronią. Podano na stół chleb, misy z masłem i twarogiem. Postawiono dzban z mocnym miodem.

Niewiele było sprytu w głowie Awdaćca, ale przywiódł młodą niewiastę o bujnych piersiach i krągłym brzuchu, tak ponętną, że Herim wysunął język jakby ją chciał polizać. Posadził Awdaniec dziewczkę na kolanach Dagona.

- Zabaw się nią, panie. choćby zaraz, ponieważ w nocy musisz być czysty. To moja córka.

Pomyślał bowiem Awdaniec, że Dago zabawi się nią teraz i tak zasmakuje w bujnym i jędrnym ciele, że zabawi się też w nocy, a

wówczas przegra walkę na młoty, gdyż nie uszanuje praw Thora.

Zrozumiał Dago zamysły kowala i posadził dziewczkę obok siebie, poił ją piwem i poił winem, dotykał jej piersi i sięgał dłońmi między nogi, głaskając podbrzusze.

- Panie, masz być czysty - surowo przypominała mu Zyfika. Dago zaś kiwnął głową, że usłyszał jej przestrożę.

Tymczasem cała wieś rozbrzmiewała dźwięcznymi uderzeniami młotów. Kuto groty dla drużyny Dagona. Kierowali robotą synowie Awdanica, a on siedział z gośćmi, poił miodem i częstował jedzeniem. Awdaniec był bogaty. Ale im stawał się bardziej bogaty, tym większa trawiła go żądza, aby być bogatszym. To potrafił pojąć Dago z mowy jego oczu i mowy jego ciała.

- Mardowie ubierają się w złote szaty i złotą broń mają. To samo Ludzie Skrzydlaci i Argaraspidzi, którzy jak ten oto tutaj ich wojownik - wskazał Zyfikę - noszą srebrne tarcze. Nadałem już Pałuce ogromne ziemie, które zwą się teraz Ziemią Pałuków. Wielkie obszary otrzyma ode mnie Kui i inni. Czy nie pragniesz Awdanicu, aby i twój ród wyniesiony został ponad inne? Ponad Łabędziów, Duninów i Powatów.

Za kowala go tylko miano na dworze Popiołowłosych. Wyżej ceniono rody Powatów, Łabędziów, Duninów.

- Jestem tylko kowalem - z fałszywą skromnością rzekł Awdaniec i pochylił plecy.

- Dam ci Helgundę, gdy zdobędę Gniazdo. Z niej spłodzisz syna, a on

stanie się przywódcą twego rodu. Z moich zaś lędźwi będzie miał syna

Pałuka i da początek swemu wielkiemu rodowi.

Awdaniec pił prosto z dzbana. Czuł jak ogromna słodycz i pragnienie władzy rozlewa się w jego żyłach.

- Dago Piastunie. Nie chcę Helgundy. Weź moją córkę i daj mi wnuka.

Nadasz memu rodowi cały obszar aż po rzekę Obrę, gdyż są tam dobre ziemi i dobre pastwiska.

Do izby wleciał nagle kruk i zakrakał coś do ucha kowala.

- Jadą kupcy. Pięćdziesiąt wozów. Ciągną z Kalisii aż do Kurów po gintaras.

Wyszli przed obwałowania grodu. Wkrótce pokazało się prawie stu zakutych w pancerze jeźdźców i pięćdziesiąt wozów, każdy ciągniony przez cztery pary koni. Z pierwszego wysiadł człowiek w bogatych szatach, z mieczem u pasa zwyczajem Franków. Powiedział coś swoim ludziom w języku Bawarów, a potem przemówił do Awdańca w języku Sklavinów.

- Moje wozy wymagają naprawy. Moje konie odpoczynku. Mam do sprzedania kolczugi potrójnej grubości i szlomy, które mogą zakryć całą twarz.

Dago widział już kiedyś tego człowieka, a ten widział jego. Podeszedł do Dagona i skłoniwszy się mu, rzekł:

- Margrabia Karloman niepokoi się o ciebie, panie. Gdybym cię spotkał kazano mi powiedzieć, że Karloman znowu podniósł bunt przeciw Ludwikowi Teutońskiemu i król Ludwik musiał ustąpić jego

żądaniom. Królestwo wschodnio-frankońskie zostało rozdzielone między trzech synów Teutona, Ludwik Młodszy otrzymał Turynię, Saksonię i Frankonię, Karol Gruby - Alemanię, i Recję, a Karloman - Marchię Wschodnią i Bawarię. Dagonie, hrabio, margrabia Karloman prosi, abyś wrócił na jego dwór i pomógł mu w walce o cesarską koronę.

Słyszał te słowa Awdaniec. Słyszała Zyfika, Herim, Pałuka i Kui, a także wszyscy Lestkowie, ponieważ każdy przybiegł, aby oglądać karawanę kupiecką. Dago zakrył twarz dłońmi, a potem odjął je, i rzekł:

- Powiedz, Bawarczyku, Karlomanowi, że w moje ręce złożyli swoje losy Lestkowie. Jeśli masz pergamin, mój sługa Herim napisze ode mnie list do Karlomana, który mu wręczysz, gdy wrócisz od Kurów. Kupiec dał Herimowi pergamin i czernidło, a także pióro gęsie.

Awdaniec zaprowadził ich do pustej izby i tam Dago podyktował list: "Bracie mój, margrabio, Karlomanie. Ja, Dago, hrabia i pan pozdrawiam cię gorąco..."

Herim dość długo nie trzymał w swej dłoni gęsiego pióra, niezbyt dobrze jeszcze władał językiem Lendiców, dlatego niewyraźnie napisał nad jakimi to ludźmi dierży w tej chwili władzę Dago.

Widukind, który znalazł ów list w starych dokumentach po Karlomanie, nagle dowiedział się o jakowyś Lestkowicach czy też Lisiciavikach. Tym bardziej że i Konstanty Porfiriogeneta też słyszał o Lestkach i dlatego wspominał o Licikach nad rzeką Visulą. Mówi się,

że z nazwy Lestkowie powstałi później Lehowie, czyli Lechici, mówi się również, że z Lechitów zrodzili się "zlechchcice", a stąd już był tylko krok do nazwy "szlachcice". Dla historii Dagona nie ma to jednak żadnego znaczenia, prawdą zaś jest jedynie, że i jego, dla sprytu i przebiegłości, nazwano Lestkiem. I w rzeczy samej był nim, gdyż często mówił, że kocha wolność i porzecz z białym orłem nosił na oszczepie wojownik, który mu towarzyszył.

Dago znał zwyczaj władców. Dlatego podyktował Herimowi drugie pismo, a następnie wezwał do siebie bawarskiego kupca.

- Zdobę państwo Popiołowłosych, przez które prowadzi szlak po gintaras zwany glesum. Oto zwalnię cię od płacenia wszelkiego myta oraz obiecuję dawać ci zawsze stu swoich ludzi dla dodatkowej ochrony przed rabusiami.

W ręczył kupcowi pergamin z zobowiązaniem. - Ile? - krótko zapytał Bawar.

- Wojna jest kosztowna... - zaczął Dago.

- Otrzymasz, panie, pięć tysięcy srebrnych denarów i sto srebrnych grzywien - oświadczył Bawar. - I nie dla tego oto dokumentu, ale ponieważ tego by sobie życzył Karloman, mój władca i opiekun. Czy przyjdiesz mu, panie, z pomocą?

- Tak. Skoro tylko pokonam Helgundę.

Osobiście dopilnował Dago, aby jeszcze tego samego wieczoru, worek z pięcioma tysiącami denarów i stoma srebrnymi grzywami znalazł się pod opieką Pałuki i został przywiązany do innych worków

jucznego konia, którego prowadził Dago aż z kraju Franków. Tego

bowiem uczyła Księga Grzmotów i Błyskawic w rozdziale o sprawowaniu władzy, że władca bez wstydu dla siebie powinien wykorzystywać kupców i ludzi pożyczających pieniądze.

Tej nocy kowal Awdaniec został obudzony przez Kuia, który zaprowadził go do izby, gdzie Dago w wielkim łożu wysłanym skórami owiec zabawiał się kowalową córką. Tłusta dziewczyna leżała naga na skórach, spita miodem i zmęczona miłością. Jej wielkie piersi wyglądały jak dwa bochny chleba, a jej srom lekko rozchylony, ukazywał wilgotne wnętrze. Na brzuchu, tuż nad obrośniętym jasnym włosiem łonie, Dago nakreślił węglem drzewnym magiczny krąg ze świętym znakiem, aby urodziła olbrzymia.

Dziewczyna lubiła miłość i od dwóch lat Awdaniec miał z nią kłopoty, wciąż go męczyła, aby wydał ją za mąż. Kowal jednak nie widział w tej okolicy nikogo, kto mógłby mu za nią godnie zapłacić, a jej krągłe kształty w nim samym budziły nieraz pożądanie. Szkoda mu było pozbywać się jej z rodzinnego domu.

- Czego chcesz ode mnie, panie? - zapytał Awdaniec odwracając oczy od rozrzuconych nóg dziewczyny. Nie miał tej nocy żadnej kobiety, gdyż chciał być czysty przed jutrzejszą walką. Teraz żądza odezwała się w nim boleśnie.

- Jesteś kowalem, a więc czcicielem ognia. Naznaczyłem twą córkę znakiem płodności - powiedział Dago. - Cztery razy napelniłem ją swoim nasieniem i jestem pewien, że rozpalilem w niej ogień nowego

życia. Jeśli to będzie syn, czeka go wielka sława. Daruję ci więc ziemię aż po rzekę Obrę, tobie i całemu rodowi Awdańców. Jutro podążysz ze mną i swoimi wojownikami. Staniesz się wojewodą.

- Nie mogę, panie, iść z tobą, gdyż twoi ludzie noszą białe orły na tarczach, a to znaczy, że nie uznają żadnej władzy. Ja zaś jestem człowiekiem żądnym władzy.

Dago położył mu dłoń na ramieniu i powiedział:

- Różne są znaki magiczne, Awdańcu. Niektóre zdobywa się przez naukę u magów i czarowników, inne poznaje się przez doświadczenie. Jeśli jest tak, że ludzie widzą w znaku orla istotę, która sama kieruje swoim lotem, a więc jest wolną, czemu nie dać im tej nadziei, że będą wolni? Władza pochodzi od bogów a nie od ludzi, kowalu. Ale to tysiące ludzi musi pokonać Popiołowłosych i ich najmitów z Jumna. Kto ich wywoła z lasów i wiosek? Kto ich porwie do walki, jeśli nie obietnica wolności? Uznaj ten znak w pokorze, nie od ludu bowiem, lecz ode mnie otrzymasz wszelką władzę. Kocham cię, Awdańcu, gdyż podobnie jak ja pożądasz władzy.

Odszedł kowal Awdaniec i nie zasnął aż do rana, dręczony strachem, że okazał nieposłuszeństwo wobec Popiołowłosych. Nie wiedział, co to znaczy Stać się wojewodą, jednak czuł, że jest teraz równy owym wielmożom, którzy u niego się pojawiali, aby im naprawiał wozy, kuł ostrogi i groty. Jutro jednak czekała ich walka na młoty. Dago nie był czysty i musiał ją przegrać. Jak to pogodzić z tą przyszłością, o której dziś mu powiedział?

Tej nocy, dręczona nie znanym jej uczuciem zazdrości o inną kobietę, Zyfika narzuciła siodło na swego czarnego ogiera, postanawiając ruszyć do Gniazda, aby Helgundzie przekazać prośbę królowej Ajtwar. Wskoczyła na siodło, gdy z mroku wyszedł Herim i przytrzymał konia za uzdę.

- Przysłała mnie, Dago Piastun - rzekł Herim. - Jego oczy widzą daleko.

Domyślił się, że zechcesz stąd odjechać, Zyfiku.

- Twój pan jutro zginie z ręki Awdańca, ponieważ nie będzie czysty.

Dla łona tłustej dziewczyny poświęcił swoją przyszłość. Powiedz, co jest wart taki mężczyzna? Argaraspidzi potrzebują pomocy, a ja marnuję czas wśród Lestków.

Wyrwała Zyfika krótkie lejce z rąk Herima i odjechała w ciemność puszczy. Rankiem jednak, gdy ogromny tłum wojowników zebrał się wokół kręgu naznaczonego przez Dagona i z niecierpliwością czekał na zapowiadzaną walkę, Zyfika powróciła i z wysokości końskiego grzbietu chciała zobaczyć walkę.

Pierwszy w magicznym kręgu pojawił się Awdaniec, nagi do pasa, z ogromnym młotem w dłoni. Równocześnie linię kręgu przestąpił

Dago. Dwóch synów Awdańca przyniosło gościowi pięć młotów, aby sobie wybrał najbardziej pasujący do dłoni.

- Bóg Thor, władca wszystkich młotów - powiedział Awdaniec -

pozwała walczyć ludziom, którzy są czyści. Wczoraj ja miałem niewiastę i nie mogliśmy odbyć walki. Czy ty, Piastunie, miałeś tej nocy kobietę?

- Tak. Cztery razy - wyznał Dago. Awdaniec odrzucił młot.

- Nie wolno gniewać Thora, gdyż może tak zaczarować młoty, że nie zdolają wykuć grotu. Odbędziemy walkę, gdy pozostaniesz czysty. Ty i ja. Bo takie jest prawo Thora.

Dago skinął głową, Lestkowie zaczęli szemrać z niezadowolenia.

Spodziewali się, że Dago mocą swoich czarów i swej siły pokona

Awdańca, a wówczas rzucą się na osadę kowala, zrabują bogactwo,

które tu było widoczne na każdym kroku. Chcieli też kobiet

Awdańców.

Zapytał ich Dago:

- Czy jest wśród was ktoś silny i czysty, aby mógł walczyć? Niech

weźmie młot i stanie naprzeciw Awdańca. Ale nie będzie to już walka o

wolność lub niewolę, ale o śmierć i życie.

Awdaniec podniósł swój młot z ziemi i stanął w rozkroku, czekając na

przeciwnika. Dygotały i napinały mu się mięśnie pod skórą. Żaden z

Lestków nie odważył się stanąć do walki i wojownicy przywołani

głosami rogów swoich dowódców zaczęli powracać do obozu nad

rzeką.

Zyfika podjechała do Dagona i rzekła pogardliwie:

- Nigdy nie stoczycie tej walki, ponieważ żaden z was nie potrafi być

czysty. Wiedziałeś o tym, Piastunie.

Odparł Dago:

- Sklavini mają bogów o trzech, czterech, a nawet siedmiu twarzach.

Znam wielu władców, Zyfiko i mogę ci przysiąc na Swaroga i Thora,

że honor władcy ma niezliczoną ilość twarzy.

Awdaniec zaś dostrzegł podziw w oczach swoich synów, żon, poddanych i niewolników. Nikt nie wiedział, że o świcie przybiegła do niego córka z brzuchem pełnym nasienia Dagona i szepnęła mu, co ma powiedzieć, gdy stanie do walki.

Dwóch swoich synów pozostawił Awdaniec w osadzie. Wyposażył w młoty piętnastu jeźdźców z kowalskich pomocników i swoich pobratymców. Sto pięćdziesiąt włóczni rozdano między Lestków. Ku wieczorowi cztery piętnastoosobowe konne oddziały były gotowe do wyruszenia w drogę. Dokąd - nie wiedzieli.

Albowiem w Księdze Grzmotów i Błyskawic w rozdziale o sprawowaniu władzy zostało powiedziane: "Nikt nie powinien znać prawdziwych zamysłów władcy, wielu zaś może myśleć, że zostali wyróżnieni jego tajemnicą".

Właśnie wzeszedł na niebo księżyc w nowiu, blado świeciły gwiazdy i dobrze się jechało szerokim gościńcem przez puszcze. Dzwoniły strzemiona, parskały konie, w mroku poszcze kiwały przerażone kozły. Sześćdziesięciu wojowników podzielonych na cztery grupy prowadził Awdaniec, któremu Dago wyjawiał cel wędrówki. Dago jechał obok niego razem z Herimem i Zyfiką.

- Prowadzisz, Piastunie, wielką rzeszę wojowników. Nie wiedziałem, gdy spotkaliśmy się pierwszy raz, że tak łatwo można sięgnąć po władzę - w zamyśleniu powiedział Herim.

Dago wzruszył ramionami.

- Tak łatwo, mówisz? Oto daję ci ją. Bierz i władać - zaśmiał się, uderzył konia ostrogami i popędził gościńcem, wyprzedzając Awdaćca i niktąc w ciemnościach nocy.

Herim poczuł radość.

- Słyszałeś, Zyfiku? On dał mi władzę. Słyszałeś? Sam mi ją dał - bełkotał, gdyż w głowie nagle pomieszały mu się myśli.

Zyfika skinęła głową.

- Wszystko słyszałem, Herimie. Dał ci ją, i mogę przysiąc. Jesteś jednak żywy tak długo, dopóki o tej darowiźnie nie powiesz tym, co jadą za nami. Roztrzaskają ci głowę młotami, posiekają twoje ciało mieczami.

- To prawda - zwiesił głowę Herim. - Ale dlaczego, Zyfiku? Dlaczego?

Zyfika milczała. Nie wiedziała, jaką dać odpowiedź Herimowi. Nie pojmowała bowiem, co to jest władza, skąd się brała i gdzie ginęła.

O świcie przybyli na skraj puszczy. Dalej ciągnęły się pola uprawne, porośnięte falującym na wietrze, już niemal dojrzałym zbożem. Stare,

dziwnie poskręcane wierzby obrastały jezioro Lendiców z dwiema

wyspami. Do jednej z nich prowadził drewniany most, a na łądzie za

niewysokim obwałowaniem wznosiła się także drewniana,

kwadratowa wieża. Za obwałowaniami, w pobliżu wieży widziało się

dachy stajen i domów dla wojowników. Ilu ich mogło strzec

Popiołowłosego?

- Wyślij na zwiady swojego kruka - rozkazał Dago kowalowi, zaś

wojownikom polecił, aby ukryli się na skraju puszczy. Na pewno na

wieży znajdował się strażnik, który obserwował okolicę.

Kruk latał przez dwie godziny, ale to tylko wykrakał Awdańcowi, że w pobliżu wieży są konie i ludzie, w wieży zaś mieszka jakiś starzec.

Pałuka i Kui doradzali Dagonowi, aby całym oddziałem nagle wpaść na most i opanować wyspę. Dago jednak odrzucił ich radę, ponieważ przybył tutaj nie po to, aby walczyć, ale rozmawiać.

- Ruszycie puszcza aż do drogi, która prowadzi z wyspy do Gniazda - rozkazał w końcu Dago. - Zaczaiście się. Jeśli ktoś od Helgundy albo od Popiołowłosego będzie się starał przebyć tę drogę, zabijecie go.

Następnie wziął z sobą jedynie Awdańca, Herima i Zyfikę, wybrał z worów na jucznym koniu jakieś wspaniałe dary, schował je do worka przy siodle i w samo południe czterech jeźdźców ruszyło w kierunku jeziora i mostu. Natychmiast dostrzeżono ich z wieży, gdyż zaraz zabrzmiał przeciągle krowi róg. Czterech jeźdźców nie stanowiło groźby dla załogi strzegącej Popiołowłosego, zresztą może to przybyli ludzie z Gniazda lub Poznani. Dlatego tak, jak się spodziewał Dago, tylko trzech Normanów z Jumna oczekiwało ich w połowie mostu.

Dago podniósł w pokojowym geście prawą dłoń i przemówił w języku donsk tunga:

- Jesteśmy poselstwem od Argaraspidów, którzy są dręczeni przez Mardów. Był pokój między nami i księciem Popiołowłosym oraz obietnica wzajemnej pomocy. Wieziemy dary dla Popiołowłosego i prośbę o pomoc.

Ani jeden z przybyłych nie miał na swej tarczy znaku Lestków, a

tarcza Zyfiki była pokryta srebrem, słowa Dagona brzmiały więc wiarygodnie. Jeden z Normanów, chyba ich przywódca, w hełmie, który mu zasłaniał nos, należał jednak do ludzi podejrzliwych.

- Czemu nie pojechaliście do Gniazda - powiedział niechętnie. - Skąd wiecie, że tutaj jest Popiołowłosy? On nie ma już żadnej władzy.

Rządzi Helgunda w imieniu jego syna, Aslaka. Ruszajcie do Gniazda.

- Czy Popiołowłosy nosi wciąż Świętą Andalę? - zapytał Dago. - Tak.

- Tedy tylko z nim możemy rozmawiać.

To mówiąc Dago wyjął z torby przy siodle złoty łańcuch, który dał mu Ludwik Teutoński i pokazał Normanowi.

- Pragniemy złożyć dary Popiołowłosemu i prosić go o pomoc przeciw Mardom. Argaraspidowic nie słyszeli o Helgundzie ani o jej synu, Aslaku. Co mamy uczynić z darami, ze złotem i drogimi kamieniami?

Norman był tylko prostym najemnym wojownikiem, który otrzymywał od Helgundy niezbyt wysoki żołd. Wydawało mu się czymś niezwykle sprytnym dopuścić tych ludzi do Popiołowłosego - niechaj złożą mu dary i otrzymają od niego obietnicę pomocy przeciw Mardom. Gdy odjadą, wszystkie dary przywłaszczy sobie on, przywódca straży. Zgodnie z poleceniem Helgundy, Popiołowłosy nie mógł mieć nic własnego, oprócz srebrnego kubka do miodu i posrebrzanego talerza, pokrytego brązem dzbana do wody, kilku lasek brązu i trzech monet Gotów. Nawet jego dwóm nałożnicom zabrano wszystkie drogocenne ozdoby.

- Imię moje Styr - przemówił Norman. - Pokój z wami. Zaprowadzę

was do Popiołowłosego.

*Zawrócił koniem i pozwolił czterem przybyszom wjechać w otwartą
bramę w obwałowaniach i zatrzymać konie tuż przy wieży.*

*Popiołowłosego pilnowało sześciu Normanów, a także pięciu
luczników oraz dziesięcioro niewolniczej służby. Dago bacznie
obserwował Styra i domyślił się, że tamten zastanawia się, czy w
obwałowaniach nie zaatakować przybyłych i zabrać ich dary. Ale
widok*

*białego i czarnego konia, na którym siedział przywódca poselstwa i
wojownik ze srebrną tarczą był dla niego złym znakiem. Nie wysłał
się z poselstwem byle*

*kogo. Ci ludzie zapewne potrafili świetnie walczyć. Szczególny
szacunek u Styra budził widok Awdańca z wielkim młotem w dłoniach
i czarnym krukiem na ramieniu.*

*Zsiedli z koni, które Dago powierzył opiece Awdańca. Potem złoty
łańcuch zawiesił na szyi Styra.*

- To, panie, dla ciebie ode mnie za to, że rozumiesz obyczaje poselskie.

*Skłonił się dworsko Styr, kalkulując w myślach, że posiadając ten
łańcuch będzie mógł natychmiast porzucić służbę u Helgundy i wrócić
do Jumna, a tam upijać się choćby przez rok.*

*- Zaprowadzę was do Popiołowłosego. Sam - rzucił to słowo w stronę
Normanów, którzy chciwie patrzyli na jego złoty łańcuch. Chciał być
sam przy tym, gdy posłowie złożą dary księciu, wybrać dla siebie
rzecz co cenniejszą, a dopiero resztą podzielić się z innymi. -*

Zawrzyjcie bramę - poleciał i dostawił drabinę do bardzo wysoko umieszczonych drzwi do wnętrza wieży.

Wdrapał się pierwszy, za nim poszedł Dago, Zyfika i Herim. Wnętrze budowli tonęło w półmroku. Drewniane schody, obiegające wieżę wiodły aż do małego przedsionka. Tam to, w izbie o jednym oknie z podłogą przypominającą klepisko, na drewnianej ławie przy prostym drewnianym stole, siedział władca Lendiców - książę Popiołowłosy, a za kotarą w rogu, kryły się dwie jego nałożnice.

- Poselstwo do ciebie, panie - łamaną mową Sklavinów przemówił lekceważąco Styr.

Książę Golub Popiołowłosy był starcem o długich popielatych włosach, pomarszczonej twarzy, drżącej nieustannie głowie i dygocących dłoniach. Na czole miał poczerńiałą od potu skórzaną opaskę z mętным kamieniem pośrodku.

Dago ukląkł na prawe kolano, pochylił głowę i rzekł w mowie Spalów, która była także mową Lendiców:

- Jestem Dago, syn Bozy z rodu Spalów. Zrodzony jestem ze zwykłej kobiety z rodu Zemlinów, ale począł mnie olbrzym Boza.

Przepowiedziano mi, że pewnego dnia ogarnięty Żądzą Czynów powrócę w swoje strony, aby objąć cały lud w swoje piastowanie.

Oddaj mi, książę, Świętą Andalę, a otrzymasz ode mnie wolność.

- Czy tym podstępem Helgunda chce mnie pozbawić nawet Andali? - spytał Popiołowłosy.

W tym momencie ostry sztylet Zyfiki wbił się w plecy Styra tuż pod

lewą łopatką i trafił w jego serce. Nie nosił pancerza normijski wojownik i nie spodziewał się śmierci. Teraz padł twarzą na klepisko i krew pociekła mu z ust.

Zdawało się, że nie zauważył tego Dago. Mówił dalej tym samym spokojnym głosem, wciąż klęcząc na jednym kolanie:

- Księżę i panie. Ja, Dago, gnany Żądzą Czynów przebywałem na dworze Rhomajów, gdzie poznałem Księżę Grzmotów i Błyskawic i nauczyłem się sztuki rządzenia ludźmi. Byłem w Nowej i w Starej Romie, siadałem do stołu z cesarzami i królami, a ich synów miałem za przyjaciół. Nie byłem i nie jestem niczym sługą, ale to wiem, że pora stworzyć tutaj potężne państwo.

- Po co tworzyć państwo? - przerwał mu Popiołowłósy. - Po co tworzyć coś, co zabiera ludowi wolność i zaczyna go uciskać jak ciężki łańcuch na szyi. Ten lud nie chce żadnego państwa.

Niecierpliwie i gniewnie odrzekł Dago:

- Lud nie zawsze wie, panie, co jest dla niego dobre albo złe. Bogowie przemawiają do ludu poprzez ich władców. Czy nie rozumiesz, że przyszedł czas, gdy na całym świecie tworzą się coraz nowe państwa i coraz mniej jest ziemi niczyjej? Jeśli nie zbuduję tutaj własnego państwa, przyjdą obcy i narzucą nam swoją władzę. Tak czy inaczej lud będzie w niewoli. Albowiem, panie, nie ma na świecie tylko samej wolności. Prawdziwą ceną wolności bywa także niewola. Możesz mi nie przekazać Świętej Andali, wiedz jednak, że twój dziad Nielub czynił dobrze, choć to się ludowi wydawało złe. Ty zaś czyniłeś zło, choć lud

myślał, że czynisz dobrze. Wiedz również, że jeśli nie przekażesz mi Świętej Andali, też podejmę spadek po księciu Nielubie i odbuduję tutaj potężne państwo, ponieważ tak mi każe czynić coś, czego nazwać nie potrafię. Daj mi Świętą Andalę, a otrzymasz to, co chciałeś dać ludowi: wolność dla siebie. Inaczej zginiesz z ręki Helgundy lub twego syna, Aslaka.

- Aslak nie jest moim synem - podniósł głos Popiołowłósy. - Helgunda zdradą i podstępem zbuntowała przeciw mnie moich synów, a potem ich otruli na uczcie. Jestem ostatnim Popiołowłósym, którego oglądają ludzkie oczy. Wstań, Dago, z klęczek i siadaj przy moim stole. Dago usiadł na ławie naprzeciw Popiołowłósego. Dopiero teraz zauważył, że książęca obszerna szata ze złotogłowiu jest brudna i podarta od starości, a kiedy starzec klasnął w dłonie, zza kotary pokazały się dwie postarzałe i ubrane w lachmany nalożnice.

Przyniosły srebrny i gliniany kubek oraz dzbanek z miodem. Tak Dago pojął, że ten władca obdarty został ze wszystkiego, nawet z majestatu władzy.

- Czego żądasz ode mnie oprócz Andali? - zapytał Popiołowłósy. -

Prawdy - odparł głośno Dago.

- Czy dla tej prawdy zabiłeś na moich oczach strażnika?

- Powiedziane jest, książę, w rozdziale o sprawowaniu władzy, że jeśli się chce uderzyć wroga, należy go uderzyć w samo serce.

Niebieskie oczy Popiołowłósego wydawały się wyblakłe i szare jak jego włosy. Ale po ostatnich słowach Dagona na chwilę odzyskały

swoją niebieską barwę, podobnie rozblysnął drogocenny kamień na jego czole.

- Jakiej prawdy żądasz? - głos Popiołowłosego stał się także donośniejszy. - Powiedz mi, panie, kto aż tak bardzo poniżył twój majestat. Popiołowłosa napelnił kubki miodem. Dago jednak odsunął od siebie

naczynie. Nigdy nie brał do ust napoju, jeśli go sam nie przyrządził albo go nie skosztował najpierw ktoś inny. Przybył tu po prawdę, a nie po miły szum w głowie wywołany miodem. I nawet gdy Popiołowłosa opróżnił swój kubek, on nie posmakował napitku.

- Opowiada się - zaczął znowu drżącym głosem książę Popiołowłosa - że przed dziesiątkami lat kraj Lendiców został nawiedzony przez nieurodzaj i setki myszy, które się wyległy. Obok nas żyli Gopelani, lud bogaty w żyzne ziemie i sól, która jest wielkim dobrem. Nie mieli Lendice czym płacić za sól i musieli obywać się bez niej, dlatego zaczęli sprzedawać się w niewolę Gopelanom. Aż przyszli do mojego dziada, Nieluba Popiołowłosego, który mieszkał w grodzie o nazwie Gniazdo i wybrali go księciem. Potem ruszyli na Gopelanów i bez trudu opanowali wszystkie ich grody i wszystkie ziemie, położyli ręce na warzelniach soli. Dziad mój, Nielub, patrzył daleko i widział wszystko. Napotkał człowieka, który mu powiedział, że zna sposób budowania grodów, które są mocniejsze od tworzonych z kamienia. Tak mój dziad posiadał tajemnicę budowania grodów ze skrzyń drewnianych, łączonych na specjalne zaczepy i wypełnionych gliną albo ziemią. W

niewolników obrócił Lendiców i Gopelanów i trzy potężne grody ich siłami zbudował. Swoje rodzinne Gniazdo, Poznanię i Kruszwic. Jak rygłem tymi warowniami zamknął drogi z Południa na Północ, ze Wschodu na Zachód, a nawet odwieczny trakt zwany "szlakiem lugijskim" oraz wziął w swoje ręce cały handel solą. Za to lud nazwał go Nielubem. Po nim nastął mój ojciec, książę Nielub II. Umocnił on owe trzy grody tak, że stały się nie do zdobycia. Uczynił jednak jeszcze więcej. Stworzył państwo i urzędników. Odtąd nie było już darowizn, ale każdy kto coś posiadał, choćby chatę, gród czy kawał ziemi, musiał płacić coroczną daninę na rzecz książęcego skarbu. Tak oto do wielkiej potęgi wojskowej doszedł mój ojciec. To on sięgnął ręką po rzekę Wisulę i uczynił z niej drogę w świat dla naszej soli i naszego prosa. Aż nastaly moje czasy i moje rządy. Nazwano mnie Golubem, gdyż zmniejszyłem coroczną daninę, aby lud mniej cierpiał od poborców. Zmniejszyłem liczbę naszych wojsk, a dwie warownie, Poznanię i Kruszwic, oddałem we władanie nie swoim dwunastu synom, ale największym rodom Powalom i Duninom, gdyż tak mi się wydawało sprawiedliwie. Nie uczono mnie sztuki rządzenia, nie wiedziałem, że chciwość ludzka nie zna miary i ten kto wiele otrzymuje, pragnie jeszcze więcej. Zbuntowali się przeciw mnie moi starostowie, Duninowie, Powaly i Łabędzie z Łądu, otworzyli granice dla najazdu Estów, dla najazdu Ludzi Skrzydlatych i Ludzi Długogłowych. Zagrożeni też jesteśmy od Mardów, którzy nadchodzą ze Wschodu. Dlatego zwróciłem się do władcy Jumna, księcia Hoka, i poprosiłem o

rękę jego córkę Helgundę. Przysłał mi ją wraz ze stu pięćdziesięcioma wojownikami. Mieli być to Sklavini, ale przybyli Normanowie, których języka nie znałem. Helgunda nigdy nie znalazła się w moim łóżu, otruła moich synów i bękartą Aslaka ogłosiła moim synem.

Zawarła umowę z Łabędziami i Powalami, mnie zaś zeszła do wieży.

- A twój lud, panie? Przecież nazwał cię Golubem.

- Powiedziałeś mi, że jesteś synem olbrzyma Bozy, ale zrodzonym ze

zwykłej kobiety z rodu Zemlinów. Czy nie wiesz, że Zemlinowie są

karłowatym rodem? Czy nie pojmujesz, że płynie w nas krew

olbrzymów i krew karłów? Są chwile, kiedy odzywa się w nas siła

olbrzymów, ale przychodzą lata, gdy karłowacieją nasze wielkie

myśli. Lud, którym pragniesz władać nienawidzi wszelkiej władzy i

posłuszeństwa wobec majestatu. Ta ziemia rodzi Lestków, którzy

zniszczą ten kraj jak kiedyś myszy zniszczyły plony Lendiców. Każdy

tu żyje pełen zawiści wobec rodu sąsiada, jego dostatku i urody żon.

Każdy nienawidzi każdego, nawet tego, kogo wczoraj nazwał

Golubem. Jestem zmęczony tą prawdą, Dagonie, i za cenę wolności

oddam ci Świętą Andalę. Znam miejsce, gdzie odpłynę jeśli dasz mi

łódź i trochę żywności. Odejdę w zapomnienie wraz z całym moim

dostatkiem: laskami brązu, trzema monetami Gotów, dwiema

kobietami. Chcę wieszczyć klęskę jako nieznany wróż. Czy pozwolisz

mi na to?

- Nie rozumiem, książę - rzekł Dago - dlaczego twój dziad i twój ojciec,

Nielubowie Popiołowłosi, nie nauczyli cię sztuki rządzenia ludźmi?

Czemu, gdy zbuntowali się przeciw tobie możni, nie skorzystałeś z prawa każdego władcy do swoistego nazywania ludzi i spraw? Mogłeś wszak zawołać do ludu: "Nielubowie i możni to Stare, a ja i wy, to Nowe. Spójrzcie na tłuste pyski możnych. Czy nie wypały się na waszej krzywdzie? Ja jestem Golub Odnowiciel". W ten sposób poderwałbyś ludzi do walki z możnymi, albowiem lud niczego tak chętnie nie zmienia, jak swoich możnych i z Nowym zawsze łączy nadzieje na poprawę swego bytu.

Golub milczał, a Dago pytał dalej:

- Potem zaś, gdy sprowadziłeś Helgundę i najmitów, a oni okazali się wiarołomni, dlaczego nie skorzystałeś z prawa każdego władcy do nakreślenia na ziemi magicznej linii dzielącej Obcych od Swoich, czarne od białego, wstrętne od pięknego? Mogłeś zawołać do ludu: "Obcy piją waszą krew, przez nich mrą niemowlęta, krowy dają mało mleka, zdychają woły, a kąkol pleni się w zbożu". Zawsze bowiem powinno się znajdować Obcych, aby ich lud mógł nienawidzieć.

- Znam sztukę nazywania ludzi i rzeczy - odparł Golub. - Ale do niej potrzebna jest jeszcze moc władcy, a mnie jej zabrakło. Liczyłem na wdzięczność ludu.

- Tak, książę. Jesteś człowiekiem, który myślał, że czyni dobrze, jeśli czyni dobro. Tymczasem powiada Księga Grzmotów i Błyskawic: "Upaść musi władca, który chce czynić samo dobro, gdyż ludzie nie są z natury dobrymi". Powiada też ta księga: "Kto buduje na wdzięczności ludu, ten buduje na błocie". Oraz: "Nie skarż się, władco,

na swój lud, ale go ujarzmij i naucz jak ma cię szanować". A teraz

pozwól, panie, że cię zapytam: Jak zdobyć twoje grody?

- A w jaki sposób dostałeś się do mnie?

- Dałem złoty łańcuch Styrowi, który cię pilnował.

- Pokaż sto złotych łańcuchów, a wszystkie grody otworzą przed tobą

swoje bramy. Czymże jest bowiem władza bez bogactwa? Tak, dam ci

Andałę, jeśli przysięgasz, że będziesz pamiętał: masz w sobie nie tylko

krew olbrzymów, ale także krew karłów, która odezwała się we mnie i

spowodowała wszystkie moje nieszczęścia.

Dago poczuł w sobie okropny chłód. A więc to była prawda, że krew

karłów czyniła człowieka małym, a krew olbrzymów czyniła wielkim.

Jaką on, Dago, miał pewność, że ojcem jego był olbrzym Boza? Czy i w

nim, Dagonie, też kiedyś odezwie się krew karłów i stanie się

malutkim człowieczkiem?

- Książę - powiedział szeptem, drżącymi wargami z trwogi. -

Dokonałem już wielu nadludzkich rzeczy, aby udowodnić sobie, że

płynie we mnie krew olbrzymów. Stworzę dzieło ogromne na miarę

olbrzyma i nigdy nie dopuszczę do tego, aby dostęp do mnie miała

słabość, która płynie z krwią karłów.

Zamyślił się Popiołowłósy, a potem zapytał:

- Jak zowiesz to dzieło ogromne, które pragniesz stworzyć? - Państwo.

- A czym jest państwo? Czy nie tworzy się je po to, aby broniło

słabszych przed silniejszymi?

- Tak, panie. Ale po to, aby było państwo, muszą być podatki, daniny,

obciążenia. Potęgę swego państwa muszą dźwigać na swych barkach jego poddani.

- Chcesz więc zabrać ludowi wolność? Chcesz zniszczyć to, co ja uczyniłem? - Nie wiem, co to jest wolność, panie. To, co ty ofiarowałeś ludowi jest samowolą. Nielubowie Popiołowłosi zaczęli poskramiać ludzką samowolę i lud oswajali do życia w państwie. Ty zaś, panie, wypuściłeś na łąkę oswojone zwierzęta, które same już paść się nie potrafią. Tę twoją wolność chciałeś podzielić między lud, a przecież zagarnął ją nie lud, tylko możni. Ja natomiast, panie, wiem, że należy poskromić samowolę możnych i samowolę ludu. A jeśli awet jest coś takiego, jak wolność, to nie można jej obdzielić między wszystkich, gdyż jest jej za mało. Nawet jednowładca nie bywa wolny, gdyż ogranicza go sprawa jego państwa. Tak więc żadna władza nie bywa nieograniczona, nieograniczona może być jedynie samowola.

Na twarzy Popiołowłosego widać było wahanie. Nie potrafił zapanować nad mową swoich dłoni, które opierał o stół, lekko poruszając palcami, co znaczyło, że gotów jest sięgnąć po Świętą Andale, zdjęć ją z głowy i oddać Dagonowi, ale coś go jeszcze powstrzymywało. Wtedy rzekł Dago:

- Wolności, panie, jest na świecie tyle, ile jej każdy człowiek nosi w sobie, a może jeszcze mniej. Ja mogę ci ofiarować tylko tyle wolności, ile weźmiesz w swoje dłonie i odejdiesz stąd w nieznane. Weź ją, panie, póki czas, bo być może jutro nie tylko nie otrzymasz tej małej garści, ale nawet zabiorą ci życie.

Wtedy Popiołowłosy zdjął z głowy przepaskę ze skóry, położył ją na stole i podsunął w stronę Dagona. A on włożył ją na swoje białe włosy i nagle wszyscy ujrzeli jak mętny kamień na rzemieniu rozbłyскуje słonecznym blaskiem. Podniósł się Dago i odwrócił w stronę Zyfiki i Herima. Kamień na jego czole błyszczał tak mocno, że aż przymrużyli oczy i widząc przed sobą władcę, bezwiednie osunęli się na kolana.

- Piastunie, panie i władco, który nosisz Świętą Andalę - powiedziała Zyfika. - Okaż nam pomoc przeciw Mardom. Otrzymasz za to wóz pełen złota. Herim bełkotał coś niewyraźnie, przypominając sobie jakieś łacińskie zwroty o świętości władzy. Dago zaś rzekł do księcia:

- Szykuj się do drogi, panie. Wkrótce czeka cię wolność.

A potem kiwnął ręką na Zyfikę i Herima i opuścił izbę Popiołowłosego.

Herim pośpiesznie zdarł złoty łańcuch z szyi zabitego Styra.

Wyszli na zewnątrz. Pięciu Normanów grało w kości, przycupnąwszy na ziemi w cieniu wielkiej wieży.

- Trzeba ich zabić - Dago rozkazał Awdańcowi i wyjął z pochwy swojego Tyrfinga. A potem dwa pancerze normańskie zmiażdżył młot Awdańca, Tyrfing odrąbał głowę trzeciego Normana, Zyfika ustrzeliła dwóch łuczników na obwałowaniu wieży. Reszta wojowników rzuciła się do ucieczki przez most, ale nikt ich nie ścigał, ponieważ wiedział Dago, że na drodze do Gniazda czeka na nich Pałuka i Kui.

Niewolnicy wyciągnęli na wodę wielką łódź dłubankę. Wypełnili ją worami z żywnością, plackami i prosem. Zszedł z wieży Popiołowłosy i jego dwie nałożnice. Wtedy Dago kazał zamknąć w chatach

niewolników i gdy zachodziło słońce, wskazał Popiołowłosemu łódź na jeziorze.

- Puszczasz go wolno, panie? - zdumiał się Herim. - Każdy władca na wolności pozostaje wielkim niebezpieczeństwem.

- Zamilcz - niemal warknął na niego Awdaniec. - Zamilcz, ponieważ jesteś tu obcy i nie znasz naszych starożytnych praw. Nie można założyć na głowę Świętej Andali, jeśli przelało się choć kroplę krwi władcy. Czy wiesz, co się dzieje, gdy zaczyna rządzić samozwaniec? Wszystko dookoła niszczy, plony są marne, bydło nie rozmnaża się, a ludzie chorują.

Dago spojrzał uważnie na Awdanę. Kowale nie tylko zajmowali się czarami, znali także starożytne prawa. O tym, jak należy przejść Andalę powiedziała mu jedynie Zely. Czyżby i w Awdanę płynęła odrobina krwi Spalów, którzy, jak to twierdziła Zely, mieli w sobie krew zaginionego ludu Celtów, dlatego byli jasnowłosi i o białej cerze. Awdaniec był czarny i kędzierzawy, znał jednak owe starożytne celtyckie prawo. To przecież Celtowie podjęli z ziemi kawałek słońca i uczynili z niego Andalę, zanim zniknęli w mrokach dziejów, a raczej - o czym dowiedział się od Rhomajów - odeszli na Zachód i na Północ. Wcześniej wszedł księżyc i rozlała się po jeziorze struga jego złotawego blasku. Tą strugą odpłynął Popiołowłosey wraz ze swymi dwiema nałożnicami, laskami brązu i trzema monetami Gotów. Dago długo śledził łódź na jeziorze, a potem słuchał plusku wiosel w drżących dłoniach księcia. A gdy nastąpiła zupełnie cisza, wypuścił z

chat niewolników i wskoczył na swojego białego konia. To samo

uczynił Herim, Awdaniec i Zyfika.

Ponad tysiąc lat później poeta wspomniał Popiołowłosego i poświęcił

mu pieśń oddającą jego chwałę:

"... I jemu, odtąd zniknionemu,

Który miał w skarbcu trzy monety

Gotów

I laski brązu, jemu, który odszedł

Gdzie, nie wiadomo..."1

- Co się stało z Popiołowłosym? - ośmielił się zapytać któryś z

niewolnych sług. Dago uśmiechnął się. Po raz pierwszy od wielu dni.

- Powiedzcie ludowi... - zaczął, i po chwili dodał: - Powiedzcie ludowi

że Popiela zjadły myszy.

Cmoknął na konia i pierwszy popędził przez most. Za nim z głośnym

tętentem kopyt na okrągłakach pogalopowali jego towarzysze, a owo

dudnienie wydawało się niewolnej służbie jakby grzmiotem

oddalającej się burzy.

Awdaniec zbliżył się do Dagona i zapytał go szeptem:

- Czy powiesz, panie, Lestkom, że wolno puścić księcia?

- Andala jest znakiem władzy Piastuna, Awdańcu. Popiela zaś zjadły

myszy. Lestkowie nienawidzą książąt i kochają wolność. Nie będzie

tutaj książąt, ale Piastunowie. Proś bogów, Awdańcu, aby twoja córka

urodziła dziecię. Bo wtedy twój ród i mój ród zostaną z sobą

spokrewnione.

*Awdańca olśniła nagle myśl, która uczyniła jego głowę tak jasną, jak
lucywo czyni jasność w ciemnej izbie.*

*- Nigdy nie będziemy z sobą walczyć na młoty, Piastunie. Pozwól mi
ucalować kraj twojego białego płaszcza. Zrozumiałem cię wreszcie i
pokochałem całą duszą. Jutro każę nieść za sobą proporzec z białym
ptakiem. Popiołowłosego zjadły myszy, ty zaś, panie, myszy
przemienisz w wilki, a potem w woły robocze, w wojowników i tysiące
włóczni.*

*- Niech tak się stanie - rzekł Dago i podał Awdańcowi skraj swej szaty
do ucalowania.*

W kilka lat później napisał Herim w swej kronice życia Dagona:

*"I tak oto książkę Golub Popiołowłosy, w którym po matce krążyła
krew karłów, nie był zdolny do sprawowania władzy i państwo jego
rozpadło się na trzy części. Wtedy to Popiołowłosy, nie widząc
ratunku dla kraju i ludu, przekazał dobrowolnie swoją Świętą Andagę
młodemu panu Dago Piastunowi, w którym po ojcu płynęła krew
olbrzymów. Odtąd Piastun nosił na białych włosach przepaskę ze
świętym kamieniem, a dla podniesienia swego majestatu z juków
wyjął strój wspaniały: skórzane spodnie, kaftan skórzany i długie
czerwone buty z babilońskiej skóry, połączony pancerz i zwyczajem
królów biały płaszcz rozcinany, na prawym ramieniu spięty
drogocenną fibulą. Swój zaczarowany miecz nosił na rzemieniu przez
ramię przerzuconym, ale miał także biały pas, który opadał mu na
biodro. Tak strojny trzymał zawsze przy sobie wojownika, który niósł*

włącznie z proporcem i wymalowanym białym ptakiem, znakiem

wolności. Albowiem Piastun nade wszystko miłował wolność ludu".

ROZDZIAŁ DWUNASTY - BAZYLI

Było odwiecznym zwyczajem władców, że dla zapewnienia sobie

bezpieczeństwa, z lęku przed spiskami najbliższych i ludzi możliwych,

otaczali się Gwardią Przyboczną złożoną z ludzi niezwykle

walecznych, lecz obcych. Ci to wojownicy, niekiedy zupełnie nie

znający języka kraju, w którym im żyć wypadło, wyobcowani ze

społeczeństwa, ale otrzymujący wysoki żołd, czuli się na śmierć i życie

związani z tym, którego mieli bronić. Tak na przykład, cesarz Kaligula

miał swoją gwardię złożoną wyłącznie z dzikich Germanów, podobnie

też poczynali sobie cesarze Rhomajów. Ogiś ich gwardię i prywatną

armię cesarską tworzyli Goci, potem zaś Gepidzi, z czasem zastąpieni

przez walecznych Sogdów z Sogdyjskiego Kraju. Cesarz Michał III, za

radą swego przyjaciela i Wielkiego Koniucha, Bazylego, postanowił

stworzyć gwardię przyboczną ze słynnych z waleczności Ascomannów

zwanym na południu Warjagami lub Waregami od przysięgi

"Variar", którą między sobą składali. Aż do dalekiego Hedeby na

półwyspie Jutów wysłał cesarz Bazylego, aby mu wielką drużynę

przywiódł i do cesarskiego pałacu wprowadził. Długo płynął Bazyli do

Hedeby, a gdy tam zwerbował trzystu pięćdziesięciu Ascomannów i

przysięgę wierności od nich przyjął, siedem dni płynął na trzydziestu

pięciu okrętach wzdłuż południowego brzegu Morza Sarmackiego

zwanego też Ostsea albo Baltiką. Tak znalazł się u ujścia Visuli i

zobaczył gród Gedana. Od niego postanowił-Bazyli zakupić żywność dla swojego wojska, gdyż czekała ich jeszcze bardzo daleka podróż wokół półwyspu Domesnes, rzeką Newą, a także Wołchow do rzeki Hypanis zwanej też Donapr. Spieszyło się Bazylemu, ponieważ już trwała jesień, a zimy na wschodzie bywały niezwykle surowe.

Zląkł się książę Gedan tak wielkiej ilości okrętów i wojowników u granic swego księstwa, tedy zezwolił Bazylemu, aby okręty zacumowały przy lewym, niezamieszkałym brzegu Visuli i rozkazał dostarczyć im żywność. Lecz Wielkiego Koniucha cesarza Rhomajów nie wypadło mu nie przyjąć gościnnie w swoim grodzie. Wysłał więc po Bazylego specjalną łódź i Wielki Koniuch w otoczeniu trzech nowo zwerbowanych Waregów przybył na ucztę do księcia Gedana, gdzie przyjęty został z wielkimi honorami.

Bazyli był roslym i bardzo silnym mężczyzną, o ciemnej i krótko przyszczyżonej brodzie, o czarnych gorejących oczach. Ubrał się w purpurowy strój haftowany złotymi nićmi, na sobie miał pancerz z pozlacanej blachy, a w wysadzanej drogimi kamieniami pochwie nosił miecz z damasceńskiej stali. Na jego głowie widniał złoty hełm z pawimi piórami. Mówił swobodnie w mowie Sklavinów, ponieważ, jak to oświadczył Gedanowi, urodził się w kraju zwanym Makedonia, zasiedlonym przez ludy sklavińskie. Nie ukrywał, że wywodzi się z prostej rodziny i tylko łaska cesarza wyniosła go aż do godności Wielkiego Koniucha. Na palcu lewej ręki ciągle obracał złoty pierścień z rubinem, znak łaski cesarskiego wuja, wielkiego wodza Bardasa,

którego zresztą w kilka lat później zasztyletował na oczach cesarza.

Był bowiem Bazyli nie tylko silny, ale przebiegły i okrutny. chętnie brał miecz do ręki, ale nie gardził trucizną oraz damasceńskim sztyletem.

Tego to człowieka po uczcie u księcia Giedana wyprowadził wróż

Gwido na wysokie obwałowania grodu i pokazał mu najpierw zielonkawe fale morza, bijącego o brzegi i staczającego nieustanną bitwę z wodami Visuli, a później przechadzającego się po brzegu samotnego młodzieńca o bardzo białych włosach.

- Czy mógłbyś, Wielki Koniuchu cesarza Rhomajów - zaczął rozmowę

Gwido - dopomóc w naszym kłopotcie i kazać swoim trzem wojownikom, aby zabili tego oto młodzieńca?

- Cóż on zawinił? - spytał Bazyli i obrócił pierścień na swoim palcu. -

Uratował od śmierci córkę księcia Gedana i należy mu się od nas wdzięczność. Ale gwiazdy mówią, że ten człowiek w przyszłości może mieć wpływ na losy naszego księstwa, dlatego powinien zginąć.

- Kim on jest?

- Mówi o sobie, że pochodzi z kraju Spalów i jest synem olbrzyma, zrodzonym jednak ze zwykłej kobiety. Kraj Spalów, Wielki Koniuchu, znajduje się gdzieś na południu, w połowie biegu rzeki Visuli.

Bazyli lubił patrzeć na walkę, a nawet na zabijanie ludzi. Ze swej drogi do władzy usunął wielu albo swoim mieczem, albo sztyletem.

Nie przejęły go wywody Gwida, świadczące o wielkiej niewdzięczności księcia Gedana. Czym bowiem była wdzięczność? W kilka lat później

własnymi rękami zadusił cesarza Michała III i sam został cesarzem, dając początek dynastii zwanej Makedońską.

- Czy książę Gedan nie ma dosyć wojowników, aby zabić tego młodzieńca? - zapytał, znowu obracając złoty pierścień na swoim palcu.

- Nie chcemy, aby na nas spadła jego krew. Ty, panie, masz pod swoimi rozkazami obcych ludzi. Niechaj to z ich ręki zginie i niechaj na nich spadnie jego krew. W zamian, książę Gedan nie weźmie żadnych opłat za żywność, którą dostarcza się na wasze okręty.

- Dobrze- zgodził się Bazyli, następnie gwizdnął lekko w wiszącą na piersi piszczałkę i zaraz przybiegło trzech jego Waregów.

- Zabijcie go! - wskazał im palcem młodego człowieka przechadzającego się nad brzegiem morza.

Było popołudnie i słońce jasno oświetlało złoty piasek na brzegu.

Zatrzymał się Bazyli na wysokim obwałowaniu grodu i pomyślał, że widok walki sprawi mu większą przyjemność niż uczta u Gedana. Z daleka od cesarskiego dworu niewiele zaznał przyjemności, czekała go nudna i długa podróż. Czy ta walka nie była godziwą rozrywką dla takiego mężczyzny jak on?

- Będziesz patrzył razem ze mną - rzekł rozkazująco do Gwida, który zawstydzony tym, co się miało stać na brzegu morza, chciał odejść.

- Doniesiono mi, że ów młodzieniec opowiada o sobie, że będzie wielkim władcą - powiedział Gwido, jak gdyby usprawiedliwiając się przed własnym sumieniem.

Bazyli pogłaskał czarną bródkę i uśmiechnął się:

- Poprosiłeś mnie, abym zabił przyszłego władcę. A co będzie, jeśli on mówi prawdę?

- Trup nie może być władcą - odparł Gwido.

- Tak. Ale on nie jest jeszcze trupem - oświadczył Bazyli i pożałował, że posłał trzech Waregów, aby zabili tego człowieka. Zainteresował go ów osobnik i jego słowa. Za dużo wiedział o Frankach i ich potędze, aby nie myśleć, że tylko wielcy władcy kraju Sklavinów mogą zatrzymać ich napór na ziemię Rhomajów.

Zobaczył trzech Waregów idących ku przechadzającemu się młodzieńcowi. Przez moment Bazyli chciał dmuchnąć w swoją piszczalną i zawrócić ich z drogi. Ale był zbyt dumny, aby odwoływać rozkazy.

- Patrz! - polecił Bazyli wróżowi Gedana.

Trzech Waregów znajdowało się już tylko o pięć kroków od młodzieńca o białych włosach, który zdawał się nie dostrzegać ich nadejścia. Nagle przyklęknął i podjął dużą muszlę z piasku, odwrócony plecami do nadchodzących. A oni wyjęli miecze i jeden z nich w języku donsk tunga wydał ze swej piersi okrzyk do walki:

"Knyjum! Knyjum!"

Waregowie nosili kolczugi, hełmy z rogami byków, tarczami okrywali jedno ramię. Dlatego młodzieniec z półprzysiadu z nagła wydobyłym mieczem uderzył ich po goleniach, a potem uskoczył i znowu z przysiadu dokończył dalszego strzaskania goleni. Następnie, gdy oni

padli na piasek, kolejno ucinął im głowy, które w swych hełmach toczyły się po piasku w stronę morskich fal. Złoty piasek pokrył się krwawymi plamami, tułów każdego z trzech Waregów przeżył się jak ryba wyrzucona na brzeg.

Gwido zakrył twarz dłońmi, tak go poraziła ta walka na brzegu.

- Oszukałeś mnie, wrózu - pogardliwie powiedział Bazyli i

wyciągnąwszy zza pasa damasceński sztylet wbił mu go w brzuch. A

potem zbiegł z obwałowań i wyszedłszy przez otwartą bramę grodu

przebył most i wsiadł do łodzi, która go rzeką przewiozła aż do

morskiego brzegu, gdzie wciąż jeszcze Dago stał nad ciałami zabitych.

Zbliżając się do młodzieńca Bazyli ani przez chwilę nie okazał lęku, ale wielką ciekawość.

- Pokój z tobą, panie - powitał Dagona Wielki Koniuch, unosząc prawą

dłoń na znak pokoju. - Jestem Bazyli, który tu przybyłem z Waregami

w drodze do cesarza Rhomajów. Zabijeś trzech moich wojowników.

Drogo za nich zapłaciłem w Hedeby. Będziesz mi musiał ich zastąpić.

- Napadli na mnie, wielki panie - odrzekł Dago, chowając Tyrfinga do pochwy.

- Mówisz prawdę. Sam to widziałem. Ale cesarzowi Rhomajów będzie brakowało trzech wojowników.

Młodzieniec wyprostował się dumnie i poruszył głową aż jego jasne zwichrzone w walce włosy ułożyły mu się na ramionach.

- Nie jestem najemnym wojownikiem, panie. Ale wraz ze mną burza morską przygnała tutaj trzech Ascomannów i niewiastę jednego z

nich. Mówili mi dziś rano, że chętnie wyruszyliby z tobą.

- A ty? - zapytał Bazyli.

Dago pokazał wyciągniętą ręką południową stronę nieba.

- Tam jest moja ziemia. Tam chcę wrócić, aby zostać władcą. Wzruszył ramionami Bazyli i rzekł pogardliwie:

- Na dworze cesarza Rhomajów wiemy o każdym zakątku ziemi. Tam, gdzie wskazałeś są tylko puszcze i bagna, krainy bezludne albo zamieszkałe przez ludzi dzikich, którzy żadnej władzy nie uznają. Dopiero za górami Karpatos znajduje się państwo zwane Wielka Morawa.

- Mylisz się, panie. Szkoda, że nie widziałeś jak latem i wczesną jesienią napływają tutaj Wisulą statki pełne soli, zboża, wosku i miodu.

I przypomniawszy sobie słowa Zely, powiedział jednym tchem:

- Tam, na południu jest rzeka Notecz, która wpada do Warty, a potem do Viaduy. Tam ma swój środkowy bieg Wisula, która uchodzi do morza u grodu Gedana. Takie są granice księstwa Popiołowłosego. Obok jednak żyje wiele ludów i państw plemiennych, mówiących tą samą mową: Zuireani, Busani, Sittice, Sebirocci, Unlice, Neriuni, Vilerocci, Zabroci, Znatelici, Pyrysianie, Luboszanie, Ślężanie. Na północ od gór Karpatos znajduje się państwo Wisulan z wielkim grodem zwanym Karradonon. Przepowiedziano mi, że wszystkie te ziemie i ludy zjednoczę oraz zostanę ich władcą.

- Mówisz prawdę - skinął głową Bazyli. - Są takie ludy i takie państwa,

i my wiemy o nich, ale czy nie zostało powiedziane w przepowiedni o twym panowaniu, że jest także cesarstwo Rhomajów, którzy zechcą cię nauczyć sztuki rządzenia ludźmi?

- Co im przyjdzie z tego, że mnie nauczą owej sztuki? Bazyli znowu wzruszył ramionami:

- Zabiłeś trzech ludzi z mojej ochrony. Jestem teraz bezbronny i każdy może mnie zabić. Weź mnie pod opiekę młodzieńcze i odprowadź na łódź albowiem grozi mi niebezpieczeństwo, ponieważ przed chwilą zasztyletowałem wróża Gwido, który polecił cię zabić.

- Dlaczego? - zdumiał się Dago.

- Być może tak mu kazały uczynić gwiazdy - odparł Bazyli. - Być może to gwiazdy kazały, abym cię spotkał i poznał. Być może to ja nauczę cię sztuki rządzenia ludźmi. Być może gwiazdy każą, abys stworzył wielkie państwo na północ od gór Karpatos i w przymierzu z cesarzem Rhomajów zagroził drogę Frankom, tak, jak po drugiej stronie gór Karpatos czyni już władca Wielkiej Morawy. ,

Bazyli mówił głosem łagodnym i śpiewnym, który urzekał Dagoną. Od jego rosłej postaci, bogatych szat i spokojnej twarzy emanowała ogromna siła. Dlatego gdy ruszył przed siebie Bazyli, poszedł za nim Dago, aż znaleźli się w łodzi, która ich przewiozła na drugi brzeg Visuli, gdzie cumowały okręty cesarza Rhomajów. Największy z nich miał pośrodku namiot z kunsztownie tkanych kotar i wypełniony przedmiotami zbytku.

- Tu będziesz mieszkał wraz ze mną, aby mnie strzec - powiedział

Bazyli.

Potem rozkazał wysłać łódź po Hlodra, Astrid i dwóch uratowanych z burzy morskiej ludzi Sveriego. Szczególnie Hlodr spodobał się Bazylemu. Natychmiast odkrył w nim wojownika zaprawionego w wielu wyprawach morskich i walkach. A gdy dowiedział się, że Hlodr pływał już szlakiem Waregów, rzeką Wołchow i rzeką zwaną Donaprem albo Borystenes aż do Pontyjskiego Morza, oddał mu jeden z okrętów pod dowództwo, gdyż nie chciał polegać wyłącznie na przewodnikach greckich i ruskich, których mu dano na dworze cesarza Rhomajów.

Wyruszyli o świcie następnego dnia. nie żegnając księcia Gedana, do którego Bazyli poczuł niechęć. Nie chciał też tłumaczyć się dlaczego zabił Gwido. Hlodr nakazywał pośpiech i wybrał drogę wzdłuż brzegów, na które można się było schronić w czasie częstych o tej porze roku sztormów morskich. Wyznał Bazylemu, że był już w słynnym mieście Holmgardr zwanym Nemogardes, i ostrzegł, że jeśli nie dotrą tam na początku miesiąca spadania liści, mogą napotkać tak straszną zimę, że ślina będzie zamarzać w locie. Zima skuje lodem rzeki i nie dostaną się do wielkiego miasta księcia Kyja, skąd już tylko krok był do Pontyjskiego Morza i ciepłych stron. Płynęli więc dniem i nocą, korzystając z żagli i posługując się wiosłami, smagani lodowatym wiatrem nadlatującym z północy. Bazyli, przywykły do ciepłego powietrza Południa, niemal nie wychodził ze swego namiotu i okryty futrem, pólleżąc na łożu, zabijał czas rozmowami z Dagonem i

picciem cypryjskiego wina. Podczas tej długiej drogi dowiedział się Dago od Bazylego historii państwa Rhomajów, usłyszał o granicach ich ziem i wpływów oraz o ich słabościach i źródłach potęgi. Powiedział mu Bazyli, że największym ongiś państwem na świecie była Roma, otoczone murami miasto - państwo położone w Italii, które zdołało podbić i podporządkować sobie Galię, Hiszpanię, połowę Brytanii i część Germanii, Raetie, Panonię, Dalmację, Moesję, Trację, Makedonię, Epirus, Achaie, Azję, Kapadokię, Syrię, Palestynę, Egiptus, Libię, Cyrenajkę, Afrikę, Procons, Numidię, a nawet Mauretanię. Tylko część Germanii, ludy Scandii i Sklawini pozostali wolni od panowania Romy. Jej potęga jednak zaczęła potem chylić się ku upadkowi, albowiem władców, czyli cesarzy, zaczęli wybierać wojskowi, niekiedy na dni kilka lub kilkanaście, na tak długo jak im się wysługiwali. Na Romę uderzały też coraz większe fale wojowniczych Germanów, spragnionych jej bogactwa. Dlatego widząc, że upadek Romy musi nieuchronnie nadejść, cesarz Konstantyn zbudował nową stolicę w miejscu do tego celu najbardziej dogodnym, na półwyspie, na samym krańcu lądu zwanego Europą - u południowego wylotu Bosforu, z naturalnym portem Złotym Rogiem, gdzie ongiś był gród Byzis. Od zachodu i północy miały bronić nowej Romy mury wzniesione przez Konstantyna, pozostała część miasta posiadała granice naturalne, które tworzył Złoty Róg, Bosfor i morze zwane Marmara. Na Starą Romę uderzyli potem dzicy Hunowie i znowu Germanie, aż wreszcie cesarz Teodozjusz Wielki podzielił

państwo Romy na dwie części: Zachodnią, ze stolicą w Starej Romie, i Wschodnią ze stolicą w mieście Byzisa nad Bosforem, gdzie zbudował Wielkie Mury. Stara Roma padła wreszcie łupem Germanów, a wódz Herulów, Odoaker, insygnia cesarskie odesłał do Nowej Romy, która stała się odtąd jedyną prawdziwą Romą, spadkobierczynią tamtej, dawnej.

Nowa Roma, rządzona przez wielkiego cesarza Justyniana, odzyskała niemal wszystkie terytoria należące ongiś do Starej Romy, lecz za jego następców Longobardowie odebrali Italię, Sklavini weszli do Tracji, Makedonii, Moesi, a nawet Achai. Musliminowie zaś zdobyli Palestynę, Syrię i Egipt. Ze wschodu nadeszli także Bułgarowie i usadziwszy się w starożytnej Maezji, zawarli sojusz ze Sklavinami zagrozili miastu Byzisa.

- Był czas, gdy cesarze Nowej Romy - opowiadał Bazyli - zapomnieli o tym, że są spadkobiercami Starej Romy, zapomnieli niemal o lądzie zwanym Europą. Oto urosło w potęgę Państwo Medów, czyli Persów, a gdy wreszcie udało się złamać jego moc, zrodziła się nowa siła, Musliminowie zwani też Uległymi. Byli to jednak ludzie ulegli tylko wobec woli swego Boga zwanego Allachem i jego proroka Mahometa, twardzi i nieustępliwi wobec niewiernych, jak nazywali chrześcijańskie ludy Nowej Romy. Przez prawie dwieście lat cesarze Nowej Romy musieli przelewać krew w walce z Medami, a potem Musliminami, zapominając o Starej Romie oraz należnymi nam po niej dawnymi posiadłościami. Czy jesteś chrześcijaninem, Dagonie?

- Tak, panie. W Druzo zostałem ochrzczony i otrzymałem imię Dago. -

Nowa Roma to państwo chrześcijańskie, z najpiękniejszymi kościołami i jedyną prawdziwą religią Chrystusa. Zapamiętaj sobie bowiem, że liczne ludy, z których każdy włada innym językiem i inne posiada obyczaje, zjednoczyć można jedynie poprzez religię. Tylko że tak naprawdę nigdy nie było też jednej prawdziwej religii chrześcijańskiej. Inną jej odmianę zaczęli wyznawać mieszkańcy Starej Romy i ich germańscy władcy, a w Nowej Romie do walk wewnętrznych doszło między tymi, którzy malowali na ścianach świątyń i na drewnianych deskach wyobrażenia Chrystusa, Jego Ojca, Ducha Świętego i Matki Chrystusowej, a tymi, co się temu przeciwstawiali. Owe obrazy jedni uznawali za wyraz pogaństwa, a inni widzieli w tym przejaw świętości, wierząc, że ten kto tworzy obraz Boga, jest przez Boga natchniony. Ale po kilkudziesięciu latach zapanował u nas spokój wewnętrzny, zwyciężyli bowiem zwolennicy obrazów świętych. Tak oto nadszedł znowu czas, gdy zwróciliśmy ponownie swoje oczy ku Starej Romie. Tymczasem wielki wódz Franków zwany Karolem zbudował już ogromne państwo na gruzach Starej Romy i zapragnął stworzyć z wielu narodów jedno wielkie Państwo Boże. Któż miał jednak rządzić w owym Państwie Bożym? Frankońscy cesarze, papież czy cesarze rromańscy? Była chwila, kiedy myśleliśmy, aby połączyć się z Karolem Wielkim i cesarzową z Nowej Romy oddać za żonę Karolowi. Nie zawiodła nas jednak ostrożność. Tak długo istniało państwo Franków, jak długo stało

Karola Wielkiego. Po jego śmierci pokłócili się jego synowie i wnukowie, ponieważ jest zwyczajem Franków dzielić państwo między wszystkich synów. Cóż wyszło z myśli o Państwie Bożym? Co kilka miesięcy wybierają w Starej Rzymie nowego papieża i co jakiś czas mordują go trucizną lub sztyletem. U nas głową państwa i władcą Kościoła jest cesarz, a władza przechodzi z ojca na syna. Wyznacza się też patriarchę, to jest najwyższego zwierzchnika Kościoła. Teraz jest nim Focjusz. Powiadają papieżowi Starej Romy, że Duch Święty pochodzi od Ojca i "od Syna". Nasz patriarcha Focjusz uczy, że Duch Święty pochodzi od Ojca "przez Syna". To jedno słowo, które w języku zwanym łaciną brzmi "Filioque" rozdzielić może na zawsze nasze państwa i kościoły.

- Czy warto przez jedno słowo dzielić państwa i kościoły? - zapytał

Dago. - Gdybym był władcą i gdyby to było mi wygodne, oddałbym Focjusza pod sąd. Bo to, co ci opowiadam jest tylko uzewnętrznieniem się prawdziwych, choć ukrytych sił. Owe zaś siły to handel i wyroby ludzkich rąk. Albowiem rękodzieło i handel to istota wszystkich rzeczy. Dla nas, Rhomajów, najważniejszym celem jest utrzymanie dróg handlowych do państwa zwanego India, bo dzięki nim mamy jedwab z państwa Serów, korzenie i przyprawy, indygo i heban, drogocenne kamienie i złoto, mirę, kadzidło i kość słoniową.

Najłatwiej podporządkować sobie inne potęgi, jeśli ma się w ręku to, co jest im potrzebne: rubiny z Badachschanu, tkaniny Hunów, buty ze skóry babilońskiej, daktyle z Mezopotamii, a przede wszystkim złoto.

Dużo złota, Dagonie. Zapamiętaj, że władca, który ma dużo złota, może mieć wielu żołnierzy i prowadzić zwycięskie bitwy. Władca, który trzyma w ręku najważniejsze szlaki handlowe, trzyma też w ręku cały świat. Czy wiesz, o co tak naprawdę toczyła się wiekowa wojna między nami, Rhomajami, a państwami Musliminów? Oto omajadzki kalif Abdal-Malik sam zaczął bić złote monety, denary, i tym samym chciał zepchnąć z rynku naszego złotego solida. Z powodu złotego solida, jego pozycji w handlu światowym, zginęło tysiące żołnierzy i spadli z tronu cesarze rhomajscy, a także kalifowie z rodu Omajadów. O tę sprawę toczy się walka do dzisiaj. Jeśli więc naprawdę myślisz, Dagonie, stać się władcą, pamiętaj, że musisz mieć dużo złota i pilnować swoich szlaków handlowych, a także narzucić różnym ludom religię, która ich zjednoczy. Resztę prawdy o władzy dowiesz się później z Księgi Grzmotów i Błyskawic. Nadszedł czas, że rządzić będą sklavińscy władcy. We mnie też płynie krew Sklavinów. Czy wiesz, że nie tak dawno niejaki Tomasz Sklavin o mało nie złamał całej potęgi Rhomajów? Zginął, ale to nie znaczy, że my Sklavini, nie odcisniemy swego znaku w historii, tak jak odciska się na pergaminie pieczęć z wosku. Zapamiętaj: czas położyć kres potędze Franków. Gardzą nami, ponieważ to nie oni, ale my jesteśmy prawdziwymi spadkobiercami Starej Romy. To nie oni; ale my, jesteśmy Rhomajami. Czy wiesz, że ich królowie i możni doszli do bogactw dopiero wówczas, gdy udało im się rozbić obóz i skarbiec Awarów? Gdy poznasz miasto Byzisa, jego bogactwo i potęgę naszego władcy,

zrozumiesz, że Frankowie to tylko barbarzyńcy. To my na cały świat promieniujemy pięknem i wykwintnym obyczajem. Powiadam ci też, że po stokroć większe piękno zdolni są stworzyć Musliminowie .i większa u nich wykwintność panuje aniżeli u Franków. Nie ma niczego wspanialszego na świecie od naszych cesarskich pałaców i naszej świątyni, zwanej Świętą Mądrością, podobnie, jak meczety, pałace i ogrody Omajadów lub Abbasydów. Jakże prostacko i nędznie żyją Ascomannowie, których wiodę do grodu Byzisa. Jakże ponure jest życie w kamiennych zamkach Franków. Ich ulubionym zajęciem nie jest wykwintne życie, słuchanie poezji, muzyki, oglądanie obrazów Boga, ale polowanie na dzikie zwierzęta. Polowaniem zaś na człowieka jest u nich wojna. Ich dostatek bierze się z wojny i grabieży. Dlatego musisz przed nimi strzec swój lud, jeśli go kiedyś posiądziesz. Bo my, Rhomajowie, nie z wojen grabieżczych, ale z handlu i tworów rąk ludzkich czerpiemy swoje bogactwo.

Dago utrwał w pamięci każde słowo Bazylego, starając się w swej wyobraźni stworzyć sobie mapę świata, jego władców i ich państw. Wkrótce jednak musieli przerwać te rozmowy, gdyż Hlodr zmuszał każdego mężczyznę, aby zasiadał przy wioskach. Na rzece Wołchow napotkały ich nocne przymrozki i zaczął siec pierwszy deszcz ze śniegiem. Hlodr także nie oszczędzał swoich sił, dlatego pewnego dnia upadł bez władzy w nogach na dno swego okrętu. Otworzyły mu się stare rany na goleniach, wszystko wskazywało na to, że połamane kości zaczynają próchnieć. Zanim dobili do portu w mieście

Holmgardr, Hlodr zupełnie osłabł.

Holmgardr był ogromnym miastem-państwem, z obieralnym władcą.

Rzeka Wołchow dzieliła miasto na dwie połowy, które łączył

drewniany most. Na zachodnim brzegu znajdowała się dzielnica

zwana sofijską, na wschodnim brzegu kupcy prowadzili swoje

handlowe interesy i mieli składy z towarami i stragany. W części

zachodniej miasta władca Ruryk mieszkał w warowni zwanej

Detiniec, otoczonej fosą z wodą i drewnianą palisadą. Całe zresztą

miasto także broniła fosa i palisada. Podstawą bogactwa wielkich

kupców i miejscowych bojarów był handel między Północą a

Południem, między Wschodem i Zachodem. Bojarzy posiadali na

własność ogromne lasy i pola na północy, stamtąd czerpali dla handlu

wosk i wspaniałe futra. Ruscy książęta chciwym okiem spoglądali

wciąż na owo państwo-miasto, ale ono nieustannie broniło swej

niezawisłości nawet przy pomocy najemnych wojsk Waregów.

Hlodr zmarł zaraz po przybyciu flotylli do Holmgardru. Władca

Ruryk dobrze wspominał jego ojca, który przez wiele lat wiernie mu

służył. Dago pamiętał, co przyrzekł Hlodrowi, zresztą przypomniała

mu o tym Astrid. Hlodr chciał być pochowany jak prawdziwy wielki

Warega. Za kilka złotych solidów Bazylego urządzono mu więc

pogrzeb z pełnym ascomańskim obyczajem w miejscu do tego celu

wyznaczonym nad brzegiem rzeki, gdzie jak rzadki las sterczały

wkopane w ziemię grube pnie rzeźbione na kształt męskich członków.

Od rzeki wiał zimny wiatr i Dago aż dygotał z chłodu, gdy

ascomańskim obyczajem kopał dół, w którym miano złożyć zwłoki

Hlodra. Wielkie drewniane członki z ogromnymi żołędziami, na których wyrzezano ludzkie twarze, a grube żyły na wezbranym prąciu ukształtowano dłutem na podobieństwo rąk i dłoni ludzkich - oznaczały męską siłę i wolę życia. Lecz Dago kopiąc dół dla Hlodra był pewien, że śmierć jest silniejsza od życia i to napawało go trwogą. Potem jeszcze większą trwogę poczuł, kiedy przyszła do niego Astrid i oświadczyła, że pragnie umrzeć i spłonąć wraz ze zwłokami Hlodra, taką bowiem złożyła przysięgę. Powiedziała, że kocha Hlodra, on uratował ją z odmętów morza, dlatego pragnie z nim odejść do Krainy Zmarłych. I ani Dago, ani Bazyli nie byli w stanie odwieść jej od tego zamiaru. Tak znowu przekonał się Dago, że pragnienie śmierci ma niekiedy większą siłę niż pragnienie życia, zaś owe drewniane członki wkopane na cmentarzysku zadają kłam prawdzie, że życie zwycięża śmierć.

Późnym wieczorem w namiocie Dagona, gdzie grzał się on przy żelaznym naczyniu wypełnionym rozżarzoną węglą drzewnym, znowu zjawiała się Astrid. Miała na sobie futro bobrowe, nagłym ruchem zrzuciła je z siebie i stanęła przed młodzieńcem zupełnie naga. - Jeśli kochałeś Hlodra - powiedziała - weź mnie i napelnij życiem, abyśmy po śmierci mogli zacząć żyć w Krainie Zmarłych.

Jej nagość nie wzbudziła w nim pożądania. Paraliżowała go trwoga przed nieznanym, przed duchem Hlodra, który być może przyszedł do jego namiotu wraz z Astrid. To chyba on, Hlodr, ustami Astrid żądał ostatniej posługi, siły i nasienia Dagona, aby móc zacząć nowe życie w

świecie niewidzialnym.

Astrid podała mu duży kubek wina, aby wzbudził w sobie żądzę.

Opróżnił kubek jednym haustem, doznał oszołomienia, ustąpiła z

niego trwoga, a może to ona wzbudziła w nim nagle niezwykle

pożądanie. Popchnął Astrid na posłanie ze skór, obrócił na brzuch i

posiadł ją od tyłu, tak jak wtedy, gdy przyszła go zabić w swoim domu

w Druzo. A spełniwszy się, chciał z nią leć na łożu i tak spędzić noc,

lecz ona wyrwała się z jego objęć i narzuciła na siebie futro bobrowe.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Do Bazylego, ponieważ on też był przyjacielem Hlodra. I do

wszystkich, którzy go kochali - wyjaśniła.

Pochówek Hlodra opisał potem podróżnik z kraju Uległych, niejaki

Ibin Fadlan:

"...Gdy nadszedł dzień, w którym miano spalić zwłoki zmarłego wraz z

jego kobietą, udałem się nad rzekę, gdzie stał statek. Był on

wyciągnięty na brzeg i podparty czterema słupami z brzozy i innego

drewna. Nie opodal był ułożony wielki stos drewna. Statek

podciągnięto i ustawiono na tym stosie. Ludzie kręcili się wokół niego

i wymawiali słowa, których nie rozumiałem, ale zwłoki wciąż leżały w

grobie, z którego ich jeszcze nie wyjęto. Następnie przeniesiono mary,

które ustawiono na statku, przykryto brokatową materią rhomajską i

poduszkami z brokatu. Następnie przyszła stara kobieta, którą .zwano

Aniołem Śmierci, i rozwiesiła tkaniny na marach. Do niej należy

namaszczenie zwłok i przygotowanie ich do spalenia, i ona właśnie

zabija kobietę zmarłego. Ta, którą widziałem, była silnie zbudowana i ponura. Udawszy się do grobu odrzucili ziemię z drewnianego stropu, a następnie strop. Potem zdjęli przepaskę, którą zmarły miał na sobie w chwili śmierci. Zauważyłem, że ciało poczerniało od chłodu ziemi. Składając zmarłego do grobu włożyli tam też nabidh, owoce i lutnie, które teraz wyjęli. Trup wcale nie cuchnął i tylko kolor ciała się zmienił. Później ubrali go w gacie i spodnie, buty i bluzę i brokatowy płaszcz ze złotymi guzikami. Włożyli mu na głowę czapkę z brokatu i futra sobolowego. Następnie zanieśli go do namiotu ustawionego na statku, położyli na brokatach i podparli poduszkami. Potem przynieśli nabidh, owoce i zioła słodko pachnące i położyli obok niego. Później przynieśli chleb, mięso i cebulę i rzucili koło niego. Wzięli dwa konie, zaczęli je pędzić, aż się okryły potem, a wtedy poćwiartowali je mieczami i wrzucili ich mięso do statku. Przyprawdzili też dwie krowy, które porąbali na kawałki i wrzucili do statku. Kobieta, która zapragnęła umrzeć, chodziła od namiotu do namiotu i właściciel każdego namiotu miał z nią stosunek płciowy, po czym mówił: Powiedz swojemu panu, że uczyniłem to z miłości do niego. Było już popołudnie i zaprowadzono kobietę w pobliże statku. Wówczas ona zdjęła dwie obręcze z ramienia i dała starej kobiecie zwanej Aniołem Śmierci. Wtedy wprowadzono ją na statek, ale nie pozwolono wejść do namiotu. Następnie przyszli mężczyźni z tarczami i pałkami i dali jej kielich nabidhu. Odśpiewała nad kielichem pieśń i wypila. Następnie otrzymała drugi kielich i długo nad nim śpiewała,

aż stara kobieta ostrzegła ją, że musi szybko wypić i wejść do namiotu ze zmarłym. Kiedy spojrzałem na nią, wydawała się oszłamiona, chciała wejść do namiotu, ale trafiła między namiot i statek, a wtedy stara kobieta wzięła ją za rękę i wciągnęła do namiotu i sama za nią weszła. Mężczyźni zaczęli bić pałkami w tarcze, aby nie słyszeć jej krzyków, bo inne dziewczęta przestraszyłyby się i nie chciałyby potem umierać ze swoim panem. Wówczas do namiotu weszło kilku mężczyzn i wszyscy mieli z nią stosunek płciowy, a potem położyli ją obok zmarłego; dwóch wzięło ją za nogi, dwóch za ręce, a stara kobieta zwana Aniołem Śmierci założyła jej sznur na szyję i dała koniec sznura dwóm mężczyznom, aby ciągnęli, sama zaś wzięła nóż o szerokim ostrzu i zaczęła wbijać go raz po raz między żebra kobiety, a tymczasem dwaj mężczyźni dusili kobietę sznurem tak, że skonała. Następnie wystąpił ten, który był najbliższym przyjacielem zmarłego, a na imię mu było Dago. Wziął kawałek drewna i zapalił go, podszedł tyłem do statku, zwrócony twarzą do Iudzi, trzymając jedną rękę za plecami, a w drugiej niosąc pochodnię. Był nagi. Tak to podpalono drewno pod statkiem po ułożeniu zabitej kobiety obok zwłok jej ukochanego mężczyzny. Następnie podeszli inni z drewnem i gałęziami - każdy zaś niósł w ręku kawałek zapalonego drewna. Rzucali drewna na stos ułożony pod statkiem i wkrótce ogień objął cały stos, potem statek, następnie namiot, mężczyznę i kobietę, i wszystko, co było na statku..."

Jeszcze tego wieczoru zebrano do naczynia popiół z resztkami

spalonych ciał, z kamieni ułożono na ziemi zarys ascomańskiego statku, wsypano do niego prochy ludzkie i zbudowano nad nimi duży kopiec ziemi.

Tak oto pojął Dago czym jest miłość kobiety i odtąd patrząc na każdą, z którą wypadło mu współżyć, zastanawiał się czy potrafiłaby postąpić jak Astrid, umrzeć razem z ukochanym mężczyzną. A że bardzo rzadko otrzymywał twierdzącą odpowiedź, pozostawał wobec kobiet nieufnym i ostrożnym.

Wraz z wczesnym jesiennym zmrokiem odeszli z brzegu rzeki Waregowie, aby ucztować po śmierci Hlodra i Astrid, jak to było ich zwyczajem. Obok świeżo usypanego kurhanu i sterczących fallusów z drewna pozostał tylko Dago, w którym walczyły ze sobą dwa uczucia: żal za Hlodrem i Astrid oraz radość, że jutro popłynie wraz z Bazylim w wielki świat Rhomajów. Hlodr obiecał mu dom w Birce i życie bogatego Ascomanna. Teraz myślał o tym z lekceważeniem. Na południu leżał kraj o wiele bogatszy i życie musiało być tam jeszcze ciekawsze.

Od rzeki Wolchow wiał lodowaty wiatr. Ale Dago nie czuł zimna. Powoli znikał w nim żal za Hlodrem i Astrid, podobnie jak kiedyś przestał myśleć z boleścią o śmierci Zely. Znowu ogarnęło go dziwne uczucie gorąca, które napływało falami, jak w ataku choroby. Znał jej nazwę: to była Żądza Czynów.

Popatrzył Dago na kurhan z popiołami Hlodra i Astrid, na sterczące z ziemi drewniane członki z twarzami o ślepych oczach, i zdało mu się,

że szepcą mu swymi drewnianymi, wyrzeźbionymi ustami: "Życie jest silniejsze niż śmierć, a my oznaczamy życie". Bo i cóż, że w proch się zmieniło ciało Hlodra i Astrid, skoro on, Dago, ruszy wkrótce w świat, od jego prącia napęcznieją brzuchy wielu kobiet i powstanie nowe życie, pojawią się nowe istoty ludzkie. Jego miecz będzie niósł śmierć, ale jego członek zacznie dawać życie, bo śmierć i życie są największą tajemnicą otaczającego go świata. Śmierć i życie to jak dwie siostry, jak dwie strony dłoni ludzkiej, jak dzień i noc.

Nie poszedł ucztować. Ukrył się pod futrami na swoim posłaniu w namiocie na okręcie Bazylego i raz po raz opływając potem zasnął w końcu mocno i bez snów...

Nazajutrz kupcom z Holmgardru Bazyli sprzedał największe ze swoich trzydziestu pięciu okrętów, kupił zaś statki mniejsze, znajdujące się w specjalnym porcie na rzece Donapr. Pozostałe mniejsze i lżejsze statki przewieziono lądem wielkimi wozami zaprzężonymi w cztery pary wołów. Pięć dni trwała ta droga lądem z rzeki Wolchow aż nad rzekę Donapr. I znowu prawie tydzień płynęli tą ogromną rzeką przez starożytnych zwaną Borystenes. A gdy zbliżali się do drugiego miasta-państwa, którym władał książę Kyj, ostrzeżono ich, aby nie zatrzymali się w porcie. Tego roku bowiem książę Kyj i jego Rusowie uczynili wielką wyprawę wojenną przeciw Rhomajom i łupiąc kraj doszli aż pod Wielkie Mury. Widzieli, że nie spotkają wielkiego oporu, ponieważ w tym to czasie cesarz Rhomajów Michał III wraz ze słynnym wodzem, swym wujem, Bardasem, poszedł na wyprawę

przeciw Uległym. Ktoś jednak doniósł cesarzowi o napadzie Rusów, zawrócił cesarz i Bardas, przedarli się do oblężonego miasta i zadali Rusom klęskę. Tylko mała ich część powróciła z łupami do Kyjewa. Nocą więc pod ochroną ciemności przepłynęli obok miasta Kyja nie napastowani przez nikogo. Któż by się odważył uderzyć na tak potężną flotyllę statków, wiozącą aż trzystu pięćdziesięciu walecznych Waregów. Potem czekała ich przeprawa przez skalne progi zwane porohami, aż sześć razy musieli przeciągać lądem swoje statki. Wyczerpani, pozbawieni sił ujrzeli wreszcie ciepłe Pontyjskie Morza, a na nim trzy ogromne opancerzone w ołowiane płyty statki Rhomajów. Ongiś bowiem udało się wywiadowcom rhomajskim zawładnąć wynalazkiem cudownej broni: mieszaniną siarki, nafty, saletry i niepalonego wapna, którą z miedzianych syfonów na okrętach lub przy pomocy maleńkich łodzi o nazwie karabos, podpalano obce okręty. Cudowna mieszanina posiadała tę własność, że wywołała pożar, huk i kłęby dymu, paliła okręty i płonęła nawet na wodzie. Dzięki owej broni Rhomajowie zniszczyli wielką flotę ciężkich dromonów Musliminów, którzy usiłowali zablokować cieśninę i uratowali przed nimi swoje miasto. Ale jak to bywa z cudowną bronią, wkrótce Musliminowie posiadli jej tajemnicę. Odtąd statki i okręty Rhomajów zabezpieczał przed ogniem pancierz zrobiony z płyt ołowianych.

Trzy statki Rhomajów kierowały się w stronę ujścia Donapru. Bazyli rozmawiał z dowódcą owej floty i później dowiedział się Dago, że za

*radą patriarchy Focjusza, cesarz Michał III wysłał do Rusinów
poselstwo z darami i słowami pokoju. Nie chcieli bowiem mieć
Rhomajowie wrogów tuż u swoich granic. Za dary i możliwość handlu
z Rhomajami, poprosili Kyja, aby ich duchownym pozwolił zbudować
świątynię w swoim mieście oraz umożliwił nawracanie ludzi na wiarę
Chrystusa. Przyszłość miała pokazać, jak wielka była mądrość
Focjusza i że w istocie wspólna wiara w tego samego Boga może różne
ludy ze sobą jednoczyć lub czynić przyjaciółmi. Odrzucili potem
Rusinowie propozycję papieża, aby od niego przyjęli chrzest, odrzucili
też wiarę Allacha i jego proroka, jako też namowy hebrajczyków, aby
ich Bogu cześć oddawali, choć była to także wiara ich sąsiadów,
Chazarów. Wzięli chrzest z rąk rhomajskich misjonarzy, ich liturgię,
ich kult wspaniałych świątyń i pięknych obrazów...*

*Tymczasem flotylla statków Bazylego, po kilku dniach podróży po
Pontyjskim Morzu, wpłynęła wreszcie w cieśninę Bosfor i w Złoty Róg.
Zobaczył Dago Wielkie Mury cesarza Teodozjusza i mury cesarza
Konstantyna, ogromne kopuły świątyń i dachy kamiennych pałaców.
Ujrzał też setki, a może tysiące, masztów w portach Złotego Rogu,
chmury białych mew unoszących się nad przystanią rybaków, gdyż
Bosfor i Złoty Róg słynęły z obfitości ryb. I gdyby ktoś mu wówczas
powiedział, że spędzi tu aż trzy lata - wydałby z siebie okrzyk
zdumienia. Nie wiedział bowiem, że będą to lata wypełnione nauką,
choć przeplatane dniami słodkiego lenistwa i miłosnej rozkoszy wśród
niebywałego zbytku.*

Na razie zamieszkał w pałacu Wielkiego Koniucha zbudowanym w pobliżu siedziby cesarskiej. Dano mu strój człowieka z zamożnego rodu - purpurowe szaty bogato zdobione pawimi piórami i muszlami. Połączoną pochwę otrzymał także jego Tyrfing, ale Dago zachował jak najświętszy przedmiot starą pochwę z lipowych deszczulek. Zapuścił też sobie brodę, gdyż słowo "bezbrody" brzmiało w tym mieście pogardliwie, ponieważ wielu tu żyło gołowąsych eunuchów i kastratów. Niekiedy, gdy musiał towarzyszyć Bazylemu jako jego strażnik osobisty, przywdziewał strój kaudiatów, czyli członków gwardii cesarskiej. Był to połączany pancerz i, oprócz miecza, jeszcze biała lanca. W tym stroju kilkakrotnie wraz z Bazylim odwiedzał patriarchę Focjusza, był na ucztach u cesarza Michała III, a także u jego wuja, słynnego wodza Bardasa. W mieście Byzisa zwanym też miastem Konstantyna albo Bizantion używano powszechnie mowy greckiej. Bazyli nakazał mu się uczyć tej mowy, jak też i frankijskiej i w tym celu codziennie odwiedzali jego komnatę specjaliści nauczyciele. Wolno mu było od czasu do czasu bywać w cesarskiej kancelarii, gdzie dziesiątki skrybów uwijało się z tabliczkami z wosku, na których skrzętnie zapisywano każdą informację przywiezioną przez kupców albo setki wysłanych po całym świecie szpiegów. Wydawało się Dagonowi, że nie było na świecie wydarzenia, o którym by tutaj nie wiadomo. "Pamiętaj - mówił Bazyli, - że władza to także wiedza. Nie można sprawować władzy nie tylko bez wojska, bez złota, ale także bez wiedzy o tym, co się dzieje w świecie i we własnym państwie. Kto

wyraża swoje niezadowolenie. Kto się z kim spotyka i o czym rozmawia. Kto kogo nie lubi i pragnie czyjeś śmierci. O czym szepczą żołnierze, o czym żeglarze i kupcy, o czym szepcze się w pałacach możnych, a przede wszystkim, jakie myśli kryją się w głowach ludzi najbliższych władcy.

W tydzień po przybyciu do Bizantionu, Bazyli zaprosił Dagona na ucztę, którą wydała jego żona, Eudoksja Ingerina. Dago nigdy nie widział tak pięknej kobiety; wydawało mu się, że setki urodziwych kobiet oddało piękno tej jednej kobiecie, setki innych oddało jej swój głos, a setki następnych - swój wdzięk i swoją mądrość. Domyślała się, że Bazylemu z jakichś względów zależy na tym młodzieńcu o niemal białych włosach, z uśmiechem podawała mu więc puchary pełne wina, a potem przez Bazylego, który służył jej za tłumacza, obiecała Dagonowi uczynić go szczęśliwym. Już następnej nocy przysłała mu piękną czarną niewolnicę, następnej nocy kobietę o żółtej skórze i skośnych oczach, szczebioczącą jak ptaszek; potem otrzymał Greczynki i kobiety rhomajskie. Tak to dzięki Eudoksji poznał Dago jak niezwykłą radość może dać współzycie z kobietą, która posiadała sztukę najbardziej wyszukanych pieszczot. Bo choć i jemu, dzięki Zely, nie była obca miłosna mowa i gra ciała, obecnie spotykał kobiety, które przewyższały go w tej grze i w tej mowie. Do tej pory wiedział Dago, że to mężczyzna winien był swoją sztuką prowadzić siebie i kobietę na świętą górę rozkoszy i przedłużać tam swój pobyt w miarę swoich umiejętności. Kobiety, jakie mu przysyłała Eudoksja dawały

się mu tam prowadzić bez trudu, niekiedy tak długo, że wyciekały z niego wszelkie moce. A wówczas one - jak gdyby z nowymi nie wiadomo skąd zdobytymi siłami - zaczynały przejmować rolę mężczyzny, siadając na nim okrakiem i jego sutki ugniatając swoimi dużymi piersiami, gryząc delikatnie jego szyję, wargi i powieki, a potem przedziwną sztuką umiały tak poruszać swoim wnętrzem, że doznawał uczucia ssania i ściskania swego członka, i odzyskiwał znowu męską moc. Nie oddawały mu jednak swej miłosnej przewagi, lecz siedząc na nim kołysały się lekko i powoli, z czasem coraz szybciej i szybciej, dopóki nie przeżył kolejnej chwili rozkoszy, choć myślał, że nie jest już do niej zdolny. Dlatego odtąd, przez całe życie, tęsknił Dago do owych kobiet, które już samym dotknięciem palców wywoływały podniecenie i umiały dawać rozkosz. Aż do śmierci nosił w pamięci cudowny zapach ich włosów, ich ciała, ich sztukę pocałunków.

W pół roku później dowiedział się od wyznaczonego mu przez Bazylego nauczyciela sztuki rządzenia - Greka władającego językiem Sklavinów, który uczył go na pamięć Księgi Grzmotów i Błyskawic, a także historii wszystkich ludów na świecie - że Eudoksja Ingerina była ongiś kochanką młodego Michała III. Rządziła wtedy państwem cesarzowa Teodora. Po śmierci swego męża, Teofila, gdy Michał miał zaledwie trzy lata, wstąpiła w jego imieniu na tron wraz z jego najstarszą siostrą, Teklą. Jej wizerunek oraz obraz małego Michała oglądał Dago na monetach z tych czasów. Cesarzowa Teodora wybrała za głównego doradcę swego kochanka Teokistosa, zdolnego

wodza i polityka. Odsunął on od udziału we władzy nie mniej zdolnego brata Teodory, Bardasa. Tymczasem Michał dorósł, lecz jego matka i wszechpotężny Teokistos, ani myśleli przekazać mu rządy. Roztoczyli ścisły nadzór nad życiem i poczynaniami Michała, rozłączyli go z jego mądrą kochanką, Eudoksją Ingeriną i zmusili do ożenku z głupią Eudoksją Dekapolitą. Lecz Michał w największej tajemnicy, zdołał porozumieć się ze swym wujem Bardasem i zaprosiwszy Teokista na ucztę, rozkazał go tam zamordować. Potem wspólnie z Bardasem zmusili Teodorę do opuszczenia tronu, zamknęli w klasztorze Teklę i pozostałe siostry Michała, a potem także i samą Teodorę. Tak Michał II I został jedynowładcą, a gdy poznał i polubił Bazylego, to jemu właśnie za żonę przeznaczył swoją dawną kochankę, Eudoksję Ingerinę.

- Czego więc uczy Księga Grzmotów i Błyskawic? - pytał nauczyciel Grek młodego Dagona.

- Uczy ona - odpowiedział Dago - że nie wystarczy być prawowitym następcą, aby wstąpić na tron. Na przeszkodzie może ci stanąć własna siostra, matka albo któryś z twoich braci. Na tron zawsze wstępuje się po czyimś trupie.

Przez pierwsze pół roku miasto Konstantyna Wielkiego, tak rozległe, że nawet konno przez jeden dzień by go nie objechał, poznawał Dago jedynie nocą. Wielki Koniuch, człowiek niezwykle silny i waleczny, kochał się w niebezpieczeństwach i walce. Niekiedy, gdy zapadała noc, on i Dago ubrani w czarne opończe, wyruszali do miasta, często w

okolice Kolumnady Dominosa i Łaźni Dagistheusa albo na którąś ze wspaniałych i prostych ulic zwanych Mese, gdzie pod osłoną ciemności grasowały bandy młodzieńców, przeważnie z bogatych rodzin. Wyróżniali się dziwacznością strojów i uczesaniem, które nazywano huńskim, zaczepiali przechodniów, napadali na ludzi opuszczających winiarnie lub domy schadzek albo nawet na domy bogatych kupców. Z tymi bandami młodzieńców Dago i Bazyli wdawali się w sprzeczki i bójki. I nie było nocy, aby Tyrfing Dagona nie ucinął czyjeś głowy, a damasceński miecz Bazylego nie przesywał czyjeś piersi. Wracali potem do pałacu, uszczęśliwieni przygodą, niebezpieczeństwem i walką. Zbryzgani krwią zasiadali w komnacie Bazylego i wspólnie ucztowali do rana.

W końcu jednak nauczyciel sztuki rządzenia, ów Grek mówiący po sklavińsku, oprowadził go po całym mieście Rhomajów. Poznał Dago, że ogromną połąć półwyspu odcinały od lądu niezwykle długie i wysokie Mury Teodozjusza, przebywające od zamku siedmiu wież nad Morzem Marmara aż do zamku Blachernom nad Złotym Rogiem, mniejszego skrawka półwyspu broniły Mury Konstantyna. Wielka przestrzeń między murami pozostawała nie zamieszkała i nie zabudowana, tutaj bowiem na wypadek najazdu wrogów mieli się schronić ludzie z terenów zagrożonych wojną, przede wszystkim z Tracji. Na murach ustawiono sygnały świetlne przejmujące za pomocą widocznych z dala błysków ognia zaszyfrowane informacje o ruchach obcych wojsk nawet w najdalszych okolicach. Szpiegowskie

statki Rhomajów nieustannie śledziły ruchy floty Musliminów i gdy ta choćby na krótko kierowała się ku miastu Byzisa, setki statków kryło się w porcie Złotego Rogu, a potem opuszczano przez cieśninę żelazny łańcuch uniemożliwiający dostęp wrogom. Naprzeciw zaś obcej flocie wypływała zawsze gotowa do walki armada okrętów Rhomajów.

Im bliżej Morza Marmara i Złotego Rogu, tym więcej widziało się domów i warsztatów rzemieślniczych, świątyń i pałaców. Ulice były na ogół wąskie, nie przekraczające czterech kroków dorosłego mężczyzny. Wrażenie przestrzeni dawały jednak ulice zwane Mese, szerokie, z kolumnadą portyków po obydwu stronach, z setkami warsztatów i sklepów umiejscowionych pod portykami. Im bliżej morza, tym gęstniała zabudowa, coraz wyższe stawały się drewniane domy czynszowe, niekiedy sięgające wielu pięter. Budowano je na ogół bez fundamentów, nie tak jak murowane pałace i kościoły, dlatego podczas częstych trzęsień ziemi łatwo się zawalały, a ocalałe resztki służyły za materiał budowlany dla nowych kolejno wznoszonych domów. Te drewniane budynki także łatwo padały ofiarą ognia, ponieważ podczas chłodnej pory roku ogrzewano ich wnętrza piecykami z żarzącym się węglem.

Zobaczył Dago ogromny hipodrom, gdzie odbywały się widowiska cyrkowe z udziałem samego cesarza. Na hipodromie od czasu do czasu bezpłatnie rozdawano ludności zboże, odbywały się wyścigi konne, pokazy tresury i walk dzikich zwierząt, a także pląsy tancerek oraz koncerty na organy, jak również instrumenty dęte. Każdy niemal

obywatel miasta należał do jakiegoś stronnictwa cyrkowego, a zadaniem ich było rywalizować ze sobą podczas pokazów na hipodromie. Ongiś z życzeniami przywódców tych stronnictw musieli się liczyć senatorowie i sam cesarz, teraz władzę ich ograniczono, tak samo jak po długotrwałych wewnętrznych walkach ograniczono władzę klasztorów oraz obrazoburców.

Niezwykła sztuka budowlana i malarska świątyni Hagia Sophia dała Dagonowi wyobrażenie czym może być piękno, które tworzyli Rhomajowie. Kościołów zresztą było wiele: świętej Teodozji, Anastazji, Sergiusza, Bakchusa, Diomedesa i Kyriake. Jeszcze więcej było wspaniałych klasztorów: św. Jana Chrzciciela, Chrystusa Pantokratora, klasztor Teodozji, klasztor Chrystusa Akataleptos, klasztor św. Jerzego, klasztor Magulinów, klasztor Polyektesa i dziesiątki innych, pełnych rozmodlonych mnichów.

Miasto zaskakiwało Dagona swoimi sprzecznościami. Oto obok ogromnej ilości kościołów i klasztorów, tak samo wiele było domów schadzek. Obok rzeszy mnichów tak surowych, że nawet nie myli się latami, aby nie obrażać wzroku widokiem swojej własnej nagości, w domach schadzek bez żadnego wstydu pokazywali swą nagość mężczyźni i kobiety. I mężczyźni oddawali się mężczyznom, a kobiety kobietom; nagie tancerki wyuzdanymi płasami pobudzały pożądanie mężczyzn, a następnie za pieniądze zaspokajały ich na najróżniejsze sposoby. Nauczyciel Grek tłumaczył mu fragmenty krążącej w licznych odpisach Historii sekretnej Prokopa z Cezarei. Opisano w

niej, jak to żona Justyniana, słynna cesarzowa Teodora, największą przyjemność osiągnęła, gdy specjalnie tresowane gęsi wyjadały owies nasypyany do jej warg sromowych. Tak oto pojmował Dago, że nie ma barier, jakich nie odważyłby się przekroczyć człowiek, a co jednym wydaje się strasznym grzechem dla innych jest zwykłym i naturalnym obyczajem. Dlatego mimo nauk pobieranych u rromajskich teologów nigdy nie utrwalilo się w jego wyobrażeniu pojęcie grzechu, Nieba i Piekła; nie potrafił zrozumieć czemu ktoś ma być ukarany za coś, co sprawia jemu i innym rozkosz, dlaczego takie, a nie inne są nakazy i zakazy chrześcijan, i czemu Bóg Ojciec musiał przelać krew własnego Syna, aby ocalić rodzaj ludzki przed grzechem popełnionym przed tysiącami lat. Tym bardziej niepojętą pozostała dla niego istota Ducha Świętego, jak gdyby Bóg nie miał w sobie ducha i potrzebna mu była jeszcze jedna osoba. Nie rozumiał także, czemu to jedna religia ma być lepsza i prawdziwsza od innych, chyba że tak, jak to tłumaczył Bazyl, prawda chrześcijan pozwalała łatwiej scalić różne narody i łatwiej rządzić władcom. To wielkie i tajemnicze miasto także było dla niego jak gdyby odrębną istotą, przypominającą bóstwo. Jego widok przemawiał do niego bardziej niż barwne i obsypane diamentami postacie Boga na ikonach.

Tuż przy porcie w Złotym Rogu poznał kolonię kupców rozmaitej narodowości: Wenecjan, kupców z Amalfi, kupców z Pizy, Genuńczyków, kupców egipskich, a nawet żydowskich i Musliminów. Nieskończenie pojemne i pełne bogactwa były składy nad morzem,

kryjące w sobie towary i surowce z całego świata. Na piętrach czynszowych domów pracowały setki rzemieślników, tworzących piękne wyroby, które potem sprzedawano na Zachodzie. Gdzie indziej pracowano, a gdzie indziej mieszkało, niekiedy rzemieślnik musiał do swego warsztatu maszerować godzinę lub półtorej przez ulice miasta. Na każdym kroku widziało się zbytek i rozmach, długie kolumnady i ozdobne bramy w murach obronnych, urodziwe pałace możnych, jak choćby pałac Bukoleona lub pałac Porphyra. Lecz nic nie mogło być wspanialszego od całego zespołu pałacowego cesarza, który stanowił miasto w mieście. W licznych budowlach mieszkała tu gwardia cesarska, mieściły się najwyższe urzędy: dniem i nocą trwał ruch posłańców i krzątania urzędników, uroczyste przyjmowanie posłów obcych krajów i wysyłanie własnych poselstw. Tu także mieścił się skarbiec cesarski, wielkie komnaty wypełnione złotem, srebrem i drogimi kamieniami, albowiem, jak mówił Bazyli, nie ma władzy bez bogactwa.

O cesarzu Michale III słyszał Dago, że jest opojem i człowiekiem o niezrównowagowanym charakterze, nie posiadającym własnego zdania albo je zmieniającym pod wpływem tego, kogo wysłuchiwał jako ostatniego. Nie rozumiał Dago o czym mówił Bazyli z cesarzem, z Focjuszem i wielkim wodzem Bardasem. Ale odnosił wrażenie, że tych ludzi, podobnie jak jego, trawi choroba zwana Żądzą Czynów. Nie wiedział, że dzięki otrzymywanym informacjom ze świata, ludzie ci mieli po prostu przeczucie, że imperium Rhomajów wkracza w okres

kolejnej wielkości i potęgi. Michał III, Focjusz, Bardas i Bazyli byli, jak wielcy gracze, ciągle pochyleni nad szachownicą i przestawiający na niej figury. W grze, jaką toczyli o nową potęgę Rhomajów - on, Dago, miał być tylko pionkiem, którego w odpowiedniej chwili pragnęli postawić tam, gdzie żyły ludy nie znane historii. I tak, jak z mroku dziejów wyłonił się nagle ongiś Mojmir, pierwszy władca Wielkiej Morawy, zapewne myśleli, że na północ od gór Karpatos kiedyś, za ich przyczyną, wystąpi Dago i położy kres naporowi państwa Franków. Tymczasem uczył się Dago języka greckiego, poznawał historię rozmaitych ludów i państw, a przede wszystkim historię owych Franków, którym kiedyś miał stawić czoła. Na pamięć potrafił recytować, jak to wedle frankijskich nauk praczłowiek, zwany Mann, posiadał trzech synów: Ingo, Hermino, i Isto. Z Ingweonów wyłonili się: Cymbrowie, "Ceutonowie, Ambronowie, Anglowie, Warym, Chaukowie, Sasi, Ampsywarjowie i Fryzowie; z Herminonów- Cheruskowie, Swebowie, Chanowie, Batawowie i Kannenefatowie; z Istweonów - Sugambrowie, Marsowie, Uzypetowie, Tenkrerrowie, Tubentowie, Chasuarjowie, Brukterowie, Chamawowie. Salijczycy, Tujhantowie i Ubajowie. A z czasem na widownię dziejów wkroczyli jeszcze Bastarnowie, Skirowie, Lugjowie, czyli Wandalowie, Burgundowie, Rugjowie, Longobardowie, Goci, Gepidzi i Herulowie. Różne były koleje owych ludów, niektóre z nich potrafiły stworzyć potężne państwa, toczyły zwycięskie bitwy i miały wspaniałych władców, ale i oni ponosili klęski, a ich dzieła rozpadały się, ponieważ

ludy i państwa - jak to uczyła historia - miały także wschody i zachody swej potęgi. W końcu po latach zostały się tylko dwa silne związki plemienne: Sasów połączonych z Chaukami, i związek Franków, który składał się z dawnych szczepów istweońskich. Wreszcie Karol zwany Wielkim, władca Franków, podporządkował sobie Sasów, rozbił Longobardów i stał się panem Zachodu. Lecz choć i on i jego następcy wiele czynili dla odrodzenia potęgi i blasku starej Romy, ustalono nawet gramatykę łacińską, którą posługiwali się uczeni mężowie i kapłani Zachodu, to przecież w mieście Konstantyna odnoszono się do nich z pogardą, gdyż rzadko który znał piękny język grecki, zdolny przekazać każdą najsubtelniejszą myśl ludzką i zawierający przekazy dzieł najbardziej natchnionych. Uczono więc Dagona, że Frankowie są bitni, ale bitnością ludzi spragnionych łupów, pozbawieni oglady i najistotniejszego umiłowania prawdziwego piękna. Falszem także podszyte było ich chrześcijaństwo i niczym nie uzasadnione pragnienie, aby ich papież rządził całym kościołem chrześcijańskim. Tedy jeśli Dago stanie się władcą ludów, może jeszcze bardziej barbarzyńskich niż Frankowie, to przecież dzięki chrześcijaństwu otrzymanemu od patriarchy z Nowej Romy szybko zdoła wspiąć swój lud na najwyższy szczebel kultury. Kiedy jednak miało to nastąpić - o tym z nim nie mówiono.

Po ulicach miasta Konstantyna krążyło wielu bełkoczących coś niezrozumiale ludzi zwanych "szaleńcami bożymi", a także setki wróżbitów, przepowiadających z linii dłoni. Pewnego razu, idąc ulicą

w towarzystwie swego nauczyciela Greka, dał Dago swoją dłoń

takiemu właśnie wróżbicie. Tamten mówił coś długo po grecku, ale nauczyciel Dagona nie spieszył się z przetłumaczeniem jego słów na sklaviński. Wreszcie na wyraźne żądanie wyjaśnił krótko:

- Powiedział, że będziesz władcą, który swoim mieczem zagrozi nie tylko Frankom, ale pewnego dnia wyciągnie go także przeciw Rhomajom. Jeśli mi, panie, dasz trzy złote solidy, którymi tak szczerze obsypuje cię Wielki Koniuch, nie powtórzę mu tej wróżby.

I Dago dał trzy solidy.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY - W KRAJU KWEN

Lestkowie byli bitni, ale tylko na sobie znanym terenie; na myśl, aby wyruszyć przeciw Mardom, mimo nadziei na bogate łupy, wielu z nich okazywało obawę i tłumaczyło się, że musi wracać do wiosek zaszytych w lasach. ponieważ nadeszła pora żniwowania. Nic dla nich nie znaczyła Święta Andala na włosach Piastuna, ponieważ trudno im było podporządkować się wszelkiej władzy. Nienawykli do myśli, aby walczyć jako armia pod wodzą wyżej postawionych dowódców; woleli w trójkę albo czwórkę zacząć się w lesie na małe oddziały wojowników Helgundy. Wyobrażenie wozu pełnego złota i bogatych łupów zdobytych na Mardach nęciło Awdańca, Pałukę. i Kuia. wielu jednak wolało pozostać w swoim kraju, poprzestając na małym.

Dago wiedział, co -znaczy prawdziwa armia. U Rhomajów każdy bogaty obywatel musiał oddawać żołnierza do służby cesarskiej, także każdy większy rolnik; a biedniejsi wybierali na żołnierza jednego

spośród siebie, zobowiązując się uprawiać za niego rolę. Miał też cesarz Rhomaiów do swojej dyspozycji własną najemną armię, którą sownie wynagradzał i za to żądał trudów, posłuszeństwa i odwagi w walce. I nie inaczej było u Franków. Frankijscy cesarze: i królowie posiadali ogromne drużyny zawodowych wojowników, których musiał utrzymywać lud. Na wypadek większej wojny, miał prawo cesarz lub król wzywać do stawienia się swoich wasali wraz z ich drużynami Dopiero teraz rozumiał Dago decyzję Goluba Popiołowłosego, aby, skoro nie posiadał odpowiedniej ilości pieniędzy w swoim skarbcu, poprzez ożenek z córką Hoka sprowadzić z Jumna armię najmitów i z nimi dochodzić swoich praw do warowni w Poznaniu i Kruszwic. Zapomniał Golub, że serce najmitów i ich miecze są gotowe służyć temu, kto obieca większą zapłatę...

Na naradę z Awdańcem, Pałuką i Kuiem przyniósł Dago mieszki z frankijskimi denarami, otrzymanymi od bawarskiego kupca oraz mieszek pełen złotych solidów, który ongiś otrzymał na drogę od Bazylego.

"Wojowanie jest sztuką - powiedział Dago. -. Kto woli orać. siał i żniwować, niech wraca do domu. Kto kocha wojowanie i związane z nim bogactwo, za które kiedyś kupi sobie wszystko co zechce. niechaj zostanie za obietnicę żołdu. Ja, Dago Pan i Piastun muszę mieć swoją armię, posłuszną, zdolną do trudów, uzbrojoną i gotową ciągle do walki. Na razie ze swoich mieszkańców będę płacił za służbę wojenną. Lecz gdy posiadziemy ten kraj, płacić będą ci, których wioski i pola

zacznie ochraniać nasza armia."

Z sześćdziesięciu Lestków pozostało przy Dagonie tylko czterdziestu. Z tych to ludzi wybrał Dago posłańców, którzy jego wezwanie do wojowania w sposób tajny roznieśli po kraju Lendiców i Gopelanów. Trzech spośród nich wysłał Dago wraz z Zyfiką i Kuiem aż do rzeki Visuli i potem wzdłuż jej brzegów aż na Mazowie, gdzie ponoć już podciągały konne oddziały Mardów. Tak aż do pory spadania liści z drzew obozował Dago w puszczy nad Noteczą dokąd przybywali do niego coraz nowi wojownicy, gotowi służyć przez całe życie za łupy i żółd. Byli wśród nich Lestkowie, zjawili się i inni, którym wystarczyła wieść, że Popiołowłosego zjadły myszy, a Świętą Andalę nosi na głowie Piastun Dago, co znaczy, że Helgunda rządzi w sposób nieprawy. Stu ludzi i sto koni miał w końcu pod swoim dowództwem Piastun i jego zastępcy: kowal Awdaniec oraz Pałuka, nazwani wojewodami, ponieważ mieli wieść oddziały wojowników do walki. Między tych ludzi rozdał Dago srebrne denary, a za solidy od przejeżdżających kupców kupił dodatkową broń; dobre miecze, hełmy, tarcze i ciepłe futra, gdyż po miesiącu spadania liści zazwyczaj nadchodziła już zimna pora.

Pewnego dnia, dudniąc kopytami po zamarzniętej ziemi, powrócił ze szpiegowskiej wyprawy Kui i dwóch Lestków. Powiedzieli, że Zyfika udała się do Kraju Kwen.

- Czy zdajesz sobie sprawę, panie, dokąd chcesz nas zaprowadzić? - wybuchnął gniewem Kui na nocnej naradzie z Pałuką, Awdańcem i

Herimem. - Wysłałeś ludzi po wieści o Mardach i Argaraspidach, gdyż obiecali nam wóz złota. Okazało się jednak, że nikt nigdy nie słyszał o żadnych Argaraspidach, noszących srebrne tarcze. I to ci powiem, że srebrne tarcze noszą dzikie kobiety z Kraju Kwen, które zamieszkują Mazowie. Nie prowadzisz nas więc na pomoc Argaraspidom, ale chcesz pomóc Dzikim Kobietom. W drodze jeden z nas podpatrzył kąpiącego się Zyfika i okazał się on kobietą. Usiłował ją posiąść i zginął od jej sztyletu. Czy wiedziałeś kim jest ów Zyfik?

- Tak - odparł chłodno Dago. - Od początku wiedziałem, że nie ma na świecie żadnego Kraju Argaraspidów, ale to królowa Ajtwar z Kraju Kwen prosi o pomoc przeciw Mardom, obiecując wóz złota. Nie sądziłem jednak, Kuiu, że są mężczyźni tacy jak ty, którzy lękają się kobiet.

- Nie znasz ich, panie. Są dzikie i okrutne. Dwa razy do roku urządzają polowania na mężczyzn i biorą ich tak, jak mężczyźni zwykli brać kobiety. Język kobiet bywa podwójny, dlatego nawet jeśli obronimy je przed Mardami, zdradzą nas i pochwycą w niewolę.

- Zamilcz, tchórze. - Dago położył dłoń na rękojeści swego miecza. - Od dziś zostajesz tylko zwykłym wojownikiem. Mówiłeś, że pragniesz wolności, ale wolność to dla ciebie samowola i rabowanie po gościńcach. Czy nie słyszałeś od Herima, że walczyłem ze smokiem imieniem Szczek, zwyciężyłem go i uwolniłem ciemżony lud? Dla wozu złota pójdziemy nawet przeciw Androfagom pożerającym ludzkie mięso, albowiem wraz z wami chcę stworzyć coś tak wielkiego,

że przejdzie do historii i zostanie nazwane. Nie wiesz Kuiu, co to jest historia. Nie wiesz też, że to co nie zostało nazwane, nie istnieje. Nie ma cię więc, tak jak nie ma jeszcze żadnego z nas. Lecz oto ja chcę was powołać do istnienia: Siedzieli na polanie w puszczy przy gorejącym ognisku, które dawało światło i ciepło. Wojownicy spali w wykopanych ziemiankach, niektórzy tylko, czuwający przy koniach, także palili ogniska. Twarz, Dagona, na którą wypełził wyraz gniewu, pozostawała w mroku, a tylko złotą iskrą błyszczał słoneczny kamień na jego czole.

- Nie wysłałem cię, Kuiu - złowrogo zabrzmiał głos Piastuna - abyś mi przywiózł wieści o Kraju Kwen, ale o Mardach. Nie będę szukał przyjaciół w kraju Franków, w Jumnie czy u Rhomajów, ponieważ źle czyni ten, co szuka daleko tego, co znajduje się blisko. Jeśli nie wkroczymy do Kraju Kwen i nie naruszymy w niczym jego praw, Dzikie Kobiety staną się naszymi przyjaciółkami. Nie tylko dla wozu złota i dla łupów musimy podjąć się tej wyprawy. Słyszałem, że Mardowie weszli w skalwiński kraj i podbili część ziem Łędzian. Gdy zdobędę Mazowie, ruszą na nasze wioski i nasze grody, bo to są ludy koczownicze, które nie uznają żadnych granic i tam żyją, gdzie rośnie dobra trawa dla ich koni. Chcecie być niewolnikami Mardów? - I Dago zamilkł na chwilę, a potem gniewnie mówił dalej: - Od dawna wiem wiele o Kraju Kwen, bowiem wiele razy dochodziły mnie o nim wieści na dworze Rhomajów i na dworze Ludwika Teutońskiego. Te Dzikie Kobiety żyją w widłach dwóch łączących się ze sobą potężnych rzek,

na ziemi pełnej zdradliwych wydm i bagien. Do Miasta Kobiet jedzie się po krętych groblach. Obcemu nigdy się nie udało odnaleźć prawdziwej drogi. Wiem od Zyfiki, że nie tego boi się królowa Ajtwar, że Mardowie zdobędą Miasto, lecz tego, że opanują nadrzeczne pastwiska i zabiorą konie, na których jeżdżą Dzikie Kobiety. O Mardach więc mi mów. Ilu ich jest? Gdzie mają swój obóz? Kiedy wyruszą przeciw nam?

Kui zwiesił głowę:

- Nic nie wiem o Mardach, Piastunie. Schwytaliśmy jednego, lecz nie znając jego mowy, musieliśmy go zabić.

- Dlatego przestajesz być wojewodą, Kuiu. Będziesz zwykłym wojownikiem, dopóki nie zasłużysz się w walce.

Decyzja Dagona otrzeźwiła wszystkich, jak trzepnięcie batem. Kui poczuł, że uderzyła go jak młotem. Tak więc wyglądała wdzięczność Piastuna za to, że przyprowadził mu drużynę Lestków? Czy nie dosyć okazał w swoim życiu odwagi i sprytu, walcząc ze starostami Helgundy? Cóż z tego, że nie przywiózł wieści o Mardach i jeden z jego ludzi chciał osiąść Zyfikę? Czy nie powinien być za to tylko skarcony, a nie ukarany i poniżony? Za kogo się uważa Piastun, że może pomiatać wodzami swoich oddziałów?

Chciał Kui zwrócić się o wstawiennictwo do Awdańca i Pałuki.

Zobaczył jednak zwrócone ku sobie ich chmurne wejrzenia i pojął, że kto traci łaskę Piastuna, ten także traci łaskę Awdańca i Pałuki.

Dago zaś surowo zapytał Hęrima:

- A ciebie, skrybo, czego uczono o Mardach w klasztorze w Fuldzie? Co napisano o nich w uczonych łacińskich księgach?

- Nigdy nie słyszałem w Fuldzie żadnych wieści o ludzie zwanym Mardami - wyznał Herim.

I wtedy znowu głos zabrał Dago.

- U Rhomajów uczyłem się na pamięć wszelkich wiadomości o wszystkich ludach tego świata, które były, odeszły w mrok dziejów albo dopiero się pojawiły. Wiem o starodawnych Egipcjanach i Haldejczykach i Medach. O ludach celtyckich i o germańskich, z których wywodzą się Frankowie. O Hunach, Chazarach, Bułgarach, Pieczyngach i o Mardach. Tych zwą także Magyarok. Spokrewnieni są z Chamami i Maurami. Żyli między rzeką Tanais i Borystenesem w kraju zwanym Lebedią. Nękani byli od Pieczyngów i schronili się między rzekami Tyras i Danoster w kraju Etelkóz. Tam stworzyli związek siedmiu plemion: Megyer, Nyek, Kurtgyarmat, Tarjan, Jenó, Ker i Koszi. Czego szukają u nas, .nie wiem. Nie mogą to być jednak ich główne siły, ale co najwyżej jakiś duży oddział zwiadowczy. Albowiem jest to lud koczowniczy, wędrowny, posuwający się na koniach i wozach, zamieszkujący namioty i kochający konie tak, jak siebie samych. Zapewne napotkali' na swej drodze bagna i puszcze, a potrzebne są im pola i pastwiska. Dlatego utknęli. Ale gdy przedostaną się tutaj, w kraj pól i łąk, już szybko ruszą dalej, paląc i grabiąc.

Zastłuchali się w jego słowa jak w pieśń. I wzrósł ich podziw dla wiedzy

Piastuna, który w ich wyobraźni stał się kimś, kto swym rozumem

ogarniał cały świat.

- Panie! - zawołał Awdaniec. - Nigdy nie odbędziemy walki na młoty, ponieważ mógłbym, choćby niechcący, trącić zbyt mocno twoją głowę.

Zlekceważył to pochlebstwo Dago i dodał:

- Mało wiemy, aby walczyć z Mardami. Ale dosyć wiemy, aby ruszyć przeciwko nim. Mam nadzieję, że wiele dodatkowych wieści przyśle nam królowa Ajtwar. Ale sami przekonaliście się, jak ważna jest wiedza o ludach. Dlatego, Herimie, mianuję cię starostą mojej kancelarii, która ma być zbiorowiskiem wszelkich wieści ze świata, otrzymywanych od kupców i jeńców. Zapisuj ich opowieści na deszczułkach pokrytych woskiem. Niechaj wojewoda Pałuka wybierze z mojej armii tych żołnierzy, którzy nadają się do służby zwiadowczej, władają językami różnych ludów i z nich to powstanie kancelaria Herima. Za każdą wieść, Herimie, płac srebrem lub złotem, bo wieści są na wagę złota. Chcę wiedzieć także o tym, co dzieje się na dworze Helgundy, u Powalów i Łabędziów, w kraju Visulan i w mieście Karradonon, u Lędzian i innych pokrewnych nam ludów. Wyślij szpiegów do księcia Gedana.

Zapytał Awdaniec:

- Powiedz, Piastunie, czemu najpierw nie rozprawimy się z Helgundą, zanim ruszymy na Mardów?

- Nie uczynimy tak, gdyż nie mamy złota, które by nam otworzyło bramy grodów o niezwyciężonej mocy: Gniazda, Poznania i Kruszwic.

Jeśli zwyciężymy Mardów, na tę wieść powiększy się nasza armia, przybędą do nas setki Lestków i ludzi prawych. Wtedy otworzą się dla nas bramy grodów. Zapamiętajcie sobie: stworzymy państwo ludzi wolnych; a to znaczy, że na górze będzie stał władca i jego wojewodowie. Niżej postawieni zostaną wojownicy i ich rody, a jeszcze niżej ludzie pracujący dla władcy, wojewodów i wojowników.

Gniew, który dręczył Kuia kazał mu powiedzieć:

Czym w takim razie będziemy się różnić od Helgundy i jej starostów'?

Dago położył dłoń na rękojeści swego miecza.

- Stworzymy nowy porządek. Piastun to nie książę, Kuiu. Wolny lud wyniesie nas w górę. To my będziemy strażnikami wolności Lestków.

Ale tak jak istnieje porządek w przyrodzie, że po zimie następuje wiosna, a po niej lato i jesień, taki musi być ład w świecie ludzi. Gdy wszyscy mówią naraz, nikt nikogo nie słyszy. Dlatego ja. Dago i

Piastun, będę przemawiał w imieniu wszystkich. Awdaniec ucałował skraj białego płaszcza Dagona:

- To prawda, Piastunie, co mówisz o ładzie i porządku. I to prawda, że jeśli wszyscy mówią naraz, nikogo nie słychać.

Pałuka nagle wyobraził sobie siebie, stojącego obok tronu, na którym siedzi Dago. Zobaczył też. swój ród, któremu Dago darował jakąś wielką twierdzę. Nie chciał być gorszy od Awdanca. Wziął w palce skraj płaszcza Dagona i również ucałował.

- Miłuję cię, Piastunie, gdyż ty miłujesz wolność ludu. Zaprawdę powiedziałeś. że gdy wszyscy chcą mówić, nikogo nie słychać. Mówić i

rozkazywać może tylko jeden.

Kui poczuł, że jest samotny i zbolący. Jaka siła tkwiła w Dagonie, że jego nielaska aż tak go bolała'? Po co tyle mówić o ludzkiej miłości i wolności, skoro z oddziału Lestków, których przyprowadził do wioski Pałuków, już siedmiu odjechało, aby żniwować? Zapomnieli o obronie swojej wolności. Tak naprawdę bronił jej tylko Dago i oni, którzy tu z nim przybyli... - Kornie pochylił się i ucałował skraj białego płaszcza. - Zrobię wszystko, aby twoja laska spadła na mnie szepnął.

Herim zaś powiedział z żalem do Dagona:

- Od początku wiedziałeś, panie, że Zyfika jest dziewczyną, a jednak nie zdradziłeś tego przede mną żadnym słowem czy gestem. Od początku, panie, czułem, jak wzbiera we mnie ku Zyfice jakieś ogromne uczucie, ale z powodu twego milczenia, myślałem, że jest to wstrętne pociąg mężczyzny do mężczyzny. Cieszę się, że Zyfika zabiła żołnierza Kuia i że znowu być może ujrzę tę przedziwną istotę. Jak inni lękam się Dzikich Kobiet, lecz jeśli wszystkie one są takie jak Zyfika, pójdę z tobą przeciw Mardom i przekonam dla tej sprawy Lestków, podobnie jak to obiecali czynić Awdaniec i Pałuka.

Uśmiechnął się Dago i rzekł:

- Wysoko cię wyniosłem, Herimie, podobnie jak Pałukę i Awdanę. Nie jest bowiem tchórzem i człowiekiem słabym ten, który się boi i nie potrafi utrzymać w ręku ciężkiego miecza, lecz ten, który nie potrafi przełamać swego tchórzostwa. Nie wierz jednak, że Zyfika potrafi odwzajemnić twoje uczucie i twoje pożądanie. Nic nie zmieni natury

Dzikiej Kobiety.

*Dlaczego zapomniał potem tych swoich słów i tyle nieszczęść
sprowadził na siebie i swój kraj?*

*Po krótkim okresie przymrozków nadeszła pora cieplejsza. Między
drzewami w puszczy snuły się mgły, słońce świeciło jak przez
pajęczynę, odkrywając nagie gałęzie. I tylko w siedliskach sosny i
świerka wciąż było zielono, choć i tam grubą warstwą zalegały
zeschnięte szpilki.*

*Ruszyli przeciw Mardom pewnego jesiennego ranka, w sto koni pod
wojownikami i z dwudziestoma końmi objuczonymi żywnością.*

*Kierowali się na wschód szeroką przesieką przez puszcze, ~: kopyta
ich koni kroczyły jakby po ogromnym i barwnym dywanie utkanym z
brązowych, złotawych i czerwonych liści. Wkrótce wyszli na pola, na
których sprzężone ze sobą woły wolno orały pole żelaznymi radłami.*

*Obronne Gniazdo ominęli od południa, wchodząc w bogaty kraj
Gopelanów. W drodze ani razu nie napotkali żołnierzy z Gniazda albo
grodu Kruszwic i tylko dwukrotnie natknęli się na dwa spalone gródki
i chaty wokół nich. Zobaczyli starców i kobiety rozpaczające po
swoich zabitych krewniakach, albowiem nie oddali połowy swoich
plonów dla grodu w Kruszwic i najechali ich wojownicy siedzącego w
grodzie Powaty. Między tych nieszczęsnych ludzi rozdał Dago kilka
srebrnych denarów, mówiąc, że oto przychodzi czas wolności i on,
Piastun, na białym koniu objawił się ludowi, aby znieść panowanie
możnowładców. Na włosach Dagona ludzie widzieli świętą Andalę i*

sami z siebie rozumieli, że nie ma już Popiołowłosego, a władzę po nim przejął Piastun w sposób dobrowolny, gdyż jak mówiła przepowiednia, złoty kamień nie błyszczałby tak jasno, gdyby Dago przelał krew.

Łatwo było maszerować nawet w sto dwadzieścia koni, bo minęła pora żniw, pełne zboża były spichlerze kmieci, a na polach stały stogi siana. Za owies i siano dla koni, za żywność dla wojska Dago kazał płacić swoim wojewodom, głosząc, że tak będzie zawsze za jego piastowania.

Ominęli Kruszwic i jezioro Gopło i dalej już, przyśpieszając marsz, jechali prosto ku rzece Visuli, ku grodowi zwanemu Plock, gdzie zaczynała się Mazowia i mieli się spotkać z wysłanniczkami królowej Ajtwar. Takie polecenie Kuiowi przekazała Zyfika, zanim, traktując jak zwykłą kobietę, chciał ją posiąść jeden z Lestków i został przez nią zasztyletowany. Nie sądził jednak Dago, aby ten fakt mógł mieć wpływ na dalsze jego stosunki z królową Ajtwar, wszak to ona potrzebowała pomocy przeciw Mardom. Nikt jednak, ponieważ Dago milczał nawet przed swoją radą przyboczną złożoną z Pałuki, Awdańca i Herima, nie znał prawdziwych planów. Raz po raz pytał Dago Herima czy jego kancelaria otrzymuje wieści o krajach ościennych. Co czynią ludzie Skrzydlaci, a co Długogłowcy? Jak w niewoli Mardów czują się Lędzianie i co robi władca Karradonon'? Herim nagle odmienił się. Tytuł starosty kancelarii Dagona, władza nad gromadką szpiegów dały mu nareszcie poczucie własnej wartości.

Na specjalnym jucznym koniu woził deseczki pokryte woskiem, a choć nic jeszcze na nich nie zapisał, gdyż żadne wieści nie nadchodziły, nosił się dumnie i wciąż w różne strony kierował swoich ludzi.

Pierwszą informacją, jaką zapisał Herim kościanym rylcem była wiadomość od schwytanego wojownika z rodu Powalów, że każdy z naczelników najbardziej znaczących rodów Lędzian i Gopelanów pragnie ogłosić się udziałnym księciem. Prawo do książęcej władzy przede wszystkim pragnęli mieć ci, co siedzieli na warowniach zbudowanych przez Nielubów Popiołowłosych, to jest Powalowie i Duninowie. Zapisał Herim, że w walce o tytuł księcia starli się z sobą Łabędzie, a także Powalowie i Duninowie, ale bitwy nie zostały rozstrzygnięte na żadną korzyść. Zamknęli się w swych warowniach Powalowie i Duninowie, dopiero na wiosnę zamierzając przystąpić do kolejnej rozprawy. Zapisał również Herim, że Helgunda wysłała podobno do Jumna niewielki oddział żołnierzy, aby jej ojciec, Hok, przysłał jej koronę książęcą i jeszcze stu najmitów. I ona więc także nie myślała zrezygnować z władzy książęcej. .

- Nielub I i Nielub II - Dago wyjaśnił Herimowi - stworzyli państwo. Za to, co zrobili, znienawidził ich lud i możni. Goluba zaś zniszczyli, gdyż był dobry. Jakim więc trzeba być władcą, aby rządzić tymi karłami, które jak krwiożercze kleszcze obsiadają wielkiego losia?

- Takim jak ty, panie - przypoehlebnie odrzekł Herim. - Co to znaczy: "takim jak ja"?

- Miłującym wolność - odrzekł Herim z takim przekonaniem, że nawet

Dago mu uwierzył.

Gdy zbliżali się do brzegów Visuli, ujrzeli dym na niebie, a w nocy łunę pożaru. A kiedy podeszli do brzegu, stwierdzili, że spalony został gródek Plock oraz port, którym Popiołowłosi splawiali zboże do Witlandii. Trzy setki uzbrojonych w łuki Dzikich Kobiet siedzących na koniach oczekiwało na drugim brzegu wojowników Dagona. To one spaliły gródek i port oraz wybiły jego mieszkańców. Na ten widok ze złością splunął w bok Dago i powiedział do Herima:

- Czemu nie oszczędzają sił do walki z Mardami, mordują ludzi, którzy będą moim ludem? Dlaczego spaliły port na rzece? Na Mazowii mówi się językiem Łędzian i Gopelanów. Tę ziemię też dał mi Popiołowłosy.

Nadpłynęła łodzią Zyfika i dowodząca wojskiem kobiet jej starsza siostra, księżna Lugia, kobieta rosła i tak atletycznej budowy, że w swym męskim stroju wydawała się silniejszą od Pałuki, a nawet Dagona. Miała, podobnie jak Zyfika, tarczę pokrytą srebrem i wspaniały łuk z brązowymi okuciami. Z pogardą spojrzała na stu wojowników, których przywiódł Piastun.

- I z tą garstką, panie, chcesz za wóz złota zwyciężyć Mardów? - zapytała, nie kryjąc ironii.

Odpowiedział jej Dago:

- Nie będziemy walczyć sposobem Rhomajów ani sposobem Teutonów. My, Sklavini, walczymy w sposób zdradziecki. Powiedz mi, co wiesz o Mardach. - Obwarowali się wozami na wielkich pastwiskach nad dolnym biegiem

rzeki Buck na jej lewym brzegu. Zebrali dużo siana i dużo zboża.

Rozstawili swoje namioty. Albo gotują się do przezimowania, albo też, gdy nadejdą silne mrozy, ruszą po zamarzniętych bagnach na Kraj Kwen, gdyż już wiedzą, że mamy wiele złota.

Powiedział rozkazująco Dago:

- Idź, pani, ze swoimi wojowniczkami i stań obozem na prawym brzegu rzeki Buck. Gdy przyjdą mrozy, mój posłaniec da wam znać, kiedy wspólnie uderzymy na Mardów. My ich zajdziemy od lewego brzegu, gdzie mają swój obóz. Zostaw nam pani tylko Zyfikę, jako przewodnika. Odejdź jak najprędzej ze swymi wojowniczkami, gdyż

Dziki Kobiety budzą w nas niechęć. To dlatego nie możemy połączyć naszych wojsk.

Twarz księżnej Lugii była kobieca i nawet bardzo ładna. Ale tylko to mogło się w niej podobać, gdyż jej postawa, ruchy i głos przypominały mężczyznę - siłacza. Była o kilka lat starsza od Zyfiki, która jeszcze zachowała dziewczęcą sylwetkę-. Za kilka lat Zyfika stanie się taka jak ona" - pomyślał z żalem Dago, którego ostatnio coraz gęściej nawiedzały wspomnienia o delikatnych i pachnących

ciałach kobiet z Południa, i ich sztuce miłości. Kobiety z Kraju Kwen nie wiedziały co to miłość. Jak zwierzęta jeden lub dwa razy do roku polowały na samców i zmuszały ich do, stosunku, aby się zapłodnić.

Twoich wojowników trawi strach przed nami. Czy strach u ciebie brzmi jako słowo "niechęć"? - zapytała drwiąco Lugia. - Mogę zostawić Zyfikę. Czy znowu jednak nie będzie musiała używać sztyletu'?

Będzie pod moją opieką .oświadczył.

- A kimże ty jesteś, panie, który nosisz Andale`? Co warte są twoje przyrzeczenia'?

Dago wzruszył ramionami. Ta Dzika Kobieta szukała z nim zwady, a przecież. nie była ku temu sposobna pora.

Nie chciałbym cię, pani, widzieć prowadzoną na arkanie przez jakiegoś Marda. Za mało znasz mężczyzn, ponieważ, jak to słyszałem, w Mieście Kobiet żyją tylko niewolnicy, słabi i strachliwi.

Tak jak pośród was. mężczyzn, żyją kobiety słabe i strachliwe. Chętnie stoczyłabym z tobą walkę - rubasznie śmiejąc się, trąciła łokciem łokieć Dagona.

Odsunął się od niej z wyraźnym wstrętem na twarzy.

- I co by mi przyszło. gdybym cię pokonał'? - powiedział. - Masz ciało kobiety, ale duszę mężczyzny. To za mało, aby mężczyznę uczynić szczęśliwym. Pojęła, że kłótnia z nim nie jest wskazana. Śmiejąc się pogardliwie weszła do łodzi i odpłynęła pozostawiając Zyfikę, która zbliżyła się do Dagona.

Nie gniewaj się na moją siostrę. Ona nigdy nie spotkała takiego mężczyzny jak ty

A czymże się różnię od innych mężczyzn? I co ty, Zyfiko, wiesz o mężczyznach"

- W Mieście Kobiet -żyją setki mężczyzn, słabych i tchórzliwych. Są też tacy, jak ten, którego musiałam zabić. Ody dowiedział się, że jestem kobietą, natychmiast chciał mnie pojąć. Ty zaś, panie, od początku

domyślałaś się kim jestem. a jednak przy tobie czuję się bezpieczna, choć wiem jak bardzo bywasz pożądlivy.

Władca różni się od poddanych - powiedział Dago i pilnie obserwował drugi brzeg rzeki oraz szeregi własnych wojowników. Nie myliła się bowiem Lugia. Widok trzystu kobiet, siedzących na koniach i uzbrojonych w łuki, budził w nich strach. Zbyt wiele przerażających wieści krążyło wokół ich postępowania z mężczyznami. Zapewne każdego z nich nęciła myśl, aby osiąść Dziką Kobietę, ale strach był większy od pragnienia. I chyba tylko on jeden, Dago, nie czuł ani strachu ani pożądania, ponieważ one nie były dla niego kobietami, a tylko wojowniczkami. Mężczyznom, którymi dowodził nie dane było, tak jak jemu, poznać kobiet, które swoimi dłońmi i ustami, ciepłem i uściskiem ramion, stawały się twórczyniami niewysłowionej rozkoszy. Zimne były kobiety Ascomannów, choć wiedziały, co to miłość, tak jak Astrid. Nie znały tajemnic sztuki miłosnej kobiety sklavińskie, gdyż traktowano je jak rzeczy. Miłość była bowiem taką samą sztuką. jak sztuka rządzenia, wymagała nauki. Sztuka miłości należała do jednych z umiejętności władania ludźmi. Historia, której uczył się u Rhomajów wspominała o władzy kobiet, które dzięki swoim miłosnym umiejętnościom potrafiły kierować poczynaniami władców.

Łódź Lugii dobiła do drugiego brzegu i choć nie słyszeli jej rozkazów, widocznym się stało, że Dzikie Kobiety szykują się do odjazdu. Jeszcze tylko raz łódź z czarnym koniem Zyfiki przepłynęła przez nurt rzeki i

drugi brzeg stał się wkrótce bezludny.

Tymczasem Herim przypochlebnie rozmawiał z Zyfiką, starając się zdobyć łaski.

- Zawsze czułem się przy tobie nieswojo - wyznał. - Pachniałaś i pachniesz pięknie. Nie domyślałem się kim jesteś, a przecież w sposób tajemny odbierałem twoją kobiecość.

Zyfika pokazała mu drugi pusty już brzeg.

- One wszystkie pachną tak jak ja, Herimie. I zapewniam cię, że nie są mężczyznami. Żadna nie odmówi ci swojego ciała, jeśli ją o to poprosisz.

- Ale co będzie potem`

- Jeśli ją zdołasz pokonać w walce, może zrobisz z niej swoją niewolnicę. W przeciwnym razie zabije cię albo uczyni swoim niewolnikiem.

Uśmiechnął się Herim i przecząco pokręcił głową:

- Wiesz dobrze, Zyfiko, że nie jestem człowiekiem łuku i miecza, ale lubię trzymać w ręku gęsie pióro lub rylec. Miłość to nie są zapasy ani walka.

- Bo nic nie wiesz o miłości - wtrącił się Dago.

A potem nic już nie powiedział. Wskoczył na swego białego ogiera i w towarzystwie Zyfiki ruszył brzegiem w górę rzeki, dając znać wojownikom, aby udali się za nim. Nie zamierzał poświęcać swoich ludzi ani koni i juków przepływając Wisulę, która o tej porze roku silnym nurtem niosła wezbrane i czarne od mułu wody. Po raz

pierwszy przydali mu się na coś zwiadowcy Herima. Przynieśli wieść, że o dwa dni drogi jest bród na rzece, czynny niestety tylko w porze niskiego stanu wody. Obok brodu, na skarpie, stał jednak Wysoki Gród ze starostą imieniem Psarz. Jak wszyscy na Mazowii płacił daninę Miastu Kobiet, w zamian pozostawiały go one w spokoju, dając możliwość zarabiania przy przeprawie.

Tak oto w cztery dni później stu żołnierzy Dagona dążyło lewym brzegiem rzeki Visuli ku rzece Buck. Pogoda wciąż była ciepła, mglista, konie żywiły się jeszcze trawą na łąkach. Później jednak zaczęły padać deszcze, a w porze zimowego przesilenia słońca nastał mróz i zaczął sypać śnieg. Wskazano im bród na rzece Narew, ale przeszli już ją po lodzie. Od tej chwili znaleźli się w kraju nękanym przez Mardów, którzy o pięć dni drogi stąd na wschód mieli swój obóz.

Grody zastali spalone, a ludność żyła w ziemiankach po lasach.

Ocalały tylko niektóre wioski dobrze ukryte w puszczy.

Przyszędł miesiąc Styczeń i silne mrozy. Spadł głęboki śnieg. W jednej z ocalałych wiosek Mazowian, płacąc dobrze za schronienie oraz możliwość nocowania po chatach, za paszę dla koni i jedzenie dla wojowników, postanowił Dago zatrzymać swoje wojsko. Na oczach całej wioski dwóch swoich zbrojnych kazał powiesić na gałęziach drzewa za to, że gwałcili kobiety i jednemu z kmieci zabili barana. W ten sposób wielu ludzi, kryjących się w puszczy przed Mardami uwierzyło, że mają u siebie człowieka, który naprawdę wziął ich w swoje piastowanie i nie pozwoli czynić krzywdy. To od nich

dowiedział się Dago, gdzie jest obóz Mardów, jak został zbudowany i w jaki sposób oni go pilnują. Na trzech tabliczkach woskowych zapisał Herim wieści o Mardach, ale dla Dagona najważniejsza stała się jedna informacja: tylko kilkanaście koni dla wodza i jego najbliższych mieli Mardowie wewnątrz swego obozu. Pozostałych sześćset koni (bo tyleż ich posiadali Mardowie pod siodła i do wozów) trzymali na rozległej polanie leśnej, ogrodziwszy tę polanę żerdziami. Pilnowało koni dwudziestu wojowników, mieszkających w trzech namiotach. Oni też strzegli stogów siana, jakie Mardowie zgromadzili dla zwierząt na czas zimy.

Dago, Herim, Zyfika, Awdaniec i Pałuka oraz rodzina wioskowego starosty mieszkali w obszernej chacie, gdzie od pieca buchało gorąco. Spali na drewnianych narach, jeden obok drugiego. Zyfika spała przy ścianie odgradzona od Herima i innych ciałem Dagona.

- Proszę cię, panie - powiedziała do Dagona. - Nawet przez sen nie próbuj mnie dotknąć, gdyż zawsze śpię z dłonią na nożu.

Ale ani pierwszej, ani drugiej nocy nie zmrużył oka dręczony pożądaniem, jakie budził w nim zapach kobiety leżącej blisko niego. W dzień chodził niewyspany i podrażniony, właśnie wtedy kazał powiesić dwóch zbrojnych za gwałt na kobietach Mazowian. Czy mieli większe prawa od niego, który musiał powściągać swoje pragnienie kobiety?

Na trzecią noc zabrał z izby bobrową pelerynę i poszedł spać na szczyt ogromnego stogu z sianem. Był mróz, ale w futrze było ciepło i czuł się

szczęśliwy widząc nad sobą czyste nocne niebo i swoją gwiazdę

Zwierzęcą, która o tej porze wschodziła bardzo wcześnie.

Rankiem, gdy nagi do pasa mył się przy studni z żurawiem, przyszła

do niego Zyfika, gniewna, z podkrążonymi od niewyspania oczami.

- Odszedłeś, panie, i ogarnął mnie strach - wyznała. - Nie spałam całą

noc, gdyż każdy ruch kogoś w izbie kazał mi chwycić za nóż. Gdzie

byłeś tej nocy?

- To nie twoja wina, Zyfiko, że pachniesz futrem jak moja opiekunka i

pierwsza kochanka, olbrzymka Zely. Przy tobie nie mogę jednak

zasnąć, gdyż opadają mnie wspomnienia o moich najszczęśliwszych

dniach. Leżałem na szczycie brogu z sianem, modląc się do gwiazdy

Zwierzęcej, aby dała mi zwycięstwo nad Mardami.

- Będę też spała na brogu, ponieważ przyrzekłeś mi bezpieczeństwo -

dumnie odparła Zyfika. - Tylko przy tobie czuję się bezpiecznie.

Stało się jednak inaczej. Zaraz po śniadaniu postanowił wraz z Zyfiką

udać się w stronę Mardów. Doszedł bowiem do wniosku, że im dłużej

pozostaną w wiosce tylko o dzień drogi od ich obozu, tym większe

powstaje niebezpieczeństwo, że Mardowie odkryją ich obecność i

któreś nocy uderzą niespodziewanie. Ci zaś, którzy atakują pierwsi,

zawsze mają większą szansę na zwycięstwo.

W południe niebo zakryło się chmurami i zaczął padać drobny śnieg,

który Dago i Zyfika powitali z radością. Zasypywał bowiem ich ślady.

Wyprawę przewidzieli na dwa dni. Mieli ze sobą żywność, futra i derki

na konie, dla zwierząt owies w workach. Nie obawiali się więc noclegu

w lesie, nawet na dużym mrozie.

Wkrótce powiał silny wiatr. Wzmogła się zawieja i zrobiło się mroczno. Bór był jednak przeważnie świerkowy, a te drzewa osłaniały ich od wiatru. Przed zmierzchem napotkali stado wilków i Dago powiedział Zyfice, że prawdopodobnie znajdują się już w pobliżu polany, gdzie Mardowie trzymają konie, gdyż wilki lubią krążyć wokół takich właśnie miejsc. Zapewne niejedną próbowały wdrzeć się na polanę i porwać młode źrebię. Należało się spodziewać, że Mardowie są czujni i dobrze pilnują koni nie tylko ze względu na niebezpieczeństwo od obcych, ale także z powodu grasującego stada drapieżników. Skręcili więc na południe, aby ominąć polanę i zbliżyli się do obozu Mardów od strony wschodniej.

Dwa konie i dwóch jeźdźców wydawało się łatwą zdobyczą dla stada liczącego chyba ponad trzydzieści sztuk. Był to dopiero początek zimy i zwierzęta nie powinny jeszcze aż tak bardzo okazywać głodu.

Trzykrotnie założyła Zyfika strzałę na cięciwę swojego złotego łuku Alanów i trzy wilki padły martwe, stając się żerem dla pozostałych. W ten sposób oderwali się od nich i znowu mogli spokojnie jechać przez bór, chłostany wiatrem i śniegiem.

Przeczekali początek nocy, kryjąc się pod szerokimi łapami ogromnego świerka. Pozwolili odpocząć i najeść się koniom, sami żuli suszone mięso. Zgodnie z oczekiwaniem Dagona noc uspokoiła wiatr, ustała zadymka, przestał w ogóle padać śnieg i pokazały się gwiazdy, a wśród nich ujrzął on swoją, Zwierzęcą. Dago, który milczał przez

całą drogę, teraz jak gdyby ożywił się i wskazał gwiazdę Zyfice:

- Oto ona, moja umiłowana. Pokazałem ci ją latem, w wiosce Pałuków.

Teraz możesz ją widzieć w zimie. Pozostań tutaj, Zyfiko, i czekaj na mnie. Trafię po swoich śladach. Mam białego ogiera i biały płaszcz, dlatego nie będę widoczny na śniegu. Wiem, że tu w pobliżu musi być obóz Mardów. Chcę go zobaczyć na własne oczy, bo oczy szpiegów bywają zezowate.

- Dobrze - zgodziła się Zyfika. - Twój biały ogier jest szybszy od wiatru, zdołasz umknąć pogoni Mardów. Mój łuk nie przyda ci się na nic, ponieważ tej nocy nie może zginąć żaden Mard, aby nie wiedzieli, że ktoś obcy podchodził do ich obozu.

Dago pochwalił Zyfikę:

- Znasz sztukę walki. Dlatego dowiesz się, że nie chcę żadnej wojny z Mardami. Wiem, że nad Pontem żyją ich tysiące, są waleczni i wytrwali w boju. Jeśli wygubimy ich tutaj, zechcą się zemścić i przyślą tysiące swoich jeźdźców, a wówczas zginie Kraj Kwen.

Wolałbym rozmowę niż walkę. Niestety, nie znam nikogo, kto włada dziwną mową Mardów.

- Kiedy przed rokiem przybyli do granic Kraju Kwen, zażądali od nas skrzyni pełnej złota i za to oddali nasze porwane z pastwisk konie.

Żona ich młodziutkiego wodza, Arpada, kobieta pochodząca z ruskich Sklavinów, rozmawiała z moją siostrą Lugią. Ona włada językiem Mardów i zrozumiałym dla nas językiem Rusów. Powiedziała, że co roku będą od nas żądać skrzyni złota, lecz teraz chcą już dwie

skrzynie, bo inaczej znowu napadną na nasze pastwiska i porwą nasze konie.

Dago zaczął szykować się do drogi.

- Zdradź mi, panie, swoje zamysły - poprosiła Zyfika. - Zaufaj mi, a być może będę mogła ci w czymś pomóc.

- Pomoże mi mój wzrok, mój słuch i mój spryt: Po cóż mi rada kobiety, która udaje mężczyznę?

I tak pogardliwie ją potraktowawszy zniknął w ciemnościach na swoim białym ogierze. A w połowie nocy ujrzał dziesiątki ognisk, płonących między białymi namiotami, rozstawionymi w środku ogromnego koliska z wielkich wozów. W istocie, tak jak m "owili szpiedzy, tylko kilkanaście koni przywiązanych było do pali przy największym namiocie, zapewne należały do wodza Arpada. Wciągnął Dago w nozdrza zapach dymu i poczuł woń pieczonej koniny. Wyteżył słuch i doszedł go pisk kobiecy i płacz jakiegoś dziecka, co znaczyło, że Mardowie przybyli tu wraz ze swymi kobietami, jak to zwykle czynili nomadzi. Potem zobaczył strażę objeżdżającą obóz, domyślił się, że strażnicy kryją się również w nakrytych płótnami wozach.

Wrócił galopem do Zyfiki i miał już w głowie plan ataku na Mardów.

Aż do świtu czuwał w obawie, że wilki zaatakują konie przywiązane do pnia drzewa. Leżał w jamie śnieżnej pod ogromnym świerkiem w swoim bobrowym futrze, a obok niego w takim samym futrze spała Zyfika. Mógł ją mieć tej nocy, gdyż dłonie miała pod policzkiem, z daleka od noża. Księga Grzmotów i Błyskawic nie mówiła, co

powinien zrobić władca, gdy pożąda śpiącej obok kobiety, ale Dago pragnął złota z Kraju Kwen. Gdy będzie miał bogactwo, złoty kamień Andali rozbłyśnie jeszcze jaśniejszym blaskiem. Czy najgorętszą kochanką władcy nie powinna być sama władza?

Rankiem natarli twarze śniegiem i ruszyli w powrotną drogę do wioski, gdzie obozowała armia.

- Czy nie sądzisz, panie, że powinnam udać się na poszukiwanie obozu mojej siostry? - zapytała go Zyfika. - Wydaje mi się, że chcesz uderzyć na Mardów. - Nie próbuj zgadywać moich myśli - odparł szorstko. - Ciesz się, że nie posiadałem cię tej nocy. Miałaś dłonie pod policzkiem, z daleka od swojego noża. Nie potrafiłabyś zresztą przeciwstawić się mojej sile.

- To dlaczego stchórzyłeś? - zaśmiała się drwiąco. - Ponieważ bardziej pożadam złota niż twego ciała. W zalotnym uśmiechu pokazała swoje białe zęby.

- Jeśli zwyciężysz Mardów, dostaniesz wóz pełen złota. Poproszę jednak swoją matkę, aby wprzódę pozwoliła mi cię posiąść. Syna zabiję, ale córka od ciebie zostanie władczynią Miasta Kobiet. Wierzę bowiem, że masz w sobie krew starodawnych Spalów.

- Nie spełnię twego życzenia, Zyfiko. Posiądź raczej mojego ogiera - zaśmiał się Dago i puścił konia w galop, pozostawiając za sobą rozgniewaną Zyfikę.

Następnego dnia Pałuka wraz z trzydziestoma wojownikami pojechał na poszukiwanie polany w pobliżu obozowiska Mardów. Miał tę

polaną ogrodzić żerdziami, aby z niej konie nie uciekły. Postanowiono też, że o północy Pałuka spotka się z Awdańcem i Dagonem w pobliżu miejsca, gdzie trzymali swoje konie Mardowie.

- Konie to jest ich życie. Kochają je jak siebie samych - tłumaczył Dago.

- Tylko około dwudziestu wojowników strzeże koni. Uderzymy na nich całą naszą siłą, pokonamy, a potem ty, Pałuko, i twoich trzydziestu ludzi, pognacie konie ku naszej polanie. Wtedy jak sądzę, wódz Arpad na czele czterdziestu ludzi, bo tylko tyle koni naliczyłem w obozie, ruszy swoim i naszym śladem. Reszta Mardów pozostanie w obozie, gdyż są tam ich kobiety i dzieci. Zresztą, nie potrafią chyba walczyć pieszo, nie należą też chyba do dobrych piechurów. Na Arpada zrobimy zasadzkę w lesie. Starajcie się nikogo nie zabijać, ale chwycić ich na arkan. Chcę mieć ich żywych. Jeśli nie odzyskają koni, będą musieli poddać się bez dalszej walki.

Tak się też stało. Ukryci na ośnieżonym stoku wąwozu, niemal niewidoczni wśród sosen i świerków, widzieli jak Pałuka gnał wąwozem konie Mardów w stronę ogrodzonej żerdziami polany.

Konie pozostawiały na śniegu szeroki i głęboki ślad. Po jakimś czasie ujrzeli czterdziestu jeźdźców i Dago bez trudu domyślił się, który z nich jest Arpadem. Miał pozłacany hełm i wspaniałego bułanego ogiera pod siodłem. Obok niego jechała kobieta w wielkiej futrzanej czapie na głowie i z łukiem w dłoni. To była chyba jego żona, kobieta z kraju Rusów.

Krzyknął głośno Dago i uderzywszy Vindosa ostrogami, jednym

skokiem znalazł się na dnie wąwozu i pierś białego ogiera uderzyła w bok konia Arpada tak mocno, że aż przysiadł na zadzie. Wtedy Dago uderzył pochwą miecza w pozłacany hełm i nieprzytomny Arpad spadł z siodła. Podobnie uczynił Awdaniec z żoną Arpada. Innym poszło nieco gorzej i dwóch z napadniętych zginęło od włóczni wojowników Dagona, a jednego z jego ludzi strzałą z łuku przeszył śmiertelnie jakiś Mard.

Walka zresztą trwała bardzo krótko. Dwunastu Mardów leżało na śniegu powiązanych sznurami, wojownicy Dagona wylapywali po lesie ich konie.

- Kim jesteś, panie? - zapytała kobieta z kraju Rusów w swej śpiewnej mowie, zrozumiałej jednak dla Lendiców, ponieważ obydwa języki pochodziły od starodawnej mowy Spalów.

- Jestem Dago, którego zwą Piastunem. Cały lud za rzeką Visulą wzięłem w swoje piastowanie - odpowiedział dumnie, trzymając za uzdę białego ogiera. Kobieta powiedziała coś niezrozumiale do Arpada, który jej natychmiast odpowiedział, a ona to powtórzyła:

- Nie jesteśmy wrogami ludu za rzeką Visulą. Nigdy tam nie dotarliśmy. Dago zdjął z głowy Arpada pozłacany hełm i natarł mu głowę zmarzniętym śniegiem, aby nie czuł bólu po jego uderzeniu pochwą.

- Powiedz mu - zwrócił się Dago do kobiety - że o pomoc przeciw wam zwróciły się do nas wojowniczkę z Kraju Kwen. Dostaliście od nich skrzynię złota, a wy zażądaliście dwóch skrzyń. Wasza chciwość nie

zna granic, dlatego zostaniecie wymordowani, a wasze konie staną się naszymi. Wasze dzieci będą naszymi niewolnikami, a wasze kobiety zaczną nam usługiwać w łóżu i przy stole.

Gdy kobieta tłumaczyła Arpadowi te słowa, Dago przyglądał mu się uważnie. Był to młody mężczyzna w jego wieku, najwyżej dwudziestodwuletni, o skośnych oczach, śniadej gładkiej twarzy i długich czarnych wąsach.

- To jest Arpad II, syn wielkiego wodza Mardów. Za jego życie i wolność otrzymasz tabuny koni i złoto, które dały nam wojowniczeki z Kraju Kwen. Arpad II dorzucił coś chępliwie i kobieta dodała:

- Jeśli ocalisz życie i wolność innym Mardom, Arpad II jest zdecydowany zawrócić nad Pont, do swojego ojca.

Dago popatrzył na kobietę z kraju Rusów, na jej długie jasne włosy, białą twarz i piękne niebieskie oczy. Ten śniady wódz Mardów chyba bardzo ją kochał. Była tak inna od kobiet z plemienia Mardów. Wyjął nóż zza pasa, rozciął więzy na rękach kobiety, a potem Arpada.

- Nie chcę waszego złota. Oddam wam konie - powiedział. - Odjedziecie stąd wczesną wiosną, jak tylko zaczną spływać śniegi. Te ziemie nie są dobre dla nomadów. Niewiele tu pastwisk, a tylko rozległe połacie bagien i lasów. Nie chcę walki ani trupów na swojej drodze. Pragnę braterstwa z Mardami.

To mówiąc wyjął z torby przy swoim siodle blaszany kubek, nożem naciął sobie serdeczny palec lewej dłoni i utoczył do kubka trochę krwi. Następnie podał nóż Arpadowi.

- Ty wypijesz moją krew, a ja wypiję twoją krew - podchwycił

radośnie Arpad II i naciął sobie palec serdeczny, patrząc jak krople krwi spływają do kubka.

Potem napił się tej krwi i podał kubek Dagonowi. Ten opróżnił kubek do dna. Następnie rzekł uroczyście:

- Ty wrócisz nad Pont i gdy znajdziesz się w potrzebie moi wojownicy

przyjdą ci z pomocą. Jeśli ja, Dago, władca ludów za rzeką Visulą

znajdę się w potrzebie, twoi wojownicy podadzą mi swoją pomocną

dłoń. Ten kruk niech będzie naszym świadkiem. Przysięgnij! Awdaniec

podniósł dłoń ze swoim krukiem i czarny ptak zakołował nad nimi, a

potem znowu usiadł na dłoni Awdaćca.

- Przysięgam - powiedział Arpad.

Dago Pan i Piastun osobiście przeciął więzy na rękach każdego

pojmanego Marda, następnie kazał im zwrócić konie i pozwolił zabrać

dwóch zabitych w walce.

- Jutro oddam wam wszystkie konie - obiecał. - Ale strzeżcie się Dzikich

Kobiet, które pałają ku wam nienawiścią i kryją się na prawym

brzegu rzeki. Mardowie odjechali w kierunku swego obozu, a Dago

uśmiechnął się do Herima i Awdaćca.

- Ich obóz jest nie do zdobycia. Kryje się w nim ponad czterystu

wojowników. Są waleczni i gdybyśmy nawet ich pokonali, niewielu z

nas powróciłoby do kraju za Visulą.

- Szkoda tej skrzyni złota - westchnął Awdaniec.

- Otrzymamy wóz pełen złota - Dago wciąż był wesoły.

Zyfika zaczęła mówić, krztusząc się od rozsadzającego jej piersi

gniewu: - Zdradziłeś, panie, że obóz naszych kobiet znajduje się po drugiej stronie zamarzniętej rzeki. Dlaczego?

- Bo nie chcę dalszej walki. Niech Mardowie odejdą stąd wczesną wiosną. Nie pragnę, aby powrócili tu jeszcze silniejsi. Pojedziesz natychmiast na drugi brzeg i powiesz księżnej Lugii, że Mardowie odejdą stąd w pokoju. W ten sposób spełniłem to, o co mnie prosiła królowa Ajtwar. Pokonałem Mardów. Należy mi się od was wóz złota i będę na niego czekał w Wysokim Grodzie.

Zyfika zacisnęła usta i uderzywszy konia ostrogami odjechała galopem w las. Wtedy Dago dał rozkaz opuszczenia wioski, gdzie nocowali. A nazajutrz razem z Pałuką i jego oddziałem pognął konie z polany w kierunku obozu Mardów. Wyjechał mu naprzeciw wódz Arpad i jego żona. Mardowie odebrali swoje konie.

- Czy chcesz, Dagonie, zajechać do mojego obozu i napić się kumysu? - zaproponował wódz.

Dago bał się zdrady. Miał tylko ze sobą Pałukę i trzydziestu wojowników, w obozie zaś było ponad czterystu Mardów.

- Dziękuję ci, wodzu - odpowiedział grzecznie, lecz stanowczo. - Moja armia ruszyła już w powrotną drogę, gdyż zaufałem twojej przysiędze. Nie muszę ci tłumaczyć, jak trudny jest marsz zimą dla prawie tysiąca wojowników? - skłamał. - Muszę spieszyć za nimi, aby nie czynili gwałtu na ludności i nie zabierali siłą pokarmu dla siebie i dla koni. Być może wrócę tu wiosną, aby zobaczyć, czy oszedłeś do

swego kraju.

Następnie Dago zeskoczył z konia i stojąc na ziemi szeroko otworzył ramiona. Zrozumiał ten gest Arpad i także stanął na ziemi. Objęli się ramionami jak przystało na braci, którzy zapewne żegnają się na zawsze.

W dwa dni później, gdy Dago z wojskiem szedł w kierunku Wysokiego Grodu, aby tam przetrwać do końca zimy, przybyła do Herima wieść, że trzysta Dzikich Kobiet natarło nocą na obóz Mardów. Ci, chroniąc się za swoimi wozami, ustrzelili z luków prawie sto kobiet, a potem dokonali konnego wypadu i jeszcze zabili ponad dwadzieścia. Resztę Dzikich Kobiet uratowały ciemności nocy i znajomość lasów i puszczy na prawym brzegu rzeki Buck. Mówiono, że zginęła księżna Lugia; o losie Zyfiki nikt nic nie wiedział.

Awdaniec znowu zaczął od pochlebstwa:

- Nigdy, Piastunie, nie będę z tobą walczyć na młoty, bo mógłbym niepotrzebnie uszkodzić twoją mądrą głowę. Zwyciężyłeś Mardów, którzy byli cztery razy silniejsi od nas, a zginął tylko jeden nasz wojownik.

Tylko Herim wciąż martwił się, że królowa Ajtwar może być równie niesyta krwi jak jej córka Lugia, Czy za samo odejście Mardów da im obiecany wóz złota?

W tydzień później Dago i jego armia dotarła pod palisady Wysokiego Grodu. - Otwórz dla nas swój gród, starosto imieniem Psarz! - krzyknął Dago w kierunku Mazowian ukrytych za palisadą. - Jeśli

dobrowolnie dasz nam ciepłe schronienie i paszę dla koni, wezmę cię w swoje piastowanie. Jeśli nie uczynisz tego, spalimy twój gród, a ty zostaniesz powieszony.

W kilka lat później zapisał Herim:

"Widząc potężny oddział Dagona starosta imieniem Psarz utworzył wrota swego grodu, dał schronienie przed zimą wojownikom i został wzięty w piastowanie. Tak oto we władzy Piastuna znalazł się położony nad rzeką Visulą pierwszy gród Mazowian, którzy dotąd płacili daninę Dzikim Kobietom".

Tego roku miesiąc zwany Luty był bardzo mroźny, ale mrozy trwały krótko. Jeszcze przed nadejściem miesiąca Brzezien nastąpiła odwilż. Stopniał zupełnie śnieg i można było wypuszczać konie na pastwiska z resztkami zeszłorocznej trawy. Wywiadowcy Herima wrócili przebytym już szlakiem i stwierdzili, że wraz z pierwszą odwilżą Mardowie zapakowali na wozy swoje namioty i znacząc drogę głębokimi koleinami ciężkich wozów odeszli na południe.

- Dotrzymał swej przysięgi - powtarzał Herim.

A Dago potakująco kiwał głową, choć nie wierzył w żadne przysięgi. Od dawna doszedł do wniosku, że oddział Mardów pod dowództwem Arpada, syna wielkiego wodza Mardów, został wysłany na północ jedynie dla rozeznania terenu. Mardowie nie znaleźli tu ziemi dogodnej dla nomadów, dlatego zawrócili. W sprzyjającym dla nich klimacie Panonii łatwiej będzie im wdzierać się w bogate kraje cesarstwa Rhomajów albo uderzać na wschodnich Franków.

Wkrótce w Wysokim Grodzie zjawiała się Zyfika. Na widok Dagona jej chmurna twarz jak gdyby pojaśniała.

- Królowa Ajtwar oplakała swoją córkę Lugię, oplakała także prawie sto pięćdziesiąt swoich wojowniczek. Z początku była gniewna na ciebie, panie, że pozwoliłeś odejść Mardom nie biorąc żadnego odwetu.

Ale ty przecież ostrzegłeś Lugię, aby nie atakowała obozu Mardów. Ja też ją przed tą walką ostrzegałam. Popełniła błąd, a ty, panie,

wypełniłeś swoje przyrzeczenie. Mardowie odeszli od naszych granic.

Dlatego weź ze sobą piętnastu wojowników i jedź ze mną do Kraju

Kwen. Gdy jednak napotkamy pierwszą groblę, twoi wojownicy

zostaną na miejscu. Ty zaś, z zawiązanymi oczami, będziesz przeze

mnie zaprowadzony do Miasta Kobiet skąd weźmiesz wóz ze złotem.

Żaden bowiem mężczyzna nie może poznać drogi do Miasta Kobiet i odejść stamtąd żywy.

Przez długi czas Awdaniec, Pałuka, a także Kui, którzy w walce z

Mardami nie znalazł sposobności, aby go przywrócono do łask,

przekonywali Dagona, aby zrezygnować z wyprawy po wóz złota.

- To pułapka, panie - tłumaczył Awdaniec. - Królowa Ajtwar pragnie się zemścić za śmierć Lugii.

Kui powtarzał opowiadania o straszliwych okrucieństwach, jakich

podobno dopuszczały się Dzikie Kobiety.

- W najlepszym razie wykastrują cię, panie- groził. - Słyszałem, że w

tym mieście żyje wielu kastratów. Gdy posiadą mężczyznę i zostaną

zapłodnione, swoim niewolnikom każą wybrać: śmierć lub kastrację.

Dago bał się, choć starannie ukrywał swój lęk. Nie ufał przysięgom i obietnicom ludzkim, ponieważ sam nigdy nie zamierzał dochowywać przysięg, jak go tego nauczyła Księga Grzmotów i Błyskawic.

Łamanie przyrzeczeń należało do części nauki o sztuce rządzenia ludźmi. Rozmawiał więc długo z Zyfiką, próbując wyciągnąć z niej choćby jedno słówko o prawdziwych zamiarach królowej Ajtwar.

- Nosisz, panie, na włosach Świętą Andalę - oświadczyła.- Sama widziałam jak Popiołowłosy oddał ci ją dobrowolnie. Czy myślisz, że moja matka chciałaby zabić tego, który będzie władał sąsiadującym z nami państwem? Obiecano ci wóz złota i go otrzymasz.

Nie przekonały te słowa Dagona. Państwo Popiołowłosego rozpadło się na trzy oddzielne państewka z grodami w Gnieździe, Kruszwic i Poznaniu. Czy nie lepiej mieć za sąsiada trzy skłócone ze sobą i słabe państewka niż jedno silne, przed rządami jedyne go władcy? Sam na miejscu Królowej Ajtwar pozbyłby się takiego człowieka jak on.

Ale myśl o wozie pełnym złota nęciła Dagona i nie pozwoliła mu zasnąć. Mieszki z solidami i denarami były już prawie puste. A jednocześnie do Wysokiego Grodu przybywali coraz to nowi wojownicy z kraju Lendiców i Gopelanów, gotowi służyć Dagonowi za wysoki żołd. Przybył też najstarszy syn starosty Powały, siedzącego na Kruszwic, i poprosił o pomoc przeciw własnemu ojcu. Stary Powala obiecał oddać mu władzę, ale pojął za żonę młodą kobietę i doradziła mu zabić dziedzica. Trzy razy próbowano otruć młodego Olta, aż zbiegł do Wysokiego Grodu. Uroczyście klęknął przed Dagonem i

kładąc dłoń na jego tarczy oddał się w jego piastowanie.

Tkwiło jednak w Dagonie coś więcej niż żądza złota i żądza władzy.

Jak to kiedyś powiedziała Zely: w najtajniejszych myślach ukrywał wątpliwość, czy począł go olbrzym.

- Jesteście tylko karłami - rzekł pogardliwie do swoich wojewodów. -

We mnie zaś płynie krew olbrzymów. Dlatego wy, będąc na moim miejscu, stchórzylibyście. Ja, olbrzym, syn olbrzyma Boży, pójdę do królowej Ajtwar i zabiorę należny mi wóz złota.

Nad ranem, gdy zapiwały pierwsze koguty, Dago rozebrał się do naga i barwnikiem z czerwienią namalował na swych ramionach, piersi i łędźwiach znaki magiczne, aby go chroniły przed strzałą, mieczem, włócznią i wodą. Rankiem oświadczył Zyfice, że gotów jest do drogi.

Awdaniec i czternastu jeźdźców towarzyszyło im do miejsca, gdzie łączyły się ze sobą rzeki Narwia i Buck, tam bowiem, na rozległych bagnach pociętych kanałami i usypanymi groblami, kryło się Miasto Kobiet.

Na polach nie było śniegu, w dzień słońce paliło dość mocno.

Wystarczyło jednak znaleźć się w cieniu, by odczuć chłód. Pod wieczór ziemię skuwały przymrozki. Widły rzeki Narwia i Buck otaczały ogromne pastwiska, rude jeszcze i pokryte wiosennymi roztopami, które tworzyły ogromne jezioro. Na skraju rozlewiska Zyfika

zatrzymała cały oddział i rozkazała wojownikom, aby zsiadli z koni.

- Tutaj musicie zaczekać, ponieważ o staję stąd zaczyna się pierwsza grobla prowadząca do Miasta Kobiet. Te groble krzyżują się ze sobą,

kluczą, niektóre prowadzą na zdradliwe bagna, tylko jedna wiedzie do celu. Ponad dwadzieścia mostów na kanałach broni dostępu do miasta, każdy zaś z tych mostów może być od razu rozebrany lub podpalony. Groble i kanały tworzą wielki znak magiczny, który oznacza śmierć przybyłemu w złych zamiarach. Dlatego dotąd nikomu nie udało się nawet stanąć przed wałem obronnym i siedmioma wieżami, które strzegą Miasta.

Dago chciał okazale wystąpić przed królową Ajtwar. Jak zwykle miał na sobie biały płaszcz, połączony pancerz, zapiął na biodrach biały pas oraz wdział czerwone buty z babilońskiej skóry. Potem uściskał Awdaćca. I aby mu nie okazać swego niepokoju, klepnął go tak mocno w plecy, aż siedzący mu na ramieniu kruk poderwał się do góry i przez chwilę kołował, co było dobrym znakiem.

Zyfika zawiązała oczy Dagona czerwoną opaską, chwyciła cugle białego ogiera i poprowadziła go ku pierwszej podmokłej grobli.

Wkrótce jednak usłyszał Dago, że kopyta koni stąpają po dranicach, groble więc były wyłożone drewnem. Słyszał też jak z głośnym dudnieniem przebywali mosty zbudowane z okrąglaków. Naliczył tych mostów równo dziesięć, gdy znowu usłyszał głos Zyfiki:

- Zapadła już noc, panie, choć dla ciebie od dawna jest już ciemno. Nie obawiaj się jednak, że nie trafimy do miasta, ponieważ widzę zapalone łuczywo na jednej z wież. Powiedz mi, panie, czy odczuwasz lęk?

Po chwili namysłu odpowiedział jej Dago:

- Czuję wokół siebie westchnienia duchów moich przodków,

zaginionych Spalów. Moje plecy aż uginają się od opiekuńczej dłoni jakiegoś olbrzyma. Ktoś namalował na moich ramionach purpurowy znak słońca.

Zyfika zatrzymała konie, wyjęła pochodnię z torby przy siodle. Dago usłyszał trzask krzesanego ognia i poczuł swąd palącego się luczywa. Rozcięła nożem rękaw skórzanego kaftana, a w tym miejscu, gdzie kończył się pancerz ujrzała czerwony znak.

- Mówiłeś prawdę, panie. Ktoś namalował purpurowy znak na twoim ramieniu. Uradował się Dago, ponieważ w głosie Zyfiki zabrzmiała nuta trwogi. A gdy ujechali staję, rzekł:

- Purpurowe znaki ktoś namalował na moich barkach i na moich łędźwiach, czy chcesz to sprawdzić Zyfiko?

- Nie, panie. Zaprześć swoich czarów. Wiem, że posiadasz moc magiczną. Pamiętam, że opatrzyłeś moją ranę na plecach i pozostała po niej prawie niewidoczna blizna. Mówił mi Herim, że i twój miecz jest także zaczarowany.

Z dali dobiegł ich krzyk, jak gdyby jakiegoś ptaka. Podobnie odpowiedziała Zyfika. Na chwilę zatrzymali się, a później Dago usłyszał łoskot i skrzypienie otwieranej szeroko bramy. Gdy ją minęli, Zyfika zdjęła mu z oczu czerwoną opaskę.

- Jesteśmy w Mieście Kobiet, skąd do tej pory nie wyszedł żywy żaden mężczyzna.

Jechali wąską ulicą wyłożoną dranicami. Po obydwu jej stronach stłoczone były domy o stromych dachach, co widział Dago mimo

mroku. Światło padało na ulicę przez pokryte rybimi pęcherzami okna w domach. Na palach wbitych w obrzeże ulicy paliły się pochodnie oświetlające drogę. Nie napotkali żadnej wojowniczkii ani w ogóle żadnego człowieka. Nie szczekały również psy. Miasto wydawało się wymarłe i bezludne.

Cztery duże pochodnie uczepione do drewnianych słupów płonęły na wielkim placu, gdzie pośrodku wznosił się dom większy od innych.

Przed schodami prowadzącymi do wnętrza Zyfika zeskoczyła z konia i kazała to samo uczynić Dagonowi. Konie przywiązała do specjalnie do tego celu przeznaczonych belki. Ktoś zaopiekuje się twoim Vindosem.

Bądź o niego spokojny - zapewniła. Weszli w mroczną sień, a po kilku krokach Zyfika otworzyła drzwi do bocznej izby, gdzie paliła się oliwna lampa ze steatytu, stało łóżko pokryte futrem jeleni, znajdował się stół, a na stole zobaczył Dago złotą misę do mycia i złoty dzban pełen wody. Na poślaczonym talerzu ozdobionym wytłoczeniami przedstawiającymi skrzydlate zwierzęta leżało kilka kawałków zimnej baraniny.

- Posil się i połóż spać. Jutro rano przyjmie cię królowa Ajtwar. Nie próbuj stąd wyjść, gdyż zaraz zamknę na skobel drzwi tej izby, okna zaś są od zewnątrz zasłonięte okiennicami:

Odeszła, a Dago położył się na łóżku z dłonią na rękojeści Tyrfinga.

Mimo głodu i pragnienia nie ruszył baraniny ani wody. W jadle lub napitku mógł się kryć wywar powodujący szaleństwo, usypiający człowieka albo powodujący śmierć. Na dworze Rhomajów w pałacu

Bazylego, a jeszcze wcześniej u Zely, uczono go przyrządzania

podobnych wywarów.

I znowu poczuł w sobie dręczący strach. W izbie, dokąd nie dochodził

żaden dźwięk ani żaden ludzki głos poczuł się samotny i bezsilny.

Potem jednak nadeszły go radośniejsze myśli i strach zaczął

ustępować. Czyż w swej wędrówce po świecie nie widział, że wszędzie

rodzą się władcy i powstają potężne państwa? Czy nie czuł wyraźnie,

że plemiona między Viadugą i Visulą, żyjące w rozdrobieniu i

waśniach, aż proszą się o jedynego władcę, choć same o tej prośbie nie

wiedzą? Królowa Ajtwar jest tylko człowiekiem. A powiada Księga

Grzmotów i Błyskawic: "Poszczególni ludzie mogą plątać nici historii,

ale nie potrafią ich zrywać".

Królowa Ajtwar była bardzo starą kobietą. Tak starą, że żółta skóra

jej twarzy, wyschnięta jak pergamin, niemal oblepiła kości policzkowe

jak u zmarłych, coś w rodzaju białej peruki z owczego runa pokrywało

jej głowę i uszy. Kiedyś - być może średniego wzrostu - teraz skurczyła

się do rozmiarów dziewczynki i gdy siedziała na wysokim złotym

tronie, jej stopy musiały się wspierać o obity brokatem podnózek.

Nosiła obszerny kaftan obszyty futrem, pięknie haftowany na

ramionach i na piersiach w uskrzydłone smoki. Na głowie miała złoty

diadem królewski, aż rażący oczy połyskiem najróżniejszych

szlachetnych kamieni ogromnej wielkości. W małej prawej dłoni

trzymała złote berło. Na piersiach wisiał naszyjnik-pektorał również

złoty, z wyrzeźbionymi lwami, które pożerały konia. U jej stóp leżał

złoty kołczan pełen złotych strzał i miecz w złotej pochwie. Robiła wrażenie martwej, szczególnie gdy opuszczała powieki. A kiedy je podnosiła, bystro spoglądały jej czarne przenikliwe oczy i cała postać nabierała życia. Nie mogła być oczywiście matką księżnej Lugii ani Zyfiki, była na to za stara. Dopiero później dowiedział się Dago, że kobiety z Kraju Kwen tylko rodziły, a potem wspólnie wychowywały dzieci. Każde zaś dziecko mówiło o królowej "moja matka", gdyż w ich pojęciu była ona matką wszystkich mieszkańców Miasta Kobiet.

Przyjęła Dagona w długiej izbie wspartej na wielu słupach. Cztery gliniane piece ogrzewały komnatę. Na ścianach wisiały posrebrzane tarcze i dziesiątki drogocennych kołczanów i łuków z pozłacanymi okuciami. Od drzwi aż do podwyższenia, na którym stał tron, prowadził gruby miękki, purpurowy dywan, a koło słupów po każdej stronie komnaty pełniło straż po dziesięć uzbrojonych wojowniczek.

Do komnaty przyjęć wprowadziła Dagona Zyfika i zaraz przy drzwiach odsunęła się na bok i zatrzymała. Dago ruszył przed siebie w swych czerwonych butach i złożonym pancerzu, w białym pasie i w białym płaszczu. O trzy kroki od podwyższenia, na którym stał tron prowadził gruby miękki, purpurowy dywan, głowę o białych włosach, przytrzymywanych skórzaną Andalo.

- Witaj mi, Święta Andalo, na głowie tego człowieka - usłyszał skrzekliwy powolny głos starej kobiety.

Podniósł głowę i gniewnie zmarszczył brwi.

- Dlaczego, królowo, witasz Andalę, a nie mnie, który ją nosi?

- Bo nosić ją powinien tylko władca. Czy człowiek, który zna sztukę rządzenia puszcza wolno Mardów, nie biorąc na nich odwetu i nie pobierając okupu? Wiem, że miałeś w swoim ręku młodego Arpada.

Dlaczego nie odebrałeś mu życia:

Odpowiedział Dago:

- Widzę na twoich piersiach wizerunek lwów pożerających konia.

Sztuka rządzenia mówi, że nie rzuca się od razu włóczy w napotkanego lwa, gdyż może być syty i odchodzi na swoje legowisko.

Na dworze cesarza Rhomajów powiedziano mi, że tysiące Mardów osiedliło się nad Pontem. Nie chciałem, aby przyszli tutaj szukać pomsty za zabitego Arpada. Prosiłaś mnie, królowo, abym odpędził Mardów od twojej granicy. Obiecano mi za to wóz złota.

Opadły powieki królowej Ajtwar i przez chwilę wyglądała jak zmarła.

Potem jednak spojrzała bystro na Dagona i oświadczyła:

- Nie jest łatwo rządzić ludźmi. Chcę wiedzieć, czy masz prawo nosić Świętą Andalę. Powiedz mi, jaki jest człowiek: dobry czy zły?

Odpowiedział Dago:

- Człowiek jest i dobry i zły. Bywa zły z natury rzeczy, ale do czynienia dobra można go zmusić. To powinien uczynić władca, albowiem on wie najlepiej co jest dla ludu dobre, a co złe.

Zapytała go znowu królowa Ajtwar:

- W jaki sposób władca powinien czynić zło, a w jaki sposób dobro?

Odpowiedział Dago:

- Zło należy czynić od razu i w całej pełni, aby ludzie krócej cierpieli.

Dobro zaś należy dawać po trochu, aby ludzie długo mogli się nim cieszyć. Wykrzywiły się suche, blade wargi królowej, co oznaczało uśmiech zadowolenia.

- Gdzie uczyłeś się sztuki rządzenia, Dagonie? - po raz pierwszy wypowiedziała jego imię.

- U cesarza Rhomajów, a także u króla Franków.

- Wstań z klęczek, Dagonie. Otrzymasz wóz złota. Dziś będzie księżycowa noc. Napelnimy wóz złotymi ozdobami Sauromatów, zaprzężemy do niego cztery konie. Odejdiesz stąd nocą z zawiązanymi oczami. Aż do granic Kraju Kwen poprowadzi wóz Zyfika, a potem powróci. Ty zaś użyjesz tego złota tak, aby kamień na twoim czole błyszczał jeszcze mocniej.

Uderzyła złotym berłem w poręcz tronu i dwie wojowniczkę wniosły dla Dagona stółek obity brokatem.

- Siadaj - wskazała go Dagonowi. - Powiedz, czy masz do mnie jeszcze jakąś prośbę?

Powiedział Dago:

- Złoto jest cenne. Ale cenniejsza jest wiedza. U cesarza Rhomajów i na dworze króla Franków słyszeli o Kraju Kwen. Nikt jednak nie zna historii twego ludu, królowo. Mój kraj będzie sąsiedował z twoim. Nie znając historii mogę uczynić jakiś błąd, gdyż niewiedza jest matką błędów.

Ponownie uderzyła berłem o poręcz tronu i po chwili do komnaty wszedł mężczyzna w białej chlamidzie z gęslami w ręku. Był dorosły,

ale go chyba w młodości wykastrowano, ponieważ jego głos brzmiał cienko, jak u młodego chłopca.

- Zaśpiewaj nam historię Kraju Kwen - rozkazała Ajtwar. Usiadł u jej stóp, dotknął struny gęśli i zanucił dziecięcym głosem:

- ... Opowiada się, że gdy jeszcze młode było słońce i młody był księżyc, prawie całą młodą ziemię pokrywały stepy porośnięte soczystą trawą.

Jak kwiaty w stepie pojawili się tam Scytowie, lud kochający się w

złocie i srebrze, z niego wszak składa się słońce i księżyc. Scytowie

dzielili się na Scytów Królewskich budujących miasta zwane

Neapolami, gdzie ze złota i srebra robili dzbany i misy, kołczany na

strzały i pochwy na miecze, pozłacane pancerze i nagolenniki, tarcze i

uprzęże dla koni. Byli też Scytowie Koczownicy; ci żyli na stepach

hodując konie i bydło, za które otrzymywali od Królewskich Scytów

złote i srebrne dobra. Byli też i Scytowie Oracze; ci siali i zbierali

zboże, oddając je Scytom Koczownikom i Scytom Królewskim w

zamian za mięso i skóry, złote i srebrne naczynia i ozdoby. Bogiem zaś

wszystkich Scytów był Miecz.

Przerwał śpiew mężczyzna i trzy razy mocno uderzył w struny gęśli.

Po chwili znowu podjął pieśń:

- ...Opowiada się, że w tym samym czasie na wyspie o zapomnianej

dziś nazwie mieszkał lud Sauromatów, którym władały kobiety zwane

Amazonkami, gdyż to słowo w języku Sauromatów oznacza kobietę

walczącą na równi z mężczyzną. Sauromackie kobiety kochały złote i

srebrne ozdoby, a że nie było złota w ich kraju, dlatego czyniły po nie

wyprawy aż do kraju Hellenów. ...Opowiada się, że pewnego razu Hellenowie napadli na Sauromatów, a zwyciężywszy ich pod Termodentem, odплыnęli na trzech okrętach porwawszy wszystkie Amazonki, jakie żywcem zdołali pochwycić. Lecz kobiety wojowniczkimi wymordowały w drodze Hellenów i opanowały okręty. Niestety, nie umiały żeglować i wiatr poniósł je aż do Kremnoj nad jeziorem Meockim, należącym do ziemi Scytów. Tu Amazonki wysiadły z okrętów i ruszyły pieszo w obcy kraj. Napotkawszy zaś pierwsze stado koni, porwały je, ujeździły i zaczęły łupić dobytek Scytów... Opowiada się, że Scytowie rozpoczęli walkę z Amazonkami, lecz po bitwie, zobaczywszy trupy zabitych, przekonali się, że Amazonki są kobietami. Wówczas zwołali naradę i postanowili nie walczyć z kobietami, lecz wysłali do nich pięknych młodzieńców mniej więcej w tej liczbie ile było Amazonek. A gdy one przekonały się, że młodzieńcy nie żywią wobec nich złych zamiarów, z czasem uległy im i założyły z nimi wspólny obóz. Nauczyły się Amazonki języka Scytów, młodzieńców wysłali do rodziców po swój dobytek i potem wspólnie wycofały się przez rzekę Tanais i tam z nimi zamieszkały. Ale choć żyli razem, to przecież Amazonki zachowały swój dawny obyczaj, wyjeżdżały z mężami konno na łowy, brały udział w wojnach, a żadna z nich nie wyszła za mąż, dopóki nie zabiła nieprzyjaciela. ...Opowiada się, że za czasów króla Ateasa na Scytów napadali Medowie i wówczas wszyscy Scytowie, także mężowie Amazonek, ruszyli przeciw nim na bój, pozostawiając Amazonki w domach, aby pilnowały dobytku

przeciw innym wrogim ludom. Dwadzieścia osiem lat walczyli Scytowie, a gdy wrócili do domów wyszło im naprzeciw liczne wojsko. To ich sauromackie Amazonki przez ten czas, nie mogąc się doczekać własnych mężów, nawiązały stosunki ze swoimi niewolnikami i wydały na świat liczne potomstwo. Owa młodzież, dowiedziawszy się o swoim pochodzeniu, wyszła do walki przeciw Scytom wracającym z wojny z Medami. I najpierw wyznaczyli sobie kawał ziemi i wykopali szeroki rów, który ciągnął się od Gór Taurydzkich aż do Jeziora Meockiego, a że Scytowie usiłowali wtargnąć na ich teren, więc staczali z nimi nieustanne bitwy. ...Scytowie pokonali wreszcie Amazonki, które uchodząc przed wrogimi mężczyznami udały się na zachód, a tymczasem Scytowie nękani byli przez Alanów i Kutigurów. Na zachodzie Amazonki weszły w kraj puszczy, a potem pól i opanowały warzelnie soli w kraju Gopelanów. Lecz powstała przeciw nim cała ludność sklavińska, a potem wzdłuż Visuli uderzyli Goci i Gepidzi. Amazonki wycofały się między rzeki Narwia i Buck, budując tam Miasto Kobiet. Kraj swój nazwały Amazowią, a wreszcie Mazowią. W owej Mazowii, mając za poddanych lud sklaviński, nauczyły się ich języka, lecz zachowały swój obyczaj, aby nie podlegać mężczyznom. Nikomu nie udało się zdobyć Miasta Kobiet, które Germanie nazwali Krajem Kwen. Zachowały więc swój obyczaj kobiety sauromackie, zachowały swoje bogactwo, złoto Scytów i złoto Hellenów, a także złoto Sauromatów. I prawdą jest, że żadna kobieta sauromacka nie może osiąść mężczyzny dopóki nie zabije mężczyzny-

nieprzyjaciela. Albowiem mężczyzna nie może panować nad kobietą, ponieważ nie jest zdolny do rodzenia dzieci i przez to upośledzenie powinien pozostać jedynie jej sługą i niewolnikiem...

Zakończył swoją pieśń mężczyzna o głosie dziecka, zabrał swoje gęśle i odszedł w ciszy. Wówczas po raz ostatni odezwała się królowa:

- Otrzymasz, Dagonie, wóz pełen złota Scytów, Hellenów i Sauromatów. Odejdź w pokoju i nigdy tu nie wracaj, ponieważ żaden żywy mężczyzna nie może wyjść wolno z Miasta Kobiet. Zostałeś tu wprowadzony z zawiązanymi oczyma, a to znaczy, że jak gdyby cię u nas nie było.

Tak skończyło się przyjęcie u królowej Ajtwar. Dagona zaprowadzono do jego izby, gdzie wraz z Zyfiką uczował aż do wieczora i wzejścia księżycy. Wtedy opuścił dom królowej Ajtwar i stwierdził, że przed domem stoi nakryty płótnem wóz, a w nim cztery skrzynie pełne złotych przedmiotów. Z tyłu wozu był przywiązany Vindos oraz czarny rumak Zyfiki. Dwie pary koni miały ów ciężki wóz wyprowadzić z miasta. Dago i Zyfika zasiedli na przednim siedzeniu. Zyfika ujęła w ręce lejce i bat, a Dagonowi znowu zawiązano oczy. Łomotały kopyta koni po dranicach ulic, dudniły koła wozu na mostach i groblach wyłożonych drewnem. Poczul Dago zapach mokradel, a potem w jego nozdrza wtargnął jakiś straszliwy smród.

- Co to takiego, Zyfiko? - zapytał.

- Widzę setki szczurów . - powiedziała. - Kopyta koni i koła wozu miażdżą je, lecz jest ich bardzo wiele.

Dago zerwał opaskę na oczach. W srebrnym blasku księżycyca ujrział rozległą bagnistą ziemię, posiekaną kanałami i usypanymi groblami, które stanowiły przejezdne drogi. Groble niekiedy łączyły się ze sobą, to znowu rozbiegały w różne strony, a tam, gdzie napotkały kanał, znajdowały się drewniane mosty. Niektóre jednak groble prowadziły prosto w bagno. Księżyc odbijał się w nieruchomej i cuchnącej wodzie kanałów, niknął pod mostami, daleko w tle jak duża gwiazda błyszczała pochodnia umieszczona na jednej z siedmiu wież Miasta Kobiet. A spod mostów wylazły na groble wciąż nowe i zbite w gromadki, liczące po kilkaset sztuk, małe, zwinne, szybkie szare zwierzątka - wędrowne szczury. Rozchodziły się po wszystkich groblach. Tam, gdzie nie było mostu zawracały i znowu szukały drogi do bram Miasta. Powietrze wypełniał odór jak od gnijących zwłok. Zobaczył Dago, że przebyli już płataninę kanałów i grobli, droga, którą jechali zbliżała się do skraju lasu, co znaczyło, że kończyły się mokradła i zaczynał twardy grunt.

- Szczury wędrowne! - krzyknął Dago do Zyfiki. - Czy wiesz, co niosą z sobą te zwierzęta, wędrujące w księżycowe noce? Idą do Miasta Kobiet, a wraz z nimi nadchodzi zaraza. Mor. To straszna śmierć, Zyfiko. Za kilka dni w Mieście Kobiet nie pozostanie nikt żywy.

- Zdjąłeś opaskę - stwierdziła Zyfika i wyciągnęła nóż z za pasa, aby zabić Dagona.

Lecz on uderzył ją pięścią w głowę, zamroczył, a potem związał i przytroczył do siedzenia na wozie. Następnie chwycił lejce oraz bat.

Zaczął mocno okładać nimi grzbiety końskie, aby przyśpieszyć bieg wozu. I tak w poświstach bata wóz pędził po groblach coraz dalej i dalej od Miasta Kobiet i coraz dalej od wędrownych szczurów, które niosły z sobą zarazę zwaną Morem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY - KARLOMAN

Cesarstwo Rhomajów wkraczało w okres swego rozkwitu. Za sprawą cesarzowej Teodory, wdowy po cesarzu Teofilu, rządzącej w imieniu małoletniego syna Michała - ostateczną porażkę ponieśli obrazoburcy, dla których kult świętych obrazów, tak licznie malowanych w cesarstwie, nie był niczym innym, jak przejawem pogaństwa i odstępstwem od chrześcijańskiej wiary. Czy w istocie bowiem wizerunek Boga i jego świętych sług apostołów można uznać za przedmiot święty, zdolny do czynienia dobra w imieniu Boga? Czy obrazom uczynionym ludzką ręką należy się klaniać, modlić się do nich, liczyć na ich wsparcie? A może - jak to twierdzili zwolennicy obrazów - w chwili aktu twórczego sam Bóg kierował ręką artysty i dlatego w jego dziele pozostała cząstka boskości, której należało się klaniać i oczekiwać łaski?

Długoletnie walki między obrazoburcami i zwolennikami obrazów wyczerpały wewnętrznie cesarstwo Rhomajów, a najazdy Medów i Musliminów osłabiały jego potęgę. Do tego jeszcze cesarze obrazoburcy, zajęci wewnętrznymi kłopotami, zaniedbali sprawy Starej Romy, tracili ziemie w Cesarstwie Zachodnim, tym samym umacniając władzę papieża w Starej Romie, pozwalając panoszyć się

Frankom do tego stopnia, że to Frankowie mieli tworzyć Państwo Boże, a ich przywódca Karol Wielki został koronowany na cesarza, jako równy cesarzom nad Bosforem.

Teodora miała mądrego doradcę, swego kochanka, Teoktistosa, którego uczyniła najwyższym dostojnikiem państwowym, to jest logotetą domu. Odsunęła od rządów swojego brata, znakomitego wodza, Bardasa, a na tronie patriarchy trzymała syna jednego z dawnych cesarzy, kastrata Ignacego. Pilnie też baczyła na wszelkie samodzielne poczynania swego syna, Michała.

Prawdą jest jednak, że zakończyła właśnie religijne wstrząsające państwem, a jej kochanek, Teoktistos, wyruszył przeciw Musliminom i choć na krótko, to przecież odebrał im wyspę Krete. Następnie flota Rhomajów pojawiła się niespodziewanie u wybrzeży Egiptu i zniszczyła należącą do Musliminów twierdzę Damiette, leżącą w pobliżu delty Nilu. Musliminowie okazali się słabi, gdyż i ich trapiły wewnętrzne walki o władzę. Potężny ongiś kalifat bagdadzki podzielił się na wiele różnych kalifatów z samodzielnymi władcami, którzy nie mieli ani tej siły, ani potęgi, co kiedyś jedynowładcy Bagdadu:

Teoktistos okazał się też człowiekiem niezwykle sprzyjającym rozwojowi życia umysłowego w państwie Rhomajów, co spowodowało jego rozkwit w dziedzinie nauki i kultury. Tymczasem z małoletniego Michała wyrósł mężczyzna, który zapragnął rządzić cesarstwem. Jego naturalnym sojusznikiem okazał się stryj Bardas, odsunięty od władzy przez kochankę cesarzowej. Bardas był nie tylko świetnym

wodzem, ale jednym z najświetniejszych ludzi tej epoki. Nie brakowało mu też zdolności do intryg. Zwabiony do pałacu Teoktistos został zamordowany na oczach Michała, którego senat natychmiast ogłosił jednowładcą. Teodora poszła do klasztoru, a wzgardzony przez nią brat, Bardas, przybrał tytuł cezara, jako najwyższego zwierzchnika wojska i spraw państwowych. Stało się natychmiast oczywiste, że Bardas i młody Michał III nie zniosą na tronie patriarchy Ignacego, tak silnie związanego z cesarzową Teodorą. Ich wybór padł na Focjusza, najwybitniejszego uczonego i profesora wspaniałej uczelni w pałacu Magnura, założonej właśnie przez Bardasa. Tak oto Focjusz stał się patriarchą cesarstwa Rhomajów, choć wielu fanatyków religijnych w cesarstwie, a także papież w Starej Romie wyboru tego nie przyjęli do wiadomości, w dalszym ciągu uważając za patriarchę kastrata Ignacego. Ta sprawa, a później problem natury teologicznej spowodowały ostateczny rozdźwięk między Cesarstwem Wschodnim i Cesarstwem Zachodnim z siedzibą w Starej Romie, gdzie na tronie papieskim zasiadał energiczny i nieprzejednany Mikołaj I, zwany potem "nowym Eliaszem". Uważał się on za jedyną głowę Kościoła Chrześcijańskiego, zaś patriarcha Focjusz był dla niego samozwańcem. I tak oto świat chrześcijański miał odtąd dwa ośrodki władzy i dwie głowy kościołów; jedną w Starej Romie i jedną w Nowej Romie, w osobie patriarchy Focjusza. Jak wielka była władza tego człowieka i mądrość oraz zdolność przekonywania innych, najlepiej świadczył fakt, że wysłani na sobór do miasta Byzisa legaci papieża,

którzy mieli ogłosić Focjusza nieprawym patriarchą, pod wpływem jego argumentów uznali go i potraktowali z szacunkiem.

Ale spór między Focjuszem i papieżem poszedł znacznie dalej i głębiej.

Zaostrzył się w sprawie istoty Ducha Świętego. Papież i kościół w Starej Romie twierdzili, że Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna, natomiast Focjusz i przedstawiciele kościoła w Cesarstwie Rhomajów, że Duch Święty pochodzi od Ojca przez Syna. Powoli, ale

zdecydowanie następowało rozdzielenie świata chrześcijańskiego na dwa potężne i równoprawne kościoły: wschodni w Nowej Romie i Zachodni w Starej Romie.

I właśnie w tym czasie przypadło Dagonowi przebywać na dworze cesarza Rhomajów, cieszyć się łaskami Wielkiego Koniucha, spotykać patriarchę Focjusza i cezara Bardasa, uczyć się sztuki rządzenia i mowy Franków. Do wielkich bowiem celów przeznaczył go nie tylko Wielki Koniuch, ale i patriarcha Focjusz. Do jakich to celów - pojął, gdy na dwór Rhomajów przybyło poselstwo od władcy Wielkiej Morawy, państwa położonego na południe od gór Karpatos, od sklavińskiego księcia Rostislava. Władca ten nieustannie popadał w zależność od Franków Wschodnich i ich króla Ludwika Teutońskiego, ponieważ Wielka Morawa sąsiadowała z frankijską Marchią Wschodnią. Frankijscy misjonarze przynieśli Wielkiej Morawie wiarę chrześcijańską, ale jak się wkrótce przekonano oznaczało to zależność od frankijskiego biskupa w grodzie Passau i powolną utratę niepodległości. Poprosił więc Rostislav papieża Mikołaja I o własne

biskupstwo, które mu mogło pomóc w utrzymaniu niepodległości. Lecz papież Mikołaj I odmówił prośbie sklavińskiego księcia, gdyż popierał teutońskich biskupów, którzy kosztem Sklavinów i Wielkiej Morawy chcieli poszerzyć swoje majątki i swoje władztwo. Wówczas to Rostislav zrobił rozpaczliwy gest: wypędził misjonarzy frankijskich i teutońskich, a do cesarza Rhomajów wysłał poselstwo, że chce wiary chrześcijańskiej od patriarchy Focjusza, od Rhomajów zaś opieki i ochrony nie tylko przed Frankami, lecz również przed Bułgarami, osiedlonymi na jego drugiej granicy.

Focjusz pojął szybko, że wybiła chwila, gdy kościół wschodni będzie mógł podporządkować sobie ludy sklavińskie sąsiadujące z Frankami i tym samym zagrozić drogę ich naporowi na wschód. Pomyślał również, że w ten sposób obniży powagę papieża i kościoła zachodniego.

Dago był świadkiem z jak niezwykłym przepychem przyjęto posłów z Wielkiej Morawy. Już na granicy cesarstwa oczekiwali na orszak poselski urzędnicy państwowi, obdarowując posła licznymi darami i podobne, choć skromniejsze dary dla cesarza, przyjmując od posła.

Następnie w każdym grodzie, przez który przejeżdżał poseł, przyjmowano go uroczyście i znowu wręczano podarki. W stolicy umieszczono posła Wielkiej Morawy w wykwinnym pałacu i jako pierwszy złożył mu wizytę najwyższy dostojnik, logoteta domu.

Następnie ubrany w złote pancerze i białe płaszcze specjalny oddział przybocznej gwardii cesarskiej przyprowadził posła do pałacu

Magnura, gdzie znajdowała się sala przyjęć. Posel Wielkiej Morawy otrzymał dla przejazdu przez miasto wspaniałego rumaka, kapiącego od ozdób. A w chwili, gdy wchodził do sali przyjęć, w jej głębi rozchyliły się kotary odsłaniające specjalne podwyższenie, gdzie stał złoty tron cesarski i zasiadał sam władca. Wszyscy obecni klęknęli na ten widok i tylko posel kroczył w kierunku tronu, zatrzymując się na płycie z czerwonego porfiru, osadzonego w posadzce. Dopiero tutaj klęknął i zgodnie z ceremoniałem trzykrotnie pochylił się przed cesarzem Michałem III. Przekazał cesarzowi pozdrowienia od swego władcy Rostislava, potem wręczył pismo z prośbą o przysłanie mnichów dla szerzenia chrześcijaństwa.

Cesarz Michał III wyglądał wspaniale. Nie tylko dla posła z tak dalekiego kraju jak Wielka Morawa było oczywiste, że uosabia Boga Słońce, a także że swą władzę otrzymał od Chrystusa. To on zresztą niekiedy koronował przedstawioną na ikonie głowę Chrystusa, dając tym do zrozumienia, że sam jest jakby bogiem.

Tron aż błyszczał od złota. Cesarz ubrany był w chlamidę, na którą narzucono płaszcz starorzymskich wodzów. Na nogach miał purpurowe buty naczelnego wodza armii, a na głowie złotą ciężką koronę, składającą się z wielu tarcz połączonych zawiasami. W rękach trzymał zwój pergaminu, jako symbol prawowierności, oraz mieszek z prochem, jako symbol przemijania. Nikomu nie wolno było dotknąć ręki cesarskiej. Taki czyn uważano za świętokradztwo.

Cichym głosem zapytał cesarz posła z Wielkiej Morawy o zdrowie

swojego "syna", tak bowiem określano tutaj władców krajów mniejszych, a słowem "brat" władców krajów potężnych. Posel odpowiedział i ceremonię uznano za zakończoną, gdyż dopiero nazajutrz miała się odbyć druga audiencja przeznaczona na omówienie spraw z jakimi przybywał poseł.

Dagonowi na zawsze już pozostała w pamięci wizja cesarza Michała III zasiadającego na tronie w swojej ogromnej i ciężkiej koronie, widok dostojników cesarskich i możnych ubranych w purpurę, w pawie pióra i muszle. I klęczącego przed cesarzem posła z Wielkiej Morawy, który prosił o mnichów dla szerzenia chrześcijaństwa i obronę przed Frankami i Bułgarami. Czy mógł wtedy przypuszczać, że kiedyś stanie do śmiertelnej walki z Wielką Morawą o przyszły byt kraju, który po latach nazwą Polską?

Uczestniczył Dago w uczcie, jaką cesarz wydał na cześć posła z Wielkiej Morawy. Za złotym stołem zasiadał władca, a za jego plecami znajdowali się szambelanowie trzymający w rękach oznakę swej godności - laskę. Obok cesarza zasiadła cesarzowa, a za jej plecami stały damy dworskie z różdżkami w rękach. Posłów sadzano w zależności od znaczenia jakie miały ich państwa; tego z Wielkiej Morawy, ze względu na wagę jaką Michał III, Bardas i Focjusz wiązali z rozszerzeniem się wpływów Rhomajów na państwa sąsiadujące z Frankami, posadzono u szczytu stołu obok cesarza. Potrafiono jednak okazać i pogardę dla niektórych krajów. W starych dokumentach zachowała się skarga posła Teutonów, biskupa Liutpranda z

Kremony, któremu dano miejsce na końcu stołu, podczas gdy poseł Bułgarów zasiadał obok cesarza, ponieważ był to czas, gdy Bułgaria także od Rhomajów miała przyjąć wiarę chrześcijańską.

Podczas biesiady przygrywały orkiestry złożone z organów, cymbałów i wielu instrumentów smyczkowych. Występowały też chóry i pojedynczy śpiewacy, a potem uświetniały ucztę tancerki i aktorzy posługujący się sztuką pantomimy. Tak pojął Dago, że władca powinien otaczać się pięknem, ponieważ piękno podnosi go w oczach poddanych.

I stało się, że cesarz Michał III łaskawie odniósł się do poselstwa księcia Rostislava. Patriarcha Focjusz wyznaczył dla misji szerzenia chrześcijaństwa na południe od gór Karpatów swego ulubionego ucznia Konstantego, który przybrał imię zakonne Cyryl oraz jego brata Metodego. Obydwaj znali język Sklavinów, gdyż byli synami oficera z Salonik, gdzie żyło dużo Sklavinów. Konstanty, profesor przy katedrze św. Apostołów opracował specjalne pismo sklavińskie odpowiadające dźwiękom mowy Sklavinów, następnie przełożono na język sklaviński księgi liturgiczne i nauczono się odprawiać nabożeństwa w języku Sklavinów. Tak przygotowani misjonarze, Konstanty i Metody, wyruszyli z licznym orszakiem do Wielkiej Morawy, aby poprzez chrześcijaństwo od Rhomajów rozszerzać i umacniać także wpływy cesarstwa.

Zapytał potem Bazyli mieszkającego w jego pałacu Dagona:

- A ty, Dagonie, czy przyślesz nam posłów, gdy staniesz się kiedyś

władcą ludów na północ od gór Karpatos? Czy zechcesz, aby uczniowie Konstantego i Metodego także i w twoim państwie szerzyli chrześcijaństwo?

Odpowiedział Dago:

- Najpierw muszę mieć to państwo, panie. Nauczyciel, którego mi dałeś, abym posiadał sztukę rządzenia, powiedział mi, że wasze cesarstwo złożone z tak różnych ludów, łączy jedna religia. Podobnie jest i u Franków. Chrześcijaństwo więc, panie, to spoiwo dla różnych ludów. Ale zarazem, panie, powiedział mi on, że nie chodzi tylko o to, w co jaki lud będzie wierzył, w Chrystusa czy w Swaroga, ale od kogo przyjmie wiarę, bo to już sprawa, którą nazywa się tutaj słowem "polityka".

- "Polityka" to bardzo dziwne słowo - roześmiał się Bazyli.

- Tak, panie. Wystarczyło, że ostatnio Bułgarzy postanowili przyjąć wiarę chrześcijańską od papieża w Starej Romie, a wódz Bardas wysłał całą flotę do wybrzeży Bułgarii, aby dać im do zrozumienia, że to grozi wojną.

- I oświadczam ci, Dagonie, że będzie wojna z carem Borysem Bułgarskim - przytaknął Bazyli. - I że kiedyś zmusimy Rusinów, aby od nas przyjęli wiarę, bo tylko to zapewnia bezpieczeństwo naszych granic.

Tymczasem coraz bardziej pocieszające dla Rhomajów wieści dochodziły z zachodu. Oto idea Państwa Bożego utożsamiana z jednością Państwa Franków z każdym rokiem rozpadała się w gruzy.

Jedności państwa nie potrafił utrzymać już syn Karola Wielkiego, Ludwik Pobożny, który ponownie ożeniony z piękną Judytą, zaczął kosztem synów z pierwszego małżeństwa faworyzować swego i Judyty syna, Karola. Kilkakrotnie buntowali się przeciw niemu synowie, był nawet zdjęty z tronu i musiał aż trzy razy koronować się na cesarza, z każdą zaś jego klęską rozpadały się marzenia o Państwie Bożym. Potem zwolennicy jedności cesarstwa wielkie nadzieje związali z najsilniejszym synem Ludwika Pobożnego, Lotharem, którego koronowano na cesarza Franków. Niestety, Lothar okazał się złym wodzem i politykiem, w słynnej bitwie pod Fontainey en Puisaye niedaleko Auxerre startł się w bitwie ze swymi braćmi, Ludwikiem, zwanym później Teutońskim i Karolem, zwanym później Łysym. I poniósł klęskę.

Aż do Rhomajów przywędrowała pieśń o owej słynnej bitwie, gdzie poległo wielu Franków:

Niech ani rosa, ani ulewa nie spadną nigdy na pola, gdzie rycerze najwyborniej zaprawieni do walki zginęli oplakiwani przez ojca, matkę, siostrę, brata. Po stronie Karola i Ludwika także pola były białe od lnianych płaszczy poległych, podobnie jak często białe bywają od ptaków, które je obsiadą.

W dwa lata po owej bitwie, w Verdun podpisali trzej władcy traktat pokojowy. W ten sposób wnukowie Karola Wielkiego ostatecznie rozdrapali między siebie ogromne Państwo Franków. I tak Lothar uzyskał Italię oraz długi pas ziemi między Renem i Aarem z jednej

strony, Skaldą, Arganami, Saoną i Cewwnnes'em z drugiej. Dostał też Fryzję na prawym brzegu Renu, choć Ludwikowi Teutońskiemu musiał ustąpić Moguncję, Wormację i Spirę. Ludwikowi dano też ziemie frankijskie położone na wschód od ziem Lothara - tworząc cesarstwo Wschodnio-Frankijskie. Wszystkie zaś ziemie na zachód od państwa Lothara przejął Karol Łysy, tworząc państwo Zachodnio-Frankijskie. Lecz nawet te trzy dość jeszcze potężne państwa nie były w stanie utrzymać swej jedności i borykały się z licznymi kłopotami. Lothara i Italię gnębiły najazdy Musliminów, Karola Łysego - łupieżcze napady Ascomannów zwanych wtedy Normanami. Ludwik Teutoński ciągle nie mógł się uporać z buntami pogańskich Sklavinów, przede wszystkim z Obodrytami i rodzącą się potęgą Wielkiej Morawy. I stało się, że Lothar musiał znowu podzielić swoje państwo między trzech synów, oddając Ludwikowi II - Italię, Karolowi - Burgundię i Prowansję, a Lotharowi II - Fryzję i resztę ojcowizny. Najważniejszą częścią tych ziem była oczywiście Italia, gdyż tam znajdowała się Stara Roma i tam rządzący papieże, dawcy koron i jedyjni w owym czasie zwolennicy jedności cesarstwa. Nie lepiej działo się w państwie Franków Karola Łysego. Nie dość, że gnębiły go najazdy Normanów, to jednocześnie buntowali się przeciw niemu możni, szczególnie Bretończycy, aż nawet doszło do tego, że wezwany został przeciw nim do walki jego brat, Ludwik Teutoński, który przekroczył Ren i odniósł zwycięstwo, choć władzy nad Zachodnimi Frankami nie zdołał utrzymać. Potem przeciw Karolowi

Łysemu miał miejsce bunt jego syna Karola Akwitańskiego, później musiał dla obrony przed Normanami i Bretończykami oddać część kraju w ręce możnowładcy Roberta Mocnego, który wkrótce poczuł się samodzielnym królem danych mu pod opiekę ziem. Podobnie zaczynało się dziać i we Flandrii pod rządami hrabiego Baldwina Żelazna Ręka...

Dagona interesował przede wszystkim kraj Franków Wschodnich, którym władał Ludwik Teutoński. Jeśli bowiem miał stworzyć swoje państwo na wschód od rzeki Albis i Viaduy, nie wydawało się prawdopodobnym, aby ten silny i przedsiębiorczy król zgodził się na to, podobnie jak nie chciał przyjąć do wiadomości prawa do samodzielności Rostislava i Wielkiej Morawy. Cała uwaga Ludwika Teutońskiego zdawała się spoczywać na wschodzie, dokąd rok po roku wysyłał wyprawy przeciw nie uznającym jego zwierzchności sklavińskim Obodrytom. Potem zaatakował Rostislava, władcę Wielkiej Morawy. Ta wyprawa okazała się nieskuteczna do tego stopnia, że wkrótce Rostislav splądrował nadgraniczne terytoria Franków Wschodnich. Wtedy to, w obawie przed atakiem Wielkiej Morawy na Bawarię zdecydował się oddać całą Marchię Wschodnią we władzę swojego najstarszego syna, Karlomana. Tego młodego władcę pożerała ogromna ambicja. Mało mu było Marchii Wschodniej. W porozumieniu z Rostislavem, gdy Ludwik Teutoński powrócił z nieudanej wyprawy przeciw Karolowi Łysemu, opanował cały kraj na wschód od Innu. Rad nie rad Ludwik Teutoński pogodził

się z tym faktem i na mocy ugody z synem przyznał mu zdobyte ziemie. Potem jednak podstępnie zwabił syna na swój dwór, oskarżył go o spisek i pozbawił wszelkiej władzy. Następnie, na wieść, że Rostislav chce przyjąć wiarę od cesarza Rhomajów i tym samym poddać się pod ich opiekę, zaplanował Ludwik Teutoński wielką wyprawę przeciw Rostislavowi...

Dzień, w którym do kancelarii cesarza Rhomajów Michała III przyniesiono wiadomość o tych wydarzeniach, był przedostatnim dniem pobytu Dagona w Nowej Romie. Tego wieczoru Wielki Koniuch, Bazyli, wziął go na wieczorną i ściśle tajną audiencję u cesarza, gdzie oczekiwał także patriarcha Focjusz i cesarz Bardas. Oprócz Dagona zaproszono także Meleinosą, syna jednego z największych bogaczy Nowej Romy, młodego mężczyznę, który dopiero zaczynał się wspinać po stopniach do najwyższych urzędów w państwie.

Cesarz nie siedział na tronie, ale za stołem biesiadnym. Obok niego uczłował patriarcha Focjusz i Bardas. Wielki Koniuch stał, podobnie jak Meleinos i Dago. Najpierw cesarz, a później Focjusz tłumaczyli coś długo cichym głosem

Meleinosowi. Potem przez Koniucha Bazylego, zapytał Michał III

Dagona: - Czy posiadłeś, młodzieńcze, sztukę rządzenia? Dlaczego się jej uczyłeś? - Pragnę, wielki cesarzu Rhomajów, stworzyć wielkie państwo na północ od gór Karpatos. Posiadłem sztukę rządzenia.

- Trudno jest stworzyć coś z niczego - niecierpliwie rzekł Michał III. -

Chcę jednak wiedzieć, czy posiadłeś również sztukę skłócenia ludzi.

- To część sztuki rządzenia ludźmi. - Umiesz po frankijsku?

- Tak, wielki cesarzu. Po frankijsku, teutońsku, trochę po saksońsku i po bawarsku. Mogę także posługiwać się mową romańską.

Odezwał się patriarcha Focjusz:

- Niechaj nie będzie dla ciebie tajemnicą, synu, że wraz z licznym orszakiem wysyłamy do państwa Franków poselstwo, które powiedzie Meleinos. Jakie są jego wszystkie zadania pozostanie naszą tajemnicą. To jednak mogę ci zdradzić, że niepokoi nas myśl o wyprawie Ludwika Teutońskiego przeciw Wielkiej Morawie, dokąd wystaliśmy naszych misjonarzy. Najpewniej wasza daleka droga zaprowadzi was na dwór Ludwika, gdzie twoim zadaniem będzie zaprzyjaźnić się z jego synem, Karlomanem, i pogłębić w nim nienawiść do ojca. Meleinos będzie miał dość złota, aby zdobyć zwolenników dla Karlomana i wywołać jego nowy bunt przeciw ojcu. Jeśli ten bunt się powiedzie, Ludwik zrezygnuje z wyprawy albo będzie musiał walczyć nie tylko z Rostislavem, ale i z własnym synem, Karlomanem. A gdy się to uda, zaopatrzony w złoto przez Meleinosa, udasz się sam do ludów za rzeką Albis i sypiąc pieniędzmi i posługując się sztuką skłócania, spowodujesz, że Obodryci znowu napadną na państwo Ludwika i zmuszą go, aby stawiał czoła trzeciemu przeciwnikowi. Tylko to może uratować naszą misję.

Wtrącił się nagle Wielki Koniuch, Bazyli:

- Jest jeszcze czwarty przeciwnik. Lud koczowniczy zwany Mardami a także Madziarami, którzy przyszli z kraju Etelkóz, uderzyli na

*Frańków Wschodnich i weszli do kraju, który zwie się Chorutania
zagrażając Alemanii. Czy i z nimi nie powinien spotkać się Dago, aby
namówić ich do dalszych walk?*

*Bazyli wypowiedział te słowa po grecku jak i po sklavińsku, aby o
Mardach mógł dowiedzieć się Dago. Lecz Bazylemu przerwał ostro*

Bardas:

*Mardowie są naszymi wrogami. Osiedli nad Pontem i pustoszą także
nasze granice. Będziemy z nimi wojować podobnie jak z Bułgarami,
którzy chcą dopomóc Ludwikowi w jego walce przeciw Wielkiej
Morawie.*

*Michał III dał znak, że uważa audiencję za skończoną. Przyklęknął
więc Dago i Meleinos, przyklęknął Bazyli, a potem wszyscy trzej
opuścili pałac cesarza Rhomajów.*

*Tej nocy Wielki Koniuch upił się niemal do nieprzytomności w swoim
pałacu w towarzystwie Dagona. Być może w tym okrutnym i silnym
człowieku tliły się jakieś ludzkie uczucia i po prostu polubił Dagona,
którego znalazł na brzegu Sarmackiego Morza. Być może czuł, że
nigdy w życiu nie spotka już młodzieńca, którego kazał nauczyć sztuki
rządzenia ludźmi. Być może gryzły go jakieś własne sprawy,
ponieważ, gdy upił się, wykrzykiwał słowa, za które mógł zostać
pozbawiony wszelkich łask Michała III.*

*- Cesarz to zwykły pijak, nie posiadający ani siły woli, ani własnego
zdania. Gdyby nie Bardas, przenigdy nie pokonałby własnej matki i
nie zasiadł na tronie. Dla niego ten ma rację, kto z tą racją przychodzi*

*jako ostatni. Za bardzo ulega wpływom Focjusza, a temu mędrkowi
roi się marzenie o rządzeniu całym światem. Bardas zaś kocha małe
wojny, w których może okazać się zwycięzcą. To oczywiste, e trzeba
wspomóc Wielką Morawę, a także zmusić do klęknienia bułgarskiego
cara Borysa. Ale to nie jest słuszne, aby buntować przeciw sobie
Franków i nieustannie ich osłabiać. Czy wiesz, Dagonie, kto nam tak
naprawdę zagraża? Musliminowie, wstrętni "Ulegli". Tylko wspólnie z
Frankami możemy złamać ich potęgę i zapanować nad całym Mare
Internum, odebrać Syrię, Egipt, odgrodzić ich na zawsze od Indii.
Focjuszowe "Filioque" to zwykła błazenada. Czy to aż tak ważne od
kogo pochodzi Duch Święty, od Ojca i Syna lub od Ojca przez Syna? Z
takiego blahego powodu mamy rozbić świat chrześcijański, gdy
zaczyna nas zalewać religia "Uległych". Niedługo zamiast kościołów
zaczniemy budować meczety, bo nie umiemy pojednać się z Frankami.
Co mnie obchodzi kto jest ważniejszy: papież czy patriarcha. Tutaj tak
czy inaczej cesarz będzie wyznaczał patriarchę, a papieżom w Starej
Romie nie pozostanie nic innego jak przytakiwać naszym decyzjom,
ponieważ po zwycięstwie nad Musliminami staniemy się największą
potęgą świata. Ciebie też oszukano, Dagonie. Obiecali mi, że dadzą ci
pieniądze i wojowników, abyś na północ od Karpatos stworzył
przyjazne nam państwo. Zrobili z ciebie szpiega i wichrzyciela.
Dago milczał, bo gdy ktoś możny i ważny wykrzykiwał podobne słowa
sztuka rządzenia uczyła, aby udawać głuchego. Sztuka rządzenia
powiedziała mu też już dawno, że kruche są obietnice władców i sam*

także postanowił nie dotrzymywać obietnic, jeśli mu to nie będzie wygodne. Miał zaprzyjaźnić się z Karlomanem i zachęcić go do buntu przeciw ojcu. Może uczyni to, a może postąpi zupełnie inaczej. Kazali mu iść między Obodrytów i na wschodniej granicy Franków wywoływać nieustanny pożar. Może to zrobi, a może nie?

Nazajutrz Meleinos i dwudziestu towarzyszących mu Rhomajów, przeważnie Greków, wsiadło wraz z Dagonem na ciężki obity blachą statek rhomajski i odplynęło w kierunku portu Baris, gdzie była Thema Longobardia, ostatni bastion Rhomajów na półwyspie italskim. Dlaczego, aby dostać się na dwór Ludwika Teutońskiego, wybrano tak okreżną drogę - tego Dago nie wiedział. Dopiero kiedy znaleźli się w Starej Romie i leżał tam złożony niespodziewaną gorączką, wychudzony od dryzdaczki, zwanej także biegunką, dostrzegając ruchliwość Meleinosa i jego towarzyszy, dziwne i tajne spotkania, które odbywały się w wynajętym przez nich domu, pojął, że Meleinos miał wiele zadań, a jednym z nich było przekupienie biskupów, aby uznali synod na Lateranie za nieważny w części dotyczącej Focjusza. Rozgniewany bowiem synodem zwołanym przez Focjusza i Bardasa w Nowej Romie, papież Mikołaj I zwołał nowy synod na Lateranie i zmusił biskupów, aby uznali wybór Focjusza za nieważny i za patriarchę Nowej Romy uważali w dalszym ciągu kastrata Ignacego. Pieniądzy na przekupstwa nie brakowało Meleinosowi. Miał ze sobą dwa wozy ze skrzyniami pełnymi złota, do juczych koni były przytroczone worki ze złotymi solidami i

numizmatami.

Nie widział więc Dago Starej Romy i nie mógł ocenić czy można ją porównać do wielkości i piękna miasta Byzisa. Tego jednak dowiedział się na pewno, że było to miejsce, gdzie szerzyła się największa rozpusta, handlowano urzędami kościelnymi, każdy był sprzedajny, a papieże dość krótko zasiadali na swoim stolcu.

Odżył dopiec o w Akwizgranic, we wspaniałych pałacach, które pobrał Karol Wielki. Kąpiąc się i pływając w basenie z naturalnie ciepłą wodą - doszedł do pełni sił i zdrowia. W Akwizgranie znalazł się także Dago w świecie wielkich intryg: Oto Lothar II, król Lotaryngii, zapragnął poślubić piękną nałożnicę Waldradę, z którą miał dzieci, i porzucił swą żonę Teubergę, oskarżając ją o rozwiązłe obyczaje. Dużo pieniędzy wydał Lothar II, a także Meleinos, aby miejscowy episkopat udzielił królowi rozwodu wbrew woli papieża Mikołaja I. Każde bowiem osłabienie władzy papieskiej służyło sprawie Focjusza, lecz Mikołaj I, do którego zaapelował król, znowu pokazał swoje zęby. Legatów, którzy zaakceptowali rozwód króla pozbawił godności kościelnych i zmusił duchowieństwo Lotaryngii, aby pod groźbą kar kościelnych unieważniło rozwód. W końcu zatryumfował papież i Meleinos, zamieszany w tę sprawę, pospiesznie opuścił Akwizgran, kierując się do Ratyzbony na dwór Ludwika Teutońskiego. Nadeszła zresztą wieść, że stało się najgorsze: w międzyczasie z dwóch stron wspólnie z Bułgarami uderzył Ludwik na Wielką Morawę i Rostislava, a obległszy go w grodzie Dowina, u ujścia Morawy do rzeki Ister,

zmusił do uległości i zależności. W ten sposób Wielka Morowa znowu znalazła się pod wpływami Franków; choć misja Konstantego i Metodego działała tam w dalszym ciągu.

Dagona zadziwiały zwyczaje władców frankijskich. Nie mieli oni swoich stolic, tak jak cesarz Rhomajów, i właściwie nieustannie znajdowali się w podróży, przemieszczając się z pałacu do pałacu.

Niekiedy żyli na koszt swych wasali, uprzedzając baronów, biskupów i opatów, że wybierają się w ich strony i każąc przygotować dla całego dworu odpowiednią ilość pomieszczeń, jedzenia i napitku. Miało to podobno służyć jedności państw frankijskich, składających się przecież z najróżniejszych ludów, mówiących zupełnie różnymi językami, ale tak naprawdę życie na koszt baronów, biskupów oraz opatów wydawało się królom Franków czymś znacznie tańszym i łatwiejszym. I tak Ludwik Teutoński lato spędzał we Frankfurcie, a zimę w Ratzbonie.

Wczesną zimą właśnie w Ratzbonie znaleźli Ludwika Teutońskiego.

Władca był upojony swym zwycięstwem nad Wielką Morawą i łaskawie przyjął poselstwo od cesarza Rhomajów, rulon pergaminu, na którym Michał III wyrażał mu swój wielki podziw i szacunek oraz obiecywał dozgonną przyjaźń, nazywając swoim "bratem".

Łaskawość Ludwika dla poselstwa Rhomajów wynikała z faktu, że Mardowie zwani Madziarami wdarli się aż do Alemanii, pustosząc i rabując kraj. U Ludwika rodziła się myśl, czy nie uderzyć wspólnie z cesarzem Rhomajów na Mardów i na zawsze wypędzić ich nawet znad

Pontu.

W Ratyzbonie Dago nudził się, ponieważ zamek nie był aż tak okazały jak zamki i pałace w Nowej Romie, a także w Akwizgranie. Nie udało mu się także zbliżyć do Karlomana, którego Ludwik trzymał niemal w zamknięciu. Dwukrotnie jeździł więc do Fuldy, aby tam zapoznać się z kronikami dotyczącymi mieszkających za Albis Sklavinów, rozpoczął też romans z opatką pobliskiego klasztoru, Albegundą, nieślubną córką cesarza Ludwika. Była to trzydziestoletnia kobieta o niezwyklej urodzie, namiętna i czuła; słynęła też z pisania pięknych wierszy zwanych "winilodes", za co ją potępiali co surowsi mnisi, jak na przykład Raban Maurus z Fuldy. Sztuka miłosna, którą znał Dago tak oszołomiła Albegundę, że odprawiła wszystkich swoich kochanków i jej klasztor stał się azylem miłosnym tylko dla niej i Dagona. Jak każda kobieta, która pierwszy raz poznała prawdziwą rozkosz, zapragnęła odwdzięczyć się czymś Dagonowi, obdarzyć go bogactwem lub choćby tytułami. To ona podsunęła Ludwikowi Teutońskiemu myśl, aby obiecał nadać tytuł hrabiego temu, kto wezwie na walkę wręcz Zygryda ze starego rodu Nibelungów. Zygryd, jako wasal cesarza, nie zjawiał się mimo wezwania do walki przeciw Wielkiej Morawie, co Ludwik uznał za osobistą obrazę. Wziął tedy Dago rękawicę Ludwika Teutońskiego i wraz z trzema Rhomajami, których mu wyznaczył Meleinos i z kilkoma rycerzami teutońskimi, wyruszył do zamku Strassfurt nad rzeką Bode, gdzie podobno kiedyś legendarny Zygryd z Nibelungów, protoplasta obecnie żyjącego

barona, pojął za żonę słynną z piękności Krymhildę.

Zamek Strassfurt był zaniedbany, gdyż Zygfryd chyba niewiele dbał o swoje posiadłości. Opowiadano, że aby utrzymać się przy hulaszczym życiu hańbił się nawet napadami na kupców. Bano się go jednak. Miał bowiem mocne ręce i tak silne uderzenie miecza, że przecinało najtwardszą tarczę. Opowiadano, że nosi pas i pierścień islandzkiej królowej Brunhildy, która przy pomocy Hageny spowodowała zdradziecką śmierć legendarnego Zygryda.

Na zamku trwała nie kończąca się od miesiąca uczta. Zygfryd nie zrezygnował z niej nawet wtedy, gdy otrzymał wezwanie od swego seniora. Na owe uczty wydawał zagrabione pieniądze, nie dbając nawet o obronność zamku, ponieważ wierzył, że legenda o jego przodku czyni go zbyt groźnym dla kogokolwiek, nawet dla króla:

Na kamienną posadzkę w biesiadnej sali, gdzie ucztował Zygfryd wraz z kilkoma sąsiadami i na wpół nagimi dziewczkami, Dago rzucił mu przed wieczorem królewską rękawicę i wezwał do walki. Pięknie wyglądał w tym momencie - w swym złoconym pancerzu, złoconym hełmie i pawimi piórami, czerwonych butach z babilońskiej skóry, z białym pasem i w białym płaszczu. Jego tarczę pokrywała srebrna blacha i tylko skromnie wyglądał miecz w lipowych deszczułkach, po ascomańsku zawieszony na ramieniu.

Zza stołu podniósł się czterdziestoletni mężczyzna, atletycznej budowy, z ogromnymi wąsami i twarzą napuchniętą od piwa. Szybko ocenił ile wart jest złocony pancerz Dagona, jego hełm i tarcza. Dużo

można by dostać za te rzeczy, gdyby w walce nie zostały strzaskane.

- Ja, Dago, pan z rodu Spalów, syn olbrzyma Bozy, rzucam ci tę królewską rękawicę i w jego imieniu wyzywam cię do walki na śmierć i życie. Zdradziłeś króla nie stawiając się do walki na jego wezwanie i złamałeś rycerską przysięgę - powiedział Dago w mowie Franków.

Zygfryd nie słyszał o rodzie Spalów, nie słyszał też o wielu innych wielkich rodach, gdyż już od dawna nie bywał na dworze Ludwika Teutońskiego. Popatrzył pogardliwie na Dagona swoimi przekrwionymi od piwa oczami i rzekł chrapliwie:

- Czy nie wiesz, że jestem z rodu Nibelungów, a każdy z tego rodu kapał się w krwi smoka, co go czyni odpornym na rany? Czy nie widzisz na mnie pasa, który ma okucie ze złota, gdyż jest to pas królowej Brunhildy? Czy mam ci pokazać swój pierścień, który był także jej pierścieniem, a przynosi on szczęście w walce?

Takie chętlive przemowy uważano za przejaw elegancji i dobrych obyczajów przed walką. W ten sposób bowiem rywale chcieli podnieść swoją wartość w oczach własnych, przeciwnika i otoczenia.

- Jestem Dago, pan z rodu Spalów, noszę miecz przeklęty przez Odyna. Gdy go wyciągnę z pochwy, musi paść trup.

- To ty będziesz trupem! - zawołał Zygfryd i służącemu kazał podać sobie długi obosieczny miecz kuty nad Renem, kolczugę, podłużną tarczę i hełm z rogami byka.

Wyszli na podwórzec zamkowy, gdzie aż po kostki tonęło się w gnojówce i odchodach końskich.

- Będziemy walczyć pieszo czy z konia? - zapytał Dago, patrząc ze wstrętem na swoje czerwone buty zbrukane gnojem.

- Pieszko, pacholku. Pieszko - obraźliwie rzucił Zygfryd.

- Twój pierścień i pas cisnę pod nogi Ludwikowi. Zamek i dobra zabiorę dla siebie wraz z tytułem hrabiego, jaki otrzymam - oświadczył Dago.

- A co mnie przyjdzie ze zwycięstwa, jeśli roztrzaskam twój złoty pancierz i hełm?

Wtedy Dago zdjął z siebie biały płaszcz i oddał go jednemu z trzech Rhomajów. Zdjął także z siebie złoty pancierz i hełm, i też oddał drugiemu z Rhomajów.

- Stawaj do walki z synem olbrzyma! - zawołał, gdyż zaczynała w nim wzbierać ogromna wola walki i pragnienie zwycięstwa.

- Uważaj, karle! - krzyknął przeraźliwie Zygfryd i z podniesionym do góry długim mieczem rzucił się na Dagona, zanim ten zdołał uchwycić Tyrfinga.

Tarcza wytrzymała uderzenie frankijskiego miecza. Dago odskoczył trzy kroki do tyłu i wyciągnął Tyrfinga. W zimowym, krwawo zachodzącym słońcu ostrze jego miecza zabłysło nagle jak gdyby zarazem oblało się krwią. Wszędzie tam, gdzie padał blask Tyrfinga widziało się skrzepy krwi.

Ten widok na chwilę oszołomił Zygfryda. Dago ciął wówczas mieczem, Zygfryd jednak instynktownie zasłonił się tarczą, która jęknęła jak pęknięty dzwon i rozpadła się na dwie połowy. Zygfryd powtórnie

zamachnął się mieczem, który był o wiele dłuższy od Tyrfinga i znowu tylko głucho zadźwięczała tarcza Dagona. Jego ruchy stały się coraz szybsze, a miecz zdawał się ze wszystkich stron osaczać Zygfryda, podobnie jak krwawy blask słońca odbijającego się nad głowami. Aż wreszcie, gdy Zygfryd trochę się pochylił, aby wziąć dla miecza nieco większy zamach, Dago doskoczył do niego i jednym uderzeniem uciął mu głowę.

Z przeraźliwym krzykiem uciekły w głąb zamku na wpół nagie dziewczki, które wyszły na podwórzec, aby przyglądać się walce. Na swoje konie wskoczyli sąsiedzi Zygfryda, sądząc, że teraz sześciu towarzyszy Dagona rozpocznie z nimi rozprawę. Uciekli przez rozwaloną bramę, na pokrytą lodem rzekę Bodę.

Dago pochylił się nad trupem, odpiął pas i ściągnął mu z palca złoty pierścień Nibelungów. Splunął pogardliwie, widząc, że twarz Zygfryda leży w gnoju.

- Słyszeliśmy wszyscy, że ten człowiek nazwał mnie karłem! - krzyknął pełen nienawiści do Zygfryda. - Mogliście się sami przekonać, że jestem z rodu olbrzymów, ponieważ tylko olbrzym mógł zabić Nibelunga.

W głębi zamku zniknęli wojownicy, których dał mu Ludwik. Dago nie chciał tu pozostać ani chwili dłużej. Wskoczył na konia, a wraz z nim uczynili to samo trzej Rhomajowie. Teutońscy wojownicy dogonili ich o trzy stajania. Dopiero gdy zobaczyli mury zamku w Ratzbonie jeden z nich rzekł:

- Musieliśmy, panie, zrobić dla ciebie to, co było naszym prawem.

Tobie przypadnie zamek i dobra Zygryda. Zabiliśmy jego żonę i wszystkie dzieci, także i jedno w kolebce. Ród Nibelungów przestał istnieć, bo gdyby któryś z nich pozostał żywy, zawsze miałbyś kogoś, kto zapragnąłby pomsty.

Nie wiedzieli, że wkrótce Nibelungowie ożyją w pieśni i trwać będą przez wieki. Albowiem tylko to, co zostało utrwalone w historii lub w pieśni bywa w naszym świecie nieśmiertelne.

Ludwik Teutoński przyjął uroczyście. Dagona w największej sali zamku w Ratybonie, w otoczeniu swych najwyższych dostojników, palatyna, komornika, margrabiów, hrabiów i baronów. Na głowie miał "kamelaukion", kołpak wysadzony drogimi kamieniami - frankijscy władcy nie nosili bowiem koron jak cesarze Rhomajów.

Okrywał go kaftan mieniący się drogimi kamieniami i ściśniętym pasem; drugi pas z pochwą na miecz spadał lekko na jedno biodro.

Biały płaszcz był rozcinany i spięty na prawym ramieniu złotą fibułą, tak, aby prawa ręka była wolna. Na dłoniach miał białe rękawiczki.

Przyklęknął przed nim Dago i położył u jego stóp pas oraz pierścień Nibelungów. Oddał mu też rękawicę.

- Zwiąż cię Dago z rodu Spalów - powiedział uroczyście król Ludwik. -

Byłeś wychowany u cesarza Rhomajów, ale walczyłeś dla wielkości mojego imienia z moim wasalem Zygrydem z Nibelungów. Jesteś wolnym człowiekiem, dlatego możesz wybrać służbę dla mnie i mego honoru. Daję ci tytuł hrabiego i wszystkie dobra należące do Zygryda

Nibelunga, to jest zamek w Strassfurcie i ziemię po obydwu stronach rzeki Bode.

To mówiąc Ludwik wziął w dłonie złoty łańcuch z krzyżem i założył go na kark Dagona. A obecni na sali możni teutońscy uderzyli mieczami o swoje tarcze na znak, że przyjmują do wiadomości tytuł i prawa nowego hrabiego.

Jeszcze tego wieczoru w komnacie Dagona pojawiła się służba klasztorna i kazała mu zjawić się w opactwie Albegundy. Pojechał tam konno i o północy otworzono przed nim furtę, potem zaś mniszka w kapturze zaprowadziła go do celi opatki.

Zobaczył Dago komnatę wysłaną kobiercami i haftowanymi poduszkami, łoże pokryte niedźwiedzią skórą. Przed nim zaś stała Albegunda w nowej postaci, już nie w stroju mniszki, ale bogatej damy dworu: na kaftan z szerokimi rękawami miała narzucony obszerny płaszcz, ciężki od złota i drogich kamieni, ozdobny pas wysoko opinał talię. Na swoich rudawych włosach nosiła przepaskę, także złoconą i wysadzaną szlachetnymi kamieniami. Piersi pokrywały jej naszyjniki i wisiory z drogich kamieni i złota. Dago nigdy nie widział jej tak pięknej, tym bardziej że w celi było widno jak w dzień od palących się świec woskowych. Ukląkł więc przed nią jak przed królową i nisko pochylił głowę, a ona, śmiejąc się radośnie, podniosła go z ziemi i zaprowadziła do stołu, gdzie na pozłaczanych misach leżały zimne mięsa i w dzbanach stało wino.

- Jesteś hrabią i pozostaniesz w naszym kraju. Tego właśnie

pragnęłam. Nie przeżyłabym myśli o rozstaniu. Nie chcę, abys wrócił do Nowej Romy - powiedziała, całując go w usta.

Dago otrzymał od Meleinosa pozwolenie przejścia na służbę do Ludwika Teutońskiego. Jako jego hrabia, mógł mieć łatwiejszy dostęp do spraw królestwa Franków oraz do osoby Karlomana. Podobała mu się Albegunda, ale przecież gdzieś w głębi duszy pozostawała w nim pamięć o wielkich czynach, do których został stworzony. Księża Grzmotów i Błyskawic uczyła, że sztuka miłości służy władcy nie tylko dla rozkoszy. Władca nie może mieć innej kochanki niż władza.

- Czy nie lękasz się, Albegundo, srogich kar piekielnych, jakimi swawolnym mniszkom grozi opat z Fuldy i słynny Hinkmar, arcybiskup z Reims? - zapytał ją, gdy nadzy i zmęczeni godziną miłości leżeli obok siebie na niedźwiedziej skórze.

- Nie chciałam zostać mniszka - odparła wzgardliwie. - Zrodził mnie grzech, rozpusta Ludwika, który zadał się z moją matką, a swoją dworską służką. Nie mógł mi inaczej zapewnić dostatniego życia, jak dając bogate opactwo. Ile masz lat, hrabio?

- Dwadzieścia jeden - powiedział.

- To widać. Twoje ciało jest piękne i młode - szeptała głaszcząc skórę na jego piersiach i udach. Jej wargi zadygotały z pożądania, gdy spostrzegła jak szybko na powrót pręży mu się członek.

- Jesteś piękna - rzekł Dago i chciał pocałować ją w szyję. Zerwała się z łoża i zaczęła pośpiesznie gasić wszystkie świece.

- Nie, nie patrz na moją szyję. Są już na niej zmarszczki. Mam

trzydzieści lat. Ale ty jeszcze długo będziesz mi dawał rozkosz,

prawda?

- Tak - odparł, myśląc czy ona zgodzi się zorganizować mu spotkanie ze swoim przyrodnim bratem, Karlomanem.

Zanim znowu zaczęli się kochać, Albegunda wzięła ze stołu naczynie pełne jakiegoś naparu z ziół i wypila go do dna.

- Czy w ten sposób zwiększasz swoje pożądanie zainteresował się

Dago. W Nowej Romie uczono go, jakie napitki zwiększają pożądanie.

- Po prostu nie chcę mieć dziecka - wyznała. - Piję korzenie paproci,

napary z liści wierzbowych, z ruty, mieszaniny aloesu, nasion

lewkonii, imbiru, pieprzu i szafranu. Założyłam też sobie krążek do

macicy. Kupiłam relikwie świętego Łukasza i dzięki temu mam odpust

zupełny od wielu grzechów. I choć księża tego zabraniają, mogę

kochać się w czasie czterdziestu dni przed Bożym Narodzeniem, w

czasie czterdziestu dni przed Wielkanocą i w czasie tygodnia po

Wielkanocy, w czasie tygodnia po Zielonych Świątkach, w przeddzień

uroczystych świąt, a także w środy i piątki. Dziś właśnie jest piątek,

Dagonie.

Uśmiechnął się w ciemnościach. Nie wierzył w Niebo i w Piekło, nie

wierzył w moc Boga, który dał się ukrzyżować, było mu wszystko

jedno, czy Duch Święty począł się z Ojca i Syna, czy też poprzez Syna:

Widział jak morze pochłaniało statki Sveriego i czuł lęk przed bogiem

morza. Widział jak wiosną i jesienią wzbierały wielkie rzeki i czuł

strach przed kryjącymi się w nich bogami. Bał się dusz zmarłych, gdy

bywali głodni i wiedział, że trzeba ich wtedy nakarmić. Widział burze, błyskawice, pioruny rozszczepiające drzewa i zabijające ludzi i zwierzęta, dlatego czcił Swaroga, który był także słońcem. Na dworze Zely nie było żadnych zakazów w sprawach miłości, pozwalano się kochać w każdy sposób, który dawał przyjemność. Nikt też nie wstydził się swej nagości, a mężczyzna, który miał duży członek cieszył się poważaniem i szacunkiem. Dlaczego ten Bóg chrześcijan, tak wielką wagę przywiązywał do tego, jak się ludzie kochali, co mieli między nogami, nie pojmował ogromnej siły płodności.

- Chciałbym się spotkać z twoim bratem, z margrabią Karlomanem. Ty mogłabyś umożliwić mi to - powiedział w pewnej chwili.

- To niemożliwe. Ojciec zakazał wszelkich spotkań z Karlomanem, gdyż posądza go o coraz nowe spiski.

Wtedy Dago zaczął ssać i gryźć brodawki sutek Albegundy, aż z jej ust dobył się jęk pożądania. Przerwał pieszczoty i znowu prosił:

- Zrób tak, abym się mógł spotkać z Karlomanem...

- Nie! - krzyknęła. - To niemożliwe! Król-ojciec mnie ukarze. Uczynił wówczas to, na co żaden mężczyzna z jej otoczenia nie odważyłby się, gdyż popadłby w najstraszniejszy z grzechów i występków przeciw chrześcijańskiemu Bogu. Zesunął twarz po ciele Albegundy i końcem języka dotknął jej przyrodzenia w miejscu najbardziej wrażliwym na rozkosz. Aż krzyknęła, przerażona i zarazem rozogniona pożądaniem, a on pieścił ją językiem, a kiedy już zaczęła spazmować, przerwał tę grę i znowu ją poprosił: - Daj mi możliwość spotkania się z

Karlomanem.

- Dobrze... dobrze... zrobię to... - jęczała obolała z męczącego i nie spełnionego pożądania.

Wtedy Dago popełnił nowy grzech i przestępstwo przeciw chrześcijańskiemu Bogu i odwrócił Albegundę tak, aby mieć jej zad przed sobą, a potem wszedł w nią jak ogier bierze klacz. A ponieważ to, co najbardziej grzeszne i niedozwolone sprawia zazwyczaj największą rozkosz, tej nocy Albegunda aż omdlała z cudownej ekstazy. A gdy ocknęła się nad ranem, oświadczyła:

- Ty nie wierzysz w Boga. Sprzedałeś się diabłu...

Czy mogła jednak potem odmówić jego prośbie, aby spotkał się z Karlomanem i to bez świadków? I czy było coś lepszego jak pomysł polowania w lasach jej opactwa, słynących z bogactwa dzikiej zwierzyny.

W tydzień później po roztajającej od wiosennego słońca ziemi pędzili obok siebie na koniach - Karloman i Dago. Ubrana w męski strój Albegunda pogalopowała wraz ze sforą psów śladem zranionego jelenia.

- Cesarz Rhomajów, Michał III, kocha cię jak brata i martwi się, panie, że otacza cię niełaska ojca - ostrożnie rozpoczął rozmowę Dago.

-Słyszałem o tobie - odparł Karloman. - Przybyłeś tu z Rhomajami, ale otrzymałeś tytuł hrabiego od mojego ojca.

- Cesarz Rhomajów, margrabi, chciałby cię widzieć cesarzem wszystkich Franków - już śmieiej rzekł Dago.

Karloman milczał. Był to wysoki mężczyzna o zapadniętej klatce piersiowej i długich rękach. Jego twarz o wychudłych policzkach i żółtawej cerze zdawała się mówić, że trawi go jakaś wewnętrzna choroba. Mówiono, że nocami nie mógł spać. Ale Meleinos był zdania, że jedyną dolegliwością Karlomana jest wprost chorobliwa chęć władzy. Miał trzydzieści lat i dwóch młodszych braci, którzy też pragnęli władzy. Czy nie nadeszła pora, aby Ludwik, zwyczajem Franków, podzielił między nich swoje państwo i jemu, Karlomanowi, oddał zwierzchnictwo nad młodszymi braćmi.

- Cesarz Rhomajów... - zaczął znowu Dago, lecz Karloman przerwał mu gwałtownie:

- Zamilcz, hrabio. Czy cesarz Rhomajów nie wie, że aby osiąść władzę trzeba mieć złoto? Dużo złota, hrabio, bo wasale mojego ojca są jak bagno, które wszystko pochłania.

- Nie zamykaj tej nocy swojej komnaty i zostaw otwarte skrzynie.

Niech będą puste, gdyż tej nocy stanie się cud. Wypełnią je złote numizmaty i solidy. Dago uderzył ostrogami swojego konia i nie czekając na Karlomana pogalopował za Albegundą. Jeszcze trzykrotnie w początku miesiąca przez Franków zwanego Maius spotkali się na polowaniu. Skrzynie w komnacie królewskiego syna pełne już były złotych numizmatów i solidów, które przekazał mu Meleinos.

Dopiero za trzecim razem Karloman ośmielił się zapytać Dagona:

- Kim naprawdę jesteś, hrabio? Nie wyglądasz mi na pospolitego

szpiega. - Bo nim nie jestem - odparł dumnie Dago. - Przepowiedziano mi, że podobnie jak ty zostaniesz kiedyś cesarzem Franków, tak ja stanę się władcą ludów, o których jeszcze nikt nie wie, bowiem drzeмиą daleko na wschodzie. Pragnę, abys został cesarzem, ponieważ kiedyś być może będę potrzebował twojej pomocy. Być może to ty także zapragniesz pomocy ode mnie. Czy chcesz zwyczajem ludu z jakiego pochodzę stać się moim bratem?

To mówiąc wyjął z torby podróżnej złoty kubek, naciął sobie palec serdeczny i pozwolił, aby trochę krwi skapnęło do kubka. Potem podał kubek i nóż Karlomanowi.

Po chwili wahania Karloman, któremu ten sposób zawierania braterstwa wydał się pogański, naciął swój palec. Następnie Dago napił się ich krwi z kubka i to samo uczynił Karloman.

- Jesteśmy więc braćmi, ponieważ jak mówi sztuka czarów, mamy odtąd w sobie wspólną krew. Czuję zresztą, że miłuję cię jak rodzzonego brata - uroczyście powiedział Dago.

- I ja cię miłuję jak rodzzonego brata - oświadczył Karloman.

W trzy dni później Ludwik Teutoński wezwał Dagona przed swoje oblicze. - Wiem, hrabio, że dobra po Nibelungach są zaniedbane, a zamek należy odnowić. Tylko wojna i łupy pozwolą ci stać się bogatym. Postanowiłem uczynić wyprawę przeciw Obodrytom.

Powierzyłem jej dowództwo hrabiemu Fredegarowi, dając mu trzystu wojowników konnych i pieszych. Byłeś dwa razy w Fuldzie, aby poznać obyczaje Obodrytów, dlatego będziesz mu w tej wyprawie

służył radą i pomocą.

W połowie miesiąca Maius ruszył Dago z hrabią Fredegarem i trzystu wojownikami w kierunku rzeki Albis. W końcu Maja udało mi się przebyć wezbrany nurt na tratwach z pni drzewnych i weszli w kraj Sklavinów, dziwiąc się, że nie napotykają żadnego oporu. Nie wiedział Fredegar, że Sklavinowie rzadko stawiali twarzą w twarz z przeciwnikami, walczyli zdradziecko, z ukrycia. Tylko Dago przeczuwał, że gdy zagłębią się w wąwozy, zagradzające im dalszą drogę, tam napadną ich Obodryci.

Nadszedł trzeci dzień miesiąca zwanego przez Franków Junius, a przez Sklavinów - Czerwień. Fredegar pozwolił rozbić obóz na wielkiej polanie leśnej. Rozstawiono namioty dla niego i Dagona, wojownicy spali przy ogniskach albo na wozach z jedzeniem i uzbrojeniem.

Przed wieczorem do obozu przybyło dwóch jeźdźców, najprawdopodobniej wysłanników od Króla Ludwika, gdyż Fredegar natychmiast zaprosił ich do swojego namiotu i długo z nimi rozmawiał. W środku nocy, nieoczekiwanie, jeden z tych ludzi zjawił się w namiocie Dagona.

Było, ciemno. Dago pośpiesznie skrzesał ognia i zapalił woskową świecę.

Mimo stroju wojownika od razu poznał, po drobnej chłopięcej figurze i delikatnej cerze, że ma przed sobą kobietę. Położyła mu palec na usta:

- Jestem Rychilda, mniszka z klasztoru Albegundy - szepnęła. -

Przynoszę ci, hrabio, pozdrowienia od niej i swoje ciało, ponieważ

moja pani chce, abys biorac mnie, jak gdyby bral ja i kochal.

- Czy przywiozlas jakies wieści? - zapytal Dago.

- Tak. Twój przyjaciel, Meleinos, zginął od przypadkowej strzały podczas wspólnego polowania z margrabią Radbodem, hrabią Teodorychem i komornikiem Meginfrydem.

Zdmuchnęła świecę i zaczęła zdejmować z siebie kolczugę, kaftan, buty. Położyła się naga na owczej skórze, którą do spania pościelił sobie Dago. Jej ciało widział jak białą plamę w mroku namiotu. Aż zadrżał z pożądania, ponieważ od wielu dni nie miał kobiety. Leżąc obok niej nagi i chciał od razu w nią wejść, ale ona odsunęła się od niego.

- Wstrzymaj się, hrabio. Moja Pani przysłała ci bukłak z winem. Gdy go wypijesz, nie będziesz pamiętał, że kochasz mnie, ona bowiem stanie w twoich myślach.

Nie wiedziała, że Dago od dzieciństwa nie brał z rąk kobiety ani jadła, ani napoju, jeśli ona sama go wprzódy nie skosztowała. Dlatego kiedy podała mu bukłak z owym winem, kazał, aby najpierw sama się napiła.

- Nie, nie, hrabio! - niemal krzyknęła ze strachu. - To wino jest zaczarowane. Jeśli go wypiję, uwierzę, że jestem Albegundą.

Dago pojął wszystko. Zabito Meleinosa. Ściany zamku w Ratzbonie miały uszy. Ktoś doniósł Ludwikowi o polowaniach, jakie dla niego i dla Karlomana urządziła Albegunda. Ktoś otrzymał od Karlomana garść złotych solidów, a ktoś inny powiadomił o tym króla.

Lewą ręką chwycił mocno głowę Rychildy, prawą zaś rozchylił jej wargi i zęby. I mimo że go gryzła w palce, lewą dłonią wlał wino do ust Rychildy. Nie kroplę lub jeden tyk. Niemal cały bukłak musiała przełknąć.

Po krótkiej chwili ciałem jej wstrząsnęły dreszcze, chciała jęczeć, ale on zakrył jej usta swoją dłonią. Czuł jak Rychilda skręca się w męce konania, z jego namiotu nie usłyszano nawet najcichszego jęku.

Zostawił na owczych skórach martwe nagie ciało. Pośpiesznie ubrał się i wyszedł przed namiot. Jego koń wierzchowy i jeden juczny z worami pełnymi szat oraz złotych solidów i srebrnych denarów, które otrzymał od Meleinosa, stały obok wejścia do namiotu, przywiązane do białego w ziemię pala. Minęła połowa nocy, dogasały ogniska, przy których czuwali strażnicy. Nikogo nie obchodziło, że Dago idzie do namiotu Fredegara, gdzie jeszcze płonęła świeca i Fredegar rozmawiał z drugim wysłannikiem króla. Bezszelestnie wśliznął się do środka i zanim tamci zdolali sięgnąć po miecze, jego obnażony Tyrfing uciął głowę Fredegara, a potem teutońskiego wojownika.

Bez pośpiechu odwiązał Dago swoje konie od pala, wskoczył na wierzchowca i nie zwracając niczyjej uwagi przepadł w ciemnościach.

Nie było na niebie gwiazd, ale zaraz trafił w lesie na jasną smugę piaszczystej drogi i nie wiadomo skąd wiedział, że ta droga prowadzi na południowy wschód. Jechał wolno prowadząc jucznego konia.

Dręczyło go uczucie zimna i gorąca. Tak znowu objawiła się w nim choroba zwana Żądzą Czynów. Albowiem już wiedział, że przyszła

chwila, gdy musi wrócić tam, gdzie się urodził i obudzić śpiącego olbrzyma.

Po czterech dniach nieśpiesznej jazdy, w samo południe, dotarł Dago do brzegu wielkiej rzeki, która na jednej z trzech wielkich tablic, należących kiedyś do wielkiego cesarza Karola, nosiła nazwę Swebskiej albo Viaduy, choć potocznie mówiono o niej Rzeka Zapomnienia.

Dwie pary koni galopowały skrajem lasu i moczarów. Dago ich grzbiety ciągle smagał batem aż ciężki wóz ze złotem wysoko podskakiwał na wybojach i rozpryskiwał kałuże błota. Gdzieś daleko przed nim widać było blask ogniska, które zapewne rozpalił Awdaniec; za sobą czuł niemal namacalną obecność straszliwej śmierci.

Zyfika obudziła się z omdlenia i usiłowała rwać na sobie więzy.

Zwolnił więc najpierw bieg koni, a potem zatrzymał wóz. Wziął ją w ramiona, głaskał twarz i włosy:

- Nie pozwolę ci wrócić tam, gdzie zaczniesz szaleć Mor - powtarzał. -

Ożenię się z tobą i dasz mojemu rodowi swoją sauromacką krew. Ja będę władcą, a ty władczynią. Stworzymy razem państwo tak potężne, że żadna ludzka siła go nie zmoże.

Milczała, choć już zaprzestała wrywać się z więzów. Dago chwycił lejce i powiódł wóz w stronę płonącego w dali ogniska.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

1 Czesław Miłosz, Król Popiel [w:] Gdzie wschodzi słońce i kędy

zapada, Znak, Kraków 1980 r.